KAMEA

RICHARD MATHESON

Gdzieś w czasie

ALFA

BIBLIOTEKA POWIEŚCI I ROMANSÓW

KAMEA

4

Na wiadomość o ciężkiej chorobie młody amerykański scenarzysta zrywa z dotychczasowym życiem. Ucieczka od rzeczywistości zaprowadzi go do przesiąkniętego atmosferą przeszłości eleganckiego hotelu „Coronado".

Zauroczony starą fotografią słynnej niegdyś aktorki, nie potrafi oprzeć się uczuciu, choć dzielą ich dziesiątki lat. Największym sprzymierzeńcem, a zarazem wrogiem tej miłości jest czas. Czy uda się przezwyciężyć tę najtrudniejszą ze wszystkich barier?

Powieść Richarda Mathesona spotkała się z ogromnym uznaniem czytelników i krytyki. Powstała też jej wersja filmowa, a w postacie bohaterów wcielili się Christopher Reeve i Jane Seymour.

ISBN 83-7001-789-4

RICHARD MATHESON

Gdzieś w czasie

Tłumaczenie
Robert M. Sadowski

Nota Roberta Colliera

Nie jestem pewien, czy postąpiłem słusznie, publikując rękopis mego brata. On sam w każdym razie nie miał tego zamiaru, a nawet nie spodziewał się, że zdoła go ukończyć.

Dokończył go wszakże i w moim przekonaniu, pomimo pewnych słabości, nieuniknionych w pierwszej wersji, jest to praca zasługująca na uwagę Czytelnika. Ostatecznie Ryszard naprawdę był pisarzem, choć jest to jego jedyna książka, i dlatego też, wciąż pełen wątpliwości, zdecydowałem się mimo wszystko ją opublikować.

Zanim przekazałem książkę do druku, dokonałem obszernych skrótów w pierwszej części rękopisu, i znów trudno mi powiedzieć, czy miałem rację. Nie sposób zaprzeczyć, że była ona rozwlekła, nawet miejscami nudna, nie uwalnia mnie to jednak od poczucia winy. Gdyby to zależało tylko ode mnie, opublikowałbym rękopis w całości, pocieszam się więc jedynie nadzieją, że moje poprawki nie były sprzeczne z zamiarami Ryszarda.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego pragnąłem wydania tej książki. Szczerze mówiąc, jest to całkiem nieprawdopodobna historia. Mimo najlepszych chęci nie byłem w stanie w nią uwierzyć, jej publikacja daje jednak nadzieję, że stanie się to udziałem któregoś z jej Czytelników. Ja osobiście jestem przekonany tylko o jednym — otóż dla Ryszarda opisane tu zdarzenia nie były fikcją. Z całego serca, niezachwianie wierzył, że przeżył je sam, minuta po minucie.

Los Angeles, Kalifornia
Lipiec 1974

Część pierwsza

14 listopada 1971

Jadę Long Valley Road. Dzień jest piękny — słońce świeci na błękitnym niebie. Mijam potrójne, malowane na biało płoty. Jakiś koń przygląda mi się badawczo. Wiejska enklawa wewnątrz Los Angeles. Droga to opada, to znów się wznosi. Jest spokojny, niedzielny poranek. Po obu stronach drogi rosną pieprzowce, a wiatr szeleści w ich liściach.

Niemal już się wyrwałem, odłączyłem od Boba i Mary, od ich domu, od mojego małego domku w ogrodzie, od Kit, która odwiedzała mnie, a jeśli byłem zajęty stukała podkowami, sapała, stękała, rżała, kiedy zaś zawiodły już wszelkie metody na zwrócenie mojej uwagi i ewentualny poczęstunek, waliła nosem o ścianę. Już nigdy więcej.

Ostatni zjazd i ostatnie przyspieszenie. Przede mną autostrada Ventura, a dalej cały świat. Na tablicy nad domkiem strażnika przy bramie wypisano: Adios amigos. Żegnajcie, Hidden Hills.

* * *

Stoję w myjni samochodowej. Dziwnie tu pusto. Czyżby wszyscy byli w kościele? Tuż przede mną przesuwa się beżowy Mercedes Benz. Zawsze marzyłem, że kiedyś sprawię sobie taki wóz. Jeszcze jeden projekt do skreślenia. Popijam bulion kupiony w automacie. A oto i mój ciemnoniebieski Galaxie. To mój typ samochodu — stateczny, miły dla oka i niezbyt kosztowny. Długie, cienkie strugi piany wytryskują na jego powitanie.

Zatrzymałem się na pustym parkingu obok poczty. Likwiduję swoją skrytkę — po co dłużej zawracać im głowę? Przy okazji wysłałem ostatnie rachunki dla Ma Bell i na Broadway.

* * *

Czekam przy znaku stop na Topanga Boulevard. Właśnie otwiera się luka. Szybki skręt w lewo, wyrobienie pozycji, skręt w prawo, podjazdem w górę i już jestem na autostradzie Ventura. Żegnajcie, Woodland Hills.

Doprawdy, cudowny dzień. Na jaskrawym błękicie nieba słabo rysują się pasma obłoków. Powietrze ma smak chłodnego białego wina. Mijam Gemco i Valley Music Theatre. Już są za mną, już nie istnieją. Solipsyzm jest teraz moją filozofią.

Zanim opuściłem dom, rzuciłem monetę. Jeżeli wypadnie orzeł, miałem jechać na północ, jeżeli reszka — na południe. Jadę do San Diego, ale dziwnie pomyśleć, że wystarczyłoby, aby moneta obróciła się jeszcze raz, a dzisiaj późnym popołudniem byłbym już w San Francisco.

Bagażu mam niewiele, tylko dwie walizki. W jednej z nich jest mój brązowy garnitur, ciemnozielony sportowy płaszcz, spodnie, parę koszul, bielizna, skarpetki, buty, chusteczki do nosa i neseserek z przyborami toaletowymi. W drugiej walizce mam gramofon, słuchawki i dziesięć płyt z symfoniami Mahlera. Przy boku mój wierny, stary dyktafon, a na grzbiecie robocze ubranie. To wszystko, oczywiście za wyjątkiem pieniędzy. Pięć tysięcy siedemset dziewięćdziesiąt dwa dolary i trzydzieści cztery centy w gotówce i w czekach podróżnych.

Zabawne. Kiedy w piątek poszedłem do banku i musiałem czekać w kolejce, zacząłem się niecierpliwić, gdy raptem przyszło mi na myśl, że ja już nie mam powodu do niecierpliwości. Spojrzałem na ludzi dookoła z głębokim współczuciem. Oni wciąż podlegali władzy zegara i kalendarza zaś ja, już z tego wyzwolony, mogłem stać spokojnie.

* * *

Właśnie przegapiłem zjazd na autostradę San Diego, ale nie ma się czym przejmować. Właściwie, już od teraz, mogę zdać się na łaskę losu. Wybiorę właściwy pas, ominę centrum, dotrę do autostrady Portowej i dojadę do San Diego inną drogą.

Na tablicy reklamowej zaproszenie do Disneylandu. Może powinienem po raz ostatni odwiedzić Królestwo Cudów? Nie byłem tam od czasu, kiedy w 1969 przyjechała mama i zabraliśmy ją razem z Bobem, Mary i dzieciakami. Ale nie, Disneyland nie nadaje się. Jedyną atrakcją dla mnie byłby tam Nawiedzony Dwór.

Na kolejnej tablicy mignął mi napis: *Już otwarte — „Queen" zaprasza do Long Beach.* To brzmi lepiej. Nigdy nie byłem na tym statku, ale Bob w czasie wojny przepłynął na nim ocean. Może by tak rzucić okiem?

* * *

Z lewej strony widzę wielki obelisk przypominający czarny nagrobek. To Universal Tower. Ileż to razy umawiałem się tam na spotkania. Dziwnie pomyśleć, że już nigdy nie spotkam się z żadnym producentem, że nie napiszę następnego scenariusza, że nigdy już nie będę musiał dzwonić do mojego agenta:

— Gdzie mój czek, na litość boską? Jestem kompletnie spłukany.

Takie myśli działają uspokajająco, a i wybór czasu jest idealny. Porzucam wszystko w chwili, kiedy i tak mało kto naprawdę pracuje.

Jestem obok Hollywood Bowl. Ostatni raz byłem tam w końcu sierpnia, z tą sekretarką ze Screen Gems. Jak jej tam było na imię — Joan, June, Jane? Nie mogę sobie przypomnieć. Pamiętam tylko, że oświadczała się z uwielbieniem dla muzyki poważnej. Zanudziłem ją serdecznie czymś takim nieważnym, bardzo w stylu Bowl. Ta Joanjunejane nigdy nawet nie słyszała Drugiego Koncertu Rachmaninowa.

Można by sobie pomyśleć, że po tylu latach powinienem był wreszcie kogoś spotkać. Czy to zła karma? W każdym razie coś nie w porządku. To nieprawdopodobne, żeby przez całe życie nie napot-

kać kobiety, która przypadłaby mi do serca. Z pewnością coś musi się kryć w mojej przeszłości, jakaś obsesja na temat dziecinnego rowerka czy coś takiego. A kuku, Freudzie! Przyjmij po prostu do wiadomości, że nie trafiła mi się jeszcze kobieta, w której mógłbym się zakochać.

* * *

Straszny tłok w pobliżu autostrady Portowej. Pełno samochodów dookoła, wszędzie mnóstwo ludzi. Oni mnie nie znają i ja ich nie znam. Wszystko tonie w smogu. Mam nadzieję, że w San Diego powietrze będzie czyste. Nigdy tam nie byłem i nie wiem, jak tam jest. Podobnie można by powiedzieć o śmierci.

Mijam Music Center. To kapitalne miejsce. Byłem tam jakiś tydzień temu, jeszcze p.n.Cr., czyli przed nowiną Crosswella. Dawali Drugą Symfonię Mahlera i Mehta prowadził ją cudownie. Kiedy w finale chór odezwał się cichuteńko poczułem, jak ciarki przebiegły mi po plecach.

Ile jeszcze miast mogę zobaczyć? Denver, Salt Lake City, może Kansas City? Muszę zatrzymać się bodaj na dzień w Columbii.

Rozbawiła mnie myśl, że zostanę przestępcą, bo nie zamierzam już więcej płacić za samochód i wie pan co, panie Ford? Mam to gdzieś.

O Jezu!

Ciężarówka przede mną skręciła niespodziewanie i musiałem natychmiast zmienić pas. Serce zaczęło mi walić jak młotem, bo nie miałem czasu sprawdzić, czy ktoś nie jedzie tuż za mną.

Serce wciąż jeszcze mocno mi wali, chociaż odczuwam ulgę, że niebezpieczeństwo minęło.

Jak dalece można zgłupieć?

* * *

Widzę już jej trzy czerwone, czarno zakończone kominy. Czy ona jest tam wbetonowana? Z miejsca zrobiło mi się jej żal. Taki statek przywiązany do miejsca to jak wypchany orzeł. Bryła może i robi wrażenie, ale dni jego chwały przeminęły.

„Królowa" właśnie się odezwała. Ogłuszający ryk wstrząsnął powietrzem. Jaka ona wielka, jak Empire State Building leżący na boku!

* * *

Zapłaciłem za wstęp w czerwonej budce, podjechałem windą, a teraz zbliżam się do niej, człapiąc powoli krytym pomostem. Po prawej stronie widzę port w Long Beach z intensywnie błękitną, falującą wodą, z lewej zaś przypatruje mi się jakiś chłopiec. Co to za śmieszny facet, co gada do czarnego pudełka?

Przede mną jazda następną windą, bardzo wysoko. Jak wysoka może być „Queen"? Myślę, że ma jakieś dwadzieścia pięter.

* * *

Siedzę w Głównym Salonie. Cała stolarka w stylu lat trzydziestych. Dziwne, że kiedyś uważano to za

eleganckie. Przysadziste kolumny, stoły, krzesła. Parkiet do tańca, a na podium wielki fortepian.

* * *

Wychodzę na wyłożony posadzką pasaż. Wokół sklepy. Kandelabry nad głową, wielkie jak koła ciężarówek. Stoły, krzesła i kanapy. I to wszystko kiedyś pływało? Nie do wiary. Ciekawe, jak to wyglądało na „Titaniku". Wyobraziłem sobie wnętrze takie, jak to tutaj, zatopione w lodowatych wodach oceanu. Przerażająca wizja.

Tak naprawdę, najbardziej chciałbym przedostać się na dół, do tej mrocznej części statku, gdzie są kabiny i powłóczyć się pogrążonymi w ciszy korytarzami. Może nawiedzają je duchy?

Oczywiście, nie zrobię tego. Zastosuję się do przepisów.

Stare obyczaje umierają później niż ci, którzy postępowali zgodnie z nimi.

* * *

Na grodzi wisi powiększona fotografia, a na niej Gertruda Lawrence z białym psem. Pies jest podobny do tych, które występowały w „Oliwierze Twiście" Davida Leana. Brzydki, przysadzisty, o spiczastych uszach. Panna Lawrence uśmiecha się. Spacerując po pokładzie „Królowej" nie zdaje sobie sprawy, że tuż za nią czai się śmierć.

* * *

Zdjęcia w gablocie, zatytułowanej „Pamiątki".

David Niven tańczy szkocką gigę. Wygląda na całkiem wesołego, bo nie wie przecież, że wkrótce umrze jego żona. Patrząc na ten utrwalony moment, mam nieprzyjemne odczucie, jak gdybym był bogiem.

Tu Gloria Swanson otulona futrami, a tam znów Leslie Howard. Jak młodo wygląda. Pamiętam, że widziałem go w filmie „Berkeley Square". Cofał się tam w czasie do osiemnastego wieku.

W pewnym sensie ja robię to samo właśnie teraz. Pobyt na tym statku to jakby cofnięcie się w lata trzydzieste, łącznie z muzyką, która wokół pobrzękuje. Taką muzykę na pewno grano na pokładzie „Queen" w owych czasach. Pasuje do tamtej epoki, ma taki wspaniały, skoczny rytm.

Napis na tablicy obwieszcza: *Ochrzczona przez jej Wysokość Królową 26 września 1934 roku.* Pięć miesięcy przed moim narodzeniem.

• • •

Siedzę w Barze Widokowym, nie ma tu jednak dobrze ubranych biznesmenów, a na stole nie stoi żaden kieliszek. Wokół tylko turyści, przede mną zaś czarna kawa w plastikowym kubku i placek z jabłkami upieczony w Anaheim.

Zastanawiam się, czy ją to w ogóle obchodzi? Czy „Królowa" pogodziła się ze swoim upadkiem? A może jest rozgniewana? Ja na jej miejscu byłbym.

Spoglądam w stronę baru. Jak to wtedy mogło wyglądać? *Harry, daj nam dżinu z tonikiem. Kieliszek białego wina. Poproszę J.B. z lodem...* A teraz

paczkowane kanapki, lodowate mleko i kawa, gorąca jak ukrop.

Nad barem malowidło ścienne. Tańczący ludzie trzymają się za ręce, tworząc rozciągnięty owal. Kogo to miało przedstawiać? Wszyscy zamarli w bezruchu, jak i sam statek.

Poczułem coś dziwnego w żołądku. Podobnego wrażenia doznaję, oglądając film o wyścigach samochodowych, kiedy kamera pokazuje obraz z miejsca kierowcy. Chociaż ciało wie, że spoczywa w fotelu, to jednak oczy mówią mi, że poruszam się z wielką prędkością, i ten niemożliwy do pogodzenia kontrast przyprawia mnie o mdłości.

Tym razem wrażenie jest odwrotne, choć równie nieprzyjemne. To ja się poruszam, a wszystko co mnie otacza na pokładzie „Queen", pozostaje w miejscu. Czy to ma sens? Wątpię, ale sam pobyt tutaj przyprawia mnie o dreszcze.

• • •

Kwatery oficerskie. Nie ma tu nikogo poza mną. Znalazłem się pomiędzy dwiema grupami wycieczkowiczów. Czuję nacisk na splot słoneczny, dziwne wrażenie narasta. Pogłębiają je jeszcze dźwięki: ogłoszenia, jakie niegdyś rozbrzmiewały w pomieszczeniach „Królowej": *Panna Molly Brown jest uprzejmie proszona o zgłoszenie się do Biura Informacyjnego.* Czyżby duchy?

Kiedy zaglądam do gabinetu kapitana, odzywa się dzwon. Czy ludzie byli wtedy mniejsi? Na oko te krzesła byłyby za małe dla mnie. Kolejne ogłoszenie:

W biurze rachuby jest do odebrania telegram do pani Angeli Hampton. Co się teraz dzieje z Angelą? Czy odebrała swój telegram? Mam nadzieję, że były to dobre wieści.

Zaproszenia na ścianach. Za szklaną szybą wiszą nieruchomo mundury, na półkach stoją książki. Zasłony, zegary, biurko, a na nim biały telefon, wszystko nieruchome, statyczne.

• • •

Mostek. Kiedyś kabinę nawigacyjną nazywano centrum nerwowym. Wszystko wypucowane aż do blasku i martwe. Koła sterowe już nigdy się nie obrócą, telegraf nie przekaże poleceń do maszynowni, a ekran radaru na zawsze pozostanie ciemny.

• • •

Musiałem darować sobie dalsze zwiedzanie statku. Wciąż czuję się dziwnie. Siedzę teraz na ławce w muzeum. Niesamowicie nowoczesne i zupełnie nie pasuje do tego, co właśnie obejrzałem. Jestem przygnębiony. Po co w ogóle tu wstąpiłem? To był zły pomysł. Potrzebny mi jest las, a nie zakotwiczona kostnica.

• • •

No dobrze, obejrzę to do końca. Taki już jestem. Nigdy nie przerywam w połowie. Nie odkładam nie

przeczytanej książki, choćby była nie wiem jak nudna, nie wychodzę przed końcem spektaklu z kina, teatru ani koncertu. Zjadam wszystko z talerza, jestem uprzejmy dla starszych, nie kopię psów.

Wstawaj, do diabła, rusz się!

Idę przez główną salę muzeum. Mój wzrok przyciąga ogromne powiększenie tytułowej strony „The Long Beach Press-Telegram". Nagłówek brzmi: „KONGRES WYPOWIEDZIAŁ WOJNĘ".

Mój Boże, na tym statku mieściła się cała dywizja. Bob to również przeżył. Jadł z takiego, jak tu, talerza z przegródkami i używał takich samych sztućców. Nosił taki właśnie długi, brązowy płaszcz, brązową wełnianą czapkę, hełm z wyściółką i takie same wojskowe buty. Dźwigał taki sam marynarski worek i spał na takich kojach, jakie tu stoją po trzy, jedna nad drugą. To mogłyby być pamiątki mojego brata z podróży „Królową". Żadnych tam szkockich tańców czy oprowadzania czyichś białych, spiczastouchych psów, tylko przeżyte dziewiętnaście lat i droga przez ocean na spotkanie ze śmiercią.

I znów to uczucie, jakby mój żołądek stał się centrum martwicy.

Dalsze pamiątki. Kamienie domina, kości do gry w skórzanym kubku, ołówek automatyczny. Książki do nabożeństwa różnych wyznań — protestanckie, katolickie, żydowskie, mormońskie — takie poczciwe i swojskie.

Czuję się jak archeolog podczas wykopalisk w świątyni. Znowu fotografie — pani i pan Don Ameche, Harpo Marx, Eddie Cantor, sir Cedric Hardwicke, Robert Montgomery, Bob Hope, Laurei

i Hardy, Churchill — wszyscy zatrzymani w czasie, z uśmiechem na wieki.

Muszę stąd wyjść.

• • •

Siedzę znów w samochodzie z poczuciem pustki. Czy właśnie to odczuwają media, kiedy wejdą do domu, pełnego żywych wspomnień przeszłości? Czułem cały czas, jak to we mnie narasta, jakby coś ciągnęło mnie i skręcało. W tym statku przeszłość żyje, choć wątpię, żeby długo przetrwała przy tych tłumach zwiedzających. Na pewno rozpłynie się w nicość, ale na razie jeszcze jest.

Znowu to samo. Może to tylko jabłecznik?

• • •

Druga dwadzieścia, w drodze do San Diego. Słucham jakiejś dziwacznej, kakofonicznej muzyki. Ani w tym treści, ani linii melodycznej.

O Boże! Od nowa to samo. Blokuje mnie przyczepa campingowa, przeskakuję na sąsiednie pasmo, przyspieszam, wymijam, karkołomnie wyrabiam sobie pozycję. Czyżbyś nie wiedział o co chodzi, panie R.C.?

Muzyka skończyła się, ale nie usłyszałem, co to było. Teraz puszczają „Ragtime na jedenaście instrumentów dętych" Strawińskiego. Po prostu wyłączyłem radio.

Los Angeles zniknęło już za mną, tak jak i Long Beach razem z „Królową", a San Diego to po prostu

baśń. Jedyne, co realne, to ten odcinek szosy, który rozwija się przede mną.

Gdzie zatrzymam się w San Diego, zakładając oczywiście, że ono w ogóle istnieje? A czy to ważne? Coś na pewno znajdę, a potem wpadnę gdzieś na obiad, może do japońskiej restauracji? Wybiorę się do kina lub na spacer albo poczytam tygodniki, coś wypiję, może poderwę dziewczynę albo zajdę do portu i będę rzucał kamykami w łodzie. Nie wiem, zdecyduję się na miejscu. Furda wszystkie schematy!

Uszy do góry, chłopie, może być niezła zabawa. Masz jeszcze przed sobą całe miesiące.

Minąłem rybną knajpę. Może zacznę jadać miecznika i rozpoczynać posiłki szklanicą Bon Vivanta.

• • •

San Juan Capistrano kaputt.

Mam boskie poczucie unicestwiania całych miejscowości samą siłą woli. Chmury przede mną, na tle błękitu nieba, wyglądają jak ośnieżone góry, wyrzeźbione w kształcie gigantycznych zamków.

Nie dzieje się nic szczególnego, włączyłem więc radio. Dają „Les Preludes" Liszta. Jednak dziewiętnastowieczna muzyka bardziej mi odpowiada niż co innego.

● ● ●

Chmury przypominają teraz dym, jak gdyby świat się palił.

Powróciło to dziwne uczucie w żołądku, ale teraz gdy „Queen" pozostała daleko za mną, nie ma to żadnego sensu.

To chyba jednak mimo wszystko wina placka z jabłkami.

• • •

Ruch na szosie coraz większy w miarę zbliżania się do San Diego. Muszę się z tego wydostać.

Zdaje się, że jest tutaj oceanarium, „Sea World" czy coś takiego. Chyba tak. Mógłbym zobaczyć wieloryba, skaczącego przez kółko.

Śródmieście. Utknąłem w korku. Wokół powyrastały, jak grzyby po deszczu, tablice reklamowe. Własne minęła czwarta. Zaczynam się denerwować. Dlaczego tu przyjechałem? Teraz wydaje mi się to wszystko pozbawione jest sensu. Zrobiłem sto dwadzieścia osiem mil i właściwie po co?

Jutro ruszę na wschód. Wstanę wcześnie, odcierpię atak bólu głowy i skieruję się do Denver.

Chryste Panie, zupełnie jakbym wrócił do Los Angeles. Dookoła samochody przeskakują z pasma na pasmo, mrugają czerwone światła, przemykają obok gniewne twarze kierowców.

O, jakiś wiadukt przede mną. Jadę tam. Nieważne, dokąd prowadzi, byleby tylko wyrwać się stąd.

Na drogowskazie widnieje nazwa „Coronado".

Jadę prosto w słońce. Złotoognisty dysk oślepia.

Urwiska w oddali. To Pacyfik.

A cóż to jest tam, nad brzegiem morza? Jakiś wielki, dziwaczny budynek. Zapłacę na rogatkach, żeby rzucić na niego okiem.

• • •

Właśnie skręciłem w lewo, w Aleję A. Ta dzielnica wygląda na starą. Po prawej widzę domek w staroangielskim stylu. Żadnego ruchu. Cicha, zadrzewiona ulica. Może mógłbym się tu zatrzymać na noc? Gdzieś tutaj pewnie jest motel. Widzę stary dom przypominający dziewiętnastowieczny dwór. Ceglane ściany, wykusze, ogromne kominy.

Czy to jest to, tam w przodzie? Z wieżą przykrytą czerwonym gontem? Wprost trudno uwierzyć.

Właśnie wjechałem nie tam, gdzie trzeba i znalazłem się na parkingu z tyłu budynku. Ma już pewnie jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat. To wielki dom, pięciopiętrowy, pomalowany na biało, z dachem pokrytym czerwonym gontem.

Muszę odnaleźć frontowe wejście.

Po drugiej stronie drogi mam motel, jeżeli okaże się... ale nie, to naprawdę jest hotel.

• • •

Jestem w pokoju 527 i spoglądam przez okno na ocean. Słońce już prawie zaszło. Jego ostatni jaskrawopomarańczowy skrawek jeszcze jest widoczny nad horyzontem na lewo od ciemnej linii urwisk. Na perłowoszarej smudze plaży nie ma nikogo. Widzę stąd przybój, słyszę również jego nieustanny, przytłumiony huk. Jest trochę po wpół do piątej. Panuje tu taki spokój, że mógłbym zostać na dłużej, niż jedną noc. Muszę się nieco rozejrzeć.

• • •

W zapadającym zmierzchu wielki dziedziniec z jego krętymi ścieżkami i wypieszczonymi zielonymi trawnikami wydaje się nierealny. Niebo wygląda jak malowany w studio horyzont. Może to Południowy Oddział Disneylandu?

Kiedy nieco wcześniej zajechałem przed bramę, jeden ze służących odprowadził wóz na parking, portier zaś zajął się moimi bagażami. Wydawał się trochę zdziwiony ciężarem drugiej walizki. Po wyłożonej czerwonym dywanem rampie poszedłem za nim do foyer. Ominąłem białą metalową ławkę otaczającą donicę z kwiatami, a potem wszedłem do hallu i wpisałem się do rejestru. Następnie skierowano mnie przez ten właśnie dziedziniec. Towarzyszył mi głośny gwar ptasich głosów, choć samych ptaków nie było widać w gęstym listowiu.

Teraz, wśród drzew i na dziedzińcu, panuje cisza. Spoglądam w dół z balkonu piątego piętra na stoły pod parasolami, na kwietne rabaty, i zdaje mi się, że widzę chimerę.

Patrzę teraz na amerykańską flagę powiewającą wysoko na wieży. Ciekawe, co tam może się mieścić?

• • •

Zbyt jestem głodny, żeby doczekać pory kolacji, to znaczy szóstej w Grillu Księcia Walii, a wpół do siódmej w Sali Książęcej. Jest dopiero piąta. Jeżeli zacznę popijać, po godzinie będę gotów, a wcale sobie tego nie życzę. Chciałbym posmakować uroku tego miejsca.

Usiadłem w niemal pustej Sali Książęcej przy jednym z widokowych okien. Wywiedziałem się, że wciąż jeszcze można otrzymać obiad, choć z pewnymi ograniczeniami. Do sali tej przylega wielka Sala Królewska wykorzystywana, o ile mogłem się zorientować, tylko do oficjalnych bankietów. Za oknem widzę miejsce, gdzie trafiłem za pierwszym razem. Czyżby to było zaledwie czterdzieści minut temu?

Sala jest przepiękna. Częściowo jej ściany wybite są czerwono-złotą materią, wyżej zaś pokrywa je bogato wykończona drewniana boazeria, przechodząca łagodnym łukiem na wysokości trzeciego czy czwartego piętra w sufit. Stoły zaścielone białymi obrusami, a na nich świece za ciemnożółtymi abażurami i wysokie metalowe puchary oczekują gości. Wdzięczny widok.

Kelnerka właśnie przyniosła mi zupę.

Jem teraz tę, wspaniale gęstą, marynarską grochówkę ze skrawkami szynki. Doskonała. Naprawdę byłem głodny, co może w dalszej perspektywie nie ma specjalnego znaczenia, ale w tej chwili pozwala mi rozkoszować się dobrą, gorącą zupą i tą kapitalną salą.

Zastanawiam się, czy wystarczyłoby mi pieniędzy na przedłużenie pobytu tutaj. Przy cenie dwadzieścia pięć dolarów za dobę, szybko bym poczuł dno w kieszeni. Przypuszczam, że gościom, mieszkającym tu dłużej niż miesiąc, udzielają zniżki, ale i tak wpędziłbym się w nędzę przed odejściem.

Od kiedy może istnieć ten hotel? Sprawdzę później w folderze, który zauważyłem w pokoju; w każdym razie to na pewno stary dom. Kiedy szedłem do hallu

korytarzem w suterenie, który prowadzi z Grillu Księcia Walii, minąłem po drodze cudowny staroświecki bar z ladą godną pałacu. Warto będzie tam jutro wpaść na drinka. Widziałem również pasaż z zakładem fryzjerskim i sklepem jubilera, zerknąłem do pomieszczenia wypełnionego automatami do gry, i prześliznąłem się wzrokiem po rozwieszonych na ścianach zdjęciach z epoki. Im również będę musiał przyjrzeć się dokładniej, ale później, kiedy nasycę wreszcie mój wygłodniały żołądek.

Zrobiło się już ciemno i niewiele można dostrzec przez okno, zaledwie widmowe zarysy pobliskich drzew, kilka zaparkowanych samochodów i kolorowe światła San Diego w oddali. W szybie odbija się wielki kandelabr, korona światła unosząca się w mroku nocy. To zupełnie co innego, niż wizyta na wyrzuconej na brzeg i sprofanowanej „Queen Mary". Czuję się tak, jak na „Królowej", gdy wciąż jeszcze dumnie pruła fale.

Nie podoba mi się tylko muzyka. Jest nieodpowiednia. Powinno to być coś bardziej wytwornego, na przykład kwartet smyczkowy grający Lehara.

• • •

Siedzę teraz w wielkim fotelu na antresoli ponad hallem. Na wprost mnie zwisa ogromny żyrandol z całymi rzędami przyćmionych, czerwonawych świateł, u dołu ozdobiony kryształowymi girlandami. Sufit w górze pokrywają ciemne, na oko ciężkie, wypolerowane do połysku drewniane płyty boazerii, układające się w zawiły wzór. Widzę stąd również

potężną kolumnę, główne schody oraz kutą kratę szybu windy. Dostałem się tutaj innymi schodami, na których panowała niemal namacalna cisza.

Ten fotel to również coś jedynego w swoim rodzaju. Oparcie sięgające wysoko ponad moją głowę, zwija się w spiralę ograniczoną z dwóch stron figurkami pulchnych bobasów, zaś boczne poręcze kończą się głowami smoków, których uskrzydlone, łuskowate ciała sięgają aż do siedzenia. Tam, gdzie poręcze łączą się z oparciem, także rozparły się dwie postacie. Jedna z nich to Bachus jako dziecko, drugą jest wyłupiastooki, kosmatonogi bożek Pan, grający na piszczałce.

Kto mógł przede mną siadywać w tym fotelu? Jak wielu ludzi spoglądało stąd przez balustradę w głąb hallu, na wchodzących i wychodzących, stojących i siedzących gości, w latach trzydziestych i dwudziestych, a może nawet i dziewięćdziesiątych?

• • •

A teraz znów zasiadłem w Klubie Wiktoriańskim i ze szklaneczką w dłoni popatruję na okno z mrożonego szkła. To też urocze wnętrze. Loże wybite soczystoczerwonymi obiciami, chyba z pluszu, boazeria na kolumnach i kasetonowym stropie, żyrandol z kryształowymi wisiorami.

• • •

Jest dziewiąta dwadzieścia wieczorem. Wykąpany, z obolałymi ze zmęczenia nogami, leżę na łóżku i przeglądam folder. Ten dom zbudowano w 1887

roku. Wprost nie do wiary! Miałem rację, że wydawał mi się jakoś znajomy, chociaż to niestety, nie było déjà vu. Po prostu, Billy Wilder kręcił tu swoje „Pół żartem, pół serio".

Parę cytatów z folderu:

„Rozplanowanie przypomina zamek", „ostatni z ekstrawagancko zaprojektowanych hoteli nadmorskich", „świadectwo przeszłości", „wieżyczki, wyniosłe kopuły, ręcznie rzeźbione drewniane filary, jednym słowem wiktoriański piernik".

Wsłuchuję się w dźwięk, jakiego nie słyszałem od dzieciństwa — postękiwanie grzejnika.

W korytarzach panuje zdumiewająca cisza, jak gdyby nagromadzony tu czas przepełniał atmosferę.

Ciekaw jestem, czy wypełnia on także ten pokój? Czy pozostało tu coś z dawnych lat? Może ten cętkowany, złotobrązowy dywan? Raczej wątpliwe. Łazienka? Prawdopodobnie wtedy w ogóle jej nie było. Plecione krzesła? Może, ale na pewno nie łóżko, nocny stolik ani lampy. No, i nie telefon, na litość boską! A może te reprodukcje na ścianach? Mało prawdopodobne. Może zasłony albo żaluzje? Nie, nawet szyby w oknach były chyba wymienione. Komoda albo wiszące nad nią lustro? Nie przypuszczam. Kosz na śmieci? Jasne, a co jeszcze? Może telewizor? Tak, tak.

Niewiele tu pozostało z przeszłości, a szkoda.

• • •

Nazywam się Ryszard Collier, mam trzydzieści sześć lat, z zawodu jestem scenarzystą telewizyjnym.

Mierzę metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i ważę osiemdziesiąt pięć kilo. Ludzie często mówili mi, że wyglądam jak Newman, ale może mieli na myśli tego kardynała. Urodziłem się w Brooklynie dwudziestego lutego 1935 roku, trafiłbym do Korei, ale wojna w porę się skończyła, w 1957 roku ukończyłem uniwersytet Missouri w stopniu magistra dziennikarstwa. Potem dostałem pracę w ABC w Nowym Jorku, w pięćdziesiątym ósmym zacząłem pisać scenariusze, a w 1960 przeprowadziłem się do Los Angeles. W 1965 roku mój brat przeniósł do L.A. swoją drukarnię, a ja wkrótce potem wprowadziłem się do domku gościnnego przy jego domu. Opuściłem go dziś rano, ponieważ za jakieś cztery do sześciu miesięcy umrę, i chciałbym o tym napisać książkę w trakcie podróży.

Dużo musiałem się nagadać, aby wydusić z siebie te słowa, no, ale wreszcie zostały wypowiedziane. Mam raka, guz w płacie skroniowym, nieoperacyjny. Zawsze sądziłem, że poranne bóle głowy mam z przepracowania, ale w końcu zgodziłem się odwiedzić doktora Crosswella. Bob bardzo na to nalegał, sam mnie tam zawiózł. On, taki twardy człowiek, który rządzi swoją firmą żelazną ręką, płakał jak dziecko, kiedy doktor wyjawił prawdę. Ja to mam, a on płacze. Kochany facet.

Wszystko to zdarzyło się niecałe dwa tygodnie temu. Dotychczas przypuszczałem, że będę żył długo. Tata wykorkował w wieku sześćdziesięciu dwóch lat tylko dlatego, że za dużo pił, ale mama ma siedemdziesiąt trzy, a jest wciąż zdrowa i aktywna. Wydawało mi się, że mam mnóstwo czasu na żeniaczkę

i założenie rodziny. Nigdy nie niepokoiło mnie nawet, że nie spotkałem dotąd tej Jedynej. A teraz już po wszystkim.

Prześwietlenia, punkcje rdzeniowe, wszystkie badania potwierdziły diagnozę. Collier kaputt.

Mogłem zostać z Bobem i Mary, poddać się naświetlaniom, pożyć jeszcze parę miesięcy, ale przekreśliłem to wszystko. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, jakie wymienili między sobą, spojrzenie pełne niezręcznie skrywanego bólu i zakłopotania, jakie chyba zawsze przekazują sobie ludzie w obecności umierającego. Zrozumiałem, że trzeba to przeciąć. Nie mógłbym znieść tych spojrzeń tak dzień po dniu.

• • •

Ten fragment piszę ręcznie, a nie dyktuję wprost na dyktafon. Nabrałem brzydkiego obyczaju robienia notatek wyłącznie na kasetach, a dla pisarza to bardzo źle, jeśli utraci poczucie przelewania słów na papier.

Zresztą teraz nie mógłbym dyktować, ponieważ słucham Dziesiątej Symfonii Mahlera przez słuchawki. Orkiestra filadelfijska pod batutą Ormandy'ego. Dość trudno dyktować, kiedy nie słychać własnego głosu. Cook dokonał zdumiewającego dzieła, instrumentując te szkice. Brzmi to zupełnie jak Mahler. No, może nie jest tak bujne, ale to niewątpliwie on.

Właśnie teraz, nagle zrozumiałem, dlaczego tak uwielbiam jego muzykę. Po prostu on jest w niej obecny, wypełnia ją tak, jak przeszłość wypełnia ten

hotel. W tej chwili przebywa w mojej głowie. Takie banalne stwierdzenie: „On żyje w swoim dziele", rzadko zresztą słuszne, w przypadku Mahlera jest absolutnie prawdziwe. Jego duch trwa w jego muzyce.

A teraz zaczyna się finał i nie ma rady — natychmiast czuję pieczenie w kącikach oczu, przełykam z trudem ślinę, a pierś przepełnia mi wzruszenie.

Czy kiedykolwiek jeszcze stworzono równie wstrząsające muzyczne pożegnanie z życiem?

Chciałbym umrzeć z głową pełną Mahlera.

• • •

Patrzę na swoją twarz w lustrze. Nie należy do mnie, to twarz Paula Newmana około roku 1960. Przypatrywałem się jej tak długo, że nie czuję się z nią związany. Ludzie czasami tak robią — wpatrują się w swoje odbicie, aż naraz pstryk i z lustra patrzy na nich obca twarz. Niekiedy tak obca, że aż straszna.

Trzyma mnie przy niej tylko tyle, że widzę jak wargi Paula Newmana poruszają się, wypowiadając słowa, które słyszę mówione przez siebie i tylko dlatego odgaduję, że jest to jednak moja twarz, chociaż nie odczuwam z nią niczego wspólnego.

Chłopiec, który był posiadaczem tej twarzy, był piękny. Takie właśnie określenie słyszał ciągle wokół siebie, ale co to mu dało? Dorośli, nawet obcy, uśmiechali się do niego, a czasem nawet gładzili po jasnoblond włosach i wpatrywali się w anielskie rysy, i co mu z tego przyszło? Dziewczyny patrzyły na niego również, z reguły spod oka, ale czasami i wprost.

Mały chłopiec często się rumienił. Często też krwawił, bo łobuzy uwielbiały katować tę twarz. Na nieszczęście chłopak był wytrzymały na cierpienie, dopiero więc zagoniony w kąt i zbity tak, że nawet dla niego było to za wiele, zaczynał się bronić. Biedak nie prosił przecież o tę twarz i nigdy nie starał się zbić na niej kapitału. Odetchnął z ulgą, gdy wreszcie dorósł, wtedy bowiem większość tych drani nie mogła działać już tak otwarcie.

Do diabła, siedzę sobie i gadam o własnej twarzy, ale po co ta zabawa w mówienie o sobie per on? Ludzie! To ja, Ryszard Collier. Bardzo przystojny facet. Mogę mówić o tym, ile zechcę; nikt nie podsłuchuje pod drzwiami. Oto ta twarz, proszę bardzo! Tra-la-la. A cóż takiego dobrego przyniosła ona kiedykolwiek człowiekowi, który się za nią kryje? Czy może go uratować? Czy zdoła zniszczyć podstępny guz? Nie ma nadziei, a więc w sumie ta twarz jest bezużyteczna, nie może bowiem zapewnić swemu właścicielowi ani dnia dłużej na tym świecie niźli to było mu pisane. Cóż, robaki będą miały piękny bal. Jezu, co za paskudztwo powiedziałem!

Jakie to głupie, kretyńskie gadanie.

• • •

Prawie północ.

Leżę w ciemnościach i nasłuchuję przyboju. Brzmi, jak odległa kanonada artylerii.

To najtrudniejsze godziny.

Polubiłem to miejsce, ale z pewnością nie zostanę tu dłużej niż parę dni, bo i po co?

Za kilka dni wstanę rano i wyruszę do Denver, i w inne miejsca na Wschodzie.

I do jednego na Zachodzie...

Nie roztkliwiaj się, Collier.

• • •

Czwarta dwadzieścia siedem. Właśnie wstałem, żeby napić się wody. Jak ja nie znoszę tego posmaku chloru! Chciałbym mieć parę butelek mineralnej, jak w domu.

W jakim domu?

15 listopada 1971

Siódma zero jeden rano. Próbuję wstać. Podniosłem się, ubrałem, obmyłem twarz, umyłem zęby, wziąłem witaminy itd., i po tym wszystkim natychmiast wróciłem do łóżka. Ból głowy taki, że nie mogłem sobie dać z nim rady.

Wstyd mi, bo dzień jest piękny, o ile mogę to dostrzec przez przymrużone powieki. Błękitne niebo i ocean, puste pasmo zalanej słońcem plaży i chłodne, rześkie powietrze.

Nie mogę mówić.

• • •

Ósma pięćdziesiąt sześć. Dziedziniec w porannym słońcu tchnie spokojem. Spoglądam ponad balustra-

dą na bardzo zielone trawniki, nieskazitelnie wypielęgnowane krzewy, pośrodku kwadratowy kwietnik z latarniami w każdym rogu, białe stoliki i krzesełka.

Ponad czerwonymi dachami hotelu widać ocean.

• • •

Dziewiąta zero sześć. Śniadanie w Sali Książęcej. Czarna kawa i okruch tostu. Dwunastu gości poza mną.

Za dużo światła. Cała sala kołysze mi się przed oczami. Kelnerka to znika, to znów pojawia się w polu widzenia, ograniczonym cytrynową mgiełką. Sam nie wiem, po co tu przyszedłem; mogłem przecież zamówić śniadanie do pokoju.

Zapuchnięty, wyżęty jak ścierka, bełkocę coś do mikrofonu.

• • •

Później. Nie wiem, która godzina, ale wszystko mi jedno. Znowu leżę w łóżku, a w pamięci dziura. Chyba usnąłem, a może zemdlałem.

Ojej, te samoloty latają tak nisko. Właśnie mignął mi jeden przez okno. Co on? Będzie lądować na plaży?

Tuż obok musi być lotnisko.

• • •

Dziesiąta trzydzieści siedem. Leżę w łóżku i gapię się w dzisiejsze „San Diego Union". Nie pamiętam,

kiedy kupowałem tę gazetę. Musiałem być nieźle zamroczony. Całe szczęście, że w ogóle trafiłem z powrotem. To pismo wychodzi już od stu czterech lat. Kawał czasu.

Miałem już nie zajmować się sprawami tego świata, a proszę, co teraz robię. Pekin siedzi nam na karku, Mariner 9 zlokalizował gorącą plamę na Marsie, w Sacramento przepadł projekt najnowszej ustawy o ochronie linii brzegowej...

Daj już temu spokój, Collier. Dasz sobie radę bez tych wiadomości. Wystarczy ci, że jutro jest nów Księżyca.

• • •

Spaceruję, wdychając świeże, czyste morskie powietrze o cudownym zapachu. Przechodząc obok wieży odkryłem, że mieści się w niej sala balowa. Po lewej znajduje się basen olimpijski z błękitną, połyskującą wodą. Na jego przeciwległym brzegu stoją kabiny kąpielowe, szeregi poskładanych leżaków, stoły do ping-ponga, wszystko w opuszczeniu.

Wspaniały dzień. Słońce przygrzewa, niebo jest błękitne, a na nim puszyste obłoki.

Mijam korty tenisowe, gdzie cztery kobiety grają w deblu. W oczach pozostaje mi obraz krótkich, białych spódniczek i skóry wygarbowanej słońcem. Za kortem rozciąga się plaża, skąd już tylko trzydzieści metrów do niskiej, przybranej białą pianą fali przyboju.

Spoglądam teraz na potężną bryłę hotelu. Wieża sterczy przy nim jak wielki, ośmioboczny minaret. Na

każdej z jej ścian znajdują się dwa rzędy małych okienek we wnękach, na szczycie zaś coś, co przypomina wieżyczkę obserwacyjną. Ciekawe, czy gościom wolno tam wchodzić.

• • •

Zawracam. Dalej stoją jakieś wysokie, nowoczesne domy, prawdopodobnie mieszkalne. Dziwnie nie pasują do tego hotelu.

Patrzę znów na starą, ceglaną wieżę za drogą. W dawnej hotelowej przystani obecnie jest restauracja. Obok niej biegnie nieczynna bocznica kolejowa. Przypuszczam, że dawniej gości podwożono pociągiem aż tu, nad sam brzeg morza.

• • •

Siedzę w dawnej łaźni, która obecnie nazywa się kasynem. Panuje tu spokój, bo bar jest nieczynny. Pięknie zaprojektowany i wykończony kontuar, długi na dobre piętnaście metrów. W jego załomie znajduje się coś jakby kapliczka, kryjąca we wnętrzu figurkę, chyba Maura z lampą w ręku.

Ileż to butów zdarto o ten mosiężny podnóżek.

Dopiero co obejrzałem kolekcję zdjęć gwiazd filmowych, które tu mieszkały: June Haver, Robert Stack, Kirk Douglas, Eva Marie Saint, Ronald Reagan, Donna Reed i jeszcze dalej w przeszłość, aż po ślicznotki z otoczenia Poli Negri, do Mary Pickford i Marie Callahan z Ziegfeld Follies. Cały ten hotel tkwi w przeszłości.

• • •

Muszę odnotować dokładny czas — jedenasta dwadzieścia sześć.

Wracałem właśnie przez dziedziniec, kierując się do swojego pokoju, kiedy spostrzegłem informację, że w suterenie znajduje się Muzeum Hotelowe.

Bardzo ciekawe. Zdjęcia podobne do tych w korytarzu, urządzenie typowego pokoju z lat dziewięćdziesiątych albo przełomu wieku, a w gablotach zabytkowe przedmioty — talerz, menu, kółko do serwetek, żelazko, telefon, rejestr gości.

W jednej z gablot leżał program sztuki wystawianej w hotelowym teatrze (nie wiem, gdzie on mógł się mieścić) 20 listopada 1896 roku. Był to „Mały minister" J.M. Barriego, a grała w nim aktorka o nazwisku Eliza McKenna. Obok programu znajdowała się jej fotografia. To najcudowniejsza, najbardziej urocza twarz, jaką widziałem w życiu.

Zakochałem się w niej.

To dla mnie typowe. Trzydzieści sześć lat, romans tu i tam, przypadkowe związki, które naśladują miłość, nigdy jednak nic, naprawdę nic trwałego, i naraz, w obliczu ostateczności, oddaję nareszcie serce kobiecie, która nie żyje przynajmniej od dwudziestu lat.

Ale się wygłupiłeś, Collier!

• • •

Ta twarz mnie prześladuje.

Wróciłem, aby jeszcze na nią popatrzeć. Stałem

przed gablotą tak długo, aż jakiś człowiek, który co pewien czas pojawia się i znika w pobliskim służbowym przejściu, zaczął mi się przyglądać. Myślał pewnie, że wrosłem w ziemię.

Eliza McKenna. Jakie urocze imię, co za prześliczna twarz.

Pragnąłbym móc zasiąść w teatrze (ze zdjęć wywnioskowałem, że znajdował się on w Sali Balowej) i przypatrywać się jej grze. Musiała być doskonała.

A właściwie, skąd ja to wiem? Może była do niczego? Nie, nie uwierzę w to!

Zdaje mi się, że już kiedyś słyszałem jej nazwisko. Czy nie grała przypadkiem w „Piotrusiu Panie"? Jeżeli ona jest tą, o której myślę, to była wspaniałą aktorką.

Z pewnością była piękna.

Nie, to coś więcej niż piękno. To ten wyraz jej twarzy, pełnej łagodności, prostoty i słodyczy, zawojował mnie i nie daje mi spokoju. Jakżeż bym chciał ją spotkać!

• • •

Leżę w pokoju i gapię się w sufit, jak chory z miłości chłopak. Spotkałem moją wyśnioną kobietę.

To właściwe określenie, bo i gdzież by ona mogła jeszcze istnieć, poza moimi snami?

A właściwie, dlaczego by nie? Mój ideał ze snów zawsze był dla mnie nieosiągalny, co za różnica więc, że dzieli nas wszystkiego trzy czwarte wieku?

• • •

Nie mogę robić nic poza rozmyślaniem o tej twarzy. Myślę o Elizie McKenna i staram się wyobrazić sobie, jaka ona mogła być.

Głowę powinienem mieć teraz pełną obrazów Denver i innych szczegółów projektowanej odysei, zamiast tego jednak wyleguję się jak jakiś fajtłapa, myśląc tylko o jej twarzy. Byłem na dole jeszcze trzy razy. To oczywista próba ucieczki przed rzeczywistością. Mój umysł nie jest w stanie zaakceptować teraźniejszości i dlatego zwraca się ku przeszłości, ale... mój Boże, w tej chwili czuję się jak ofiara jakiegoś sadystycznego żartu. Nie mam najmniejszej ochoty rozczulać się nad sobą, ale jak to możliwe, Chryste Panie? Rzucić monetę, przejechać ponad sto mil do miasta, w którym jeszcze nigdy nie byłem, zjechać z autostrady na skutek kaprysu, odnaleźć za wiaduktem hotel, o którego istnieniu nie miałem pojęcia, i tam ujrzeć fotografię kobiety nie żyjącej już od wielu lat, a mimo tego zakochać się po raz pierwszy w życiu?

Jak to Mary zwykła mawiać? Za dużo, jak na jedno serce?

To oddaje dokładnie moje odczucia.

• • •

Przeszedłem się po plaży, wypiłem drinka w Salonie Wiktoriańskim, a potem znowu wpatrywałem się w jej zdjęcie. W końcu ponownie poszedłem na plażę, usiadłem na piasku i długo przyglądałem się falom.

Nic z tego. Nie mogę pozbyć się tego uczucia. Ostatki nadwątlonego rozsądku mówią mi, mówią mi

to wyraźnie, że po prostu szukałem jakiegokolwiek oparcia, choćby w czymś nierealnym, i odnalazłem je właśnie w Elizie McKenna, ale to mi nic nie pomoże.

To co we mnie narasta, przeradza się już w obsesję. Kiedy ostatni raz byłem w Muzeum, musiałem całą siłą woli powstrzymać się, aby nie stłuc szkła w gablocie, nie porwać jej zdjęcia i nie uciec z nim.

Ha, mam pewien pomysł! Mogę coś z tym zrobić. To na pewno nie powstrzyma całego procesu ani nawet, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nie uchroni mnie przed dalszym pogroszeniem, ale będzie to przynajmniej jakiś konkret zamiast bezmyślnego kręcenia się w kółko.

Pojadę do jakiejś księgarni w pobliżu albo jeszcze lepiej w samym San Diego i poszukam książek o niej. Musi jakaś być, przynajmniej jedna. Ostatecznie, w programie piszą o niej jako o „słynnej amerykańskiej aktorce".

Zrobię tak, odnajdę wszystko, co tylko można o mojej utraconej ukochanej. Utraconej? No dobrze, dobrze. O ukochanej, która nawet nie wiedziała, że nią jest, ponieważ stała się nią dopiero po śmierci. Ciekawe, gdzie została pochowana?

Zadrżałem. Wizja jej w grobie przejęła mnie dreszczem. Ta twarz martwa? Nie, to niemożliwe...

Przypominam sobie, że kiedy byłem jeszcze w szkole, moja gospodyni, która była wyznawczynią scjentyzmu i sama miała osiemdziesiąt siedem lat, opiekowała się dziewięćdziesięcioszścioletnią staruszką, u której kiedyś pracowała. Ta stara kobieta, pani Jenny, była kompletnie przykuta do łóżka. Sparaliżowana, głucha i ślepa, moczyła pościel, i była już

bardziej rośliną niż ludzką istotą. Teraz wstydzę się tego, ale wtedy wraz z moim kolegą z pokoju dosłownie pękaliśmy ze śmiechu, kiedy słyszeliśmy, jak woła słabym, drżącym głosem: „Hej, hej, pani Ado, chcę wstać". To były jedyne słowa, jakie w dzień i w nocy wydobywały się z ust tej kobiety, która najprawdopodobniej nie byłaby w stanie zwlec się z łóżka.

Pewnego dnia, kiedy wszedłem do saloniku pani Ady, żeby skorzystać z jej telefonu, zauważyłem zdjęcie uroczej młodej kobiety w sukni z wysokim kołnierzykiem. Ta kobieta o ciemnych, długich i lśniących włosach to była pani Jenny w młodości. Ogarnęło mnie wtedy poczucie przedziwnej dezorientacji, z jednej strony bowiem dziewczyna z fotografii była dla mnie pociągająca, zarazem jednak w tej samej chwili słyszałem dobiegający z pobliskiej sypialni starczy głos tejże pani Jenny, która pomimo swej głuchoty, ślepoty i ogólnej niemocy wciąż pragnęła wstać z łóżka. Nie potrafiłem wówczas, w wieku dziewiętnastu lat, zapanować nad chwilowym wrażeniem rozdwojenia tak, jak nie potrafię dać sobie z nim rady i dzisiaj.

• • •

Jeden z pracowników hotelu przyprowadził mój samochód z parkingu i zatrzymał go przed bramą. Rozstałem się z wozem wczoraj po południu, a już wydał mi się obcy: ot, jakiś przedmiot, a nie moja własność. Jeszcze dziwniej mi się go prowadziło, zupełnie jakbym przez tę noc całkiem wyszedł z wprawy.

Zadzwoniłem do paru księgarni w Coronado, ale nie mieli niczego na ten temat, polecono mi jednak Wahrenbrocka w San Diego. W recepcji wytłumaczono mi, jak się tam dostać. Po przejechaniu wiaduktu powinienem udać się autostradą na północ, zjechać z niej przy Szóstej Alei i skierować się w stronę Broadwayu.

• • •

Jestem na wiadukcie. Przed sobą widzę miasto, a w oddali góry. Mam bardzo dziwne wrażenie, że im bardziej oddalam się od hotelu, tym dalej jestem od Elizy McKenna. Ona cała należy do przeszłości, jak i ten hotel, swego rodzaju rezerwat, gdzie pod ochroną jest dzień wczorajszy.

• • •

Na autostradzie nie ma dużego ruchu. Przede mną drogowskaz z napisem: Los Angeles. Chcą mnie zmusić, żebym uwierzył, że ono wciąż istnieje. A oto i zjazd na Szóstą Aleję.

• • •

Później. Jestem w drodze powrotnej, tak zniecierpliwiony, że chciałbym wyskoczyć ze skóry. O Chryste, ależ się stałem nerwowy! San Diego dosłownie mnie wykończyło. Te tłumy, to tempo, ten hałas i to nieznośne uczucie teraźniejszości. Czułem się oszołomiony i zupełnie nie na miejscu.

Dzięki Bogu, księgarnię odnalazłem bez trudu. Dzięki boskiej opatrzności również była to istna oaza spokoju na tej pustyni „Teraz". W innych okolicznościach mógłbym tam siedzieć godzinami, przekopując się przez tysiące książek, wypełniających jej dwa piętra i suterenę, teraz jednak miałem przed sobą określony cel, a poza tym odczuwałem nieodpartą potrzebę powrotu do hotelu, kupiłem więc tylko to, co mi się udało odnaleźć. Obawiam się, że to niezbyt wiele. Sprzedawca powiedział mi, że o ile mu wiadomo, nie istnieje osobna książka o Elizie McKenna. Należy zatem przypuszczać, że nie była aż tak ważną osobistością, w każdym razie dla publiczności ani dla historii, bo dla mnie jest najważniejsza ze wszystkiego na świecie.

W oddali widzę już hotel i czuję gwałtowny przypływ tęsknoty. Chciałbym umieć oddać uczucie powrotu do domu, jakie mnie przepełnia.

Wracam, Elizo!

• • •

Znowu w moim pokoju. Właśnie minęła trzecia. Wchodząc do hotelu doświadczyłem niewiarygodnie silnego odczucia. Spłynęło to na mnie falą, a nie narastało powoli, tak jak wczoraj. W jednej chwili poczułem się zanurzony w kojącej przeszłości — nie umiem tego inaczej opisać.

Czytałem kiedyś artykuł o projekcji astralnej, czyli podróżach tak zwanego niematerialnego ciała, które podobno wszyscy posiadamy, dokonywanych w czasie snu. Moje przeżycie wydaje się do tego podobne.

Było to tak, jak gdybym wyjeżdżając do San Diego pozostawił część siebie na miejscu, uwięzioną w atmosferze hotelu, ale wciąż przywiązaną do mnie długą, rozciągliwą nicią. W czasie pobytu w mieście nić ta była napięta niemal do ostatecznych granic, czyniąc mnie wrażliwym na oddziaływanie teraźniejszości. W miarę powrotu jednak jej napięcie malało i nić była w stanie przekazywać mi coraz więcej z tej kojącej atmosfery. Kiedy wreszcie pierwszy dostrzegłem z daleka, wznoszącą się ponad drzewami wieżę hotelu, chciało mi się niemal krzyczeć z radości. Do diabła, prawdę mówiąc, niemal się rozpłakałem...

W końcu wróciłem i odzyskałem spokój ducha. Zamknięty w tym bezczasowym zamku z piasku przyrzekam sobie, że już nigdy więcej nie pojadę do San Diego.

• • •

Ponownie piszę, słucham bowiem Piątej Symfonii Mahlera przez słuchawki. Nowojorska orkiestra filharmoniczna pod dyrekcją Bernsteina — uwielbiam to.

Zajmijmy się jednak książkami.

Pierwsza z nich, napisana przez Johna Frasera, nazywa się „Luminarze amerykańskiego teatru". Otworzyłem ją na dwustronicowym fragmencie, mówiącym o niej.

U góry po lewej stronie widnieje rząd fotografii, ukazujących ją od dzieciństwa aż do późnej starości. To przykre dla mnie patrzeć, jak ta urocza twarz — od lewej do prawej — starzeje się.

W niższym rzędzie są trzy zdjęcia większego formatu. Jedno z nich z wczesnej młodości, drugie pokazuje ją jako staruszkę, trzecie zaś jest niezwykle podobne do tego, które wisi w hotelowym muzeum — ta sama szczera, śliczna twarz i długie, opadające na ramiona włosy. Tak własne wyglądała, kiedy grała w „Małym ministrze".

Na jednym ze zdjęć w trzecim rzędzie widać ją w uroczym kostiumie, z rękami złożonymi na podołku — to ze sztuki „Quality Street". Tuż obok, jej fotografia w roli Piotrusia Pana (a więc rzeczywiście grała w tej sztuce), przyodzianej w coś, co przypomina wojskowy ubiór maskujący uzupełniony kapelusikiem z piórkiem; na dodatek gra na piszczałce, zupełnie jak ten bożek Pan z rzeźbionego fotela na antresoli.

Na przeciwnej stronie widnieje całostronicowe zdjęcie jej twarzy z profilu. Nie podoba mi się, tak samo zresztą jak, prawdę mówiąc, żadna z pozostałych fotografii. Brak im wszystkim tej cechy, jaką obdarzone jest pierwsze widziane przeze mnie zdjęcie, daru wywoływania dziwnego odzewu. Gdyby było ono podobne do tych tutaj, minąłbym je bez najmniejszego wrażenia.

Mógłbym być już w drodze do Denver.

Daj spokój! Czytaj.

Krótka notka zawiera informacje o tym, że była jedną z najbardziej wielbionych aktorek na amerykańskich scenach i przez długie lata jej nazwisko zapewniało teatrom największe wpływy, ciekawe więc, dlaczego nie poświęcono jej żadnej książki? Urodziła się 11 listopada 1867 roku w Salt Lake City, a w wieku czternastu lat porzuciła szkołę, by stać się

zawodową aktorką. W 1888 roku przyjechała ze swą matką do Nowego Jorku, gdzie zadebiutowała w sztuce „Płatnik". Zanim stała się prawdziwą gwiazdą, występowała z E.H. Southernem i przez pięć lat była pierwszą damą u Johna Drew. Niezwykle skryta, unikała życia towarzyskiego. Chociaż była wątłego zdrowia, mówiono o niej, że w całej karierze nigdy nie opuściła ani jednego przedstawienia. Nie wyszła za mąż aż do śmierci w 1953 roku.

Ciekawe, dlaczego?

• • •

Druga książka. „Historia amerykańskiej sceny w fotografii" Martina Ellswortha. Dalsze jej zdjęcia, choć nie zgrupowane razem, lecz rozproszone po całej książce, ukazują ją w porządku chronologicznym od pierwszej roli we „Włóczędze" w roku 1878 aż do ostatniego występu w „Kupcu weneckim" w 1931. Długa kariera.

O, tu jest jej fotografia w roli Julii u boku Williama Favershama. Jestem pewien, że była świetna.

• • •

I znowu „Mały minister". Ponieważ premiera odbyła się w Nowym Jorku we wrześniu 1897 roku, to przedstawienie tutaj było czymś w rodzaju próby.

Boże mój, co za burza włosów! Wydają się jasne, nie blond wprawdzie, ale i nie kasztan. Odziana w powłóczysty strój, patrzy prosto w obiektyw. Prosto na mnie.

Ach, te oczy.

• • •

Trzecia książka to „Broadway" Paula 0'Neila.

Przedstawia ona punkt widzenia jej menadżera, Williama Fawcetta Robinsona, dla którego Eliza była ideałem tego, czym według niego (i tej epoki) powinna być aktorka. Na długie lata przed narodzinami legendy gwiazd filmu żyła w otoczeniu mistycznej aury. Nie pokazując się publicznie poza sceną i nie dając prasie powodów do plotek, wydawała się nie mieć prywatnego życia, będąc kwintesencją odosobnienia.

0'Neil twierdzi, że Robinson to pochwalał. Z początku co prawda była między nimi pewna różnica zdań, ale poczynając od 1897 roku Eliza poświęciła się całkowicie pracy, nieustannie doskonaląc każdy szczegół swej sztuki.

Zdaniem autora, jej gra była pełna magicznego uroku i nawet jeszcze w dojrzałym wieku mogła odtwarzać role dziewcząt lub małych chłopców. Krytycy często określali ją jako „eteryczną, zwiewną i świetlaną" choć, jak dodaje 0'Neil, „fotografia nie zawsze była w stanie oddać te przymioty".

Święte słowa.

„Jednakże pod tym pozorem naiwności kryła się ciężka, zdyscyplinowana praca, szczególnie po 1897 roku, kiedy to całe swe serce oddała doskonaleniu się w zawodzie".

0'Neil zauważa wszakże, iż jej talent sceniczny nie był darem wrodzonym, w początkach kariery bowiem jej gra nosiła wiele cech niedoskonałości. Kiedy Robinson został jej menadżerem, sporo z tych błędów

zdołała naprawić i odniosła znaczące sukcesy. Publiczność już wtedy ją uwielbiała, chociaż krytycy pisali, iż jest „rzeczywiście urocza, lecz brak jej głębi".

A potem przyszedł rok 1897, od kiedy to krytyka na równi z publicznością zaczęła ją, jak to pisze 0'Neil, „nosić na rękach".

Barrie zaadaptował dla niej swoją powieść „Mały minister", a później z myślą o niej napisał też „Quality Street", „Piotrusia Pana", „O czym wie każda kobieta" oraz „Całus dla Kopciuszka"... Największy triumf odniosła w „Piotrusiu Panie" (choć jej ulubioną sztuką był „Mały minister"), po którym, jak napisał jeden z krytyków, „nastąpił wybuch tak żywiołowego entuzjazmu, jakiego jeszcze nie widziałem w teatrze. To była wręcz histeria. Jej wielbiciele dosłownie zasypali scenę kwiatami". 0'Neil dodaje, że w odpowiedzi wygłosiła te same słowa, jakie zwykła mówić jakby bez tchu, po ponownym podniesieniu kurtyny: „Dziękuję, dziękuję bardzo wam wszystkim. Dobranoc".

Pomimo wielkich sukcesów, jej życie prywatne pozostało otoczone tajemnicą, a nieliczni bliscy przyjaciele rekrutowali się spoza kręgów aktorskich. Jedna z jej koleżanek ze sceny powiedziała kiedyś: „Przez wiele lat była to urocza i wesoła osoba, ale od 1897 roku stała się klasycznym typem samotnicy".

Ciekaw jestem, dlaczego?

I jeszcze jedna wypowiedź o niej, tym razem aktora, Nata Goodwina: „Eliza McKenna kojarzy mi się z zaciszem domowym. Jest ona dla mnie symbolem prawdziwie cnotliwej kobiecości. U szczytu sławy własnoręcznie utkała zasłonę, za którą skryła się na

swym samotnym piedestale, a jednak, kiedy spojrzałem głębiej w jej sarnie oczy, ogarnęły mnie wątpliwości. Na tej wykwintnej twarzy dostrzegłem drobne zmarszczki i głęboką bruzdę pomiędzy brwiami, jej skóra wydała mi się sucha, ruchy pełne napięcia, a mowa urywana. Zapragnąłem naraz wziąć jej kruchą rękę artystki w dłonie i powiedzieć: Moja droga, obawiam się, że nieświadomie pozbawiasz się największego szczęścia w życiu — miłości".

• • •

Czego właściwie dowiedziałem się o niej dotychczas? Oczywiście poza tym, że jestem w niej zakochany.

Że aż do 1897 roku była towarzyską, zdolną i odnoszącą sukcesy aktorką, która wiodła sprzeczki ze swoim menadżerem.

Że po roku 1897 stała się: po pierwsze samotnicą, po drugie absolutną gwiazdą i wreszcie po trzecie idealnym wcieleniem koncepcji menadżera.

Sztuką przełomową, jeśli można to tak nazwać, był „Mały minister", którego próbną wersję grała w tymże hotelu mniej więcej na rok przed nowojorską premierą.

Co mogło zajść w ciągu tego roku?

• • •

Parę wyjątków z ostatniej książki, drugiego tomu „Opowieści o teatrze amerykańskim" V. A. Bentleya:

„Jej droga do generalnego aplauzu krytyki po 1896

roku była niezwykle, niemal fenomenalnie krótka. Choć wcześniej, pomimo powodzenia u publiczności, nie zdradzała oznak wyjątkowego talentu dramatycznego, po tej dacie każda jej rola bez wyjątku była doskonała".

Tu następuje wzmianka, że najlepszy przykład tej przemiany stanowiła rola Julii. W roku 1893 spotkała się ona z umiarkowaną krytyką, natomiast sześć lat później wywołała powszechny zachwyt.

Parę słów poświęcono również jej menadżerowi: „William Fawcett Robinson, człowiek o zdecydowanie gwałtownym charakterze, nie cieszył się sympatią u większości tych, którzy go poznali. Brak mu było porządnego wykształcenia, a przy każdej okazji zachowywał się agresywnie i zuchwale".

Boże drogi, on utonął na „Lusitanii"...

Ciekaw jestem, czy się w niej kochał? Musiał być zakochany, jestem niemal w stanie zrozumieć jego odczucia. Choć niewykształcony i zapewne nieokrzesany, prawdopodobnie nigdy nie wyznał jej swych uczuć, była bowiem dla niego zbyt wysoko, wszystkie siły poświęcił więc utrzymaniu jej wysokiej pozycji, tak aby stała się nieosiągalna także dla kogokolwiek innego.

Nie ma już więcej książek.

• • •

Siedzę przy oknie i znowu dyktuję. Zbliża się piąta, słońce zniża się ku zachodowi. Mija kolejny dzień.

Czuję w sobie straszny niepokój i zupełnie nie wiem, jak sobie z nim poradzić. Dlaczego dałem się

tak w to wciągnąć? Przecież ona nie żyje, leży w grobie, jej kości rozpadają się w proch...

Nie, to nieprawda!

W sąsiednim pokoju, skąd dobiegały odgłosy rozmowy, zapadła martwa cisza. Mój okrzyk musiał ich zaskoczyć... Charlie, tam za ścianą jest wiariat, zadzwoń do recepcji...

Ale... Boże, mój Boże, nienawidzę samego siebie za to, że w ogóle mogłem to powiedzieć. Ona nie jest martwa, nie ta Eliza McKenna, którą kocham. Ta Eliza żyje.

Lepiej będzie, jak się położę i zamknę oczy. Uspokój się stary, bo wszystko zaczyna wymykać ci się z rąk.

• • •

Leżę w ciemnościach, a moje myśli natrętnie krążą wokół jej zagadki. Czy powinienem zamienić się w detektywa i spróbować ją rozwiązać? Czy potrafiłbym? A może wszystko już stracone, pogrzebane pod zwałami czasu?

Muszę wyjść z pokoju.

• • •

Wędruję po korytarzu na piątym piętrze: wąska kiszka z sufitem zaledwie o parę cali nad moją głową.

Czy ona przemierzała kiedykolwiek ten korytarz? Wątpię. Osoba ojej sławie powinna raczej mieć pokój na pierwszym piętrze z widokiem na ocean, i to duży pokój z salonikiem.

Zatrzymałem się i stałem przez dłuższą chwilę

z zamkniętymi oczami, czując, jak przenika mnie atmosfera hotelu.

Nie mam żadnej wątpliwości, że przeszłość jest tu obecna.

Oczywiście nie sądzę, aby błąkały się tutaj jakieś duchy. Zbyt wielu gości przewinęło się przez hotel, aby jakikolwiek duch mógł zachować indywidalność.

Niemniej, owa obecność przeszłości sprawia wrażenie jednego wielkiego, zbiorowego ducha, odpornego na wszelkie egzorcyzmy.

• • •

Z korytarza wyszedłem na balkon i patrzę w gwiazdy.

Ruch gwiazd dla ludzkiego oka jest niezmiernie powolny. Biorąc to pod uwagę można by właściwie powiedzieć, że w tej chwili, ona i ja, mamy przed oczami praktycznie ten sam widok.

Tyle, że ona w 1896, a ja w 1971 roku.

• • •

Siedzę teraz w Sali Balowej. Wcześniej zapewne odbywała się tu jakaś impreza, bo na podłodze walają się obrusy, wszędzie pełno krzeseł w nieładzie. Patrzę na scenę, na której występowała Eliza McKenna. Zaledwie piętnaście metrów ode mnie.

Wstaję i podchodzę do sceny. Z sufitu zwisa sześć ogromnych, wygaszonych żyrandoli. Jedyne światło dociera z kinkietów na przeciwległej ścianie pomieszczenia. Moje stopy przesuwają się po posadzce bez najlżejszego szmeru.

Stoję teraz na scenie. Zastanawiam się, czy od tego czasu zmieniono jej kształt i rozmiary. Zapewne tak, jednak niezależnie od tego, występując w „Małym ministrze" musiała w pewnym momencie przechodzić właśnie przez ten punkt. Może zatrzymała się tu na chwilę, może nawet przystanęła na dłużej?

Nauka dowiodła, że nic nie ulega całkowitemu zniszczeniu, a więc jakaś jej cząstka powinna wciąż być tutaj obecna, jakaś skoncentrowana energia, którą emanowała podczas przedstawienia. Tu, teraz, w tym punkcie jej obecność przenika się z moją.

Elizo...

Co mam z tym zrobić? Dlaczego tak mnie do niej ciągnie? Przecież nie jestem już chłopcem, który mógłby wykrzykiwać „kocham cię", wzdychać, jęczeć i przewracać oczami, słowem jawnie rozkoszować się swoim cierpieniem. Ja nie mogę. Świadomość, że moje uczucia prowadzą ku szaleństwu, równoważy ich siłę.

Jakże pragnąłbym znowu stać się chłopcem, nie zadawać sobie pytań, nie analizować każdej chwili. Przez chwilę czułem się tak, gdy pierwszy raz ujrzałem jej zdjęcie i dałem się ponieść uczuciom, teraz jednak rzeczywistość znów daje znać o sobie. W jedną stronę ciągnie mnie rozum, w drugą tęsknota. W takich chwilach przeklinam, że w ogóle mam mózg, który zawsze potrafi stworzyć więcej przeszkód niż pokonać.

• • •

Siedzę na łóżku i piszę. Na uszach mam słuchawki, a w nich tym razem Szósta Symfonia. Jej posępny nastrój wyjątkowo mi odpowiada.

Zanim zdołałem porządnie zgłodnieć, Sala Książęca była już zamknięta, kupiłem więc paczkę frytek, tatara, małą butelkę wina i wodę sodową. Żuję teraz ten posiłek, popijając szprycerem z lodem, dostarczonym mi przez pokojówkę. Nie powiem tylko, żeby to chrupanie w czaszce zbytnio pasowało mi do Mahlera.

Kartkuję książkę jeszcze raz, szukając czegoś więcej, ale wyczytałem już wszystko. Czuję się rozczarowany. Przecież musiano coś jeszcze napisać o niej, tylko gdzie tego szukać?

Słuchaj, Collier, głupiejesz z dnia na dzień! A słyszałeś kiedy o bibliotekach publicznych?

Biedna Elizo, zakochał się w tobie kompletny idiota.

16 listopada 1971

Właśnie wróciłem z głównej biblioteki w San Diego. Okazało się, że jest ona zaledwie o jedną czy dwie przecznice od księgarni, w której byłem wczoraj. Zjawiłem się tam dokładnie w godzinie otwarcia.

O piątej wstałem i przez trzy godziny włóczyłem się po plaży, starając się pozbyć bólu głowy. Kiedy zelżał, było wpół do dziewiątej. Przełknąłem kawę i kanapkę, poprosiłem, aby mi podstawiono samochód, wypytałem, jak tam trafić, i wyruszyłem do czytelni.

Z początku wyglądało na to, że tylko narobię sobie kłopotów, młoda dziewczyna w recepcji powiedziała mi bowiem, że nie mogę wypożyczać książek na kartę

biblioteczną z Los Angeles. Zdawałem sobie sprawę, że nie byłbym w stanie spędzić tutaj całego dnia na czytaniu i już zaczynałem wpadać w złość, kiedy pojawiła się starsza i mądrzejsza osoba, która po dokładnym spisaniu moich dokumentów i numeru klucza hotelowego wydała mi okresową kartę. Z wdzięczności omal jej nie wycałowałem.

Po dwudziestu minutach wychodziłem już z powrotem, dziękując Bogu w duchu za wynalazek katalogów rzeczowych. Szybko jadąc, już wkrótce zbliżałem się do Coronado i wtedy znów ogarnęło mnie to dziwne uczucie, jak gdyby ta wielka, biała, i sztywna rezydencja była moim domem. Gdy tylko oddałem wóz na parking, natychmiast zanurzyłem się w spokój hotelowego wnętrza. Przysiadłem na dziedzińcu i przymknąłem oczy, a wtedy poczułem, jak ów spokój przenika mnie całego. Z tego punktu widzenia dziedziniec jest miejscem idealnym, bo to jakby serce hotelu. Siedząc tam jest się zewsząd otoczonym przeszłością.

Gdy odzyskałem w ten sposób równowagę, wziąłem głęboki oddech, otworzyłem oczy i wstałem, po czym udałem się do windy, wjechałem na piąte piętro i dotarłem do swego pokoju, cały czas ściskając w ręce wypożyczone książki.

● ● ●

Okazuje się, że jednak jest książka, jej tylko poświęcona. To „Intymna biografia Elizy McKenna", napisana przez Gladys Roberts. Zamierzam ją sobie zostawić na koniec, choć bowiem niezwykle

mnie kusi, dobrze wiem, że gdy tylko ją przeczytam, skończy się moje oczekiwanie, a ja chciałbym rozkoszować się tym uczuciem tak długo, jak to możliwe.

Piszę teraz i jednocześnie słucham Czwartej Symfonii. Moim zdaniem jest najłatwiejsza ze wszystkich, najmniej wymagająca od słuchacza, a ja przecież chcę się skoncentrować na jej osobie.

Pierwsza książka to „Życie na scenie" Johna Drew.

Pisze on, że na pierwszy rzut oka Eliza McKenna wydała mu się zbyt delikatna. Rzeczywiście, o ile mogłem zorientować się ze zdjęć, w owych czasach klasycznym typem aktorki była kobieta raczej solidna. Mimo to, autor powtarza jednak znane mi już z poprzednich lektur stwierdzenie, że nigdy nie opuściła ani jednego przedstawienia.

• • •

Z początku matka ukazywała się obok niej na scenie. W „Balu maskowym" na przykład, gdzie jej córka występowała w roli Susan Blondet, ona grała Madame Bergomat, w „Motylach" natomiast była panią Ossian, Eliza zaś odtwarzała rolę Miriam. Autor powiada, że z tą ostatnią sztuką obie panie objechały Kalifonię. Przypuszczam, że zespoły teatralne regularnie odwiedzały Zachodnie Wybrzeże, co tłumaczyłoby, skąd wzięła się próba w tym hotelu.

• • •

Chociaż staram się spisywać dokładnie wszystko, co wyda mi się godne uwagi, mam wciąż poczucie,

że przerzuciłem tę książkę zbyt pospiesznie, aby czym prędzej wziąć się za biografię. Jestem jak wygłodzony człowiek, który nie jest w stanie smakować przystawek, bo nie może już doczekać się dania głównego.

Wysiłkiem woli zmuszam się do wolniejszego czytania.

• • •

Kolejna książka „Sławni aktorzy i aktorki", wydana została w 1903 roku. Rozdział na jej temat zaczyna się słowami: „Eliza McKenna handluje drewnem, świniami i drobiem", stwierdzając w dalszym ciągu, że poza sceną najważniejsza na świecie jest dla niej farma w Ronkomkoma na Long Island. Autor powiada dalej, że gdyby nie została aktorką, poświęciłaby się zapewne uprawie ziemi, gdyż każdą wolną chwilę spędza w zaciszu swej dwustuakrowej posiadłości, dojeżdżając tam prywatnym wagonem kolejowym. „Tam może sobie spacerować do woli, z dala od wścibskich łowców sensacji".

Wciąż ta izolacja.

Coś jeszcze na ten temat: „O jej prywatnym życiu wiadomo mniej, niż w przypadku jakiejkolwiek innej wybitnej postaci teatru. Dla większości ludzi wiedzę o niej ograniczają światła ramy. Aby uchronić swoją prywatność, wszelkie sprawy związane z publikacjami przekazała w ręce menedżera, jeżeli zatem ktoś zwraca się do niej z prośbą o wywiad, ona odsyła go do pana Robinsona, a ten mówi mu prosto w oczy , nie", po części z szacunku dla jej woli, po części zaś

kierując się dobrze przemyślaną strategią, którą stosuje od chwili, kiedy objął to stanowisko jakieś dziesięć lat temu".

Zgadzałoby się to z moją opinią o nim.

• • •

Trafiłem na sprzeczność. Podejrzewam zresztą, że takie rzeczy zawsze wychodzą przy dokładniejszych badaniach. „Nigdy nie opuściła przedstawienia z powodu choroby ani nie odwołała występu poza jednym przypadkiem, kiedy to w 1896 roku pociąg, którym podróżowała wraz z resztą trupy z San Diego do Denver, utknął po drodze w śnieżycy".

I znowu ten rok 1896.

• • •

A tu prześliczne zdjęcie. Ubrana jest na nim w czarny płaszcz, czarne rękawiczki, na szyi ma coś, co wygląda na węzeł czarnego krawata. Długie włosy upięte grzebieniami, a złożone dłonie opiera o kolumienkę. Wygląda na nim tak cudnie, że czuję, jakbym się zakochiwał w niej na nowo, jak wtedy, gdy pierwszy raz ujrzałem jej fotografię w hotelowym muzeum. Byłem tak pogrążony w moich badaniach, że zacząłem tracić zaangażowanie emocjonalne, ale wystarczyło mi spojrzeć na to zdjęcie, by uczucie powróciło. Nie dbam o to czy zwariowałem, czy straciłem kontakt z rzeczywistością, wiem tylko, że kocham Elizę McKenna.

I nie przypuszczam, aby mi to przeszło.

• • •

To ostatni, ale wiele mówiący cytat.

„W 1898 roku pojawił się pewien mężczyzna, który poświęcał wiele uwagi pannie McKenna, towarzysząc codziennie jej i jej matce w drodze do i z teatru. Trwało to przez pewien czas, aż wreszcie przy jakiejś okazji pani McKenna zwróciła się do niego: Muszę panu uczciwie powiedzieć, że po prostu traci pan czas. Eliza nigdy nie wyjdzie za mąż. Jest zbyt oddana swojej sztuce, aby nawet myśleć o takich rzeczach".

Dlaczego miałbym w to nie uwierzyć? A jednak, jakoś nie mogę. To chyba skutek słów Nata Goodwina.

Czyżby tu właśnie kryło się rozwiązanie zagadki Elizy McKenna?

• • •

Znowu poczułem dreszcze. Tak blisko jestem ostatniej książki. Ostatni łyk strawy dla umysłu, a potem głodówka.

• • •

Teraz żadnego Mahlera. Muszę się .całkowicie skoncentrować na jej biografii.

Na frontyspisie jest jej całostronicowe zdjęcie, zrobione w 1909 roku. Wygląda ono, jakby zostało wykonane podczas seansu spirytystycznego, jakby ta młoda kobieta patrzyła w obiektyw spoza naszego świata. Na jej twarzy na pierwszy rzut oka wydaje się

gościć uśmiech, ale po chwili widać, że może to być również wyraz bólu.

Znowu przychodzą mi na myśl spostrzeżenia Nata Goodwina.

• • •

„Nie znałam aktorki — pisze autorka książki w pierwszym wierszu tekstu — o trudniejszej do uchwycenia osobowości niż Eliza McKenna".

Zgadzam się.

Zaraz potem następuje jej pierwszy, bardziej szczegółowy opis: „zgrabna figura, złotobrązowe włosy, głęboko osadzone, szarozielone oczy i delikatne rysy twarzy".

• • •

Cytat z pierwszej pochwalnej recenzji z 1890 roku: „Eliza McKenna była taką uroczą subretką, jaką chciałoby się spotkać na popołudniowej promenadzie. Na scenie rozkwitł piękny, świeży kwiat".

• • •

Nie opuszczaj tyle! Dyktuj każde istotne zdanie. To przecież ostatnia książka, Collier!

O Boże, ludzie w sąsiednim pokoju znowu ucichli.

• • •

Recenzje z różnych jej sztuk. Zostawiam je sobie na później.

• • •

Interesujący — nie, wręcz fascynujący szczegół.

W 1924 roku spaliła swoje notatki, dzienniki, korespondencję, słowem wszystko, cokolwiek napisała. Na swojej farmie w Ronkomkoma kazała wykopać głęboki dół, wrzuciła do niego wszelkie papiery, polała je naftą i podpaliła.

Wszystko, co z tego pozostało, to fragment kartki, którą uniósł prąd gorącego powietrza. Znalazł ją jeden z parobków i zatrzymał, a potem przekazał Gladys Roberts, która przytacza tekst, starając się uzupełnić ubytyki.

(M)ój ukochany, gdzie teraz jesteś?

(S)kąd przybyłeś do (mnie)?

(D)okąd mam iść?

Czy to urywek wiersza, który lubiła? A może sama napisała? Jeśli lubiła, to dlaczego? A jeśli to jej własne dzieło, to co ją do tego skłoniło? W każdym razie dowodzi, że matka skłamała owemu mężczyźnie.

Jej zagadka kryje się coraz głębiej. Każda kolejna zdarta powłoka ujawnia pod sobą następną, gdzie więc ukryte jest jądro?

• • •

Recenzja z jej Julii z 1893 roku:

„Panna McKenna nie powinna być szczególnie dotknięta ani zaskoczona słysząc, iż to doświadczenie dowodzi, że natura nie stworzyła jej do ról tragicznych bohaterek sztuk Szekspira".

Jakżeż to musiało ją zaboleć! Chciałbym móc dać po nosie temu cholernemu recenzentowi.

• • •

Ciekawa uwaga w związku z jej podróżą do Egiptu w 1904 roku odbytą wspólnie z autorką. Kiedy znalazły się o zmierzchu na pustyni w pobliżu piramid, miała powiedzieć: „wydaje mi się, jakby nie było tu nic oprócz czasu".

Musiała wtedy czuć się tak, jak ja w tym hotelu.

• • •

Autorka wymienia jej ulubionych kompozytorów — Grieg, Debussy, Chopin, Brahms, Beethoven...

O Boże, jej najulubieńszym kompozytorem był Mahler.

• • •

Słucham teraz Dziewiątej Symfonii Mahlera w wykonaniu nowojorskiej orkiestry filharmonicznej pod batutą Bruno Waltera.

Zgadzam się z tym, co powiedział Alban Berg. Na okładce płyty przytoczone są jego słowa po przeczytaniu rękopisu partytury, w których stwierdza: „to najbardziej niebiańskie ze wszystkich dzieł Mahlera". Walter dorzuca do tego: „symfonia została zainspirowana głębokim doświadczeniem duchowym, przeczuciem odejścia", a o jej początkowych fragmentach powiada, że „unoszą się w atmosferze przemienienia".

Czuję się tak jej bliski.

Ale wracajmy do książki.

• • •

Trafiła mi się nieoczekiwana premia — kilka stron fotografii.

Już od piętnastu minut wpatruję się w jedną z nich. Moim zdaniem, oddaje ona lepiej jej charakter, niż jakiekolwiek inne zdjęcie, które dotychczas widziałem. Portret został zrobiony w styczniu 1897 roku i przedstawia ją siedzącą w wielkim, ciemnym fotelu. Ubrana jest-w białą bluzkę z żabotem i wysokim kołnierzykiem oraz żakiet z dzianiny, włosy ma upięte grzebieniami albo szpilkami, a ręce trzyma splecione na podołku. Patrzy prosto w kamerę.

Wygląda, jakby coś ją prześladowało.

Mój Boże, te oczy, tak pełne zagubienia! A jej wargi — czy kiedykolwiek jeszcze uśmiechną się? Nigdy dotąd nie widziałem twarzy, wyrażającej tak wiele smutku i rozpaczy.

Na fotografii, zrobionej w dwa miesiące po pobycie tu, w tym hotelu.

Nie mogę oderwać oczu od jej twarzy, twarzy kobiety, która przeszła przez jakieś straszliwe cierpienia. Te przeżycia odebrały jej wszelkiego ducha, pozostała tylko pusta maska.

Gdybym tylko mógł znaleźć się przy niej, wziąć ją za rękę i powiedzieć, by nie smuciła się tak bardzo.

Serce mi wali jak młotem.

Kiedy wpatrywałem się w jej twarz, ktoś próbował otworzyć drzwi mojego pokoju, i wtedy niespodzianie przyszła mi do głowy szaleńcza myśl, że to może ona.

Popadam w obłęd.

• • •

Idę dalej, choć nerwy mam teraz niemal w strzępach.

Dalsze zdjęcia ze sztuk, w których występowała: „Dwunasta noc", „Joanna d'Arc", „Legenda o Lenorze", z nadania jej tytułu honorowego magistra sztuki w Union College, z Hollywood w 1908 roku.

• • •

„Czasami wydaje mi się, że jedynym szczęściem w życiu jest niepowodzenie w staraniach, by być jak najlepszym".

To nie jest wypowiedź szczęśliwej kobiety.

• • •

Dowody jej dobroczynności. Kwity kasowe datków przesłanych do San Francisco po trzęsienu ziemi i do Dayton w Ohio po powodzi w 1913, darmowe poranki dla żołnierzy w czasie I wojny światowej, przedstawienia w obozach wojskowych i odwiedziny w szpitalach.

• • •

Kolejna sprzeczność.

„Jedyny wypadek nieobecności na scenie wydarzył się jej zaraz po wystawieniu «Malego ministra» w hotelu Coronado w Kalifornii". Nie utknęła jednak wtedy w śnieżycy. Być może, przydarzyło się to jej

trupie, ale ona nie była wtedy z nimi. Pozostała w hotelu sama, nawet bez matki czy menadżera.

To bardzo dziwne zdarzenie, zupełnie niepodobne do jej całego wcześniejszego postępowania. Z tego, co dość oględnie sugeruje autorka, wydaje się wynikać, że jej zachowanie stanowiło kompletne zaskoczenie dla wszystkich. „Ale więcej o tym, później" — powiada Gladys Roberts, cóż to może znaczyć? Następna tajemnica?

„Próbne przedstawienia tej sztuki — czytam dalej w tym rozdziale — nie były dalej kontynuowane i przez pewien czas wydawało się, że w ogóle z niej zrezygnowano".

Dziesięć miesięcy później odbyła się jej premiera w Nowym Jorku.

Autorka odnotowuje, że przez cały ten czas nikt nie widział Elizy McKenna, która przebywała w odosobnieniu na swej farmie, całe dnie spędzając na spacerach.

Dlaczego?

• • •

Jej ulubionym winem było czerwone bordeaux o pokojowej temperaturze. Sprawię je sobie również i będę popijać, słuchając utworów jej ulubionego kompozytora w miejscu, gdzie kiedyś przebywała.

• • •

Jeszcze jeden tajemniczy szczegół.

„Chociaż już przed nowojorską premierą «Malego

ministra» jej gra była niezwykle sympatyczna, to jednak od tego dnia nabrała wyjątkowego blasku i głębi, czego nikt dotychczas nie był w stanie wytłumaczyć".

Chyba wezmę się za te recenzje.

• • •

Uwagi na temat jej gry przed rokiem 1896: „Rozkosznie delikatna, uroczo wstrzemięźliwa, szczerość i prostota, osobisty urok, pełna wdzięku skromność, trafność wyrazu, mądra i inteligentna, zdecydowanie obiecująca".

A potem:

„Mały minister": W grze panny McKenna pojawiło się ożywienie, ciepło i blask uczuć.

„Orlątko": Góruje nad rolą Sary Bernhardt tak, jak gwiazdy górują nad słońcem.

„Quality Street": Grana z nieskończonym wdziękiem i nieodpartym patosem.

„Piotruś Pan": Jej gra wyrażała siłę życia w najprostszy, a zarazem najpiękniejszy sposób.

„Karzełek": Aktorka oddaje każdy spazm rozpaczy, kompletnego poniżenia i opuszczenia, jaki targa sercem niekochanej i niemożliwej do kochania kobiety. To istny szczyt patosu.

„Romeo i Julia": Jakże odmienne to wrażenie od jej pierwszego występu w tej roli Delikatność uczuć łączy się teraz z tragiczną siłą wyrazu, tworząc wzruszającą całość. Poczucie emocjonalnej straty zostało przekazane z wyjątkową mocą i przekonaniem. To najsympatyczniejsza, najbardziej ludzka i przekonująca Julia, jaką kiedykolwiek widzieliśmy.

„O czym wie każda kobieta": Najwyższy kunszt zaznaczał się w scenach stłumionych męczarni duszy i w filozoficznych wypowiedziach na temat jej cichego cierpienia.

„Legenda o Lenorze": Cudownie wzruszająco odegrana przez pannę McKenna, która jeszcze nigdy dotychczas nie posłużyła się tak delikatnymi, a zarazem bogatymi środkami, by oddać samą istotę czułości i kobiecości.

„Całus dla Kopciuszka": Panna McKenna jest tu tak dzielna i wzruszająca, że można się niemal rozpłakać (napisał to ni mniej, ni więcej tylko sam Alexander Woollcott).

„Joanna d'Arc": To triumf w jej karierze. Jej charakteryzacja jest istnym klejnotem.

• • •

Kiedy dokładnie zaszła owa zmiana?

Nie mogę oprzeć się przekonaniu, że zdarzyło się to podczas jej pobytu w hotelu.

Co jednak wtedy się wydarzyło?

Chciałbym zasięgnąć teraz połączonej porady Sherlocka Holmesa, Dupina i Ellery Queena.

Patrzę znów na jej fotografię.

Co mogło wywołać na niej ten wyraz zrezygnowanej rozpaczy?

• • •

Może odpowiedź kryje się w tym właśnie rozdziale. Jestem już blisko końca książki. Słońce zachodzi,

znika podobnie jak moje nadzieje. Co stanie się ze mną, gdy skończę czytać?

„Bliscy przyjaciele zawsze twierdzili, że scena wypełniała jej życie bez reszty. Podobno nie było w nim miejsca na miłość, a jednak pewnego razu, w jednej jedynej chwili, kiedy nie panowała całkiem nad sobą, napomknęła mi, że był ktoś a kiedy o tym mówiła w jej oczach pojawił się taki smutek, jakiego jeszcze nigdy dotąd nie widziałam. Niestety nigdy nie poznałam żadnych szczegółów tego, co ona ze smutnym uśmiechem nazwała «swoim skandalem w Coronado»".

A więc to wydarzyło się tutaj!

• • •

Ostatni rozdział traktuje o jej śmierci. Czuję się, jakby przygniatał mnie jakiś obezwładniający ciężar.

Cytat: „Zmarła na atak serca w październiku 1953 roku po powrocie z

„... z przyjęcia w Stephens College w Columbii w stanie Missouri, gdzie przez wiele lat wykładała zasady dramatu".

A zatem nasze drogi przecięły się w jeszcze jednym miejscu.

Tyle, że tym razem w tym samym czasie.

Dlaczego czuję się tak dziwnie?

Autorka przytacza jej ostatnie słowa twierdząc, że nikt nigdy nie był w stanie pojąć ich znaczenia.

„A miłość najsłodsza".

Co mi to przypomina?

Brzmi to jak religijna pieśń scjentystów, tyle że słowa są nieco inne: „A życie najsłodsze, serca kochanie, szepce nam cicho na pożegnanie".

O, Boże! Boże!

Ja chyba byłem na tym przyjęciu.

I chyba ją widziałem!

Ciężko mi oddychać. Czuję walenie pulsu w skroniach i nadgarstkach. Cierpnie mi skóra na głowie.

Czy to się naprawdę zdarzyło?

Tak, byłem tam, jestem tego pewien. To było po przedstawieniu w college'u. Poszedłem na przyjęcie na cześć aktorów razem ze swoją dziewczyną.

I pamiętam, jak powiedziała... Nie mogę sobie przypomnieć jej twarzy ani imienia, ale pamiętam jej słowa...

„Masz wielbicielkę, Ryszardzie".

Spojrzałem w głąb sali, a tam... tam na kanapie w otoczeniu jakichś dziewcząt siedziała stara kobieta.

I wpatrywała się we mnie.

Boże drogi, to przecież niemożliwe.

Dlaczego więc ta staruszka tak mi się przypatrywała?

Jak gdyby mnie znała.

Dlaczego?

Czy Eliza McKenna umarła właśnie tej nocy?

Czy ta stara kobieta to była naprawdę ona?

Patrzę znowu na zdjęcie.

Elizo. Boże, Elizo!

Czy to z mojego powodu ten smutek na twojej twarzy?

• • •

W pokoju jest całkiem ciemno.

Nie ruszyłem się z miejsca już od paru godzin.

Po prostu leżę i gapię się w sufit. Wkrótce wywiozą mnie stąd w koszu na śmieci.

Dlaczego to powiedziałem?

To przecież niemożliwe.

To znaczy, myślę trzeźwo i w ogóle, ale żeby... to?

No dobrze, przypatrywała mi się, jakby mnie znała, bo przypominałem jej kogoś i tyle. Mężczyznę, którego poznała tutaj.

I to wszystko.

To dlaczego trafiłem właśnie tu, mając do wyboru tyle innych miejsc w stanie i w ogóle w całym kraju? Bez żadnego planu, na skutek czystego przypadku, rzutu monetą... Na litość Boską!

Dlaczego w listopadzie?

Dlaczego w tym właśnie tygodniu kiedy ona tu była?

Dlaczego zszedłem wtedy do sutereny? Dlaczego natknąłem się na tę właśnie fotografię? Dlaczego tak mnie ona poruszyła? Czemu zakochałem się w niej i zacząłem czytać wszystko, co napisano na jej temat? Tylko przypadek?

Nie mogę w to uwierzyć.

To jest... oczywiście, nie chcę w to uwierzyć.

Czy to byłem ja?

• • •

Głowa mi dosłownie pęka. Myślę w kółko o tym samym. Czuję się jak pijany.

Fakt: przyjechała tu ze swoją trupą.

Fakt: pozostała w hotelu po ich wyjeździe.

Fakt: przez następne dziesięć miesięcy nie grała ani razu.

Fakt: ukryła się na swojej farmie.

Fakt: wyglądała całkiej inaczej niż zazwyczaj.

Fakt: kiedy wróciła do pracy, była już całkiem inną aktorką, a nawet inną osobowością.

Fakt: nigdy nie wyszła za mąż.

Skąd przybyłeś do mnie?

Skąd?

• • •

Druga zero siedem. W żaden sposób nie mogę usnąć, mój umysł nie chce się wyłączyć. Moje myśli krążą uporczywie wokół pewnego pomysłu, który narasta i narasta.

Jeżeli w ogóle byłoby to możliwe, to czyż najprawdopodobniej nie mogłoby się zdarzyć w tym właśnie miejscu? Przecież tutaj część podróży już się dokonała, a ja czułem, że przeszłość jest we mnie.

Ale czy zdołałbym odzyskać ją całkowicie?

Właściwie mogę zapalić światło.

Wpatruję się w jej zdjęcie, które wyciąłem z książki. Bardzo proszę, skażcie mnie za niszczenie własności publicznej, tylko musicie pospieszyć się z rozprawą.

Leżąc tak tutaj... w tym słabo oświetlonym pokoju... w tym hotelu... słuchając odgłosu odległego przyboju... trzymając przed sobą jej fotografię... tak, aby jej nieskończenie smutne oczy patrzyły wprost na mnie...

...nabieram przekonania, że to będzie możliwe.

W jakiś sposób...

17 listopada 1971

Szósta dwadzieścia jeden. Straszny ból głowy. Ledwo mogę otworzyć oczy.

Przesłuchuję raz za razem to, co nagrałem wczorajszej nocy. Słucham w... otworzyć cudzysłów: chłodnym świetle dnia, zamknąć cudzysłów.

Musiałem być chyba niespełna rozumu.

• • •

Jedenasta czterdzieści sześć. Dostarczono mi właśnie do pokoju śniadanie: kawa, sok pomarańczowy, bułka z jagodami, masło i dżem. Siedzę tak sobie z ociężałą głową, jem i popijam, zupełnie jakbym był normalnym człowiekiem, a nie szaleńcem.

Najdziwniejsze w tym wszystkim jest, że teraz, kiedy szczyt bólu już minął, a ja siedzę sobie przy biurku, popatrując na skąpaną w słońcu plażę, gdzie błękitny ocean rozpryskuje się białą pianą o szary piach, teraz, kiedy moja fantazja powinna ustąpić przed trzeźwą logiką światła dziennego, ona uparcie trwa, choć sam nie wiem dlaczego.

Powiedzmy sobie otwarcie, w wyżej wzmiankowanym, chłodnym świetle dnia, wygląda to jak praprzodek wszystkich wariackich idei. Cofnąć się w czasie? Czy można bardziej zidiocieć? A jednak tkwi we mnie głębokie, choć niemożliwe do wyrażenia przekonanie. Zupełnie nie wiem, jak można by ten pomysł wprowadzić w życie, ale że można, jestem tego pewien.

A jakież to mam dowody na poparcie tego pod-

noszącego na duchu przekonania? Raczej mizerne, jedna wszakże rzecz wydaje mi się coraz ważniejsza za każdym razem, gdy o niej na nowo pomyślę, a mianowicie to, że ona patrzyła na mnie tak, jakby mnie znała, i że tej samej nocy zmarła na atak serca.

Nagła refleksja.

Dlaczego nie odezwała się do mnie?

Nie bądź śmieszny. Jak mogła? Będąc dobrze po osiemdziesiątce miałaby rozmawiać z niespełna dwudziestoletnim chłopcem o miłości, którą być może wspólnie przeżyli pięćdziesiąt siedem lat temu? Na jej miejscu zrobiłbym pewnie to samo — zachowałbym milczenie, a potem umarł.

Inna myśl, nawet jeszcze trudniejsza do zaakceptowania.

Jeżeli rzeczywiście to zrobiłem, to może lepiej byłoby się nie cofać? W takim przypadku jej życie płynęłoby dalej nie zakłócone. Być może nie osiągnęłaby tylu sukcesów, ale przynajmniej...

Musiałem przerwać, bo chwycił mnie śmiech.

Jak lekko mi przychodzi tak rozprawiać o zmianie biegu historii.

Kolejna myśl.

Realizacja moich marzeń wydała mi się naraz łatwiejsza, niż dotychczas przypuszczałem.

Przeczytałem przecież te książki, z których wiele wydrukowano o całe dziesięciolecia, a może i o pokolenie wcześniej.

To, co się jej przydarzyło, już się stało.

A zatem nie mam wyboru.

Muszę się cofnąć.

I znowu musiałem się roześmiać. Śmieję się nawet

mówiąc te słowa, choć trzeba przyznać, że nie jest to wesoły śmiech. Raczej taki, który świadczy o szaleństwie.

Skoro już to ustaliliśmy, rozpatrzmy problem bardziej szczegółowo. Otóż niezależnie od tego, co chciałbym czy też byłbym przekonany, że mogę zrobić, mój umysł i ciało, każda jego komórka wie, że teraz jest rok 1971.

W jaki sposób mógłbym przełamać to ograniczenie?

Nie zawracaj mi głowy faktami, Collier, a w każdym razie nie takimi, które mówią mi, że to niemożliwe. Teraz muszę napchać sobie głowę faktami, które będą mnie utwierdzać w przekonaniu, że mogę tego dokonać.

Tylko, gdzie znajdę takie fakty?

• • •

Kolejna krótka wyprawa do San Diego. Tym razem prawie tego nie odczułem. Być może to oddziaływanie hotelu tak mnie opancerzyło.

Ponownie odwiedziłem księgarnię Wahrenbrocka i z miejsca miałem szczęście. J.B. Priestley napisał i skompilował ogromne dzieło pod tytułem „Człowiek i czas". Spodziewam się, że ta książka da mi wiele inspiracji.

Kupiłem również butelkę czerwonego bordeaux oraz ramkę do jej fotografii. To śliczna rzecz, zrobiona jakby ze starego złota, z owalnym wycięciem w passe-partout, które zresztą też pokryte jest delikatnym złocistym wzorem, wijącym się jak bluszcz wokół

jej twarzy. Teraz zdjęcie wygląda jak należy, nie wciśnięte w książkę, jakby była już częścią historii, ale stojące w ramce na nocnym stoliku.

Jest żywa. Moja najdroższa żyje.

Jedyna rzecz, jaka mnie dręczy, to świadomość, że to ja przyczynię się do wyrazu cierpienia na jej twarzy.

Teraz jednak nie chcę o tym myśleć. Jest tyle różnych możliwości. Na razie wezmę prysznic, a potem zasiądę na łóżku i z uszami pełnymi jej ulubionej muzyki, popijając jej ulubione wino, zacznę studiować naturę czasu, którą zamierzam przechytrzyć.

• • •

(Ryszard spędził wiele czasu na przepisywaniu fragmentów z książki Priestleya i ich analizie. W związku z tym, w tej właśnie części rękopisu dokonałem największych skrótów, choć bowiem temat ten mógł być dla niego fascynujący, wpływał on zarazem zdecydowanie spowalniająco na tok opowieści).

• • •

Początkowy rozdział traktuje o przyrządach do mierzenia czasu. Nie wiem, czy dla mnie może to mieć jakąkolwiek wartość, niemniej jednak przestudiowałem ten tekst, robiąc notatki w trakcie czytania tak samo, jak w czasach nauki w college'u.

Takie właśnie powinno być prawidłowe podejście. Rozpoczynam studia nad czasem.

• • •

Rozdział Drugi: Obrazy i metafizyka czasu.

Priestley pisze, że jednym z najulubieńszych symboli czasu, od dawien dawna była płynąca woda. „Czas jak wiecznie płynący strumień unosi ze sobą wszystkie swoje dzieci".

Z intelektualnego punktu widzenia nie jest to obraz zadowalający, albowiem strumienie miewają brzegi, z miejsca więc zaczynamy się zastanawiać, czym jest to, co nie porusza się względem płynącego czasu?

A my sami gdzie się znajdujemy, na brzegu, czy w wodzie?

• • •

Rozdział Trzeci: Czas według nauki.

„Czas nie ma bytu niezależnego poza porządkiem zdarzeń, którym go odmierzamy". Tak miał powiedzieć Einstein.

W owym „tajemniczym królestwie", jak naukę nazywa Priestley, brak miejsca na jakąkolwiek ostateczną definicję czasu i przestrzeni. Gustav Stromberg zakłada istnienie pięciowymiarowego wszechświata, w którym zawierałaby się czterowymiarowa czasoprzestrzeń naszej fizyki, i nazywa go „domeną wieczności". Świat ten znajdowałby się poza czasem i przestrzenią w ich fizycznym rozumieniu. W tej domenie teraźniejszość, przeszłość i przyszłość to słowa bez znaczenia.

Istniałaby tylko jedność egzystencji.

• • •

Rozdział Czwarty: Czas w literaturze i dramacie.

Priestley pisze tak: powiedzmy, że jakiś człowiek

urodził się w 1900 roku, jeżeli zatem rok 1890 wciąż gdzieś istnieje, mógłby on tam się znaleźć, ale tylko jako obserwator, albowiem rok 1890 z dołączoną jego obecnością nie byłby już tym samym rokiem.

Jeżeli więc chciałby dokonać tam czegoś więcej poza obserwacją, jeżeli pragnąłby doświadczyć tego czasu namacalnie, nie pozostaje mu nic innego jak posłużyć się pozaczasową częścią umysłu, aby wejść w osobowość kogoś ówcześnie żyjącego.

Ograniczenie to wzmacnia, jak utrzymuje Priestley, nie tyle sama technika podróży, co jej cel. Człowiek urodzony w roku 1900 i zmarły w 1970 jest więźniem tych siedemdziesięciu lat czasu chronologicznego, a zatem fizycznie nie może uczestniczyć w żadnym innym momencie, czy to będzie rok 1890, czy też 2190.

To mnie zaniepokoiło. Muszę to przemyśleć.

Nie, do mnie to nie ma zastosowania.

Ponieważ ja tam już byłem.

Rok 1896 bez mojej fizycznej obecności nie może być takim, jakim był. A więc muszę się cofnąć.

• • •

Część Druga: Idee czasu.

Czytam już od wielu godzin, robiąc notatki. Rozbolał mnie od tego nadgarstek, oczy mam zmęczone i czuję już pierwsze oznaki nadchodzącego bólu głowy, a pomimo to nie mogę przestać.

Muszę wyuczyć się wszystkiego, co możliwe, aby odkryć drogę powrotu do niej. Kluczem, rzecz jasna,

jest moje pragnienie, musi być jednak jakaś technika, jakaś metoda, której dotychczas nie odnalazłem.

Ale ja ją znajdę, Elizo.

• • •

Priestley pisze, że świat człowieka starożytnego organizowany był nie przez chronologię, lecz przez Wielki Czas, Czas Wiecznego Snu, w którym przeszłość, teraźniejszość i przyszłość były tylko cząstkami Wiecznej Chwili.

Brzmi to jak domeny wieczności Stromberga, a zarazem jak newtonowska teoria czasu absolutnego, który „płynie równomiernie bez żadnego związku z otoczeniem". Nauka wprawdzie ją odrzuciła, ale kto wie, czy on nie miał racji.

Owa idea Wielkiego Czasu, ciągnie dalej Priestley, prześladuje nas na wiele sposobów, pobudzając do myślenia i działania. Człowiek stale marzy o „ucieczce" od kłopotów tego świata, gdzieś w jakąś zaciszną, niezmienną okolicę, gdzie wieczni chłopcy wciąż grają w piłkę.

Być może nasze prawdziwe ja, istota naszego bytu, egzystuje w owej domenie wieczności, chociaż świadomość tego ogranicza nam nasza cielesność.

Ostatecznym wyzwoleniem z tych ograniczeń byłaby śmierć, ale ucieczka przed śmiercią jest również nie do pomyślenia. Jej sekret kryje się w wyplątaniu z więzów, narzucanych przez otoczenie. Nie możemy uczynić tego na płaszczyźnie fizycznej, lecz tylko mentalnie przy pomocy czegoś, co Priestley nazywa „pozaczasową" częścią naszych umysłów.

Mówiąc pokrótce, tym co mnie tutaj trzyma, jest świadomość teraźniejszości.

• • •

Maurice Nicoll twierdzi, że cała historia istnieje także w tej chwili. Według niego nie jesteśmy iskierką życia, zawieszoną w ogromnej, martwej pustce, lecz znajdujemy się w pewnym punkcie „wielkiego procesu życiowego, któremu dane jest czucie i myślenie, choć nie jest przez nas postrzegany".

Trzeba tylko odnaleźć dogodny punkt obserwacyjny, z którego widać położenie w tym procesie, upragnionego celu, aby go osiągnąć.

• • •

Ostatni rozdział, a potem będę zdany na samego siebie.

Priestley mówi o trzech rodzajach czasu, które nazywa odpowiednio Czasem 1, 2 i 3.

Czas 1 to czas, w którym rodzimy się, starzejemy i umieramy. Praktyczny, ekonomiczny czas, czas mózgu i ciała.

Czas 2 wykracza poza to proste rozumienie, obejmuje on bowiem łącznie współistniejące w nim przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Jego biegu nie wyznaczają żadne zegary ani kalendarz. Raz wszedłszy weń znajdujemy się poza czasem chronologicznym, który jawi się nam wtedy jako stabilna jedność, a nie ruchoma siatka zdarzeń.

Czas 3 wreszcie to sfera, w której istnieje „moż-

liwość łączenia i rozłączania tego co potencjalne i rzeczywiste".

Priestley twierdzi, że Czas 2 to czas po śmierci, Czas 3 zaś miałby odpowiadać wieczności.

• • •

O czym teraz jestem przekonany?

Że przeszłość wciąż gdzieś istnieje jako część Czasu 2.

Oraz że, aby ją osiągnąć, muszę w jakiś sposób wyrwać swoją świadomość z Czasu 1.

A może to podświadomość mnie więzi, strzegąc skrycie związku mego życia z określonym czasem?

Jeżeli tak jest, to wiedziałbym, jak mam postąpić. Korzystając z reguł psychocybernetyki mógłbym „przeprogramować" się tak, abym uwierzył, że żyję nie w 1971, lecz w 1896 roku.

Pomoże mi w tym sam hotel, bo w jego ścianach zawarte jest jeszcze wciąż wiele śladów tamtego czasu.

Miejsce jest idealne, a metoda wydaje się całkiem rozsądna.

Uda się! Jestem pewien, że mi się to uda!

● ● ●

Spędziłem tyle godzin nad tą książką. Z pewnością warto było, dziwnie jednak pomyśleć, że na tak długi czas kompletnie zapomniałem o powodzie, dla którego zabrałem się za te studia.

Teraz biorę do ręki fotografię, stojącą na nocnym stoliku i znów wpatruję się w jej twarz.

Moja przepiękna Elizo!

Moja ukochana!

Wkrótce już będę przy tobie, przysięgam!

• • •

Właśnie zadzwoniłem, aby mi przynieśli kolację do pokoju. Zupę sobie daruję, ale za to zjem baraninę z ruszutu, sałatkę, duże ciastko i kawę, a do tego dokończę bordeaux.

Leżę i przeglądam jej biografie, a wszystko, co czytam, wsącza się w moją podświadomość i ustawicznie ją zmienia. Jutro zacznę się koncentrować nad całkowitą zmianą.

Właśnie natrafiłem na coś ciekawego. Na końcu książki jest lista, którą przeoczyłem. To lista przeczytanych przez nią książek.

Wśród nich jest „Eksperyment z czasem" J.W. Dunne'a.

Musiała to czytać po 1896, bo tak wynika z daty wydania.

Zastanawia mnie, dlaczego wzięła się za tę książkę.

• • •

Siódma dziewiętnaście. Dopiero co zjadłem. Jestem syty, zadowolony, spokojny.

Leżę i myślę o Bobie.

Zawsze był dla mnie taki miły, taki dobry.

To nie było ładnie z mojej strony, po prostu zostawić karteczkę i zniknąć. Przecież wiem, że się o mnie martwi, ale dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej?

Dlaczego od razu do niego nie zadzwoniłem, żeby mu dać znać, że nic mi się nie stało? On pewnie szalał, dzwonił na policję, sprawdzał we wszystkich szpitalach.

Lepiej będzie, jak powiem mu, że ze mną wszystko dobrze, znim odjadę naprawdę daleko.

• • •

Mary?

Tak.

Och... nie tak daleko.

Jasne. Ze mną wszystko w porządku. Jest Bob?

Cześć, Bob.

Widzisz, ja... gdy tylko się zorientowałem, że...

To sprawa osobista, Bob. To nie ma nic wpólnego z...

Musiałem, Bob. Myślałem, że wystarczy to, co napisałem.

No, to nie mam już nic do dodania, naprawdę. Wybieram się w podróż.

Gdziekolwiek zechcę. To znaczy...

Dobrze się czuję, Bob. Ja...

Po prostu nie chcę ci powiedzieć. Postaraj się mnie zrozumieć. Mam się dobrze. Chcę tylko zrobić to po swojemu.

Słuchaj, jestem w dobrym stanie. Zadzwoniłem po to, żeby ci powiedzieć, żebyś się nie denerwował.

No i dobrze. Nie ma potrzeby. Czuję się świetnie.

Tak. Nie umiem powiedzieć ci, dlaczego, i tyle.

Nie, Bob, niczego. Jeśli będzie mi czegoś potrzeba, dam ci znać.

Niezbyt daleko. Słuchaj, muszę...

Nie, Bob, nie mogę. Nie chcę....

Ponieważ ja...

Daj mi to zrobić po mojemu, dobra?

Bob, na litość boską!

• • •

Oglądam Carol Burnett.

Jest zabawna.

Harvey Korman też.

Zabawny.

Chcecie wiedzieć, ludziska, czemu ich oglądam? Nie usłyszycie mnie, ale i tak wam powiem. Czemu gapię się na Carol Burnett zamiast pójść spać, żeby przygotować się do moich jutrzejszych zmagań z czasem?

Powiem wam.

Bo mi się odechciało.

Nie wiem kiedy. Prawdopodobnie to się zaczęło podczas rozmowy z Bobem, a pogorszyło, kiedy przesłuchałem jej nagranie, ale dokładny moment umknął mojej uwadze.

Wiem tylko, że mi przeszło.

Wpierw nie mogłem w to uwierzyć. Myślałem, że mi się zdaje. Czekałem, aż pustka znowu zacznie się wypełniać, a kiedy to się nie zdarzyło, chwyciła mnie złość. Potem się przeraziłem.

A potem zrozumiałem.

Skończyło się.

Ja miałbym podróżować w czasie?

Jezu, bardziej pasuję do „Nocnej Galerii" niż do tego hotelu. Idiota ze mnie. Ten hotel to nie żadna wyspa przeszłości, to tylko próchniejąca buda na plaży. A co z Elizą McKenna?

Ot, aktorka, która zmarła osiemnaście lat temu, i to nie w żadnych dramatycznych okolicznościach. Po prostu ze starości.

Nic specjalnego nie przydarzyło się jej również tutaj siedemdziesiąt pięć lat temu. Po prostu zmieniła osobowość i tyle.

Może przespała się z Robinsonem, albo z hotelowym boyem, albo...

Och, stul pysk!

Daj sobie spokój, Collier. Rzuć to, podrzyj, podepcz i skończ z tym.

Tylko dureń ciągnąłby to dalej.

• • •

Jedenasta trzydzieści jeden. Kiedy skończył się show Carol Burnett, poszedłem do trafiki, kupiłem „San Diego Union" i „Los Angeles Times", usiadłem w hallu i przeczytałem obie gazety od deski do deski, zachłannie jak pijak, wlewający w siebie alkohol po przymusowym poście. Nasączyłem organizm trucizną 1971 roku w gniewnym sprzeciwie wobec tego, co dotąd odczuwałem.

Zostawiłem gazety na kanapie w hallu, poszedłem do Baru Wiktoriańskiego i wziąłem sobie krwawą

Mary. Potem podpisałem rachunek i zszedłem na dół, do pasażu w suterenie. W sali gier spróbowałem po kolei wszystkiego — zagrałem w baseball i golfa, pobawiłem się komputerowym ąuizem i bilardem. W pustym pokoju stukot maszyn rozlegał się donośnie, a mnie brała ochota chwycić młot i rozwalić je wszystkie na kawałki.

Wróciłem na górę, mijając po drodze ludzi w wieczorowych strojach. W Sali Balowej odbywała się duża feta w związku z konferencją na temat wypadków samochodowych. Chciało mi się zatrzymać ich i opowiedzieć, jak się czuje dusza po czołowym zderzeniu z rzeczywistością.

Wypiłem następną krwawą Mary w Barze Wiktoriańskim. W loży obok mnie jakieś małżeństwo zawzięcie kłóciło się. Poczułem zazdrość, że są tak pełni życia, gdy ja tu siedzę wyssany z krwi, wypatroszony i poćwiartowany. Wziąłem trzecią krwawą Mary i podpisałem rachunek: pokój 527, Ryszard Collier. Poszedłem na górę, żeby rzucić się z okna, ale jakoś nii nie wyszło i zamiast tego zagapiłem się tępo w wylot zsypu.

Jeszcze nigdy nie czułem się tak pusty, tak pozbawiony wszelkiego poczucia celu. Ludzie w takim stanie zwykle umierają. Wola życia to wszystko. Co ona każe, to ciało zrobi.

Nie mam oparcia pod stopami, jak postać z filmu rysunkowgo, która mija krawędź przepaści, ale przez chwilę, zanim się zorientuje, wciąż jeszcze porusza nogami w powietrzu.

Właśnie się zorientowałem.

A teraz zaczynam spadać.

18 listopada 1971

Dziesiąta dwanaście. Ostatnie wejście do hotelu. Wkrótce ruszam w drogę do Denver. Prawdę mówiąc, nie bardzo chce mi się tu wchodzić, ale to, że odrzuciłem głupie złudzenia nie znaczy, że miałbym porzucić książkę.

Siedzę przy biurku i jem jagodziankę, popijając kawę i sok. To ostatnie śniadanie przed wyjazdem.

Natura, niech ją diabli, stara się odzwierciedlić mój nastrój. Po raz pierwszy od kiedy tu jestem, nie ma słońca. Dzień jest szary, zimny i wietrzny. Ponad brudnozielonym oceanem zwisa wał ciemnych chmur. Dopiero teraz zauważyłem, że na przylądku Loma najprawdopodobniej jest latarnia morska z obrotowym reflektorem, bo jakieś światełko wciąż tam zapala się i gaśnie.

Widzę jakiegoś mężczyznę biegnącego skrajem plaży. Nad wybrzeżem przeleciał właśnie ciemny wojskowy helikopter, jak jakiś ogromny, wodny owad. Parking w dole usiany jest żółtymi, martwymi liśćmi. Wiatr miota nimi tak gwałtownie, że wyglądają jak stada białych myszek, rozbiegających się po asfalcie. Na parking wjeżdża na czerwonym rowerze łysy facet ubrany w zielony dres. W górze ukazała się na chwilę mewa i zniknęła z mojego pola widzenia zdmuchnięta przez wiatr.

Zaraz się spakuję i może jeszcze wyjdę na ostatni spacer. Dłużej już tu nie wytrzymam.

Morze straciło teraz wszelką barwę. Szare kreski suną ku brudnobrunatnej plaży.

• • •

Zimno. Wiatr przewiewa mnie na wylot. Po co w ogóle się tu wybrałem?

• • •

Po raz ostatni wstępuję do Muzeum Hotelowego. Idę po wykładanej czarno-białymi kafelkami podłodze, mijam oprawne w złote ramki fotografie hotelu, takiego jaki był niegdyś. Tutaj, przed frontowym wejściem powóz zaprzężony w czwórkę koni, tam jakiś mężczyzna, wsparty na swym bicyklu.

Oto ekspozycja wyposażenia pokoju, a to ręcznie malowany talerz w gablocie — biały w zielone i złote wzorki z parą fruwających niebieskich aniołków.

To zdjęcie z 1914 roku, a na nim autobus, który odbierał gości z dworca i podwoził ich pod samo wejście do hotelu.

A oto program przedstawienia „Małego ministra", a tu dalej —jej zdjęcie. Patrzę na nie jak przez mgłę.

Dalej żelazko i jeszcze jeden talerz z malowidłem hotelu, a tam telefon, rejestr gości i pierścień do serwetek, i jeszcze menu, i coś jakby prasa drukarska. Mijam to wszystko i idę korytarzem, prowadzącym do wyjścia na dziedziniec. Zostawiam za sobą wszystko do...

Chwileczkę!

• • •

Ludzie patrzyli za mną, kiedy mknąłem przez dziedziniec, ale nie dbałem o to. Dla mnie ważne było

tylko to, co miałem do zrobienia. Nie przytrzymałem nawet drzwi do hallu staruszce, która wchodziła tuż za mną, tylko kopnąłem je na roścież i wpadłem do wnętrza. Chciałem biec dalej, ale zdołałem się opanować. Z walącym sercem przeszedłem przez hall krokiem tak długim, na jaki mogłem się zdobyć i stanąłem przy kontuarze.

— Słucham pana, czym mogę służyć?— spytał stojący za nim mężczyzna.

Starałem się, aby mój głos zabrzmiał niedbale, a przynajmniej w miarę normalnie.

— Ciekaw jestem, czy mógłbym porozmawiać z kierownikiem? — spytałem.

— Przykro mi, ale jest teraz na Florydzie.

Wlepiłem w niego oczy. Czyżby miała to być już klęska?

— Może jednak zechce pan porozmawiać z panem Lyonsem — dodał mężczyzna zza lady. — Kieruje tu wszystkim do jego powrotu.

— Bardzo proszę — przytaknąłem skwapliwie.

Wskazał mi wnękę po lewej. Podziękowałem mu, ruszyłem szybko we wskazanym kierunku, zobaczyłem drzwi i zapukałem, a ponieważ nikt mi nie odpowiedział, wszedłem do środka.

Biuro było puste, ale po prawej stronie znajdował się następny pokój, w którym pracowało kilka osób. Jedna z nich — była to serketarka — zauważyła mnie i podeszła, zapytałem ją więc o pana Lyonsa. Odrzekła, że właśnie wyszedł, ale może wrócić w każdej chwili, być może jednak ona byłaby w czymś pomocna?

— Tak — odpowiedziałem. — Jestem scenarzystą

telewizyjnym i zostałem wyznaczony do przygotowania specjalnego programu o historii hotelu.

Powiedziałem jej, że odwiedziłem już Muzeum Hotelowe, bibliotekę lokalną i główną bibliotekę w San Diego, ale nie zdołałem zebrać dosyć materiałów i znalazłem się w martwym punkcie, szukam więc wsparcia.

— Myślałem, że macie może w archiwach jakieś materiały na temat początków hotelu.

Odpowiedziała mi, że też tak przypuszcza, ale nie wie na pewno, pan Lyons powinien jednak to wiedzieć, ponieważ pracuje w tym hotelu od czternastego roku życia, kiedy to został windziarzem.

Pokiwałem głową, uśmiechnąłem się, podziękowałem jej i wyszedłem z biura. Jak mogłem spokojnie czekać na pana Lyonsa, jeśli potrzeba znalezienia tego, czego poszukiwałem, była we mnie jak straszliwy głód?

Przeszedłem przez hall, przysiadłem na krześle i wpatrzyłem się w drzwi biura, całą siłą woli namawiając pana Lyonsa do powrotu.

— Wracaj, wracaj — mruczałem w kółko pod nosem.

W końcu nie mogłem już tego wytrzymać i podniosłem się, aby ponownie udać się do biura, ale w tym momencie w drzwiach ukazała się sekretarka. Dostrzegłszy mnie, skręciła w moją stronę. Zbliżaliśmy się do siebie powoli, jak we śnie.

Wreszcie stanęła przede mną i powiedziała, że osoba, z którą być może powinienem porozmawiać, to Marcie Buckley, która pracuje w biurze Lawrence'a (Lawrence to chyba właściciel hotelu) i napisała

książeczkę o historii hotelu pod tytułem „Najjaśniejszy klejnot w koronie miasta". Wskazała mi drogę, a ja podziękowałem z uśmiechem (tak, chyba się uśmiechnąłem) i poszedłem przez Salę Spacerową, a potem w górę na małą rampę, aż dotarłem do szklanych drzwi.

W biurze zastałem starszego mężczyznę i dwie kobiety, z których jedna siedziała przy biurku na wprost drzwi.

— Czy mógłbym mówić z panią Marcie Buckley? — spytałem.

Młoda, przystojna kobieta podniosła na mnie oczy.

— To ja — odrzekła.

Znowu przybrałem twarz w uśmiech, powtarzając swe kłamstwa — specjalny program, zastój w badaniach, za mało informacji, może więc pani...?

Okazała się bardziej miła, niż mogłem oczekiwać, milsza niż zasługiwałem. Wskazała mi biurko w głębi pokoju, zawalone książkami i papierami. Była to. zebrana przez nią dokumentacja hotelu. Powiedziała mi, że mogę ją przejrzeć, bylebym zostawił wszystko w zastanym porządku. Dodała też, że są to jej materiały do pełnej historii hotelu, nad którą właśnie pracuje.

Podziękowałem jej i zasiadłem za biurkiem, ale już na pierwszy rzut oka stwierdziłem z odczuciem niemal fizycznego bólu, że tego, czego poszukiwałem, tutaj nie było.

Nie mogłem jednak tak po prostu wstać. Jeżeli to, czego pragnąłem, w ogóle gdziekolwiek istniało, jej pomoc będzie mi niezbędna, a gdybym tak naraz wstał i powiedział, że nic mi po jej tak starannie

zebranych materiałach, poczułaby się prawdopodobnie obrażona i miałaby świętą rację.

Siedziałem więc, cierpiąc katusze i przeglądałem teczki z wycinkami prasowymi donoszącymi o turniejach tenisowych, balach maskowych i konkursach na wypieki, fotografie hotelu w różnych momentach jego istnienia i sterty kopii listów, pisanych przez kolejnych kierowników. „Nasz lekarz hotelowy miał wieloletnią praktykę położniczą w Nowym Yorku... Interes rozkręca się i oczekujemy dobrego sezonu... Z przyjemnością podaję Panu nasze ceny w zimie... Pańska przesyłka z 14-go dotarła do nas, ale na razie nie potrzebujemy wieprzy..."

Udawałem, że notuję te wiadomości, w końcu jednak, gdy, jak mi się zdawało upłynęło już wystarczająco wiele czasu, podniosłem się i podszedłem do biurka Marcie Buckley. Powiedziałem jej, że jestem zadowolony, i że była mi bardzo pomocna, zastanawiam się jednak, czy nie ma tego jeszcze więcej? Może przypadkiem w jakimś magazynie?

Serce podskoczyło mi z radości, gdy powiedziała, że tak, natychmiast jednak opadło, kiedy dodała, że zaprowadzi mnie tam później, teraz bowiem jest bardzo zajęta. Nie ośmieliłem się powiedzieć nic poza „dziękuję". Chciałem wyrwać ją zza biurka i zmusić przemocą, aby zabrała mnie tam już, zaraz, ale to było oczywiście niemożliwe, uśmiechnąłem się więc tylko, pokiwałem głową i zapytałem, kiedy wedle jej mniemania będzie mogła się zwolnić.

Spojrzała na zegarek i odrzekła, że spróbuje wyjść za kwdrans dwunasta. Znów jej podziękowałem, wyszedłem z biura i dopiero wtedy zerknąłem na

zegarek. Właśnie minęła jedenasta. Te czterdzieści minut wydawało mi się dłuższe niż siedemdziesiąt pięć lat.

Wróciłem na swoje krzesło w hallu i siadłem na nim znowu odrętwiały, nie zwracając na nikogo wokoło uwagi. Pamiętam, że zastanawiałem się, czy tak właśnie czują się duchy. Usilnie odsuwałem od siebie pokusę sprawdzania czasu, starając się zapaść w półsen, byleby tylko oderwać się od Czasu 1, wciąż jednak dręczyła mnie powracająca myśl, co by było, gdybym to wszystko robił na próżno? Czułem że nie byłbym w stanie tego przeżyć.

Za piętnaście dwunasta znalazłem się znów przed biurem Lawrence'a, ale ona jeszcze pracowała. Nie mogłem jej ponaglać, zresztą jakie miałem do tego prawo, choć cały aż dygotałem z pragnienia, aby wreszcie ruszyć z miejsca.

Trzy minuty po dwunastej Marcie Buckley wstała i udaliśmy się w drogę. Nie wiem, co do niej mówiłem, nie mogę sobie przypomnieć słów. Wypytywała mnie o ów specjalny program, a ja kłamałem w sposób przeraźliwie widoczny. Modliłem się w duchu, aby nic nie wiedziała o telewizji, bo gdyby się o nią bodaj otarła, zorientowałaby się, że plotę bzdury. Powiedziałem jej, że pracuję dla ABC, ale podałem jej nazwisko producenta, który robi „Ironside'a" dla NBC, mojego agenta przedstawiłem jako reżysera — jednym słowem, nie dość, że łgałem jak najęty, to jeszcze nędznie. Bardzo panią przepraszam, panno Buckley.

W końcu jednak udało mi się samemu przejść do pytań, mogłem więc teraz posłuchać zamiast zmyślać.

Powiedziała mi, że zajęła się historią hotelu z własnej inicjatywy. Przedtem nie było nikogo chętnego do tego, archiwa hotelowe były w strasznym stanie, stara się więc je teraz uporządkować. Pamiętam, że zrobiła na mnie naprawdę dobre wrażenie. Widać było, że kocha ten hotel i pragnie zachować jego dzieje, aby stworzyć zeń zabytek na skalę nie tylko stanową, ale i narodową.

Przez cały czas tej opowieści prowadziła mnie przez podziemia, które wyglądały jak nieskończone katakumby, aż wreszcie dotarliśmy do jakiegoś biura, gdzie wręczono jej klucze.

Czułem się wtedy już tak, jakbym na karku nosił cudzą głowę. Chociaż słyszałem i czułem własne kroki po betonie, zdawało mi się, że to idzie ktoś inny. W owej chwili, jak sądzę, byłem tak bliski szaleństwa, jak jeszcze nigdy dotąd. Nie wiem, czy ona to zauważyła, jeżeli jednak tak, to była zbyt dobrze wychowana, aby dać coś po sobie poznać.

Z początku trafiliśmy w niewłaściwe miejsce i przez pewien czas błądziliśmy po pomieszczeniach, które niegdyś były zbiornikami na wodę. Świadczyły o tym łączące je otwory, przebite w grubych ścianach. Jestem niemal pewien, że powiedziała: „Kiedyś zamierzano gromadzić tu deszczówkę", bo utkwiło mi to w pamięci.

Potem ruszyliśmy dalej, a ona w dalszym ciągu opowiadała mi o hotelu. Zapamiętałem z tego tylko niezbyt jasno jakieś poodrywane sprawy, coś o jakości struktury drewnianej konstrukcji, coś o tym, że każdy z pokoi jest inaczej umeblowany, ale być może mylę się. Przypominam sobie również, że mówiła

o okrągłym pokoju w wieży, w którym mieszka na stałe jakaś starsza pani.

Po długiej wędrówce ciągnącymi się bez końca piwnicznymi korytarzami, w górę po schodach, przez hałaśliwą kuchnię i sale bankietowe na zewnątrz, dookoła hotelu i znowu w dół inną klatką schodową, znaleźliśmy się wreszcie w korytarzu, który prowadził do Grillu Księcia Walii. Tutaj zatrzymała się przed zwykłymi, drewnianymi drzwiami i otworzyła je kluczem.

Weszliśmy do środka. Pokój był bardzo ciepły 1 zawalony stosami krzeseł. Część z nich musieliśmy przesunąć, aby przedostać się do następnego pomieszczenia.

— W tym pokoju będzie naprawdę gorąco — powiedziała i przekręciła klucz w zamku, po czym otworzyła drzwi i zapaliła zakurzoną żarówkę, zwisającą z sufitu. Pokój mierzył jakieś trzy na dwa metry, a po jego niskim suficie, zaledwie o parę cali nad moją głową, biegły grubo izolowane rury. Miała rację mówiąc, że będzie gorąco. Panował tu nieprawdopodobny żar, zupełnie jakbyśmy weszli do pieca.

— Te rury to prawdopodobnie centralne ogrzewanie — powiedziała. — Straszne miejsce na przechowywanie ważnych dokumentów.

Rozejrzałem się po pokoju. Jego betonowe, niegdyś bielone ściany obecnie wyblakły. Gdziekolwiek spojrzeć, stały półki z książkami, wysokie stosy książek zawalały również blat stołu. Były to ogromne księgi, niektóre o wymiarach metr na ćwierć metra i bardzo grube. Wszystko pokrywała warstwa szarego kurzu, takiego jakiego jeszcze nigdy w życiu nie widziałem.

Taki kurz gromadzi się na strychach i w piwnicach, do których nikt nie zaglądał przez całe pokolenia.

— Czy szuka pan czegoś szczególnego? — spytała.

— Niekoniecznie — znowu kłamstwo. — Coś dla kolorytu... informacji.

Stała w sąsiednim pokoju obserwując mnie. Kiedy przesunąłem kciukiem po spłowiałych, oprawnych w czerwoną skórę grzbietach ksiąg, mój palec stał się całkiem szary, a gdy wziąłem jedną z nich do ręki, w powietrze uniósł się obłok kurzu. Rozkaszlałem się i odłożyłem książkę.- Po karku spływał mi już strumyczek potu. Otrzepałem ręce i zdjąłem marynarkę.

Wdać było, że się waha, ale wreszcie odezwała się:

— Chciałabym teraz pójść na lunch. Czy ma pan ochotę zostać tu przez ten czas?

— Jeżeli można — odrzekłem.

— No... — wiedziałem, że niepokoi się o te archiwa. — Niech pan tylko będzie ostrożny.

— Będę — zdobyłem się na uśmiech — i bardzo dziękuję pani za pomoc, panno Buckley. Była pani bardzo uprzejma.

— Nie ma za co — skinęła głową i odeszła.

Zostałem sam i całe napięcie, które dotychczas musiałem przed nią skrywać, naraz wyzwoliło się ze zdwojoną siłą, tak że gdy zacząłem krzątać się po pokoju, głośno dyszałem przez otwarte usta. Za stołem stały poustawiane jedne na drugich pozamykane pudła. Przykucnąłem, aby zdjąć jedną z zakurzonych pokrywek. W środku ujrzałem pliki pożółkłych kwitów i księgi rachunkowe, zamknąłem więc pudło z powrotem, a gdy wstawałem, nagły wysiłek sprawił, że cały pokój pociemniał mi w oczach.

Zatoczyłem się i musiałem przytrzymać stołu, potrząsając głową. Kiedy doszedłem do siebie, wyjąłem chusteczkę i wytarłem twarz z potu.

Szedłem od półki do półki, pocierając palcem grzbiety ciasno ustawionych ksiąg. Wszystko, czego dotknąłem lub potrąciłem, wysyłało w powietrze całe tumany szarego kurzu, bez przerwy więc chrząkałem i pokasływałem. W głowie czułem już zdradzieckie macki bólu. Musiałem działać szybko, bo inaczej wkrótce nie byłbym w stanie tego zrbić. Na grzbiecie jednej z książek odnalazłem datę 1896, wyciągnąłem ją więc spomiędzy dwóch innych tomów, dławiąc się kurzem, który otoczył moją głowę. Była to księga z kopiami listów, które pospiesznie przeglądałem, spodziewając się, że może coś tu znajdę.

Wiele kartek wyblakło do tego stopnia, jakby kalki były nasączane atramentem sympatycznym. Serce mi drgnęło, kiedy ujrzałem list datowany 6 października, który zaczynał się słowami „Droga panno McKenna". Oczy zapiekły mnie od kropli potu, wytarłem je więc pospiesznie. Starłem również pot z brwi i strzepnąłem go na podłogę, aby móc czytać dalej. „Z przyjemnością odpowiadam na Pani list z 30 września. Oczekujemy niecierpliwie Pani przyjazdu i przedstawienia «Małego ministra» w naszym hotelu".

Dalej w liście było napisane, że jest mu (tzn. kierownikowi) bardzo przykro, iż do wystawienia sztuki nie doszło w sezonie letnim, kiedy w hotelu było więcej gości, niemniej jednak „lepiej, żeby odbyło się ono teraz, niż żebyśmy mieli stracić taką okazję".

Potrząsnąłem mocno głową. Czułem, że zaczyna mi się robić niedobrze i znów musiałem obetrzeć twarz i kark coraz wilgotniejszą chusteczką. Pot lał mi się po plecach i po brzuchu, wyszedłem więc na chwilę do sąsiedniego pokoju. Choć i on przecież był ciepły, prawem kontrastu wydawało mi się, że owionęło mnie chłodne powietrze. Wsparty o betonową ścianę z trudem usiłowałem złapać oddech. Jeżeli tego tu nie ma, powtarzałem w myślach, jeżeli tego tu nie ma...

Wróciłem znów do składziku i począłem szybko i niecierpliwie przecierać dłonią grzbiety książek mamrocząc: „no chodź, pokaż się". Powtarzałem to w kółko jak zrozpaczone uparte dziecko, które nie może uwierzyć, że to, czego pragnie, jest nieosiągalne. Dzięki Bogu, że Marcie Buckley nie wróciła tak wcześnie, bo jestem pewien, że czułaby się zmuszona wezwać lekarza. Nie byłem już wtedy w stanie, jak to się delikatnie określa, „w pełni zapanować nad swym umysłem". Przed kompletną rozsypką chroniło mnie tylko jedno, to, czego poszukiwałem.

Musiałem się na tym skoncentrować, zaczynała mnie już bowiem wtedy ogarniać wściekłość na cały ten hotel i na jego byłych zarządców za to, że dopuścili do takiego stanu archiwów. Gdyby zadbali, aby przechowywane były we właściwy sposób, znalazłbym swoją odpowiedź w parę sekund, a tak czas upływał obłąkańczo szybko, gdy wciąż na próżno szukałem strzępka papieru, od którego zależało moje życie. Czułem się jak Jack Lemmon w owej scenie z filmu „Dni wina i róż", kiedy to biegnie w amoku do cieplarni w poszukiwaniu butelki whisky. Zupełnie nie wiem, co mnie powstrzymało od podobnego

napadu. Mogę tylko przypuszczać, że były tym moje poszukiwania. W przeciwnym bowiem razie powinienem zacząć wyć, wreszcie ciskać książkami i papierami na wszystkie strony, płakać i przeklinać, aż wreszcie popadłbym w obłęd.

Nie dbałem teraz już nawet o wycieranie potu, bo i po co zresztą? Chusteczka przemokła doszczętnie, a bielizna lepiła mi się do ciała tak, jakbym w niej pływał. Prawdopodobnie twarz miałem czerwoną jak burak. Straciłem wszelkie poczucie czasu i miejsca. Jak lunatyk nic, tylko szukałem i szukałem, wiedząc, że to nadaremne, tak jednak byłem tknięty szaleństwem, że już nie mogłem przerwać.

Nieomal to przeoczyłem. Wzrok już odmawiał mi posłuszeństwa, gdy tak odkładałem na bok książki, jedna za drugą, odłożyłem więc również i tę właściwą. Dopiero po chwili coś, Bóg jeden raczy wiedzieć co, przebiło się przez mrok, spowijający mój mózg, wstrząsnęło mną i nakazało mi z powrotem odwrócić się po nią. Otworzyłem ją i przewracałem kartki trzęsącą ręką, aż dotarłem do tej, na której wypisane było wielkimi literami: *czwartek, 19 listopada 1896 / Hotel del Coronado / E.S. Babcock, kierownik I Coronado, Kalifornia.*

Przypuszczalnie byłem wówczas tak osłabiony z odwodnienia, że przez długi, niemal nieskończony dla mnie czas nie mogłem pojąć, iż z roku na rok daty wprawdzie przypadają na różne dni tygodnia, ale okresowo to się powtarza. Gapiłem się na tę stronę w otępiałym niedowierzaniu i dopiero po dłuższej chwili wstrząsnąłem się gwałtownie ze złości, gdy wreszcie zrozumiałem, o co chodzi.

Przesunąłem wzrok na kolumny zatytułowane: „Nazwisko, miejsce zamieszkania, pokój, czas", ale litery rozpływały mu się, póki nie przetarłem oczu drżącą ręką. E. C. Penn — czytałem po kolei — Conrad Scherer z małżonką (pamiętam, że wydało mi się to dziwne), K.B. Alexander, C.T. Laminy...

W bezmyślnym osłupieniu patrzyłem na słowo „do", często pojawiające się w rubrykach. Dopiero teraz rozumiem, że oznaczało to „ditto" wstawiane tam, gdzie dziś piszemy znak powtórzenia, dwa przecinki.

Przejrzałem stronę do samego dołu, ale tego tam nie było. To, co wydarło się z mojej piersi, było chyba jękiem bólu. Przez chwilę wpatrywałem się we wzory, jakie zaschły atrament pozostawił na bibule czując, że nozdrza i płuca wypełnia mi kurz i zapach zbutwiałego papieru. Wreszcie ostrożnie odwróciłem stronę na „piątek, 20 listopada 1896"...

...i rozpłakałem się.

Od chwili, kiedy skończyłem dwanaście lat, nigdy dotąd nie płakałem w ten sposób, nie ze smutku, lecz z wielkiego szczęścia. Nagle opadłem z sił i musiałem usiąść po turecku na podłodze z ciężkim hotelowym rejestrem na kolanach. Spływające po policzkach łzy mieszały się ze strumyczkami potu, a jedyny dźwięk, jaki rozlegał się w tym martwym, gorącym jak piec pokoju, to był mój urywany szloch.

Był to trzeci wpis od góry.

R.C. Collier, Los Angeles, pokój 350, godzina 9:18.

● ● ●

Pierwsza dwadzieścia siedem. Leżę w łóżku, rozkoszując się uczuciem oczekiwania. Wziąłem prysznic, aby spłukać z siebie cały ten kurz, brud i pot, a ubranie oddałem do prania. Cieszę się, że udało mi się zamknąć składzik na klucz i odejść przed powrotem Marcie Buckley. Niedawno zadzwoniłem do jej biura, aby raz jeszcze podziękować.

Czuję się tak dobrze i pewnie, że aż mnie kusi, by nie robić nic, tylko tak leżeć i czekać aż to, co nieuniknione, zdarzy się, a mimo to domyślam się, że nie ma tu mowy o nieuchronności, że nic nie zajdzie bez mojego aktywnego udziału. Jestem głęboko przekonany, że to się rzeczywiście zdarzyło, po przeczytaniu książki Priestleya wierzę jednak również, że tak jak w przyszłości, tak też i w przeszłości istnieje wiele możliwych dróg.

I że mogę pobłądzić.

W związku z tym moja praca nie jest jeszcze skończona. Chociaż wierzę niezachwianie, że jutro wieczorem zobaczę ją na scenie w „Małym ministrze", jestem zarazem przekonany, że aby to stało się możliwe, muszę dokonać pewnego wysiłku.

Zaraz się za to wezmę, ale chcę się jeszcze trochę powylegiwać. To było jednak straszne przeżycie, to szperanie na dole, dopóki nie znalazłem swego nazwiska w hotelowym rejestrze. Zanim zacznę, muszę odzyskać stracone tam siły.

Zastanawiam się, czemu podpisałem się R.C. Collier. Nigdy przedtem nie pisałem w ten sposób swego nazwiska.

Myślałem również o przeprowadzce do pokoju 350, ale zdecydowałem się nie robić tego. Nie wiem

właściwie dlaczego, ale wydawało mi się to w jakiś sposób niewłaściwe, a ponieważ polegam przede wszystkim na własnych odczuciach, lepiej będzie, jak i tym razem im zaufam.

• • •

Jest 19 listopada 1896 roku. Leżę w łóżku odprężony, z zamkniętymi oczami, a teraz jest 19 listopada 1896 roku. Żadnego napięcia, nic mnie nie rozprasza. Jeżeli usłyszę jakiś dźwięk, dobiegający z zewnątrz, to mogą to być tylko koła powozu i stuk końskich kopyt, nic więcej. Niczego więcej nie mogę usłyszeć. Jestem spokojny, całkowicie spokojny. Jest 19 listopada 1896 roku, 19 listopada 1896 roku. W tej chwili Eliza McKenna i jej cała trupa znajdują się w hotelu. Trwają przygotowania do wystawienia nazajutrz wieczorem „Małego ministra". Jest czwartkowe popołudnie. Leżę w łóżku w swoim pokoju w Hotelu del Coronado i jest czwartek po południu, 19 listopada 1896 roku. Mój rozum przyjmuje to bez zastrzeżeń, nie mam żadnych wątpliwości Jest 19 listopada 1896 roku, czwartek 19 listopada 1896 roku. Nazywam się Ryszard Collier. Mam trzydzieści sześć lat. Leżę z zamkniętymi oczami w swoim hotelowym łóżku, po południu w czwartek 19 listopada 1896 roku, 1896, 1896. Pokój 527, Hotel del Coronado, czwartek po południu 19 listopada 1896 roku. W tej chwili Eliza McKenna jest w hotelu, w tej chwili jej matka jest w hotelu, w tej chwili jej menadżer, William Fawcett Robinson jest w hotelu. Teraz, w tej chwili, tutaj. Eliza Mckenna. Ja. Eliza

McKenna i ja. Oboje w Hotelu del Coronado tego samego, czwartkowego popołudnia w listopadzie, w czwartek 19 listopada 1896 roku.

• • •

(Ta autohipnotyczna instrukcja mego brata ciągnęła się jeszcze przez następnych dwadzieścia jeden stron).

● ● ●

Mam teraz czterdzieści pięć minut nagrania na kasecie. Położę się, zamknę oczy i posłucham sobie tego.

• • •

Druga czterdzieści sześć. Poczułem się wyjątkowo pewnie. To dziwne uczucie, nie poddające się logice, niemniej jednak jestem przekonany, że przejście się uda. To przekonanie wywołuje we mnie podniecenie, skryte jednak pod powierzchnią wyczuwalnej również równowagi ducha, spokoju płynącego z absolutnej pewności.

Nie wiem, czy leżąc tak w łóżku przez czterdzieści pięć minut zapadłem w końcu w sen, w hipnotyczny trans, czy też w jakiś inny stan. Wiem tylko, że wierzyłem temu, co słyszałem. Po pewnej chwili zaczęło mi się wydawać, że mówi do mnie obcy, nie mój głos, jak gdyby jakaś odcieleśniona osobowość instruowała mnie spoza czasu i przestrzeni.

Wierzyłem temu głosowi bez zastrzeżeń.

Co to było za zdanie, które przeczytałem wiele lat temu? To, które wywarło na mnie takie wrażenie, że nawet zastanawiałem się, czy nie wyryć go na kawałku drewna i nie powiesić na ścianie biura?

Przypomniałem sobie. „To, w co wierzysz, staje się twoim światem".

Teraz właśnie wierzyłem, że głos, który słyszałem, mówił prawdę, że spoczywałem w łóżku z zamkniętymi oczami, nie w 1971, lecz w 1896 roku.

Zrobię to jeszcze raz, i jeszcze, aż wiara ta zapanuje nade mną kompletnie i rzeczywiście tam się znajdę, a wtedy wyjdę z pokoju i dosięgnę Elizę.

● ● ●

Trzecia trzydzieści dziewięć. Koniec następnej sesji. Rezultaty bardzo podobne: spokój, pewność, przekonanie. W pewnej chwili zastanawiałem się wręcz, czy nie otworzyć oczu i nie sprawdzić, czy jestem już tam.

Przyszła mi właśnie dziwaczna myśl do głowy.

Co by było, gdybym otworzył oczy w 1896 roku i zobaczył kogoś w tym samym pokoju, gapiącego się na mnie z rozdziawionymi ustami? Jakbym sobie z tym poradził? A co by mogło być, gdybym tak niespodziewanie zjawił się w łóżku jakiejś pary, która właśnie przystępowała do spełnienia „małżeńskiego obowiązku", i gdzie bym się znalazł, pod czy też nad nimi? To czysta groteska, ale jak tego uniknąć? Przecież muszę leżeć w łóżku. Zastanawiałem się już, czy by tak na wszelki wypadek nie położyć się pod

nim, na podłodze, ale niewygoda nie pozwoliłaby mi się skoncentrować.

No cóż, muszę zaryzykować. Nie widzę innego wyjścia. Cała nadzieja w tym, że w sezonie zimowym, jak to pisał Babcock do Elizy, gości będzie mniej i ten pokój pozostanie wolny.

W każdym razie ryzyko trzeba podjąć. Nie zamierzam przez takie drobiazgi zrezygnować z moich zamiarów.

Krótka przerwa, a potem znowu do roboty.

• • •

Czwarta trzydzieści siedem. Pojawił się problem, a właściwie dwa, z których jeden jest całkowicie nieusuwalny, z drugim natomiast chyba mógłbym się uporać.

Pierwszy problem polega na tym, że podczas trzeciej sesji mój nagrany głos zaczął tracić dotychczasową abstrakcyjność, stając się coraz bardziej rozpoznawalny. Dlaczego tak się dzieje? Czy nie powinien raczej, za każdym kolejnym razem, gdy go słyszę, coraz bardziej oddalać się ode mnie?

Chociaż może i nie, bo wiąże się to chyba z problemem drugim. Otóż, mimo że pozostało przekonanie, że słyszę tak samo jak przedtem, to zaczynało się ono zacierać, albowiem wciąż słuchałem tych samych słów. Ma to swoją wartość hipnotyzującą, ale przeszkadza tej części umysłu, która wciąż jeszcze znajduje się pod władzą logiki. To ona w końcu, podyktowała mi otwarcie pytanie: czy to wszystko, co wiesz o owym dniu w listopadzie 1896 roku?

Mam! Zbiegnę na dół i kupię w trafice książkę Marcie Buckley, przeczytam ją jak najszybciej i wybiorę fakty, odnoszące się do 1896 roku, a potem nagram nową czterdziestopięciominutową instrukcję wzbogaconą o wszystko, co uprawdopodobni moją obecność 19 listopada tamtego roku. Ustawię na scenie nowe dekoracje, ot co!

Elizie to by się podobało.

• • •

Później. Ciekawa książka. No, może książka to za duże słowo, bo ona dopiero teraz szykuje pełną wersję. To raczej przerośnięta broszura, wszystkiego sześćdziesiąt cztery strony szkiców o powstaniu i dziejach hotelu oraz samej miejscowości Coronado, uzupełnione zdjęciami hotelu obecnie i w przeszłości, portretami wybitnych osób, które tu gościły (był między nimi nawet książę Walii) oraz przypisami i projektami przyszłych zmian.

W każdym razie zdobyłem tu wystarczająco dużo szczegółów, aby uzupełnić moją instrukcję. Zrobię to za parę minut.

• • •

Jest czwartek 19 listopada 1896 roku. Leżę z zamkniętymi oczami w łóżku, w pokoju 527. Słońce zaszło i jest już ciemno. W Hotelu del Coronado zapada noc w ten czwartek, czwartek 19 listopada 1896 roku. W hotelu zapalają się teraz światła. Jest tu zarówno instalacja gazowa, jak i elektryczna, ale ga-

zowej się nie używa. Trwają też teraz prace nad systemem centralnego ogrzewania, ale będzie on gotowy dopiero w przyszłym roku. Na razie pokoje ogrzewane są kominkami. Ten pokój, 527, jest ogrzewany kominkiem. W tej właśnie chwili, w ciemności, w czwartek 19 listopada 1896 roku, obok mnie płonie ogień na ruszcie, z cicha potrzaskując promieniuje ciepłem na cały pokój i oświetla go odblaskiem płomieni.

We wszystkich pokojach goście przebierają się teraz do kolacji w Sali Królewskiej. Eliza McKenna jest w tej chwili w hotelu. Być może w teatrze, sprawdzając ostatnie szczegóły przygotowań do przedstawienia „Małego ministra", zapowiedzianego na jutro wieczór, a może właśnie przebiera się w swoim pokoju? W hotelu jest jej matka; jest tu również jej menadżer, William Fawcett Robinson oraz cały zespół aktorski. Ich pokoje są również ogrzewane kominkami, tak jak pokój numer 527, tego późnego popołudnia w czwartek, 19 listopada 1896 roku. W ścianie pokoju znajduje się sejf. Leżę spokojnie, bez ruchu, z zamkniętymi oczami w tym pokoju w 1896 roku, 19 listopada 1896 roku, w czwartek po południu, 19 listopada 1896 roku. Niedługo wstanę, wyjdę z pokoju i odnajdę Elizę McKenna. Wkrótce otworzę oczy, zobaczę, że jest ciemne, późne popołudnie w listopadzie 1896 roku, wyjdę na korytarz, zejdę na dół i spotkam Elizę McKenna. Ona jest teraz w hotelu, w tej właśnie chwili. Ponieważ teraz jest 19 listopada 1896 roku, 19 listopada 1896 roku, 19 listopada 1896 roku...

(I tak dalej, przez następne dwadzieścia stron).

• • •

Szósta czterdzieści siedem. Zamówiłem posiłek do pokoju — jakaś zupa i kanapka, ale to był błąd. Pomimo wciąż nowoczesnego wystroju pokoju, byłem już tak przesycony przekonaniem, iż przenoszę się w rok 1896, że wejście kelnera stanowiło potworny zgrzyt.

To się już nie powtórzy. Mam opóźnienie, ale jest to do naprawienia. Kupię sobie jakieś krakersy, trochę sera i tak dalej, i od teraz będę jadł nie ruszając się z pokoju. Tylko tyle, aby podtrzymać siły, gdy będę dalej próbować.

Znowu problem, ale właściwie ten sam, co przedtem.

Brzmienie mego głosu.

Coraz bardziej mnie rozprasza. Choćbym nie wiem jak głęboko zapadał w trans, coś głęboko we mnie, jakaś najbardziej oporna cząstka świadomości nie daje się zwieść i informuje mnie, że to ja mówię do siebie. Nie wiem, jak sobie z tym poradzić, a to mnie denerwuje.

No nic, zajmę się tym, jeżeli wszystko zacznie mi się sypać. Może jednak nie będzie takiej potrzeby.

Coraz częściej myślę o tym, że cofnąwszy się w czasie, stanę się przyczyną rozpaczy, jaką widać na jej twarzy na zdjęciu, które cały czas mam przed oczami.

Czy mam prawo jej to uczynić?

Wiem, że to już się stało, a jednak wciąż, z coraz większą siłą wyczuwam w przeszłości element zmiany, taki jak w przyszłości. Nie wiem, dlaczego, ale czuję

to. Czuję, że mam swobodę wyboru: wracać tam lub nie. Odczuwam to bardzo wyraźnie.

Czemu jednak miałbym teraz nie wracać? Nawet gdybym wiedział (a przecież nie wiem), że spędzę z nią tylko parę chwil. Miałbym nie wracać po tym wszystkim, czego dokonałem? To nie do pomyślenia.

Nachodzą mnie również i inne myśli, myśli o wyborze, który sprawiłby, że sytuacja stałaby się o wiele bardziej skomplikowana aniżeli już jest.

Co Priestley o tym pisał? Muszę sprawdzić jeszcze raz.

• • •

To tutaj, w ostatnim rozdziale, zatytułowanym „Człowiek wobec czasu".

Napisał tu, co przydarzyło się pewnej Rosjance, hrabinie Toutschkoff w. 1812 roku. Przyśniło się jej i to trzykrotnie w ciągu jednej nocy, że jej mąż, który był generałem, zginie w bitwie pod miejscowością o nazwie Borodino. Kiedy obudziła się i opowiedziała o tym mężowi, oboje nie byli w stanie znaleźć tej nazwy na mapie.

Trzy miesiące później jej mąż poległ na polu sławnej bitwy pod Borodino.

Dalej Priestley opisuje przypadek pewnej Amerykanki w dwudziestym wieku. We śnie widziała, jak jej dziecko tonie w strumieniu. Po paru miesiącach znalazła się w identycznej okolicy, jaka jej się przyśniła, dziecko było tak samo ubrane, a ponadto wplątało się w te same tarapaty, jakie we śnie skończyły się utonięciem, na jawie jednak kobieta zdołała zapobiec tragedii.

Priestely próbuje stąd wyciągnąć wniosek, że to czy jesteśmy w stanie wpłynąć na przebieg przyszłego zdarzenia, zależy od jego wagi. W wypadku bitwy pod Borodino tak wiele szczegółów było niezbędnych do jej zrealizowania, że żadną miarą nie można było jej zapobiec, natomiast potencjalne utonięcie jednego dziecka (o ile dzieckiem tym nie byłby Cezar czy, dajmy na to, Hitler) to zdarzenie mało istotne, ewentualny wpływ na jego przebieg jest zatem możliwy.

Odnosi się to do przyszłości, ale ja jestem przekonany, że ten sam warunek stosuje się też i do zdarzeń przeszłych. Byłem już w 1896 roku i przyczyniłem się do zmiany w życiu Elizy McKenna, ale zmiana ta nie pociągnęła za sobą takich historycznych reperkusji, jak bitwa pod Borodino. Podobnie jak śmierć, grożąca owemu dziecku, było to wydarzenie mniejszego kalibru.

Dlaczego więc miałbym nie móc cofnąć się, tak jak przedtem, tyle że wnosząc w jej życie tym razem radość, a nie smutek? Przecież smutek ten nie był spowodowany naszym spotkaniem ani żadnym moim czynem, lecz utraceniem mnie z winy tego samego fenomenu czasowego, który mnie do niej sprowadził. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale ja w to wierzę.

Wierzę też, iż we właściwym czasie będę w stanie zmienić ten właśnie fenomen.

• • •

Mam inne rozwiązanie!

Dam sobie spokój z nową instrukcją. Ponieważ mój

głos rozprasza mnie, lepiej będzie całkiem go wyeliminować. Instrukcje dla mojej podświadomości będę pisać, dwadzieścia pięć, pięćdziesiąt, a może i sto razy, a w trakcie tej roboty w słuchawkach słyszeć będę IX Symfonię Mahlera. Niech ona stanie się dla mnie płomieniem świecy czy też wahadełkiem, na którym skoncentruję się, pisemnie tłumacząc mojej podświadomości, że dzisiaj jest 19 listopada 1896 roku.

• • •

Kolejna poprawka. Będę słuchać tylko ostatniego fragmentu symfonii, w którym, według słów Bruno Walera, „Mahler spokojnie żegna się ze światem".

Ja też użyję go do pożegnania ze światem — ze światem roku 1971.

● ● ●

Ja, Ryszard Collier, jestem teraz w Hotelu del Coronado, w dniu 19 listopada 1896 roku.

Ja, Ryszard Collier, jestem teraz w Hotelu del Coronado, w dniu 19 listopada 1896 roku.

Ja, Ryszard Collier, jestem teraz w Hotelu del Coronado, w dniu 19 listopada 1896 roku.
(Ryszard napisał to pięćdziesiąt razy).

• • •

Dzisiaj jest czwartek, 19 listopada 1896 roku.

Dzisiaj jest czwartek, 19 listopada 1896 roku.
(Napisane sto razy).

• • •

Eliza McKenna jest teraz w hotelu.
(Sto razy)

• • •

Każda chwila przybliża mnie do Elizy.
(Sto razy)

• • •

Teraz jest 19 listopada 1896 roku.
(Sześćdziesiąt jeden razy)

● ● ●

Dwudziesta pierwsza czterdzieści siedem. Zdarzyło się.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy. Pisałem właśnie „Teraz jest 19 listopada 1896 roku". Bolał mnie nadgarstek i całe ramię. Wydawało mi się, że jestem otoczony mgłą. Dosłownie tak było, wokół mnie gęstniał jakby opar. W uszach rozbrzmiewały mi dźwięki odgrywanego już n-ty raz adagia. Patrzyłem na poruszający się po papierze ołówek, ale on wydawał się pisać sam z siebie. Wszelka łączność pomiędzy nim, a mną, zanikła. Wpatrywałem się w jego ruchy jak zahipnotyzowany.

I wtedy to się stało. *Zamigotanie* — nie potrafię znaleźć lepszego słowa. Oczy miałem otwarte, ale spałem. Nie, właściwie nie spałem, tylko jakby mnie

nie było. Muzyka urwała się i przez moment, ale moment całkiem wyraźny i niewątpliwy, byłem tam.

W roku 1896.

To przyszło i odeszło tak szybko, że mogło trwać chyba nie dłużej, niż mgnienie oka.

Wiem, że brzmi to idiotycznie i nieprzekonująco. Sam mam takie wrażenie, kiedy słucham własnego głosu, który to opowiada, a jednak tak było. Każdym, nawet najmniejszym nerwem wyczuwałem, że siedzę tu, dokładnie w tym miejscu, ale nie w 1971, tylko w 1896 roku.

Mój Boże, na sam dźwięk mojego głosu, wymawiającego „tysięc dziewięćset siedemdziesiąty pierwszy", aż kulę się ze strachu. Czuję się tak, jakbym z powrotem znalazł się w klatce, z której dopiero co udało mi się wydostać. W owej czarownej chwili drzwi stanęły otworem, a ja wyszedłem na zewnątrz, byłem wolny.

Wydaje mi się, że winę za to, iż wszystko trwało tak krótko, ponoszą słuchawki. Pomimo mojej ogromnej miłości do muzyki ogarnia mnie przerażenie, kiedy pomyślę, że w tej chwili musiałem mieć na głowie słuchawki, które ściągnęły mnie z powrotem.

Teraz, gdy już wiem, że to możliwe, i że wszystko sprowadza się do zwykłego powtarzania, naszła mnie najważniejsza praktyczna refleksja.

Ubranie.

To niesamowite, tak, właśnie niesamowite, że przez cały ten czas nigdy nawet nie przemknęło mi przez myśl, że moje pojawienie się w 1896 roku w obecnie noszonym ubraniu, wywołałoby fatalne skutki, prowadzące do zniweczenia całego przedsięwzięcia.

Oczywiście, muszę znaleźć jakiś ubiór, stosowny do czasów, w jakie się wybieram.

Tak, tylko gdzie go znajdę? Jutro jest piątek. Nie wiem, skąd we mnie to przekonanie, że to musi się zdarzyć jutro. Jest ono jednak faktem i nie zamierzam z nim walczyć.

A to pozostawia mi w sprawie ubrania tylko jedną możliwość.

• • •

Przeglądam żółte kartki w książce telefonicznej. Szukam wypożyczalni kostiumów. Oczywiście nie mam czasu na zamówienie czegoś u krawca. Co za dureń ze mnie, że nie przewidziałem wcześniej tej potrzeby, no, ale właściwie jak mogłem? Aż do dzisiejszego popołudnia nie przyjmowałem nawet do wiadomości, że uda mi się do niej dotrzeć, a wczoraj wieczorem i dziś rano nazywałem to ułudą. Ułuda! Mój Boże, to niewiarygodne!

O, jest. Wypożyczalnia kostiumów na Siódmej Alei w San Diego. Pojadę tam od razu z samego rana.

Nie ma sensu dzisiaj dalej tego ciągnąć. Mogłoby to być nawet niebezpieczne. Co by to było, gdybym mimowolnie wpadł tam ubrany w ten cholerny dres? Dziwacznie bym wyglądał, nosząc coś takiego w 1896 roku.

Jutro. To będzie wielki dzień. Jestem tak tego pewien, że mógłbym się założyć...

Żadnych zakładów. To nie gra.

Jutro będę już z nią.

19 listopada 1971

Piąta dwie rano. Już wstaję. Kusi mnie, żeby się nie ruszać, ale muszę, muszę wstać i...

...rozpromienić się? Co to, to nie, do cholery, ale i tak wstanę, nawet gdybym miał się przewrócić. Ubiorę się... zejdę na dół, i na plażę, na powietrze. Wdeptać ten ból głowy w piasek.

Bo dzisiaj jest ten dzień.

Nie dasz mi rady, głowo. Dziś jest ten dzień.

• • •

Ósma czterdzieści trzy. Jestem w drodze do San Diego. Ostatni raz, powtarzam sobie ciągle. Tym razem to rzeczywiście prawda. Nie ma więcej potrzeby jeździć.

Ból głowy nie przeszedł całkiem, ale nie jest tak straszny, żeby uniemożliwić prowadzenie samochodu.

Dziwne, jak odległe wydaje mi się wszystko, co widzę dookoła. Czy to możliwe, żeby część mnie była już w 1896 roku, czekając aż dołączy do niej reszta? Tak jak wtedy, kiedy cząstka mnie pozostała w hotelu, gdy jechałem do San Diego?

Jasne, że to możliwe! Jak mógłbym w to wątpić w takiej chwili?

• • •

Dziewiąta dwadzieścia siedem. Szczęście mi sprzyjało. Nie mieli tam zbyt wielkiego wyboru, ale jedno

z ubrań było wprost jakby szyte na moją miarę. Mam je teraz obok siebie na siedzeniu, otulone w bibułkę i zapakowane do pudełka. Mam nadzieję, że spodoba się Elizie.

Ubranie jest czarne. Zamiast marynarki ma coś, co nazywają surdutem. Rany boskie, jaki długi; sięga do samych kolan. Facet próbował naciągnąć mnie na coś, co określił jako strój poranny, ale dziwaczny krój, od wysokiego wycięcia z przodu do szerokich pół z tyłu sprawiał, że nie byłby to ubiór uniwersalny.

Portki — spodnie, proszę pana — są dosyć wąskie z naszytymi z boków galonami. Do tego dochodzi biała koszula ze sztywnym kołnierzykiem, beżowa, jednorzędowa kamizelka z wyłogami i ośmiokątny krawat na wstążce wiązanej wokół szyi. Naprawdę wyglądam szykownie. Spodziewam się, że to właściwy ubiór. W lustrze wszystko wydawało się w porządku, aż po krótkie kamasze, również czarne.

Dość dziwnie rozmawiało mi się z tym facetem w wypożyczalni, ponieważ cały czas byłem częściowo nieobecny. Pytał mnie, po co mi ten strój, a ja odpowiedziałem że wybieram się jutro na przyjęcie w stylu lat dziewięćdziesiątych. Kiedy teraz o tym myślę, widzę, że nawet nie bardzo skłamałem. Powiedziałem mu, że chciałbym wyglądać możliwie jak najautentyczniej.

Na jak długo zamierzam wypożyczyć ubranie? Już mnie kusiło, żeby palnąć „na siedemdziesiąt pięć lat", ale powiedziałem tylko, że do przyszłego tygodnia.

Już, już miałem wyjechać z San Diego, kiedy zaświtało mi w głowie, że choćbym pojawił się w 1896 roku nie wiem jak dobrze ubrany, nie będę w stanie

nic za to kupić. Wprost trudno uwierzyć, że zapomniałem i o tej, tak elementarnej sprawie, w jaki sposób przetrwać początkowy okres, zanim znajdę jakąś pracę. Jak ja to sobie właściwie wyobrażałem? Że poproszę Elizę o pieniądze? Na samą myśl aż się w sobie kurczę. Cześć, bardzo cię kocham, pożyczysz mi dwadzieścia dolarów?

Jezumaryja.

I znów miałem szczęście. W pierwszym sklepie ze znaczkami i monetami, do którego wstąpiłem, mieli dwudziestodolarówkę w dobrym stanie. Zapłaciłem za nią wprawdzie sześćdziesiąt dolarów, ale i tak czułem się uszczęśliwiony, że ją znalazłem. Sprzedawca w sklepie powiedział mi, że wie, gdzie można dostać taki banknot, który nigdy nie był w obiegu. Poczułem pokusę, ale przeszła mi szybko, gdy dowiedziałem się, że kosztowałoby mnie to około sześciuset dolarów.

Banknot jest bardzo ładny. Po jednej stronie widnieje na nim portret prezydenta Garfielda, jaskrawoczerwona pieczęć i napis: dwadzieścia dolarów (w złotej monecie) zostanie wypłacone okazicielowi na żądanie, druga strona zaś ozdobiona jest rysunkiem jasnopomarańczowego orła, trzymającego pęk strzał w szponach.

Na wszelki wypadek kupiłem również banknot dziesięciodolarowy, niezbyt zniszczony (dałem za niego czterdzieści pięć dolarów), z wizerunkiem jakiegoś nie znanego mi Thomasa A. Hendricksa. Oba banknoty są znacznie większe od dzisiejszych i, oczywiście będą mieć dla mnie większą wartość, powinienem więc być w nienajgorszej sytuacji, przy forsie.

Przy forsie, pfuj! To nie po wiktoriańsku.

Powinienem był chyba poświęcić więcej czasu na poszukiwanie pieniędzy, zwłaszcza że to, co mi pozostało, będzie i tak dla mnie bezużyteczne, ale aż drżałem z niecierpliwości, aby już wrócić do hotelu i zacząć.

Czas uciekał.

W drodze powrotnej wpadłem na dobry pomysł. Słuchawki są niepotrzebne. Będę słuchał muzyki siedząc na łóżku, ubrany do drogi, pisząc instrukcje i czekając na efekt.

• • •

Dziesiąta zero dwie. Jestem gotów.

Tak mi się spieszyło, że zaparkowałem samochód za hotelem. Teraz jestem już wykąpany, ogolony i uczesany. Mam nadzieję, że długość włosów okaże się odpowiednia, ale nawet jeśli nie, to i tak nie mogę nic na to poradzić.

Odciąłem metki od surduta, kamizelki, koszuli i krawata. Z dwóch powodów. Po pierwsze, nie chciałbym, aby tam, w 1896 roku ktokolwiek je zobaczył, bo nie potrafiłbym się wytłumaczyć, co ważniejsze jednak, sam nie chcę mieć ich przed oczami. Będąc już tam, zamierzam usunąć z pamięci wszelki ślad roku 1971. Wydrapałem nawet napisy z wnętrza butów, bo i taki drobiazg może wszystko zepsuć. Nie wkładam też skarpetek ani bielizny. Są zbyt nowoczesne.

Wszystko więc już ustalone. Nie mam przy sobie nic z teraźniejszości, to znaczy nic zauważalnego.

Instrukcje będę pisał leżąc na boku, a nie, jak przedtem, trzymając papier na kolanach. Kiedy to nadejdzie, ołówek na pewno wypadnie mi z dłoni. Słuchawki też nie będą mi przeszkadzały. Wszystko przygotowane do natychmiastowego przejścia.

Poza własnym umysłem, oczywiście, ale z tym będę musiał sobie jakoś poradzić, kiedy już tam się dostanę.

No jasne! Będę pisał instrukcje dalej po przejściu! W ten sposób wzmocnię osadzenie siebie w 1896 roku, aż do chwili, gdy — widzę to już wyraźnie — zapomnę, skąd przybyłem i stanę się całkowicie, ciałem i duszą, obywatelem tego czasu. Pozbędę się wtedy ubrania i...

Jezus Maria! O mało co zapomniałbym zdjąć zegarek!

To mną porządnie wstrząsnęło.

Zaczekam, aż zniknie na przegubie ślad po bransoletce. Zegarek schowałem do szuflady nocnego stolika, ażeby go nie widzieć. Telefon wsunąłem pod łóżko, lampę ze stolika ukryłem w szafie, schowałem również całą pościel tak, że kątem oka widzę tylko biel prześcieradła.

Uznałem, że lepiej będzie, jeśli w instrukcjach pozostawię datę 19 listopada nie zmienioną. Jest to rozsądne tym bardziej, że dzisiaj naprawdę jest też 19 listopada.

• • •

Rozejrzyjmy się. Czy coś jeszcze przeoczyłem? Cośkolwiek?

Chyba nie.

Włączam muzykę.

Ostatni rzut oka dookoła. Opuszczam to wszystko. Dzisiaj.

• • •

Jedenasta czternaście. Znowu!

To samo, ale tym razem trwało dłużej. Nie mignięcie — dłużej, niż chwila między dwoma mrugnięciami oka. To trwało prawdopodobnie wszystkiego, jakieś pięć, sześć sekund, ale w tych okolicznościach miało dla mnie takie samo znaczenie, jak stulecia.

Proces rozwija się.

Stało się to podczas trzeciego odtwarzania adagia. Pisałem wtedy instrukcję: jestem w tym pokoju 19 listopada 1896 roku. Byłem w trakcie trzydziestego siódmego zdania, kiedy zaszła zmiana. Słowo „listopad" urywa się na trzeciej literze, ślad ołówka osuwa się w dół od litery £s", a potem znika, mogę więc określić w przybliżeniu moment, kiedy to nastąpiło. Powróciłem ze stanu absorpcji, gdy muzyka już się niemal kończyła, a zatem musiało się to zdarzyć mniej więcej w godzinę od chwili, kiedy zacząłem, adagio bowiem trwa dwadzieścia jeden minut.

Znacznie wcześniej niż pierwsza absorpcja.

Nazywam to absorpcją, ponieważ to słowo wydaje mi się najlepiej oddawać charakter owego zjawiska.

Jest to tak, jak gdybym momentalnie był wciągany do wewnątrz. Z początku mam uczucie odpływania, czemu towarzyszy narastająca dezorientacja. Słyszę

muzykę, ale to wydaje się nie mieć dla mnie żadnego znaczenia. Patrzę na poruszający się grafit ołówka, ale postrzegam to jako zjawisko całkiem ode mnie niezależne. To nie ja piszę te słowa, które ukazują się na papierze; one piszą się same. Wokół mnie zaczyna gęstnieć mgła, aż wreszcie pole widzenia zawęża się do czubka ołówka.

Dźwięki muzyki stają się coraz niższe i zniekształcone, tak jakbym tracił słuch, aż w końcu przestaję je słyszeć w ogóle. Nie, to nie tak. Nie muzyka znika, lecz to ja w jednej chwili przestaję być przy niej obecny. Wiem, że ona trwa nadal, a tylko ja jestem gdzieś indziej, gdzie ona nie dociera.

Gdzieś indziej, to znaczy w roku 1896.

Tym razem byłem świadomy tego, że moje ciało również tam było. Pod sobą czułem materac — czy ten, czy jakiś inny, ale w każdym razie materac — czułem dotyk ubrania, a poza tym oddychałem. Wszystko to świadczy, że w odróżnieniu od pierwszego razu, kiedy to podróż do 1896 roku odbyłem tylko duchem, tym razem byłem tam również i ciałem, że fizycznie leżałem na łóżku w pokoju w roku 1896. Przez jakieś pięć, sześć sekund byłem tam cały.

Wrażenie powrotu było także odmienne. Za pierwszym razem odbyło się to tak szybko i nie bez wstrząsu. Można powiedzieć, że zostałem wyszarpnięty, a nie było to przyjemne uczucie. Teraz przypominało to jakby, bo ja wiem — zsuwanie się? Nie całkiem to, ale coś podobnego. Odczucie fizyczne, jakby przesuwania się tyłem przez błonę... a zresztą lepiej dać spokój. Nie umiem tego ubrać w słowa,

wiem tylko, że się zdarzyło. Ważne jedynie, że owa strefa styku, mniejsza z tym czy ją nazwiemy wejściem, otworem, czy błoną, jest bardzo bliska i bardzo cienka.

A także łatwa do osiągnięcia. Nawet w tej chwili, kiedy siedzę tak na pozór w 1971 roku i ją opisuję, czuję, jakby otaczała mnie całego. Z braku lepszego terminu będę ją nazywał Czasem 2. Czas ten jest od nas stale odległy zaledwie o jedno uderzenie seca. Nie, źle mówię, on w ogóle nie jest poza nami. Jest w nas, tyle że nie jesteśmy świadomi jego obecności, wystarczy jednak tylko trochę pracy, aby go sobie uświadomić i osiągnąć.

Muszę spróbować znowu.

Czuję się już tak blisko. Zastanawiam się, czy by nie zrezygnować z papieru i ołówka? Pisane setki razy instrukcje mam już przecież wyryte w pamięci, czemu więc nie miałbym po prostu położyć się i powtarzać je w myślach, słuchając przy tym muzyki?

Rzeczywiście, dlaczego by nie?

• • •

Trzynasta czterdzieści trzy. Muszę dyktować szybko, póki nie zapomnę szczegółów.

Kiedy powróciłem ze stanu absorpcji płyta już się zatrzymała, nie mogę więc stwierdzić dokładnie, kiedy to się stało.

W każdym razie było fantastyczne.

Musiało to trwać ponad minutę. Dla mnie trwało to znacznie dłużej, ale nie chcę zawyżać oceny.

W każdym razie trwało to dostatecznie długo.

abym mógł obejrzeć obraz na ścianie, którego teraz w tym pokoju nie ma.

Najpierw poczułem głębokie przekonanie. Wydaje się ono nieodłączną częścią tego procesu, albowiem czuję je za każdym razem. Oczy miałem zamknięte, ale nie spałem i wiedziałem, że jestem już w 1896 roku. Może „wyczuwałem" go wokół siebie, sam nie wiem, w każdym razie, nie miałem najmniejszych wątpliwości. Na dodatek jeszcze, zanim otworzyłem oczy, otrzymałem namacalny dowód.

Otóż leżąc tak, usłyszałem dziwne, tajemnicze potrzaskiwanie. Nie otwierałem oczu, ponieważ bałem się dać najmniejszy pretekst do utraty stanu absorpcji. Leżałem więc bez ruchu na materacu, wyczuwając go pod sobą, czując dotyk ubrania na skórze, ciepło pokoju i przez cały ten czas dobiegały mnie owe niezrozumiałe, trzeszczące dźwięki. W pewnym momencie podniosłem nawet odruchowo rękę, aby podrapać się w swędzący nos. Wiem, że nie brzmi to szczególnie imponująco, ale wystarczy pomyśleć o możliwych konsekwencjach.

To był mój pierwszy fizyczny czyn w 1896 roku.

Bo byłem tam, moje ciało leżało w tym pokoju w roku 1896, osadzone tam już tak pewnie, że mogłem unieść rękę, podrapać się w nos i dalej tam pozostać. Czyn był może banalny, ale chwila przełomowa.

Bieg czasu zegarowego jednak jeszcze we mnie nie odtworzył się. To chyba również należy do procesu. Aby osiągnąć Czas 2, muszę całkowicie opuścić Czas 1, ale kiedy już znajdę się w 1896 roku, muszę odtworzyć w sobie Czas 1, żebym mógł tam pozostać i funkcjonować. Być może tłumaczy to,

dlaczego za pierwszym razem zostałem tak gwałtownie wyszarpnięty. Może moja świadomość była wtedy tak całkowicie zanurzona w Czasie 2, że nie miałem w 1896 roku żadnego punktu zaczepienia. To brzmi niezbyt zręcznie, powiedzmy więc, że nie miałem żadnego łącznika, którym powinien być, przynajmniej z początku, Czas 1.

Tym razem wszakże udało mi się odtworzyć poczucie Czasu 1 w stopniu dostatecznym, aby móc analizować otoczenie, i dzięki temu pochodzenie tego trzeszczącego dźwięku, które przez chwilę wydawało mi się równie niepojęte, jak teoria Einsteina, w końcu stało się dla mnie jasne.

To był kominek.

Leżałem w tym pokoju w 1896 roku, przysłuchując się odgłosom płonącego na kominku ognia.

Serce mi łomoce, kiedy wymawiam te słowa.

Naprawdę chciałbym wiedzieć, jak długo to trwało. Sądzę, że znaczna część mojej świadomości pozostała jednak w Czasie 2, bo gdyby było inaczej, byłbym wciąż jeszcze w 1896 roku, a w związku z tym moje odczucie upływu czasu na pewno nie było precyzyjne. Przypuszczam, że nie byłem tam wcale tak długo, jak mi się wydaje.

Mniejsza zresztą o to. W każdym razie po chwili otworzyłem oczy. Z początku nie śmiałem się poruszać. To prawda, że podrapałem się w nos, ale nie był to ruch zamierzony. Jestem przekonany, że to właśnie jego mimowolność sprawiła, że nie stało się nic złego, wykonać natomiast ruch świadomy, z własnej woli, wydawało mi się znacznie bardziej niebezpieczne i sprzeczne z sytuacją, w jakiej się znajdowałem.

Tak więc nie robiłem nic. Leżałem po prostu całkiem nieruchomo, patrząc w sufit i starając się bezskutecznie usłyszeć coś więcej poza potrzaskiwaniem ognia. Przyczyny tego mogły być dwojakie — albo odgłosy ognia zagłuszały inne dźwięki, albo też nie byłem tam na tyle, aby móc je słyszeć.

Wydaje mi się, że w rzeczywistości znajdowałem się wtedy w swego rodzaju zachyłku 1896 roku. Być może tak właśnie być powinno. Oczywiście, nie mogę tego teraz udowodnić i pewnie nigdy nie będę potrafił, ale chyba tak to właśnie wygląda. Aby odbyć podróż w czasie, trzeba dokonać tego wpierw w swym najgłębszym rdzeniu, to znaczy w umyśle rzecz jasna, a potem starać się rozszerzyć to odczucie na zewnątrz, poczynając od własnego ciała, później zaś wchodząc w kontakt z bezpośrednim otoczeniem. Najprawdopodobniej uczucie przebijania się przez błonę odpowiada momentowi, gdy wewnętrzne przekonanie rozprzestrzenia się poza granice ciała.

Jeżeli więc moja teoria odpowiada prawdzie, ja w istocie leżałem w łóżku i słuchałem odgłosów z kominka w 1896 roku, poza tym jednak wszędzie dookoła panował rok 1971.

Brzmi to po wariacku, a mimo to jestem o tym głęboko przekonany. Czemu, na przykład, nie słyszałem tam, w 1896 roku, huku przyboju? A powinienem słyszeć go znacznie lepiej niż teraz, ponieważ ocean był wówczas bliżej hotelu. Pomimo to, nie słyszałem go wcale. Nie słyszałem również żadnych dźwięków z 1971 roku, ale to dlatego, że byłem zamknięty jak w kokonie w mojej otoczce

z 1896 roku i poza nią nie mogłem słyszeć niczego. To również stanowi dla mnie pewien dowód, że moja teoria nie jest pozbawiona słuszności.

No, ale dajmy temu spokój, bo cały czas zbaczam z drogi do najważniejszej sprawy.

Nie wiem, jak długo potem leżałem, wpatrując się w sufit, ale wciąż byłem przeświadczony, że jestem w roku 1896, że łóżko pode mną również znajduje się w tym samym roku, a może nawet wraz z nim i cały pokój. Odgłosy ognia na kominku nie słabły, a ja, patrząc na sufit odkryłem, że był on innego koloru niż obecnie.

W końcu odważyłem się wreszcie poruszyć. Nie było to nic nadzwyczajnego, rzecz jasna, znowu jednak przypomnę, że konsekwencje tego ruchu mogły być dla mnie wstrząsające, albowiem był on w pełni świadomy, a nawet zamierzony.

Zacząłem obracać głowę na poduszce (zapomniałem powiedzieć, ale ona również tam była, to znaczy w roku 1896, jestem tego pewny) nieskończenie powolnym ruchem. Cały przy tym drżałem, bałem się bowiem, że w każdej chwili może się to przerwać i zostanę odesłany z powrotem w rok 1971. Brak mi było wtedy tego przekonania, które miałem, i dalej mam zresztą, że rok 1896 jest dla mnie już osiągalny. Wiedziałem doskonale, że tam jestem, nie miałem jednak pewności, że mogę tam pozostać z własnej woli.

Dziwne wydaje mi się teraz, że przez cały czas, kiedy to się działo, ani razu nie pomyślałem o Elizie ani o tym, że znajduje się ona w tym samym miejscu, co i ja. Może dlatego, że akurat wtedy nie było to

prawdą. Jeśli moja teoria jest słuszna nie mogło jej tam być, gdyż nie znajdowałem się całkowicie w 1896 roku, lecz tylko w jego części.

No dobrze, wracajmy jednak ponownie do głównego wątku. A więc bardzo powoli obróciłem głowę na poduszce... i zobaczyłem obraz na ścianie. Postaram się go opisać. Na pierwszym planie widniały tam dwie postacie, matki i syna, jak się domyślam. Niemłoda z wyglądu kobieta ubrana była w szarą suknię i biały fartuch, włosy zaś miała gładko ściągnięte do tyłu. Stała tuż przy synu, trzymając ręce na jego ramionach. Jest to moje uzupełnienie, widziałem bowiem tylko jej prawą dłoń na jego lewym ramieniu, odniosłem jednak wrażenie, że drugą rękę trzymała w ten sam sposób.

Wyższy od niej o dobre dziesięć, piętnaście centymetrów chłopiec ubrany był w płaszcz, a w lewej ręce trzymał kapelusz, co jak przypuszczam, oznaczało jego wyjazd. W gruncie rzeczy mógł on równie dobrze powracać, ale ogólna atmosfera obrazu odpowiadała jednak raczej rozstaniu. Teraz przypominam sobie, że na lewo od postaci matki widać było czarny parasol, oparty o coś, czego nie mogłem dostrzec wyraźnie. Koło parasola był tam również pies średniej wielkości. Siedział na podłodze, prawdopodobnie patrząc na odjeżdżającego chłopaka.

Po drugiej stronie tej sceny widać było jakieś postacie, jakiegoś starszego mężczyznę, a może kobietę, siedzącą przy stole. Właśnie, zapomniałem powiedzieć, że syn i matka stali obok stołu, a z tyłu było krzesło. .Twarz matki nie wyglądała na szczęśliwą. Chłopca było widać z profilu, ale nie wydawało

się, aby patrzył na matkę. Może miało to stwarzać wrażenie, iż usilnie stara się ukryć targające nim uczucia, ale cóż mogę wiedzieć.

Właśnie mrugnąłem oczami, aby się lepiej przypatrzyć, kiedy zostałem cofnięty.

Tym razem odbyło się to jeszcze mniej wyraźnie i wolniej niż poprzednio. Kiedy mrugnąłem, obraz i cała ściana stały się zamazane, i poczułem, jak coś ciągnie całe moje ciało, jak gdybym był wsysany. Pamiętam, że miałem dość czasu, aby odczuć żal, trwało to więc z pewnością dłużej, niż mrugnięcie okiem.

Potem zapadłem w sen, omdlenie czy też jakiś inny stan. Dość, że gdy otworzyłem oczy, byłem już z powrotem.

Zstanawiam się, co mogło to spowodować? Dlaczego, kiedy już tak dobrze tam się zainstalowałem, mimo wszystko jednak wróciłem? Czy chodzi o to, żeby dalej powtarzać? Chyba tak. Podobnie jak musiałem w kółko, ustnie, pisemnie i w myślach, powtarzać moje instrukcje, tak też wygląda na to, że aby utrwalić moją pozycję w 1896 roku, muszę tam wracać raz za razem. Jest to nieco denerwujące teraz, kiedy znalazłem się tam tak realnie, ale nie mam innego wyjścia. Muszę szanować reguły procesu. Będę robić wszystko, co niezbędne, aby ten stan utrwalić.

W każdym razie jestem pewien, że jak najszybciej muszę wracać. Czuję, że mój związek z teraźniejszością staje się coraz ściślejszy, a przecież wiem, że nie mogę pod żadnym pozorem ryzykować jego dalszego zacieśniania.

Muszę przebić się przez tę błonę tak szybko, jak to tylko możliwe.

• • •

Później.

Znowu tam. Parę minut.

Czy... minuty tam... to minuty tu?

Kiedy... wróciłem... płyta wciąż jeszcze grała.

Czy ją nastawiałem ponownie? Nie pamiętam.

Czuję się naprawdę... dziwnie.

Nierealnie.

Rok 1971... odbieram... jak 1896.

Nierealny.

Leżąc tu... czuję się jakbym...

Jakbym był w 1896.

Tak jakbym musiał... pilnować się.

Bo wymknie mi się to z ręki.

Zabawne.

Czy powinienem... obrócić głowę... opisać obrazek na ścianie?

Żeby udowodnić, że tu jestem?

Czuję, że tak.

Poczucie... nieciągłości.

Jakbym był... naprawdę... kimś z 1896 roku... próbującym osiągnąć...

...co?

Dziwne uczucie.

Nie opieraj się.

Nadchodzi.

Boże, czuję jak nadchodzi.

Muszę... przestać... mówić... Zamknąć... oczy, powiedzieć mojemu

umysłowi.
Powiedzieć mojemu... mojemu...
sobie, sobie, że...
Odpływam.
Ciężko.
Czuję się... tak ociężały!

Część druga

19 listopada 1896

Kiedy otworzyłem oczy, na ścianach i suficie zobaczyłem odblask zachodzącego słońca.

Z początku nie zwracałem na to uwagi. Leżałem bez ruchu na wznak, czując w całym ciele, łącznie z głową, odrętwienie jak po przepiciu, chociaż w ogóle przecież nie piłem. Przyczyna tego uczucia kryła się gdzie indziej.

Przez dobrych parę minut słuchałem przyboju, zanim uświadomiłem sobie coś, co mną wstrząsnęło.

Jego huk był bez porównania głośniejszy niż kiedykolwiek przedtem.

Byłem *tam.*

Świadomość tego sprawiła, że w koniuszkach palców i na całej twarzy poczułem nagle jakby piekącą, swędzącą sieć pajęczą. Zerknąłem na swoje ciało, odziane w czarny ubiór, i na spiczaste buty przy łóżku, a potem wyostrzyłem wzrok, aby rozejrzeć się po dalszym otoczeniu.

W miejscu, gdzie stało biurko, dostrzegłem teraz kominek. Z mojej pozycji nie mogłem zobaczyć

paleniska. Widziałem tylko gzyms z półką z gładko wypolerowanego wiśniowego drewna, a kiedy grzmot przyboju ustawał na chwilę, słyszałem trzask ognia na kominku.

Nierozważnie uniosłem się na prawym łokciu. Natychmiast zrobiło mi się ciemno w oczach i przez jakieś piętnaście sekund cały pokój wirował wokół mnie, napełniając mnie przerażeniem, że rozpoczął się powrót.

Stopniowo jednak wszystko odzyskało normalny wygląd i mogłem już spoglądać na ogień. Ku memu zaskoczeniu na ruszcie zobaczyłem węgiel, chociaż spodziewałem się drewna, zaraz jednak zrozumiałem, że byłby to tylko objaw nieodpowiedzialności. Użycie drzewa do palenia w ponad stu pokojach hotelu o drewnianej konstrukcji byłoby niczym innym, jak prowokowaniem katastrofy.

Spojrzałem na okno i przeżyłem kolejne zaskoczenie widząc, że nadal są w nim żaluzje. Patrzyłem na nie zmieszany i dopiero stopniowo, z jakimś niewiarygodnym oporem umysłu, zaczęło do mnie docierać, że teraz przecież są one wykonane z drewna.

Rozglądałem się dalej. Zamiast ciężkich zasłon u okna wisiały białe, przejrzyste firanki, podwiązane po obu stronach. Krzesło j stolik zniknęły, a przy ścianie pod oknem stał niski, prostokątny stół. Na jego politurowanym blacie leżał bieżnik z koronki, przyciśnięty ciężkim talerzem z mosiądzu.

Obróciłem głowę w lewo. W pokoju znajdowało się tylko jedno łóżko, a ściany, dzielącej go od łazienki nie było w ogóle. W miejscu, gdzie znajdowała się

wanna i prysznic, obecnie stała masywna komoda, a nad nią wisiało duże, kwadratowe lustro.

Wykręciłem ostrożnie głowę do tyłu i spojrzałem na oprawioną reprodukcję na ścianie. Nie mogłem się jej dobrze przyjrzeć, obróciłem więc mozolnie całe ciało i z wysiłkiem ukląkłem na miękkim materacu.

Obrazek wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętałem z tą tylko różnicą, że teraz mogłem dostrzec wszystkie dotychczas przeoczone szczegóły. Otóż w cieniu, w pobliżu psa siedzi stara kobieta, a parasol opiera się o jej nogę. Są tam ponadto trzy inne postacie, dwóch mężczyzn i dziewczyna; zajmujące prawą stronę obrazu. Jeden z mężczyzn, obrócony tyłem, kładzie rękę na klamce, drugi zaś stoi w drzwiach, patrząc w stronę matki i syna. Mój wzrok padł na tabliczkę z tytułem, umocowaną do dolnej ramy. Była to kopia obrazu „Zerwanie więzów rodzinnych" Thomasa Hovendena.

Przytrzymując się drewnianego wezgłowia, podniosłem się i stanąłem na podłodze. Chociaż zrobiłem to najostrożniej jak tylko mogłem, pokój znów zawirował mi przed oczami i nie upadłem tylko dlatego, że z całej siły uczepiłem się oparcia. Na koniec opadłem na łóżko i musiałem posiedzieć tak, podczas gdy wydawało mi się, że głowa sama kręci się na moim karku. W myślach powtarzałem wciąż: *oby to tylko nie przepadło,* choć nie mam pojęcia, do kogo kierowałem tę prośbę.

Po pewnym czasie odczucia lęku trochę osłabły, otworzyłem więc oczy i wpatrzyłem się w zawiły kwiatowy wzór na dywanie. Kiedy nieco otrzeźwiałem, podniosłem wzrok i popatrzyłem na komodę.

Jedna z dolnych szuflad była wysunięta tak, że widziałem w jej wnętrzu koszulę. Patrzyłem na nią zdziwiony, nie mogąc dociec czy należy do mnie.

I znów, jak poprzednio, zrozumienie przyszło nieprawdopodobnie wolno. Koszula była oczywiście własnością kogoś, kto wynajmował ten pokój i mogłem mówić o dużym szczęściu, że znalazłem się tutaj w chwili, gdy jego tu nie było.

Z sufitu zwieszał się żyrandol, a każda z czterech białych kul umocowana była na wygiętym z metalowej rurki ramieniu. *Elektryczność* — pomyślałem, a chociaż wiedziałem, że ją tu zainstalowano, wydało mi się to nieco dziwne.

Następnie spojrzałem niżej, w stronę szafy, która znajdowała się w tym samym miejscu, co poprzednio. Jej drzwi były otwarte na roścież, mogłem więc widzieć wiszące wewnątrz dwa garnitury, parę butów i dwa kapelusze na górnej półce. Gapiłem się na nie przez parę minut, aż nagle przemknęło mi przez myśl, że właściciel tych ubiorów w każdej chwili może zjawić się w pokoju. Muszę się stąd wydostać.

I wtedy zstąpiło na mnie jak objawienie, że przecież znajduję się w tym samym miejscu, co Eliza.

Zbyt gwałtownie usiłowałem wstać i znów ogarnęły mnie ciemności, nie mogłem jednak pozwolić im się pokonać. Trzymając się kurczowo wezgłowia łóżka oddychałem spazmatycznie, czekając na zniknięcie oznak zawrotu głowy, po czym puściłem oparcie i spróbowałem stanąć o własnych siłach, natychmiast jednak znowu musiałem przytrzymać się ciężkiego mebla. Mój Boże, pomyślałem, czy tak ma być cały

czas? Jak mogę marzyć o poruszaniu się po hotelu, jeżeli nie mogę się pozbierać?

Wysiłkiem woli, zaciskając zęby, zmusiłem się do ponownego wypuszczenia z ręki mego wsparcia. Zwalczyłem pokusę, aby uchwycić je znowu, i wreszcie udało mi się chwiejnie stanąć na własnych nogach — jak dziecko, które nieporadnie próbuje wykonać swój pierwszy krok. To porównanie było całkiem na miejscu, bo przecież ja, jako człowiek 1896 roku, też byłem niemal nowonarodzony, zmuszony do nauki poruszania się w tym nowym, nieznanym mi świecie.

Kiedy przestałem drżeć, wciągnąłem w płuca haust powietrza (powietrza z 1896 roku, jak sobie uświadomiłem), aby się ośmielić, i wykonałem pierwszy krok. Nogi pode mną wciąż były miękkie, szedłem więc, zataczając się na boki jak pijak. Pospiesznie dałem jednak krok, a potem jeszcze jeden, poruszając się urywanymi skokami, jak Boris Karloff w roli potwora Frankensteina, i jak on macając na oślep dłońmi w poszukiwaniu podpory. Z trudem dopadłem do komody, nie przewróciwszy się po drodze, i wsparłem się obiema rękami o jej blat, spojrzałem w lustro, a moje odbicie falowało, jakbym je widział we wzburzonej wodzie, po czym zamknąłem oczy.

Chyba minęła co najmniej minuta, kiedy otworzyłem je znowu i ostrożnie spojrzałem w zwierciadło. Aż się skrzywiłem na widok własnej bladości. Wyglądałem dosłownie, jak gdybym wstał z łoża śmierci. Czy to jest cena, jaką się płaci za podróż w czasie?

— Zapomniałeś chyba zabrać własną krew — odezwałem się do bladego jak ściana, obcego faceta w lustrze. Drgnął on, zaskoczony dźwiękiem mego

głosu, a potem uśmiechnął się słabo. Zauważyłem, że jego jabłko Adama poruszyło się przy przełknięciu. — Mimo to dasz sobie radę — dokończyłem, on zaś przytaknął moim słowom.

Spojrzałem na blat komody i ogarnęło mnie zdziwienie, że nie strąciłem na podłogę ani jednego z licznych, leżących na nim przedmiotów. Czego tam nie było — zdobiona złotem miseczka, w której stał sztorcem wilgotny pędzel do golenia, prosta brzytwa o rękojeści z kości słoniowej, ozdobna miotełka do ubrania i coś, czego przeznaczenia nie mogłem odgadnąć, a co przypominało srebrny trzonek noża.

Zaciekawiony tym, ująłem przedmiot w prawą rękę i zbliżyłem do oczu, aby lepiej mu się przyjrzeć, ale niewiele mi to dało. Wyprostowałem się i pociągnąłem za zawiązaną w węzeł wstążkę, wydobywając z trzonka zawieszony na tejże wstążce pęk wąskich pasków materiału. Wierzchni pasek zrobiony był z cienkiej blaszki, na której wyryte były słowa: *Leczę wszystkie rany za wyjątkiem tych, które zadał Amor.* Palcem wyczułem, że paski były lepkie od spodu, po chwili więc doszedłem do wniosku, że jest to zapewne jakaś substancja gojąca zacięcia przy goleniu.

Schowałem paski z powrotem do trzonka i odłożyłem go na miejsce. Musiałem opuścić pokój, zanim ten człowiek powróci. Samo wyobrażenie próby tłumaczenia się z mojej obecności tutaj, przeszyło mnie dreszczem. Byłoby to wręcz groteskowe, gdybym po szczęśliwym dotarciu do 1896 roku skończył w więzieniu, oskarżony o bezprawne wtargnięcie, o ile wtedy używano tego określenia.

Mogłem już teraz, aczkolwiek nie bez trudu, utrzymać się na nogach bez podpory. Znowu zerknąłem na znękane widmo, spoglądające na mnie ze zwierciadła, i z przerażeniem pomyślałem, jak mam tego dokonać? Na myśl o wędrówce przez nie kończące się korytarze w poszukiwaniu Elizy, ogarnął mnie po prostu strach.

Przyłapałem się na tym, że patrzyłem na miotełkę do ubrania, na której rękojeści było wypisane słowo: *odrobinę.* Kiedy ją podniosłem, zaskoczyło mnie dobiegające z niej bulgotanie.

I znów, gdy zabrałem się do jej odkręcenia, okazałem się niezdarny jak niemowlę. Byłem przerażony własną słabością. Zanim udało mi się obluzować nakrętkę doszedłem do przekonania, iż nie dam sobie rady z niczym w tym nowym otoczeniu.

Powoli jednak gwint ustąpił, a kiedy zbliżyłem otwór do nosa, ostry zapach brandy połaskotał mi nos i zaszczypał w oczy, pobudzając do kaszlu. Odsunąłem flaszeczkę od siebie i odczekałem chwilę, potem pociągnąłem z niej pierwszy łyk.

Piekąca nitka ognia w gardle sprawiła, że się zachłysnąłem. Chwycił mnie atak kaszlu tak mocny, że nieomal nie upuściłem flaszki. Ku mojej rozpaczy, całe ciało wydawało się być teraz z ciężkiego, lecz kruchego szkła, grożącego pęknięciem przy każdym wstrząsie. Oparty całym ciężarem o. komodę, z zamkniętymi oczyma, z twarzą wykrzywioną z wysiłku, z najwyższym trudem usiłowałem opanować targające mną spazmy.

Gdy kaszel wreszcie minął otworzyłem oczy i stwierdziłem, że ledwo widzę własne odbicie załzawionym wzrokiem. Przytwierdziłem z powrotem trzonek do

miotełki i odłożyłem ją na miejsce. Przetarłem oczy, a mój wizerunek odzyskał ostrość konturów. Nic dziwnego, pomyślałem, że brandy podaje się przy ataku serca. Teraz, gdy pochylałem się nad wysuniętą szufladą, niemal fizycznie czułem, jak trunek skleja mnie na powrót z porozbijanych kawałków. W szufladzie oprócz koszuli znajdowało się otwarte pudełko platerowanych spinek do kołnierzyka, a obok niego magazyn „Bezsenna noc za pięć centów".

Kiedy wyprostowałem się, poczułem, że brandy w istocie zdziałała wiele dobrego. Nie tylko umysł miałem o wiele jaśniejszy, lecz również moje nogi ponownie złożone były z mięśni i ścięgien, a nie z samej żelatyny. Aż mi zaparło dech w piersiach, kiedy uświadomiłem sobie, że jednak zdołam do niej dotrzeć.

Rzuciłem ostatnie, kontrolne spojrzenie w lustro. Krawat poprawiony, ubranie leży dobrze. Ostrożnie uniosłem rękę, aby przyklepać włosy tam, gdzie odgniotły się od poduszki i sprawdziłem, że pieniądze wciąż były na miejscu w wewnętrznej kieszeni surduta. Zaczerpnąłem głęboko, rozgrzane powietrze i ruszyłem w stronę drzwi powolnym, czujnym krokiem. Nadal jeszcze czułem się nieco zamroczony, ale przynajmniej odzyskałem panowanie nad nogami.

Ująłem dłonią metalową gałkę, obróciłem ją i pociągnąłem, ale drzwi nie otworzyły się. Oczywiście zamknięte na klucz, pomyślałem z łagodnym uśmiechem, który miał usprawiedliwiać moją naiwność, nie pozwalającą przewidzieć czegoś tak oczywistego, i rozejrzałem się za czymś, co mogłoby mi posłużyć do otwarcia zamka.

Niczego takiego nie było.

Była to tak nieoczekiwana przeszkoda, że w ogóle nie mogłem dać sobie z nią rady. Znowu byłem jak noworodek, ogłupiały i oszołomiony.

Czyżbym przeszedł siedemdziesiąt pięć lat tylko po to, aby stanąć bezradnie przed zaryglowanym zamkiem w drzwiach?

W pierwszej chwili nie zdawałem sobie nawet sprawy, że trzęsła mi się głowa, jedyne co docierało do mojej świadomości, to natrętna myśl: to przecież niemożliwe.

A jednak było możliwe i to tuż przed moim nosem. Wystarczyło przecież, że facet wyszedł i zamknął drzwi od zewnątrz na klucz, aby ten pokój stał się dla mnie więzieniem.

Nie wiem, jak długo tak stałem, gapiąc się na drzwi w otępiałym bezruchu i oczekując jakiegoś rozwiązania, nie byłem bowiem w stanie zrozumieć, że ono nie istnieje. W końcu jakoś ta prawda dotarła do mnie, jęknąłem więc i zawróciłem na sztywnych nogach w głąb pokoju. Dotarłem do komody i zacząłem przeszukiwać jedną po drugiej szuflady, choć przy każdym nachyleniu robiło mi się ciemno przed oczami. Łudziłem się rozpaczliwą nadzieją, że lokator pokoju pozostawił gdzieś tutaj zapasowy klucz.

Nadzieja ta jednak okazała się płonna, a co gorsza nie było tam również żadnego narzędzia, żadnych nożyczek, pilnika do paznokci czy też scyzoryka, którym można by było próbować wyłamać zamek. Nie, to niemożliwe, jęknąłem ponownie.

Na miękkich nogach pospieszyłem do okna, kiedy jednak wyjrzałem przez nie, nie dostrzegłem ani śladu

drabinki przeciwpożarowej. Z uczuciem zawodu popatrzyłem w dół, na łagodny łuk alejki, rozległe, zielone trawniki i dwa wyasfaltowane korty tenisowe w miejscu, gdzie znajdował się północny skraj parkingu. Zauważyłem też ze zdumieniem, mimo swego stanu ducha, że tylną ścianę hotelu dzieliło od oceanu nie więcej niż jakieś dwadzieścia metrów.

Rozejrzałem się po wąskiej plaży, ozłoconej pomarańczową poświatą i obramowanej pianą przyboju, i aż drgnąłem ze zdumienia, gdy w moim polu widzenia pojawiła się jakaś para małżeńska z dwójką dzieci. Ich widok sprawił, że serce zaczęło mi bić szybciej, byli to bowiem przecież pierwsi mieszkańcy 1896 roku, jakich ujrzałem na własne oczy. Jeszcze niedawno byliby dla mnie tylko zmarłymi — co najwyżej któreś z tych dzieci dożywało swych dni — a teraz, proszę, defilowali przed moimi oczyma jako istoty z krwi i kości. Gdybym dotąd miał jeszcze jakieś wątpliwości, gdzie się znalazłem, to widok mężczyzny w cylindrze i z trzcinową laseczką, kobiety w czepku i długiej do ziemi sukni, a już szczególnie ubiorów dziecięcych, przekonałby mnie ostatecznie, że rok 1971 pozostawiłem daleko za sobą.

Obróciłem się na pięcie z okrzykiem wzburzenia. Oszaleć można! Przecież muszę odnaleźć Elizę! Pokuśtykałem do drzwi, chwyciłem gałkę i zacząłem ją szarpać z wściekłością, ale z wysiłku zakręciło mi się w głowie tak, że musiałem oprzeć się czołem o taflę z gładkiego ciemnego drewna. Byłem wyraźnie zbyt zdenerwowany, aby cokolwiek wymyślić. Wreszcie zdesperowany, zacząłem walić pięścią w drzwi. Miałem nadzieję, że gdzieś w pobliżu znajdzie się ktoś

z hotelowej służby, kto mnie stąd wypuści, nikt jednak się nie pojawił.

Chwyciły mnie silne dreszcze i przez dłuższą chwilę lękałem się, że stracę panowanie nad sobą. Sytuacja stawała się coraz bardziej bez wyjścia. Gdybym czekał na powrót lokatora tego pokoju, on z pewnością zawiadomiłby obsługę. Może z początku udałoby mi się umknąć, ale i tak dopadliby mnie w trakcie poszukiwań Elizy, a potem czekałoby mnie śledztwo, areszt, a może nawet i więzienie. Boże! Trafić do więzienia po tym wszystkim, co przeszedłem!

Obróciłem się gwałtownie, przyszedł mi do głowy pewien pomysł, niewątpliwie zrodzony z rozpaczy, niemniej jednak była to pierwsza rozsądna myśl od chwili przybycia do 1896 roku. Chwiejnie podszedłem do komody i wziąłem z niej oprawną w kość słoniową brzytwę, po czym wróciwszy do drzwi otworzyłem ją i zacząłem strugać futrynę na wysokości klamki.

Boże, spraw tylko, żeby on teraz nie wrócił, powtarzałem w myślach, nie mogłem jednak pozwolić na to, aby powstrzymał mnie lęk przed ryzykiem, skrobałem więc dalej brzytwą futrynę, odłupując szczapę po szczapie, i od czasu do czasu szarpałem za gałkę aby sprawdzić, czy drzwi już nie puszczają. Nie zwracałem uwagi na to, że chwilami robiło mi się ciemno w oczach. Musiałem odnaleźć Elizę i tylko to w tej chwili było ważne.

Po długich minutach udało mi się z ogłuszającym trzaskiem oderwać drzwi od futryny. Wyjrzałem na korytarz z bijącym sercem, ale w zasięgu wzroku nie było nikogo. Facet pewnie będzie z początku sądził,

że ktoś się do niego włamał, pomyślałem patrząc na zaśmiecony wiórami dywan u moich stóp.

Odwróciłem się i cisnąłem brzytwę do pokoju. Odbiła się od materaca i upadła na dywan. Biedaczysko, pomyślałem zamykając drzwi za sobą, zafundowałem mu zagadkę, której nigdy nie rozwiąże sam ani z niczyją pomocą. Ktoś wydostał się z pustego, zamkniętego na klucz pokoju. Ten szaleńczy paradoks w stylu Johna Dicksona Carra, niemal mnie rozśmieszył, a gościom i obsłudze hotelu powinien dać temat do rozmów na długi czas.

Poczułem niepokój, kiedy uświadomiłem sobie, że moja obecność wywołała już zaburzenia w 1896 roku, spowodowałem bowiem materialną szkodę i stworzyłem problem bez rozwiązania. Zastanawiałem się, czy to dopuszczalne, musiałem jednak dać temu spokój, ponieważ i tak nie mógłbym nic na to zaradzić. Miałem znaleźć Elizę i niczym innym nie powinienem sobie zawracać głowy.

• • •

Wyszedłszy z pokoju nie skręciłem w prawo, nie wiem dlaczego, była to bowiem najprostsza droga. Prawdopodobnie obawiałem się zbyt wczesnego spotkania z ludźmi. Spotkałbym na pewno windziarza, zakładając, że winda była na swoim miejscu. Nawet jednak gdyby jej tam nie było i tak musiałbym natknąć się na kogoś na dziedzińcu. Z niejasnych powodów myśl o bliskości innej osoby wyprowadzała mnie z równowagi. Wolałem unikać tej konieczności tak długo, jak tylko można. Czyżby to było odczucie

właściwe duchom, ów lęk przed zbliżaniem się do ludzi, aby nie spojrzeli przez nas i nie pozbawili nas ulotnego złudzenia przebywania wśród żywych? Zaniepokoił mnie nawet widok tego małżeństwa z dziećmi na plaży. To zupełnie co innego być w pokoju i patrzeć na przedmioty, których wygląd świadczy o epoce, niż znaleźć się w obecności żywych istot z tego czasu. Zastanawiałem się, jakbym zareagował, będąc oczywiście zmuszony rozmawiać zjedna z nich, patrząc jej w oczy i czując bliskość ciała; jak bym zareagował na jej obecność?

Przesuwające się obok mnie ściany wąskiego korytarza były rozmazane. Zdawało mi się, że poruszam się we śnie. Czyżbym znowu miał się zagubić, jak mi się to przydarzyło już raz tego dnia? Jakiego dnia? To oczywiste pytanie kłóciło się teraz ze wszelką logiką. W mojej pamięci ów dzień był już przeszłością, teraz jednak znajdowałem się w przeszłości jeszcze dalszej.

Odsunąłem pospiesznie od siebie tę myśl zanim zdążyła zmącić mi umysł. Mijając wiszący na ścianie, zwinięty w krąg wąż strażacki dotknąłem go, aby w ten sposób potwierdzić jego i moje istnienie. To ma być dla mnie teraźniejszością, z której narodzą się wszelkie plany i wspomnienia. Pamiętam, że patrzyłem na mijane po drodze beczki, wiadra, na wiszące na ścianach toporki, zastanawiając się, po co właściwie tutaj tyle tego sprzętu. Przypominam sobie również, że kiedy się obudziłem, zobaczyłem na suficie wylot gaśnicy.

Nieważne — powiedziałem sobie. Wystarczająco trudnym dla mnie zadaniem było poczuć się rzeczywi-

stą osobą w rzeczywistym otoczeniu, na tym musiałem skoncentrować całą uwagę. Przechodząc obok bogato oprawnego lustra poczułem wielki przypływ ulgi, kiedy stwierdziłem, że się w nim odbijam.

Idąc tak odczułem naraz, że mój żołądek jest skurczony i niebezpiecznie rozgrzany. Próbowałem sobie przypomnieć, jak dawno temu jadłem, ale problem ten wprawił mnie w zakłopotanie. Dzień, w którym jadłem, nie był przecież owym dniem, w którym maszerowałem korytarzem, ale czy moje ciało wiedziało o tym? Czy nie było raczej tak, że mój organizm przeżył stosunkowo krótki, nieprzerwany okres czasu, a zarazem przeskoczył przez wiele lat? Przymując to założenie, nie należało się dziwić, że odczuwam niepokój w żołądku, a całe ciało mam odrętwiałe i jakby nie moje, w przeciągu paru sekund bowiem przeniosłem się z roku 1971 do 1896.

Z wrażenia poczułem się jak ogłuszony. Musiałem przystanąć i oprzeć się o ścianę, próbując złapać oddech. Przyszła mi do głowy idiotyczna myśl: czy moje płuca w ogóle mogą oddychać tym powietrzem? Natychmiast więc zamknąłem oczy, chcąc utwierdzić się w świadomości nowej teraźniejszości. Przecież byłem tu! Nic więcej nie ma znaczenia. Jestem tu, duszą i ciałem, w...

Aż się wzdrygnąłem, kiedy uświadomiłem sobie, że nie wiem jaki jest dzisiaj dzień. Instruowałem siebie, abym trafił na 19 listopada, ale wtedy, kiedy to mówiłem, pisałem, a w końcu myślałem, był piątek. Czy zatem dzisiaj jest dalej piątek, czy też czwartek dziewiętnastego? Ta niejasność wprawiła mnie w przerażenie, jeżeli bowiem byłby to piątek, jej

przedstawienie rozpoczynałoby się już za parę godzin i mógłbym jej wcale nie spotkać.

Wstrząsały mną dreszcze, których nie mogłem opanować. Nigdy nie zastanawiałem się nad szczegółami naszego spotkania, bo nawet wierząc w nie tak, jak ja wierzyłem, nie byłbym w stanie przełożyć ich na język praktyki. Eliza mogła przecież być na próbie wśród swoich kolegów z zespołu, gdzie jej prywatności strzegł Robinson a nawet (z tego co wiem) oddział mundurowej policji. Mogła też znajdować się w swoim pokoju pod czujnym okiem matki (z którą niewątpliwie mieszkała), także i w tym przypadku strzeżona przez policję. Mogła wreszcie spożywać posiłek w towarzystwie matki, a najprawdopodobniej i Robinsona. W każdym wypadku znajdowałaby się wśród chroniących ją ludzi, jak więc miałbym znaleźć sposobność, by ją bodaj zagadnąć, nie mówiąc już o wyłożeniu całej sprawy?

Świadomość, że moje marzenia były daremne, ujawniła mi się z tak brutalną siłą, że aż mi zaparło dech w piersiach. Oparłem się o ścianę z przymkniętymi oczyma, zdjęty przerażeniem. Nie było żadnego sposobu! Dotarcie do 1896 roku okazało się niczym w porównaniu z próbą spotkania z nią. Pierwszego czynu dokonałem sam i nikt nie był w stanie przeszkodzić czy odwieść mnie od niego, w dokonaniu drugiego mogło jednak stanąć mi na zawadzie wielu ludzi.

Przeżywałem kolejny kryzys. Nie wiem, jak długo stałem oparty o ścianę, wyzuty z sił i niezdolny do podjęcia dalszej drogi. Byłem zbyt słaby, aby nawet przeklinać swoją głupotę, która nie pozwoliła mi

przewidzieć tak elementarnych trudności. Teraz nękała mnie bezbrzeżna rozpacz, albowiem wszystko wydawało mi się wymykać z rąk.

Mógłbym pewnie tkwić tam do tej chwili (chyba, że bezwład umysłu sprowadziłby mnie z powrotem do 1971 roku), gdybym nie usłyszał odgłosu zbliżających się kroków. Obróciłem gwałtownie głowę w ich stronę i zobaczyłem, że korytarzem idzie ku mnie jakiś mężczyzna.

Spoglądałem na niego z dziwnym przeczuciem. Ubrany był w coś, co wyglądało jak garniturek mojego brata na fotografii z rodzinnego albumu, ubranko z szarego tweedu ze spodenkami do kolan. Dopiero kiedy się przybyliżył, zobaczyłem, że jego marynarka przypominała krojem raczej koszulę, że nosił szare buty zapinane na guziczki, a w ręce trzymał perłowoszary cylinder. Jego wiek trudno było odgadnąć z powodu brody. Pamiętam, że w myślach nazwałem go Karolem Dickensem. Oczywiście, nie mógł to być on, ale podobieństwo było uderzające.

Natomiast ja musiałem przypominać mu widmo, na jego twarzy bowiem pojawiło się zaskoczenie, którego miejsce natychmiast zajęła troska. Przyspieszył kroku i wkrótce stanął przy mnie.

— Czy pan niezdrów, szanowny panie? — zapytał.

Zmartwiałem na dźwięk ludzkiego głosu, pierwszego, jaki usłyszałem od chwili przybycia do 1896 roku, jak gdyby przeszył mnie prąd elektryczny.

— Szanowny panie — powtórzył mężczyzna i chwycił mnie za ramię.

Patrzyłem prosto w jego twarz, odległą zaledwie o parę centymetrów. Nie mogłem odsunąć od siebie

makabrycznej myśli, że jeszcze dziś rano (według mojego czasu) człowiek ten był martwy od wielu lat, teraz stał przede mną jak okaz życia i młodości, z bliska bowiem widać było, że jest młodszy ode mnie. Na ramieniu czułem uścisk jego żylastych palców, w niebieskich oczach widać było żywe zainteresowanie, docierał do mnie nawet zapach tytoniu w jego oddechu. Tak, był przeraźliwie, wręcz straszliwie żywy.

— Czy mógłbym odprowadzić pana do pokoju? — spytał.

Przełknąłem ślinę i skupiłem się w sobie. Zdawałem sobie sprawę, że muszę się dostosować, bo inaczej wszystko przepadnie.

— Nie, dziękuję — odparłem, usiłując się uśmiechnąć. — To tylko...

Już chciałem powiedzieć „grypa", kiedy zorientowałem się, że nie mogę użyć tego słowa w dziewiętnastym wieku.

— ...zawrót głowy — dokończyłem zająkliwie. — Byłem nieco chory.

— Może warto by zlec na chwilę — zaproponował językiem tak dziwnym, że w pierwszej chwili nie zrozumiałem, o co mu chodzi. W jego głosie brzmiała prawdziwa troska, co mi uświadomiło, jak fatalne mogło być moje pierwsze spotkanie z obcą osobą, gdyby nie był to ten młody człowiek, lecz ktoś chłodny i niemiły, kto jedynie pogłębiłby moją depresję-

— Dziękuję, nie. Nic mi nie będzie — odrzekłem, przymuszając się do uśmiechu. — W każdym razie dziękuję panu za pomoc.

— Nie ma za co, proszę pana — powiedział pogodnie, rozluźniając uścisk. — Jest pan pewien, że nie przydam się panu?

— Nie, dziękuję. Nic mi nie będzie — wiedziałem, że się powtarzam, ale nic innego mi nie przychodziło do głowy. W tym nowym środowisku musiałem uczyć się mowy, tak jak chodzenia, rozpoczynając od nieporadnych potknięć.

— No... — przytaknął skinieniem głowy, ale zaraz znowu zmarszczył czoło.

— Jest pan pewny? — zapytał badawczo. — Wygląda pan dość blado.

— Tak, bardzo dziękuję — odpowiedziałem z takim samym ruchem głowy. — Ja... mój pokój jest niedaleko.

— To doskonale — poklepał mnie dobrodusznie po ramieniu. — Niech pan więc na siebie uważa.

Gdy zaczął się oddalać, ruszyłem w przeciwną stronę, aby nie poczuł się w obowiązku zawrócić, widząc mnie dalej opartego o ścianę. O ile sobie przypominam, szedłem powoli, ale mniej więcej wyprostowany. To była przełomowa chwila, pomyślałem znowu, to moje pierwsze spotkanie z mieszkańcem roku 1896, udało mi się pokonać tę przeszkodę pomyślnie. Trudno mi jednak było przy tym uwolnić się od smutnej refleksji, że gdyby przytrafiła mi się podobna przygoda w tym samym korytarzu, ale w 1971 roku, raczej nie mógłbym liczyć na równie przyjazne potraktowanie. Jakie miałbym szanse, wspierając się tak o ścianę, gdyż rozpacz odebrała mi siły, spodziewać się cze-

goś więcej poza zimnym, taksującym spojrzeniem, jeżeli ludzie patrzą bez słowa na dokonywane na ich oczach morderstwa?

• • •

Schodząc po schodach zacząłem powoli rozróżniać pomruk ludzkich głosów, przemieszanych z innymi, nieznanymi mi dźwiękami. Pamiętam, myślałem wtedy, że zstępuję w samą otchłań czasu na spotkanie kolejnej, znacznie trudniejszej próby. Tu był pusty korytarz i jeden sympatyczny człowiek, teraz zaś miałem stanąć twarzą w twarz z gromadą ludzi w ich tajemniczym dziewiętnastowiecznym świecie.

Przystanąłem, czując zimno i osłabienie, obleciał mnie bowiem strach, czy będę w stanie stawić temu czoła. Teraz, tak wyraziście jak nigdy uświadamiałem sobie, że nieskończenie łatwiej jest przeniknąć do innej epoki niż przystosować się do niej.

Ja jednak nie miałem innego wyjścia. Nie mogłem pozwolić sobie na załamanie teraz, gdy od Elizy dzieliły mnie zaledwie minuty. Chwyciwszy poręcz tak mocno, jak tylko mogłem, ruszyłem dalej w dół schodami, czując, jak stopniowo ogarnia mnie pulsowanie 1896 roku. Musiałem dopasować się do tego, obcego mi rytmu lub też utracić wszystko.

Zatrzymałem się na ostatnim podeście, który tworzył coś w rodzaju saloniku o trzech ścianach. Po prawej stronie znajdował się kominek z żarzącymi się węglami na ruszcie, a obok niego stał nakryty serwetą stół i cztery delikatne krzesełka. Patrzyłem na to wszystko przez dobrą minutę, starając się opóźnić

konfrontację z lawiną obrazów i dźwięków, która oczekiwała mnie na dole.

W końcu odwróciłem się gwałtownie i podszedłem do skraju podestu, skąd otwierał się widok na hall.

Z pewnością był to przypadek, ale kiedy byłem w pół drogi do bariery, w hallu zapalono światła. Tak mnie to zaskoczyło, że stanąłem z otwartymi ustami i mocno zacisnąłem powieki. Tylko spokojnie, mówiłem sobie w duchu, a może błagałem siebie — sam już nie wiem.

Kolejne zaskoczenie: z prawej strony usłyszałem jakiś szum, który zmusił mnie do otwarcia oczu i zwrócenia ich w tym kierunku. Była to winda, która jak klatka na ptaki osuwała się szybem z czarnych kutych w żelazie krat.

Wewnątrz widziałem parę małżonków. Tylko przez chwilę zrównali się ze mną, ale ich obraz wrył się na stałe w moją pamięć — on w długiej, dwurzędowej jesionce, oblamowanej futrem na kołnierzu i mankietach, trzymający przy piersi połyskliwy, czarny kapelusz, i ona w długim futrze, wytwornym kapeluszu na samym czubku głowy, z ciemnorudymi włosami, związanymi w ciasny węzeł na karku.

W tej krótkiej chwili stali się dla mnie ucieleśnieniem wdzięku i elegancji epoki, do której trafiłem, a to, że nawet nie raczyli zauważyć mego spojrzenia, tylko pogłębiło moje wrażenie. Kiedy winda zjechała do poziomu hallu i zatrzymała się, podszedłem do barierki, aby popatrzeć, jak z niej wysiadają, jedno po drugim, i jak prawa ręka kobiety lekko umieszcza się na lewym ramieniu partnera, kiedy się ze sobą zrównali. Przejęty zachwytem patrzyłem w ślad za

nimi, jak odpływali w stronę frontowych drzwi, pełni spokojnej dystynkcji. Jako ludzie mogli być nawet potworami, ale w roli symbolu swego czasu i pozycji, byli wręcz doskonali.

Następnie odwróciłem się i zszedłem schodami do hallu.

W pierwszej chwili odczułem rozczarowanie. Brak tu było przepychu, jakiego oczekiwałem. W dość skąpym oświetleniu hall wydawał się niemal obskurny w porównaniu z tym, co widziałem w 1971 roku. Żyrandol był prostej konstrukcji z kloszami z mlecznego szkła. Zamiast mebli z obiciami z czerwonej skóry stały tu krzesła i kanapy z ciemnego drewna lub wyplatane wikliną, palmy w donicach, rozliczne okrągłe, kwadratowe i prostokątne stoły oraz, co zadziwiło mnie najbardziej, błyszczące spluwaczki rozmieszczone w różnych strategicznych punktach.

Stanowisko recepcji znajdowało się gdzie indziej, na prawo od windy, to znaczy tam, gdzie wcześniej (czy też raczej później?) widać było dalszy ciąg hallu i okienko trafiki. W miejscu, gdzie spodziewałem się recepcji, była lada, a nad nią napis „Western Union Telegraph Office", obok zaś mieścił się sklepik, stanowiący połączenie kiosku z gazetami i straganu pamiątkarskiego, którego reklamę stanowiła stojąca na ladzie szklana gablota, pełna najrozmaitszych drobiazgów. Za rogiem sklepiku można było dostrzec otwarte drzwi z zasłoną ze zwisających frędzli, przez które majaczyły zarysy stołu bilardowego. Co więcej, w hallu nie panowała już rozkoszna cisza, podłoga bowiem nie była wyłożona grubym dywanem, lecz stanowił ją mozaikowy parkiet, po którym

stukały buty gości i trzewiki obsługi, rozbrzmiewając echem pod wysokim sklepieniem.

Niemało wysiłku kosztowało mnie zmuszenie się do przemierzenia tej przestrzeni, po drodze bowiem należało wyminąć wiele osób. Starałem się nie zwracać uwagi na ich wygląd, a nawet na płeć, gdyż wyczuwałem, że jedyną szansą na przystosowanie się, jest pomijanie wszelkich otaczających mnie szczegółów, aby tym lepiej skupić się na jednym problemie w danym momencie.

Moje oszołomienie i bladość wciąż jeszcze były widoczne, o czym niedwuznacznie świadczyło spojrzenie ubranego w ponury, czarny strój recepcjonisty z zakręconymi do góry wąsami, chociaż starałem się trzymać w miarę możności jak najlepiej, zbliżając się do niego.

— Słucham pana? — zapytał.

Przełknąłem, stwierdzając po raz pierwszy, że jestem strasznie spragniony.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć... — zacząłem, ale musiałem odkaszlnąć i raz jeszcze przełknąć ślinę, zanim zdołałem dokończyć pytanie.

— Czy byłby pan uprzejmy powiedzieć mi, w którym pokoju mieszka panna McKenna?

W nagłym wybuchu przerażenia, które zdawało się rozszarpywać mi serce, wyobraziłem sobie, iż za chwilę usłyszę odpowiedź, że osoby o takim nazwisku w ogóle nie ma w hotelu. Ostatecznie, skąd miałbym mieć pewność, że dzisiaj jest 19 lub 20 listopada? Równie dobrze mógł to być każdy inny dzień, miesiąc, a nawet, uchowaj Boże, rok.

— Czy mógłbym wiedzieć, dlaczego pan pyta?

— było to powiedziane grzecznie, ale w jego tonie wyczuwało się wyraźnie podejrzliwość.

Jeszcze jedna nieprzewidziana przeszkoda. To przecież oczywiste, że numeru pokoju kobiety tak dobrze znanej, nie powiedziano by pierwszemu lepszemu, musiałem więc coś zaimprowizować.

— Jestem jej kuzynem — powiedziałem. — Dopiero co przyjechałem i zatrzymałem się w pokoju 527.

Przeszył mnie przy tym dreszcz strachu, bo przecież wystarczyłoby zajrzeć do księgi, aby stwierdzić, że kłamię.

— Czy ona pana oczekuje? — padło pytanie.

— Nie — usłyszałem swoją odpowiedź, decydując się natychmiast kłamać dalej, w innym wypadku bowiem mogłoby dojść do niepotrzebnych komplikacji. — Wie tylko, że jestem w Kalifornii, a poza tym pisałem jej, że postaram się zdążyć na jej dzisiejsze przedstawienie, bo ma się ono odbyć dzisiaj, prawda? — dodałem, usiłując nadać temu pytaniu niedbały ton.

— Nie, proszę pana. Jutro wieczorem.

— Ach, tak — kiwnąłem głową.

Nie wiem, jak długo staliśmy naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem — może parę sekund, choć dla mnie były to niemal godziny; w każdym razie kiedy znów się odezwał byłem tak spięty, że go nie dosłyszałem i musiałem mruknąć:

— Przepraszam?

— Mówiłem, że poślę z panem boya, aby wskazał drogę — odrzekł.

Drogę do niej — pomyślałem i przejął mnie dreszcz.

— Czy pan się źle czuje? — spytał recepcjonista.

— Właśnie, zmęczyła mnie podróż pociągiem.

— Rozumiem — kiwnął głową, a potem przestraszył mnie, podnosząc rękę i głośno strzelając palcami.

— George!— zawołał.

Jego głos również zabrzmiał jak wystrzał.

W moje świadomie zawężone pole widzenia wkroczył, niski krępy mężczyzna w ciemnym, zapiętym pod samą szyję uniformie.

— Słucham, panie Rollins — powiedział.

— Zaprowadzisz tego pana do pokoju panny McKenna — polecił mu recepcjonista, a mnie się wydało, że zabrzmiała w tym wyraźna, choć nie wypowiedziana komenda „i pozostaniesz z nim, dopóki się nie przekonasz, że wszystko jest w porządku".

Może to zresztą była tylko moja wyobraźnia, choć przecież mógł mi po prostu podać numer pokoju, a nie przydzielać eskortę.

— Tak, panie Rollins — odpowiedział boy, który mimo tej nazwy wcale nie był chłopcem, bo prawdopodobnie liczył sobie z górą pięćdziesiątkę, po czym spojrzał na mnie i skinął ręką.

— Tędy, proszę pana.

Ruszyłem za nim bocznym korytarzem, starając się nie zwracać uwagi na mijane widoki, lecz bez większego powodzenia. Tam, gdzie była trafika, obecnie mieściła się czytelnia, na miejscu męskiej toalety zobaczyłem pokój, który musiał być, sądząc po zagęszczeniu mężczyzn z cygarami i fajkami, palarnią, a zamiast Sali Wiktoriańskiej dostrzegłem pomieszczenie, którego przeznaczenia nie udało mi się

odgadnąć, chociaż siedziało w nim kilkoro mężczyzn i kobiet zatopionych w rozmowie.

Serce zaczęło mi bić szybciej, kiedy zobaczyłem na wprost przed sobą drzwi do Sali Balowej. To przecież właśnie tu, w tej sali, szykuje się scenę do przedstawienia. Z trudem zaczerpnąłem tchu, gdy na prawo od drzwi ujrzałem rozpięty na sztalugach plakat i przeczytałem jak we śnie jego tekst: *Sławna aktorka amerykańska, panna Eliza McKenna, wystąpi w sztuce p. J.M. Barriego „Mały minister" w piątek, 20 listopada 1896 r. o 8:30 wieczorem.*

— Czy ona jest może tam w środku na próbie? — spytałem boya drżącym głosem.

— Nie, proszę pana. W tej chwili nie ma tam nikogo poza, być może, którymś z robotników.

Przytaknąłem głową zastanawiając się, co bym zrobił, gdyby jednak ona tam była. Po prostu wszedłbym i zagadnął ją? Ale jakimi słowami? Dzień dobry, panno McKenna. Przebyłem właśnie siedemdziesiąt pięć lat, żeby się z panią spotkać. Boże, na samą myśl o tym zrobiło mi się słabo.

Mówiąc szczerze, w ogóle nie wyobrażałem sobie, jak będę z nią rozmawiał twarzą w twarz, a przecież musiałem mieć coś na początek, jakieś wprowadzające zdanie. Popełniłem kolejny błąd w przygotowaniach, skupiając się tak bardzo na dotarciu do niej ani jednej myśli nie poświęciłem temu, o czym będziemy mówić, kiedy nadejdzie właściwy czas.

Rozmyślając tak, dreptałem za boyem po deskach, którymi wyłożona była podłoga oszklonej werandy. Patrząc w lewo przez rząd wąskich okien nie widziałem kortów tenisowych ani basenu, lecz leżącą o ja-

kieś trzy metry poniżej promenadę, od której grunt opadał wąskimi tarasami, przeciętymi tu i tam schodami. Ponownie zdumiałem się, jak blisko teraz był ocean. Podczas sztormów okna werandy niewątpliwie musiały być całe w pianie.

Kiedy mijaliśmy szerokie drzwi, prowadzące na schody w kierunku promenady, przez szklaną taflę dostrzegłem trzy postacie, zdążające ramię w ramię w kierunku hotelu. Nie można było rozróżnić ich płci, ponieważ cała trójka ubrana była w peleryny i kapelusze, a ponadto widoczna była na tle oślepiającego blasku gasnącego słońca.

Dłuższą chwilę mrugałem, aby przystosować wzrok. Skręciliśmy w prawo, przechodząc krótkim korytarzem na dziedziniec. Na ten widok zaparło mi dech w piersiach.

— Czy coś się stało, proszę pana?— boy spojrzał na mnie i przystanął, musiałem więc wymyślić jakąś odpowiedź.

— Strasznie zarośnięty jest ten dziedziniec.

— Dziedziniec?

Patrzyłem na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Nazywamy go podwórcem — wyjaśnił, poszedłem więc za nim dalej zachodnim obrzeżem podwórca. Zdziwiło mnie, że mimo tak odmiennego otoczemia miałem poczucie stałości i niezmienności. Być może jego źródłem był otaczający nas zewsząd masyw hotelu, ale nie byłem tego pewien. Każda próba analizy własnych odczuć musiała być bezskuteczna, wszystko bowiem przesłaniała mi myśl, że z każdym krokiem jestem coraz bliżej Elizy. Już za parę minut, a może i sekund, stanę z nią twarzą w twarz.

I co jej wtedy powiem?

Mój mózg nie był zdolny odpowiedzieć na pytanie. Wszystko, na co go było stać, to: „Czy mógłbym z panią porozmawiać, panno McKenna?", po czym następowała cisza, sama myśl jednak o wypowiedzeniu nawet tych paru słów napawała mnie lękiem. Czy można było spodziewać się z jej strony przyjaznej reakcji na tak nędzne powitanie przez całkiem jej obcą osobę?

W tym miejscu zamęt w moich myślach zaczynał narastać szybko, wspomagany działaniem pobudzonej wyobraźni. Zapewne powinna być zmęczona próbami, zdenerwowana, a może nawet podrażniona. A jeśli próby wypadły źle, albo pokłóciła się z matką lub Robinsonem? Zaczynało mi się coraz bardziej kręcić w głowie w miarę, jak przychodziły mi na myśl wciąż nowe przeszkody, jedna gorsza od drugiej, a każda z nich pozwalała mi na wypowiedzenie zaledwie paru bełkotliwych słów zanim ona przeprosi mnie, zatrzaśnie mi drzwi przed nosem i zniknie z mego życia na zawsze.

Dawno temu, kiedy miałem osiem lat, zgubiłem się na Coney Island. Uczucia, jakie przeżywałem wtedy jako małe dziecko, przypominały te, które towarzyszyły mi teraz w drodze do jej drzwi — ta sama ślepa trwoga i obezwładniający, uniemożliwiający myślenie strach, doprowadzające cały system nerwowy na skraj paniki. Byłem już niemal gotów do ucieczki, bo też i rzeczywiście skąd miałbym śmiałość stanąć przed nią? Przejść to wszystko, co dotąd przeszedłem tylko po to, aby wymamrotać kilka niezdarnych słów i wszystko utracić — to mogło mnie załamać. Stara-

łem się rozpaczliwie przekonać sam siebie, iż przecież czytałem, że podczas pobytu w tym hotelu ona kogoś spotkała, kogoś, kto...

Zamarłem nagle w bezruchu, a serce zaczęło mi walić tak mocno, jak gdyby chciało się wyrwać z piersi, tłukąc opętańczo o żebra.

A jeśli ona już spotkała tego kogoś i właśnie teraz są razem?

Nie zauważywszy, że przystanąłem, boy wysforował się naprzód, skręcił w lewo w otwarte drzwi i zniknął mi z oczu, ja zaś stałem nadal czując, że oszalałe serce sprawia mi fizyczny ból, kiedy oczami wyobraźni widziałem, jak ona otwiera mi drzwi, a za jej plecami miga mi przelotnie sylwetka młodego mężczyzny. To ten, o którym czytałem, jej „skandal z Coronado", a ja łudziłem się, że sam nim byłem, zwodząc swój umysł do tego stopnia, że zdołałem nawet okpić sam czas, byleby do niej dotrzeć.

Boy ukazał się z powrotem. Przyglądał mi się z pytającym wyrazem twarzy, zacisnąłem więc zęby i z wysiłkiem nabrałem tchu.

— Patrzyłem na podwórzec — wymruczałem.

Nie byłem pewien, czy mnie w ogóle dosłyszał, bo jeśli tak, poznałby się na kłamstwie bez trudu, on jednak za całą odpowiedź odrzekł:

— Tak, proszę pana — po czym wskazał na drzwi i dodał:

— Tędy, proszę pana.

Poszedłem za nim sztywno i bezwolnie, jakbym miał ze sto lat. Wszelkie moje nadzieje znów wydawały się bezsensowne, poruszałem się więc naprzód tylko dlatego, że brak mi było odwagi do ucieczki.

Weszliśmy do swego rodzaju poczekalni, skąd dalsze drzwi wiodły do czterech pokojów. Byłem tak oszołomiony niezwykłością tego co mnie czekało, że nie zwracałem uwagi na szczegóły wyposażenia ani umeblowania. Serce waliło mi już znacznie wolniej, za to odczuwałem pulsowanie w skroniach, zastanawiałem się więc mętnie, czy przypadkiem nie zemdleję, co, jak podpowiadała mi jakaś, w miarę jeszcze trzeźwa część mego umysłu, mogłoby być wcale nie gorszą metodą przedstawienia się niż te, które dotychczas obmyślałem.

Boy zatrzymał się przed jednymi z drzwi, na których ujrzałem owalną metalową tabliczkę z wyrytym numerem 41. Kiedy zastukał w nie, poczułem, że coś mnie skręca w środku, podłoga wybiega mi na spotkanie, a ściany zaczynają się chwiać. No i masz — skomentował spokojnie mój wewnętrzny głos. Nie było rady, musiałem oprzeć się o ścianę.

W chwilę później zrozumiałem, co to znaczy „niemal wyskoczyć ze skóry", kiedy tuż za plecami rozległ się piskliwy kobiecy głos:

— Szukacie panny McKenna?

Obróciłem się gwałtownie, niemal straciłem równowagę i z trudem ją utrzymałem, szukając po omacku ściany. Za nami stała młoda, pucołowata dziewczyna. Zdumiewające, co za głupstwa potrafi zarejestrować umysł w chwilach największego napięcia, z jej wyglądu zapamiętałem bowiem właściwie tylko popękane wargi.

— Tak, jest u siebie? — spytał boy.

— Wyszła chwilę temu — dziewczyna rzuciła mi zalotne spojrzenie, po czym znów spojrzała na niego.

— Nie wiesz, dokąd mogła pójść? — zapytał.

— O ile dosłyszałam, powiedziała swojej matce, że wychodzi na spacer po plaży.

— Dziękuję — wymamrotałem i wyminąłem ją, przy czym zaleciał mnie zapach, w którym dopiero później rozpoznałem mydło do prania. Kierowałem się ku drzwiom w cichej nadziei, że mój krok nie był naprawdę tak chwiejny, jak mi się wydawało, choć i tak przez chwilę zastanawiałem się, czy nie biorą mnie za pijanego.

— Proszę pana, może chciałby pan przekazać jakąś wiadomość? — pytanie boya zawisło za mną w powietrzu.

— Nie — odrzekłem, unosząc rękę w imitacji gestu podziękowania. To jasne, że nie mogłem przekazać jej żadnej wiadomości, która by miała dla niej bodaj odrobinę sensu.

Wymanewrowawszy jakoś przez drzwi saloniku-poczekalni skręciłem w lewo i już ruszałem w stronę północnego skrzydła hotelu, kiedy uświadomiłem sobie, że nie dałem boyowi żadnego napiwku, zaraz jednak zreflektowałem się, że posiadam tylko dwa banknoty.

O stanie mego umysłu najlepiej świadczy to, że kiedy mijałem zejście do piwnic, zacząłem poważnie się zastanawiać, dlaczego brak było przy nim szyldu Muzeum Hotelowego, mała winda jednak, którą napotkałem za zakrętem korytarza, rzeczywiście istniała i wcześniej. Stojący przy niej windziarz odprowadził mnie wzrokiem, który mówił niedwuznacznie, że wciąż wyglądam jak szaleniec. Jak na nieswoich nogach ciężko doczłapałem do drzwi, rozwarłem je i wymknąłem się na zewnątrz.

Ostrożnie schodząc ze stopni ganku, poczułem dreszcz, kiedy owionęło mnie zimne, morskie powietrze. Nabrałem nieco pewności siebie, kiedy dowiedziałem się, że Eliza wyszła na spacer. Zwalniało mnie to od konieczności spotkania w jej pokoju, po części zaś nadawało to całej sytuacji odrobinę więcej prawdopodobieństwa, potwierdzało także jej zamiłowanie do spacerów, o którym czytałem. Teraz jednak moja pewność siebie ulotniła się niemal całkowicie. Zdawałem sobie przecież sprawę, że szansa na spotkanie jej na plaży jest niezmiernie nikła. Dla mnie zaś jest to szansa ostatnia. Jeżeli jej teraz nie odnajdę, ona wkrótce zajmie się kolacją, być może jeszcze jedną próbą, a potem pójdzie spać.

Szedłem niepewnie promenadą, która wiodła łagodnym łukiem wzdłuż rzędów ociekających wodą drzew. Niedawno chyba padał deszcz, czego jednak dotychczas nie zauważyłem, pomimo wielu oznak. Minąłem puste korty tenisowe i skierowałem się w stronę brzegu morza. Słońce było już na horyzoncie, w trzech czwartych pogrążone w wodach oceanu świeciło pomarańczowym blaskiem. Nad odległym półwyspem zawisły ciemne chmury, podświetlone zachodnią zorzą. Wzdłuż nadmorskiej alei zapalono duże, kuliste lampy elektryczne na metalowych słupach, jak szereg bladych księżyców. Minąłem po drodze ławkę, na której siedział mężczyzna w czarnym cylindrze i palił cygaro. Może to Robinson, przemknęło mi przez myśl, może on zawsze stara się mieć ją na oku? Jeżeli tak, to uniemożliwi mi rozmowę, nawet gdybym ją spotkał.

Idąc, rozglądałem się po plaży, która teraz miała

zaledwie jakieś piętnaście metrów szerokości. Co będzie, jeśli jej tu nie znajdę? To pytanie wciąż mnie dręczyło, starałem się więc zastanawiać raczej nad tym, co będzie, gdy ją odnajdę, nie przerywając posuwania się do przodu, które tylko z litości można byłoby nazwać marszem.

W końcu jednak i tak musiałem przystanąć i chwilę odpocząć, odwracając się plecami do niezbyt silnego, ale zimnego wiatru. Stanąwszy tak, miałem przed sobą widok na hotel, którego ogromna, oświetlona sylweta rysowała się na tle nieba jak wycięty z papieru bajkowy zamek. Nagle ogarnął mnie lęk, obawa, że zawędrowałem zbyt daleko, że mój związek z rokiem 1896 jest ograniczony tylko do terenu hotelu, teraz więc zacznie słabnąć, aż nieodwracalnie cofnę się znowu do 1971 roku. Zamknąłem oczy, starając się zwalczyć to przeczucie, i odważyłem się je otworzyć dopiero po dłuższym czasie. Hotel stał dalej przede mną, taki sam jak przedtem.

A kiedy spojrzałem ponownie na wąską plażę, dostrzegłem ją.

Skąd wiedziałem, że to była właśnie ona? Nie widziałem przecież wiele więcej poza maleńką sylwetką, niemal niedostrzegalnie przesuwającą się na ciemnoniebieskim tle wody. W innych okolicznościach nie byłbym w stanie jej zidentyfikować, teraz jednak byłem pewien, że to musi być Eliza.

W pierwszej chwili jej widok wstrząsnął mną, sprawił, że serce zaczęło mi bić mocniej, a teraz pozostał tylko mdlący lęk, że ta chwila nie może trwać długo, że zobaczywszy ją wrócę zaraz tam, skąd przybyłem. Bałem się, że nawet jeśli zdołam ją

zagadnąć, ona zareaguje niechęcią na moją zuchwałość. Wbrew logice żywiłem nadzieję, że jej widok umocni moją pewność siebie. Stało się jednak dokładnie na odwrót. Stojąc tak i rozmyślając, jak mógłbym przekonać ją, że nie jestem szaleńcem, traciłem resztki zaufania we własne siły.

W głowie mi pulsowało, a całe ciało oblewał zimny pot, kiedy patrzyłem, jak szła powoli samym skrajem plaży, przytrzymując długą spódnicę, aby nie dotykała piasku. Zbliżała się do mnie powoli jak we śnie. Było to tak, jak gdyby z chwilą, gdy ją ujrzałem. Czas 1 utracił ważność, pozwalając na rozciągnięcie sekund do długości minut, które z kolei same wydłużyły się do godzin. Znowu znalazłem się poza zasięgiem zegarów i kalendarzy, skazany na przyglądanie się, jak ona zbliża się ku mnie poprzez wieczność, nigdy do mnie nie docierając.

Sprawiło mi to w pewnym sensie ulgę, ponieważ wciąż nie miałem pojęcia, co mógłbym jej powiedzieć, z drugiej strony jednak prawdziwą torturą było wiedzieć, że tak naprawdę nigdy się nie spotkamy. Ponownie poczułem się, jakbym był duchem i nawet wyobraziłem sobie, że ona zbliża się, a potem przechodzi przeze mnie nie mrugnąwszy okiem, dla niej bowiem ja po prostu nie istnieję.

Nie mogę sobie przypomnieć, w którym dokładnie momencie ruszyłem na jej spotkanie. Uświadomiłem sobie że idę dopiero wtedy, gdy moje buty zaczęły się ślizgać po zniszczonej, około metrowej skarpie nad plażą, a potem zachrzęścił pod nimi wilgotny piasek. Wrażenie, że wszystko to dzieje się we śnie, wzmacniały teraz jeszcze chmury, które zasnuły horyzont

i szczyt Point Loma, za którym kryło się zachodzące słońce. Chwilami traciłem ostrość widzenia i wtedy znikała mi sprzed oczu, ale cały czas zbliżaliśmy się ku sobie, jak dwie zjawy w nierealnym krajobrazie. Przypominało mi to scenę z żołnierzem na moście nad Owi Creek, który biegł do swojej ukochanej, lecz nie mógł jej osiągnąć, wszystko to bowiem było jego przedśmiertną halucynacją. Eliza McKenna i ja, sunęliśmy tak samo nieskończenie wolno naprzeciw sobie, podczas gdy spokojne fale bezustannie, jedna po drugiej uderzały o brzeg z tak uporczywą miarowością, że zdawało się to brzmieć jak szum odległego wiatru.

Trudno powiedzieć, kiedy mnie wreszcie zauważyła, na pewno widziała mnie jednak już wtedy, gdy zatrzymała się tuż nad wodą. Odcinająca się na tle blednącej zorzy zachodu nieruchoma sylwetka. Wiedziałem, że na mnie patrzyła, chociaż nie widziałem jej oczu ani twarzy, nie mogłem więc odgadnąć, jakie się na niej odbijały uczucia. Czy mógł być to strach? Nie przewidziałem, że moje pojawienie, mogło wywołać jej niepokój. Nasze spotkanie wydawało mi się tak nieuniknione, że nie przyszło mi nawet na myśl zastanawiać się, co powinienem zrobić, gdyby rzuciła się do ucieczki lub zaczęła wzywać pomocy? Jak więc miałem się zachować?

Wreszcie stanąłem przed nią i popatrzyliśmy na siebie w kompletnym milczeniu. Była o wiele niższa, niż to sobie wyobrażałem, tak niska, że musiała niemal zadrzeć głowę, aby mi spojrzeć w twarz. Ja zaś nadal jej twarzy nie mogłem zobaczyć, stała bowiem tyłem do światła. Czemu stała tak spokojnie, bez najmniejszego ruchu? Cieszyło mnie, że nie wołała

o pomoc ani nie zamierzała uciekać, dlaczego jednak nie wykazywała żadnej innej reakcji? Myśl, że to strach mógł ją tak obezwładnić, wyprowadzała mnie z równowagi.

To, co czułem, kiedy się do niej zbliżałem, okazało się niczym w porównaniu z tym, co nastąpiło potem. Zarówno moje ciało jak i umysł poraził paraliż, tak że nie byłem w stanie poruszyć się ani wydobyć z siebie słowa, choćby od tego zależało moje dalsze życie. Dręczyła mnie tylko jedna myśl — dlaczego ona też stała bez słowa, wpatrując się we mnie? Choć skądś wiedziałem, że nie było to skutkiem paraliżującego strachu, nie potrafiłbym poza tym przewidzieć jej zachowania ani własnej reakcji.

Nieoczekiwanie odezwała się pierwsza, aż drgnąłem na dźwięk jej głosu.

— Czy to pan? — spytała.

Gdybym sporządził listę wszystkich zdań, jakimi mogłaby zwrócić się do mnie, to byłoby pewnie na samym końcu, o ile w ogóle by się tam znalazło. Wpatrywałem się w nią z niedowierzaniem. Czyżby jakiś cud sprawił bez mego udziału, że już o mnie wiedziała? Nie mogłem w to uwierzyć, w chwilę później zorientowałem się jednak, że w ten sposób trafia mi się niezwykła okazja uniknięcia być może nawet długich godzin przekonywania jej, by mnie zaakceptowała.

— Tak, Elizo — usłyszałem własną odpowiedź.

Zachwiała się, wyciągnąłem więc szybko rękę, aby podtrzymać ją za ramię. Nie znajduję słów, by opisać uczucia, jakiego doznałem, gdy pod palcami poczułem ucieleśniony, tak długo śniony sen o niej.

Dotknięcie moich rąk sprawiło, że zesztywniała, nie mogłem jednak puścić jej tak od razu.

— Dobrze się czujesz? — spytałem.

Nie odpowiedziała, a chociaż nade wszystko pragnąłem poznać jej myśli, nie mogłem wydusić z siebie ani słowa więcej, tak onieśmielała mnie sama jej obecność, znowu więc wpatrywaliśmy się w siebie jak dwa posągi. Obawiałem się, że przez milczenie mogę utracić tę odrobinę, którą już zyskałem, ale mózg odmawiał mi jakiejkolwiek pomocy.

Wreszcie poruszyła się i rozejrzała dookoła, jak gdyby budząc się z transu.

— Muszę wracać do hotelu — szepnęła bardziej do siebie niż do mnie.

Słowa te zaskoczyły mnie i sprawiły, że znowu zacząłem tracić pewność siebie. Całą siłą woli musiałem powstrzymać się przed ucieczką.

— Odprowadzę cię — powiedziałem, licząc na to, że po drodze zdołam coś wymyślić.

Przyjęła to bez słowa, ruszyliśmy teraz razem w stronę hotelu. Gnębiło mnie poczucie zawodu. Dokonałem tak niewiarygodnego dzieła, pokonując barierę czasu, aby znaleźć się przy niej, a kiedy jesteśmy wreszcie razem (razem!), idąc ramię w ramię, ja nie mogę wydobyć z siebie ani jednego słowa. Dlaczego? Nie mogłem tego pojąć.

Kiedy odezwała się do mnie, znów drgnąłem, bowiem i tym razem nie spodziewałem się tego.

— Czy mogłabym dowiedzieć się, jak się pan nazywa? — spytała.

Zdołała już zapanować nad głosem, choć nie do końca.

— Ryszard — odpowiedziałem, nie wiedzieć czemu nie uzupełniając tego nazwiskiem. Być może wydawało mi się to zbyteczne, ją bowiem w myślach nazywałem tylko Elizą.

— Ryszard — powtórzyłem, również nie wiedząc, dlaczego.

Znowu zapadła cisza, która wydawała mi się obłąkańcza. Nie potrafiłem wyobrazić sobie, o czym będziemy rozmawiać, gdy się spotkamy, nigdy mi jednak nie przyszło na myśl, że będziemy milczeć. Pragnąc z całego serca poznać jej uczucia, czułem się jednak całkiem niezdolny do ich wybadania, tak samo zresztą, jak i do ujawnienia moich.

— Czy mieszka pan w hotelu? — zapytała wreszcie.

Zawahałem się, szukając właściwej odpowiedzi, w końcu jednak wydusiłem z siebie:

— Jeszcze nie. Dopiero co przyjechałem.

Przyszło mi nagle na myśl, że ona cały czas mnie się boi i tylko udaje, że jest wręcz przeciwnie, oczekując dogodnej okazji do ucieczki, gdy tylko znajdziemy się bliżej hotelu. Musiałem to wyjaśnić.

— Czy boisz się mnie, Elizo? — spytałem.

Spojrzała na mnie bystro, jakby czytając w moich myślach, a potem znowu skierowała wzrok przed siebie.

— Nie — odrzekła, ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

— Nie lękaj się — powiedziałem. — Jestem ostatnią osobą na świecie, której powinnaś się bać.

Szliśmy dalej w milczeniu, a ja wahałem się pomiędzy emocjami a zdrowym rozsądkiem. Z uczucio-

wego punktu widzenia sytuacja była jasna. Przedarłem się przez czas, aby być z nią, teraz więc, kiedy to się już stało, nie mogę jej stracić, z drugiej strony jednak rozum podszeptywał mi, że byłem dla niej wciąż całkiem obcy. Tak, tylko skąd wtedy jej pytanie: „Czy to pan?" Tego nie mogłem pojąć.

— Skąd pan jest? — spytała po pewnym czasie.

— Z Los Angeles.

Nie było to kłamstwo, chociaż również i nie cała prawda, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności. Chciałem mówić dalej, uświadomić jej, jakim cudem jest nasze spotkanie, ale nie miałem śmiałości. Byłem przekonany, że nie wolno mi nigdy ujawnić sposobu, w jaki do niej dotarłem.

Dochodziliśmy już do skraju skarpy. Za parę sekund wejdziemy na promenadę, a po paru minutach będziemy już w hotelu. Czułem, że nie mogę tak dalej iść niemy u jej boku, że muszę coś zrobić, coś co by nas zbliżyło do siebie, tylko jak? Czy mógłbym prosić ją o spotkanie dziś wieczór, skoro z pewnością czekała ją jeszcze próba, a potem wczesny spoczynek?

Niespodziewanie lęk, że mogę stracić jej zainteresowanie, gwałtownie przerodził się w przerażające poczucie, że tracę ją na zawsze, ogarnęło mnie bowiem przekonanie, że cofam się znów do roku 1971. Zatrzymałem się w pół kroku i wpiłem palce w jej ramię. Plaża zawirowała wokół mnie, a potem zaczęło mi się robić ciemno przed oczami.

— Nie — wymamrotałem bezwiednie — nie mogę tego utracić.

Nie wiem, jak długo to trwało, może sekundy tylko, a może minuty. Następny obraz jaki pamiętam, to

jej wpatrzone we mnie oczy. Wiedziałem, że teraz naprawdę się bała, mówiła o tym nawet jej poza.

— Bardzo proszę — jęknąłem — nie bój się.

W odpowiedzi wydała dźwięk, który świadczył, że równie dobrze mógłbym prosić, aby przestała oddychać.

— Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć — dorzuciłem.

— Czy pan się dobrze czuje? — spytała, a ja poczułem przypływ wdzięczności za troskę brzmiącą w jej głosie. Spróbowałem się uśmiechnąć, a nawet sprawiać wrażenie rozbawionego samym sobą.

— Tak, dziękuję — odrzekłem. — Może kiedyś później powiem ci, dlaczego...

Ugryzłem się w język. Powinienem bardziej zważać na to, co mówię.

— Czy jest pan w stanie iść dalej? — zapytała, jakby nie słysząc tego, co mi się wyrwało.

— Tak — przytaknąłem głosem chyba w miarę spokojnym, choć cała nasza rozmowa wciąż wydawała mi się niewiarygodna. Dalej jeszcze przejmowało mnie grozą to, że ją widzę, że słyszę jej głos, że dotykam palcami jej ramienia... Właśnie, przypomniałem sobie, jak silnie ją ścisnąłem.

— Czy sprawiłem ci ból? — spytałem.

— Nie szkodzi — odpowiedziała i po chwili milczenia ruszyliśmy ponownie w kierunku hotelu.

— Czy panu zrobiło się słabo?

Poczułem, że ogarnęło mnie dziwne rozbawienie.

— Nie, to raczej... zmęczenie podróżą — odpowiedziałem, a potem zebrałem się w sobie i rzuciłem pytającym tonem:

— Elizo?

Bąknęła coś niewyraźnie.

— Czy mógłbym zjeść z tobą kolację?

Nie odpowiedziała od razu, a mnie natychmiast opuściła cała pewność siebie, zanim w końcu usłyszałem:

— Nie wiem.

Cała niewłaściwość mojego postępowania spadła na mnie przygniatającym ciężarem, kiedy uświadomiłem sobie, że to przecież 1896 rok. W tych czasach obcy mężczyźni nie zwykli zaczepiać niezamężnych kobiet na plaży, chwytać je za ramię i przechadzć się z nimi bez zaproszenia, a co dopiero domagać się ich towarzystwa przy koalicji. Takie obyczaje pasowały do czasów, które opuściłem, ale tu były wybitnie nie na miejscu.

Jak gdyby chcąc pouczyć mnie, że właśnie o to chodzi, zapytała:

— Czy byłby pan uprzejmy wyjawić mi swoje nazwisko?

Aż się skrzywiłem na tę oficjalną formę, ale odpowiedzałem w tym samym tonie.

— Bardzo przepraszam, powinienem był przedstawić się wcześniej. Nazywam się Collier.

— Collier — powtórzyła, jak gdyby próbując odnaleźć w tym jakiś sens. — A wie pan, jak ja się nazywam?

— Eliza McKenna.

Poczułem lekkie drgnięcie jej ramienia. Może pomyślała w tej chwili, że zaczepiłem ją tylko dlatego, iż jest sławną aktor/ką? Że nie ma w tym żadnej tajemnicy, bo jestem tylko jakimś zwariowanym adoratorem albo sprytnym łowcą posagów...

— To nie tak — powiedziałem, jak gdyby mogła znać tok moich myśli. — Nie poszukiwałem cię dlatego, że jesteś... tym, kim jesteś.

Nie zareagowała ani słowem, z rosnącym niepokojem pomagałem więc jej pokonać niską skarpę, dzielącą nas od promendady. Jak mogłem wyobrażać sobie, że przy niej osiągnę spokój? Cóż z tego, że nie uciekała ani wołała o pomoc, jeżeli traktowała mnie w sposób, delikatnie mówiąc, nader ostrożny.

— Zdaję sobie sprawę, że to wszystko wygląda dość... niezrozumiale — powiedziałem, licząc w duchu, że nie wygląda wręcz podejrzanie — ale zapewniam, że kryje się w tym logika i to skryta niezbyt głęboko.

Po co w ogóle ciągnąłem ten wątek? Przecież w ten sposób mogłem ją tylko utwierdzić w podejrzeniach.

Znaleźliśmy się już teraz na łuku promenady i czułem, jak serce bije mi coraz mocniej. Za parę chwil będziemy już w hotelu, a wtedy ona uwolni się ode mnie, pobiegnie do swego pokoju i zamknie drzwi na klucz, i tak wszystko się skończy, a ja nie będę mógł nic na to poradzić. Wydawało mi się, że byłoby niewłaściwie znowu napomknąć o kolacji, poza tym jednak nie potrafiłem niczego wymyślić.

Wchodziliśmy po stromych stopniach na ganek. Czułem, że nogi mam jak z ołowiu, a drzwi, które przed nią otwierałem, ważyły chyba z tonę. Kiedy znaleźliśmy się w środku, oboje zatrzymaliśmy się niemal jednocześnie, choć nie mogę sobie przypomnieć, które z nas stanęło pierwsze. Jedyne, co pamiętam, to twarz Elizy McKenna, którą po raz pierwszy ujrzałem w pełnym świetle.

Wszystkie jej fotografie kłamały. Była o wiele, wiele bardziej urocza niż na którejkolwiek z nich. Choć wyliczając szczegóły nie będę w stanie oddać czaru, jakim emanowała całość, nichaj mi jednak wolno będzie powiedzieć, że oczy miała szarozielone, delikatnie rzeźbione rysy twarzy, a nos wręcz doskonały. Jej pełne, krwiste wargi nie potrzebowały makijażu, a cera pod lekkim nalotem opalenizny przypominała barwą płatki róż, płowe włosy zaś, bujne i błyszczące, miała starannie upięte. Patrzyła na mnie z wyrazem tak nieskrywanej ciekawości, że niemal byłem gotów jej wyznać, właśnie wtedy, że ją kocham.

Jestem głęboko przekonany, że przez te parę chwil w ciszy korytarza spoglądaliśmy na siebie poprzez otchłań siedemdziesięciu pięciu lat. Przypuszczam, że ludzie z różnych epok mają odmienny wygląd, właściwy tylko swojemu czasowi, i że ona widziała to we mnie równie dobrze, jak ja w jej twarzy. Jest to, rzecz jasna, coś nieuchwytnego i nie da się wyrazić słowami, choć bardzo bym tego pragnął. Niemniej jestem pewien, że wyczuwała w mojej postaci rok 1971 równie wyraźnie, jak ja 1896 w niej samej.

Nie jestem jednak do końca przekonany, czy było to wystarczające tłmaczenie dla otwartości jej spojrzenia, która w tych czasach, jak przypuszczam, nie licowała z godnością kobiety o jej pozycji. Doprawdy nie przesadzam, albowiem patrzyła na mnie tak, jak gdyby nie była zdolna odwrócić ode mnie oczu — a ja, oczywiście, wpatrywałem się w nią równie zachłannie. Patrzyliśmy sobie dosłownie prosto w oczy, pochłonięci sobą nawzajem, z pewnością dłużej niż przez minutę. Jakże chciałem ją wtedy pochwycić w ramio-

na, przytulić, ucałować i powiedzieć, że ją kocham, a jednak pozostałem w bezruchu. Może sprawił to dystans czasowy między nami, a może prostszym wytłumaczeniem byłaby po prostu blokada emocjonalna, w każdym bądź razie świat skurczył się dla nas do nas dwojga, patrzących w siebie bez poruszenia.

I znów to ona przemówiła jako pierwsza.

— Ryszard—wyrzekła to tak, że wydawało mi się, iż nie tyle chodzi jej o moje imię, co o sprawdzenie, czy jej zdrowy rozsądek jest w stanie przyjąć do wiadomości moje istnienie.

Po tym, co zaszło dotychczas, wydało mi się dziwne, że naraz odwróciła ode mnie oczy, a na jej policzki wypłynął rumieniec. Dopiero znacznie później uświadomiłem sobie, że jej ciekawość w całkiem naturalny sposób musiała wreszcie ustąpić miejsca wpojonym regułom etykiety.

— Muszę już iść — powiedziała i rzeczywiście odsunęła się ode mnie.

— Nie — zawołałem z zamierającym sercem, a ona odwróciła się szybko, z wyrazem niemal przestrachu na twarzy.

— Nie. Proszę — dodałem roztrzęsionym głosem — proszę, nie zostawiaj mnie. Muszę być z tobą.

Widziałem wyraźnie, jak bardzo stara się zrozumieć, co się dzieje.

— Bardzo cię proszę, zjedzmy razem kolację — powiedziałem.

Poruszyła bezdźwięcznie wargami, a potem wyszeptała:

— Muszę się przebrać.

— Czy wolno mi... czy mógłbym...? — urwałem,

nie mogąc dać sobie rady z grzecznościowymi formułkami.

To było wprost idiotyczne. Chciało mi się zarazem śmiać i płakać.

— Elizo, proszę cię... pozwól mi poczekać. Może masz jakiś... salonik czy coś takiego? Elizo? — dodałem błagalnie.

Wydała dźwięk, który o ile dobrze rozumiałem, miał mi mówić: „Czemu w ogóle z tobą rozmawiam, a nie uciekam z krzykiem?". Zawarła w nim całe zdumienie i smutną bezradność, że daje wiarę bełkotowi szaleńca.

— Wiem, że jestem kłopotliwy — mówiłem dalej. — Zdaję sobie sprawę, jak dziwnie się zachowuję, i jak ci się naprzykrzałem na plaży. Sam nie rozumiem, dlaczego byłaś dla mnie taka dobra, dlaczego po prostu nie sypnęłaś mi piaskiem w oczy i nie uciekłaś, ja...

Głos uwiązł mi w gardle. Jej twarz była wystarczająco piękna, aby niemal doprowadzić mnie do łez, kiedy zachowywała powagę; ale kiedy się uśmiechnęła, rozpromieniła się taką urodą, że serce chciało wysokoczyć mi z piersi. Przez chwilę gapiłem się w niemym uwielbieniu na ten prześliczny uśmiech, pełen łagodnego rozbawienia, a zarazem wyrozumiałości.

— Obiecuję, że będę zachowywał się przyzwoicie — powiedziałem, kiedy odzyskałem zdolność mowy. — Usiądę sobie tylko na krześle i... — umilkłem, starając się wymyślić coś na zakończenie tego zdania, ale do głowy przyszły mi tylko dwa słowa. Wypowiedziałem je, choć brzmiały absurdalnie:

— ...będę grzeczny.

Wyraz jej twarzy zmienił się i wyczytałem w nim zrozumienie dla mnie, chociaż nie mógłbym odgadnąć, jaką formę ono przyjęło. Jeżeli jednak nie było to nawet nic więcej poza litością dla cierpiącego bliźniego, to i tak byłem przekonany, że w tej właśnie chwili moje prośby odnalazły drogę do jej serca.

Wrażenie znikło tak szybko, jak się pojawiło, nie było jednak ułudą, westchnęła bowiem ze smutną rezygnacją, zupełnie jak ja na plaży, i powiedziała:

— Dobrze.

Pełen wdzięczności ruszyłem za nią w milczeniu, obawiałem się bowiem, że mogłaby jeszcze zmienić decyzję. Przeszliśmy tak korytarzem, a potem weszliśmy do owego saloniku-poczekalni, przez który przechodziło się do apartamentu. Zdrętwiałem cały na myśl, że mogła mówić o tym pomieszczeniu, rozluźniłem się jednak natychmiast, kiedy minęła je bez słowa i zatrzymała się przed swoimi drzwiami... Musiałem poczekać, aż przeszuka torebkę, w końcu odnalazła klucz i włożyła go do zamka.

Wpatrywałem się w klucz, kiedy jednak nie obróciła go, uniosłem oczy i napotkałem jej wzrok. Jak mógłbym oddać słowami jego wyraz? Wyglądało na to, że starała się nie myśleć o tym, co tu się działo. Bądź co bądź, byłem przecież obcym mężczyzną starającym się wejść do jej pokoju. Domyślałem się, że to ją dręczyło, odezwałem się więc bez przynaglania:

— Obiecuję, że będę tylko siedział i czekał.

Wstchnęła znowu z rozpaczą.

— To... — nie dokończyła, tylko obróciła klucz w zamku i otworzyła drzwi, mogłem jednak zgadnąć bez trudu, że słowem, którego nie wypowiedziała,

było „szaleństwo". Miała rację i to daleko bardziej, niż mogła się domyślać.

Usunąłem się na bok, kiedy zamykała drzwi, i rozejrzałem się po skąpo oświetlonym pokoju. Zauważyłem, że kominek był wygaszony i skądś dobiegał syk pary z niewidocznego grzejnika. Nad kominkiem dostrzegłem białą, marmurową rzeźbę nimfy z rogiem pełnym kwiatów, resztę wnętrza odebrałem jednak tylko w zarysach. Wszystkie te miękkie dywany, białe meble, lustro w złoconych ramach i małe biureczko pod oknem, tworzyły neutralne tło dla jej wdzięcznej postaci.

— Tu może pan poczekać — rzuciła, rozpinając po drodze płaszcz. Jej ton świadczył, że pogodziła się wprawdzie z głupotą swego postępowania, ale wcale jej to nie cieszyło.

— Elizo — odezwałem się do niej.

Kiedy się obróciła, zauważyłem ze zdumieniem, że pod płaszczem nosiła tę samą bluzkę, w której widziałem ją na fotografii w książce „Sławni aktorzy i aktorki", białą z czarnym krawatem splecionym ze wstążki owiniętej wokół wysokiego kołnierzyka. Płaszcz zresztą też, co dopiero teraz dostrzegłem, był ten sam — czarny, dwurzędowy, z szerokimi, sięgającymi ziemi połami.

— O co chodzi, panie Collier? — spytała.

— Nie nazywaj mnie tak, proszę — powiedziałem.

Była to dla niej prawdopodobnie swego rodzaju obrona przed moją obecnością w tym samym pokoju, bariera budowana z grzecznościowych zwrotów, na mnie jednak działała upokarzająco.

— Jak więc mam się do pana zwracać?—zapytała.

— Ryszard, a j a... — zaczerpnąłem oddechu — czy mogę ciebie nazywać Elizą? Po prostu nie jestem w stanie mówić do ciebie per „panno McKenna". Nie mogę...

Popatrzyła na mnie w milczeniu. Czyżby wróciły jej podejrzenia? Wcale bym się temu nie dziwił, w takiej chwili nawet powinien je zrodzić przebłysk zdrowego rozsądku, jej twarz jednak nadal pozostała łagodna.

— Nie wiem, co na to odpowiedzieć — odrzekła.

— Rozumiem.

Bolesny uśmiech musnął jej wargi.

— Czyżby? — powiedziała i odwróciła się ode mnie z uczuciem ulgi, jak sądzę. Z pewnością marzyła o chwili samotności, aby przemyśleć tę zagadkę w ciszy i spokoju.

Kiedy była już przy drzwiach sąsiedniego pokoju, obejrzała się na mnie przez ramię. Czyżby sądziła, że będę się za nią skradał? Zauważyłem wtedy kosmyk włosów, który spadał jej na kark i naraz poczułem ogromny przypływ miłości. Dzięki temu zyskałem pewność, że bezpodstawnie obawiałem się, iż jej obecność osłabi moje uczucie, było bowiem wręcz przeciwnie.

Uświadomiłem sobie naraz ponownie, że całkiem mi zaschło w gardle. Zupełnie jak medium po seansie spirytystycznym, przemknęło mi przez myśl, zanim odezwałem się:

— Elizo?

Zatrzymała się przy drzwiach sypialni i obróciła się do mnie.

— Czy mógłbym dostać szklankę wody? — zapytałem.

Znowu wydała ten dźwięk, w którym rozbawienie zmieszane było po połowie ze zdumieniem. Wyglądało na to, że wciąż wytrącałem ją z równowagi, niemniej kiwnęła głową i wyszła z pokoju.

Poszedłem za nią i stanąłem przy otwartych drzwiach. Widziałem stąd podwójne białe łoże z rozsuniętymi zasłonami, które stało we wnęce, a po jego prawej stronie również biały nocny stolik z metalową lampą z abażurem ozdobionym jakimiś czerwonymi kamieniami.

Słyszałem, jak nalewała wodę z kranu, a więc miała również prywatną łazienkę. Zdawałem sobie sprawę, że nogi uginają się pode mną i powinienem jak najszybciej usiąść.

Eliza wróciła ze szklanką, a kiedy mi ją podawała, nasze palce zetknęły się przez chwilę.

— Dziękuję — powiedziałem.

Popatrzyła mi w oczy pytająco i tak intensywnie, że byłem zaskoczony. Wydawała się podawać w wątpliwość nie tylko moje, ale i swoje istnienie wraz z własną reakcją na mnie, w niczym nie odnajdując sensu.

Obróciła się potem i zamknęła za sobą drzwi sypialni, wymruczawszy:

— Przepraszam.

Stężałem cały, oczekując dźwięku ryglowanego zamka, ale odetchnąłem, gdy go nie usłyszałem.

— Elizo? — zawołałem.

Z początku nie odpowiadała, ale po chwili dobiegło mnie:

— Tak?

— Chyba nie zamierzasz... uciec przez okno?

Co mogła teraz robić? Uśmiechała się czy też

nachmurzyła? A może naprawdę chciała to zrobić? Nie chciałbym w to wierzyć, ale w tej chwili targały mną bezpodstawne lęki, jak dziecinne strachy.

— A powinnam? — zapytała w końcu.

— Nie, nie jestem przecież zbrodniarzem. Zjawiłem się tylko po to, aby... — *kochać cię,* podszepnęło mi serce, ale głośno dokończyłem:

— ...być z tobą.

Zapadła cisza. Zastanawiałem się, czy ona wciąż jeszcze stoi przy drzwiach, czy też zaczęła się już przebierać. Wpatrywałem się w te drzwi w napięciu, pragnąc je otworzyć, aby być z nią znowu, a w sercu wzbierał już strach, że nasze spotkanie było tylko złudzeniem. Mało brakowało, abym zawołał ją znowu, ale powstrzymałem się wysiłkiem woli i odsunąłem się od drzwi. Musiałem przecież dać jej czas do przemyśleń.

Kiedy rozejrzałem się po pokoju, który w tak oczywisty sposób był częścią swojej epoki, poczułem się nieco lepiej. Na biurku zauważyłem srebrny stojący kalendarz, a w jego małych okienkach widniały w drukowane gotykiem słowa „czwartek", „listopad" i „19". Zaniepokoił mnie tylko brak roku, chociaż zdawałem sobie sprawę, że tak kosztowny sprzęt z pewnością miał służyć przez wiele lat.

Przypomniałem sobie o szklance, którą trzymałem w ręku, wychyliłem ją więc jednym haustem, i westchnąłem z ulgą, czując jak woda koi moje zeschnięte usta i gardło, choć smak miała lekko słonawy. Uświadomiłem sobie, że piję wodę z 1896 roku i to mną lekko wstrząsnęło, był to bowiem mój pierwszy fizyczny kontakt z materią tej epoki, jeżeli nie liczyć wdychanego powietrza.

Byłem nadal spragniony, ale nie chciałem znowu prosić Elizy o wodę, postanowiłem więc usiąść i odpocząć. Opadłem z westchnieniem na fotel i odstawiłem szklankę na pobliski stolik, z przerażeniem stwierdziłem jednak, że natychmiast zaczęły mi się kleić oczy. Nie mogłem zasnąć, bo wtedy wszystko by przepadło! Potrząsnąłem głową i sięgnąłem znowu po szklankę. Na jej dnie pozostało jeszcze parę kropel, wytrząsnąłem je więc na lewą dłoń, roztarłem na twarzy i odstawiłem szklankę z powrotem.

Starając się nie zasnąć, zacząłem koncentrować się na szczegółach wnętrza. Wpierw skupiłem się na koronkowej serwetce przyczepionej do oparcia sąsiedniego fotela, potem przeniosłem wzrok na stojący pod ścianą stół i policzyłem dokładnie rzeźbione kwiaty na jego nogach, a wreszcie wpatrzyłem się w stojący na nim zegar. Była już niemal szósta — *według Czasu 1* — dodałem w myślach. Z zegara przeniosłem się na sześcioramienny żyrandol, zwisający z sufitu, i policzyłem co najmniej dwukrotnie wszystkie jego kryształowe wisiorki. Byle tylko nie usnąć, powtarzałem sobie. Nie wolno ci zasnąć.

Spojrzałem znów na stojący kalendarz na biurku i zauważyłem, że był on tylko częścią całego kompletu, w którego skład wchodziła jeszcze srebrna taca, takież pióro oraz dwa kałamarze z rżniętego szkła. Po co mi data w kalendarzu, pomyślałem sobie, i tak wiem, gdzie jestem.

To był rok 1896, a ja osiągnąłem mój cel.

• • •

Zerwałem się ze snu z krzykiem, tocząc dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Gdzie ja jestem?

Prawie natychmiast drzwi od sypialni otworzyły się i stanęła w nich Eliza z wyrazem trwogi na twarzy. Niewiele myśląc, wyciągnąłem do niej prawą rękę, która trzęsła się okropnie.

Zawahała się, ale po chwili podeszła i wzięła ją w swoje ręce. Musiałem wyglądać dosyć żałośnie, lecz dotyk jej ciepłej dłoni podziałał na mnie jak transfuzja. Zauważywszy grymas bólu, szybko rozluźniłem ucisk.

— Przepraszam — wymówiłem z trudem.

Patrzyłem na nią zachłannie. Miała teraz na sobie suknię koloru wina z wełnianej serży z wysokim kołnierzykiem wykończonym czarnym jedwabiem. Rękawy sukni były wąskie, bez typowych dla tych czasów bufek. Nie dokończyła jeszcze upinania włosów, które tylko z przodu i po bokach umocnione były szylkretowymi grzebieniami.

Ona również patrzyła na mnie w milczeniu z tym samym, co poprzednio, pytającym wyrazem, jakby szukając w mej twarzy odpowiedzi. Wreszcie opuściła oczy i powiedziała:

— Przepraszam, znowu się wpatruję.

— Ja też.

Znowu na mnie zerknęła.

— Nic nie rozumiem — oznajmiła spokojnie.

Nagle wydała stłumiony okrzyk i wyrwała rękę z mojej dłoni, ktoś bowiem zastukał do drzwi. Oboje zwróciliśmy oczy ku wejściu, po czym ponownie spojrzałem na nią. Zakłopotanie na jej twarzy mieszało się z uczuciem, które mógłbym określić jako czujność. Wyglądała tak, jakby zastanawiała się, jakimi słowa-

mi wytłumaczyć moją obecność. Miałem nadzieję, że ma coś przygotowanego, bo mnie nic nie przychodziło do głowy.

— Przepraszam, jeżeli cię kompromituję — powiedziałem.

Obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem i w jej wzroku dostrzegłem podejrzliwość. Czyżbym nieświadomie znowu zachęcił ją do podejrzewania mnie o paskudne zamiary? Kompromitacja, skandal, a może jeszcze, uchowaj Boże, szantaż? Na samą myśl poczułem przerażenie.

Ona jednak powiedziała tylko:

— Przepraszam—i, ku memu zaskoczeniu, zaczęła szczotkować mi włosy, w lewej ręce trzymała bowiem szczotkę, której dotychczas nie zauważyłem.

Gapiłem się przez chwilę w osłupieniu, aż pojąłem, że pewnie włosy potargał mi wiatr, a może ja sam podczas drzemki, ona zaś nie chciała, by ten, kto pukał, ujrzał mnie w takim stanie.

Nachyliła się nade mną tak, że mogłem wyczuć zapach jej perfum. Tylko siłą woli powstrzymywałem się, aby nie przysunąć się do niej i nie ucałować jej w policzek.

Wciąż jeszcze musiałem wyglądać niezbyt dobrze, bo kiedy na mnie spojrzała, spytała szeptem:

— Dobrze się czujesz?

Zdawałem sobie sprawę, że to błąd, ale nie mogłem się powstrzymać, aby w odpowiedzi nie wyszeptać:

— Kocham cię.

Szczotka niemal wypadła jej z ręki, a twarz stężała, zanim jednak zdołałem zabrać się do przeprosin pukanie zabrzmiało powtórnie, a jakiś głos zawołał:

— Elizo?

Struchlałem, był to głos starszej kobiety. No i masz, pomyślałem. Eliza wyprostowała się i ruszyła w stronę drzwi.

— Przepraszam — rzuciłem za nią.

Obejrzała się, ale nic nie odpowiedziała. Zaschło mi w gardle, wciąż bowiem byłem jeszcze spragniony, wyprostowałem się w fotelu, wkrótce jednak zerwałem się na równe nogi, uprzytomniwszy sobie, że powinienem powitać panią McKenna na stojąco. Niestety, zrobiłem to zbyt szybko, tracąc równowagę niemal nie upadłem, lecz przytrzymałem się oparcia fotela. Spojrzałem na Elizę. Stała przy drzwiach, patrząc na mnie z niepokojem. Musiały to być dla niej trudne chwile.

— W porządku — pokiwałem do niej uspokajająco.

Otworzyła usta z niemym westchnieniem, a może raczej w niemej modlitwie. Zdecydowała się, obróciła i nacisnęła klamkę.

Pani McKenna weszła do pokoju, zaczęła coś mówić do córki i naraz urwała z wyrazem zdumienia i irytacji wypisanym na twarzy na mój widok. Co mogła wtedy myśleć? Moja pamięć podpowiadała mi, że aż do tego dnia jej córka, poza powierzchownymi znajomościami, nigdy nie miała do czynienia z żadnym mężczyzną. Najbliższe stosunki utrzymywała z Robinsonem, a te ograniczały się wyłącznie do interesów.

Pani McKenna musiała więc być wstrząśnięta, natykając się na zupełnie obcego mężczyznę w hotelowym pokoju Elizy. Widziałem, że starała się zapanować nad

swoją reakcją, niemniej jednak stanowiło to dla niej potężny wstrząs.

Głos Elizy był całkiem opanowany, jak głos doświadczonej aktorki, wygłaszającej swoją rolę. Gdybym tego nie wiedział, dałbym głowę, że była zupełnie spokojna.

— Mamo, to jest pan Collier — powiedziała.

Etykieta i stateczność. Po prostu obłęd.

Nie wiem, skąd wziąłem siły, aby przejść przez pokój, ująć rękę pani McKenna, potrząsnąć nią lekko, skłonić się i uśmiechnąć.

— Dobry wieczór — powiedziałem.

— Dobry wieczór — odrzekła sztywno, potwierdzając niechętnie moje istnienie i odmawiając mu zarazem wszelkiej wartości. Dziwne, ale właśnie ta sztywność tonu pozwoliła mi na odzyskanie równowagi. Jej wyniosłe zachowanie i nieskrywana niechęć odsłoniły mi, pomimo mego zakłopotania, wyzierającą spod arystokratycznej pozy dawną aktorkę, niezbyt wprawną w takiej roli.

Oczywiście, nie grała świadomie przede mną, ale efekt był podobny. Nie mam wątpliwości, że była szczerze oburzona moją obecnością, jej zachowanie było wyraźnie przesadne w stosunku do tego, co chciała mi zakomunikować. Mówiąc krótko, nadrabiała grą, ale tak nieudolnie, że było widać wszystkie szwy. Wyrosła przecież w atmosferze dziewiętnastowiecznego prowincjonalnego teatrzyku, nie była żadną wielką damą i nie mogła mnie o tym przekonać, choćby nie wiem jak się starała. Pomyślałem, że powinna z kolei zwrócić się do córki i z uniesionymi brwiami oczekiwać wyjaśnień, kiedy więc postąpiła dokładnie

według mych przewidywań roześmiałem się w duchu, pomimo że napięcie wciąż jeszcze nie zelżało.

— Pan Collier mieszka w hotelu. Przyjechał, aby zobaczyć przedstawienie — pospieszyła Eliza z wyjaśnieniem.

— Ach tak? — pani McKenna popatrzyła na mnie zimno.

Wiedziałem, że chciałaby zapytać: Kim on jest i co robi w twoim pokoju? — nie wypadało jej jednak wprost pytać. Po raz pierwszy odczułem wdzięczność dla rygorystycznych form towarzyskich.

Przedłużająca się chwila ciszy uświadomiła mi, że powinienem dopomóc Elizie. Dałem jej wolną rękę licząc na to, że sama wyjaśni moją obecność, ale to było niemożliwe, musiałem więc współdziałać.

— Pani córka i ja spotkaliśmy się w Nowym Jorku — zełgałem, choć nie wiedziałem, czy z powodzeniem, poczułem jednak nagle przypływ natchnienia.

— Było to po przedstawieniu sztuki „Krzysztof Młodszy", a teraz przyjechałem w interesach z Los Angeles i zatrzymałem się w hotelu, żeby zobaczyć również jutrzejszy spektakl.

Dobra historyjka, Collier, pochwaliłem siebie w duchu. Hipokryzja do kwadratu.

— Rozumiem — odrzekła pani Mckenna, choć nie rozumiała nic.

Niezależnie od mojej opowieści nie miałem żadnego powodu, aby znaleźć się w pokoju jej córki.

— A czym pan się zajmuje? — spytała.

Nie oczekiwałem tego pytania, więc przez chwilę wpatrywałem się w nią z jawną niechęcią. Wreszcie dotarło do mnie, że powiedzieć prawdę jest dużo

prościej niż zmyślać. Musiała zresztą z góry przyjąć, że każda moja odpowiedź będzie kłamstwem.

— Jestem pisarzem — odpowiedziałem w końcu i aż mnie ścisnęło w dołku ze strachu na myśl, co będzie, jeżeli zapyta, jaki rodzaj pisarstwa uprawiam.

Nie zapytała jednak, bo też i sądzę, że mało ją obchodziło kim lub czym jestem, bylebym się wyniósł do diabła z pokoju jej córki. Słychać to było wyraźnie w jej głosie, kiedy obróciwszy się do Elizy, powiedziała ściszonym głosem:

— I cóż, kochanie? — po czym można było domyślać się nie wypowiedzianego: Czy już nie pora wyrzucić tego łobuza?.

Pokochałem Elizę jeszcze bardziej, o ile to możliwe, za to, że nie zwróciła się wtedy przeciwko mnie, choć miała wszelkie prawo tak postąpić. Zamiast tego uniosła głowę królewskim gestem, co w jednej chwili powiedziało mi więcej o jej talencie aktorskim, niż wszystkie przeczytane dotąd książki, i rzekła:

— Mamo, poprosiłam pana Colliera, aby zechciał towarzyszyć nam przy kolacji.

Czas, jaki upłynął do odpowiedzi jej matki sprawił, że stała się ona właściwie zbędna.

— O? — wydusiła z siebie, patrząc na mnie.

Usiłowałem odpowiedzieć jej tak samo mrożącym krew w żyłach spojrzeniem, ale nie bardzo mi się to udało. Kiedy wreszcie spróbowałem coś powiedzieć, z zaschniętego gardła wydobył się tylko cichy bulgot, musiałem więc odchrząknąć z wysiłkiem.

— Mam nadzieję, że nie będę przeszkadzał — powiedziałem, ale natychmiast mój wewnętrzny głos

ostrzegł mnie, że to był błąd. Nie powinienem oddawać inicjatywy.

Oczywiście, wykorzystała tę okazję natychmiast.

— Cóż — powiedziała i doprawdy nie musiała dodawać ani słowa, by lepiej wyrazić swoje uczucia.

Oczekiwała, że zrozumiem jej sugestię, albowiem każdy dżentelmen wart tego miana, natychmiast złożyłby przeprosiny, wycofał się i rozpłynął w sinej mgle. Ja jednak nie zrobiłem niczego takiego, tylko po prostu uśmiechnąłem się, co prawda dość blado. Jej twarz natychmiast zastygła w udręczonym grymasie wysoko urodzonej damy, wplątanej w sytuację bez wyjścia. Kolejna scena z tej samej sztuki — pomyślałem.

W tej sytuacji nie dopomogła mi także Eliza, mówiąc tylko:

— Za chwilę będę gotowa — ruszyła w stronę sypialni.

Rzuciłem za nią zdumione spojrzenie. Czyżby chciała mnie opuścić, pomyślałem, ale zawstydziłem się, widząc splątane włosy na jej karku. Nie dosyć, że została przyłapana z obcym mężczyzną w hotelowym pokoju, to jeszcze była w dezabilu.

Naprawdę nie traktowałem tego lekko. Rozumiałem jej zakłopotanie, pewnie zacząłem już przejmować obyczaje tej epoki, czego szczerze sobie życzyłem. Byłby to jedyny znośny aspekt ogólnie niewesołej sytuacji.

Drzwi sypialni zamknęły się i pozostałem sam na sam z czterdziestodziewięcioletnią panią Anną Stuart Callenby McKenna, która zionęła do mnie nienawiścią. Staliśmy sztywni i bez słowa, jak para aktorów,

którzy zapomnieli swoich kwestii, ale zdawałem sobie sprawę, że w scenie, jaka miałaby się rozegrać między nami, z pewnością posypałyby się iskry.

Wkrótce stało się oczywiste, że pani McKenna nie miała najmniejszego zamiaru przejąć inicjatywy, odchrząknąłem więc i zapytałem, jak przebiegały próby.

— Bardzo dobrze — odpowiedziała lakonicznie i na tym konwersacja się urwała.

Uśmiechnąłem się z przymusem, przeanalizowałem wzór na dywanie, po czym znowu spojrzałem na nią. Ona jednak odwróciła się, ale zauważyłem, że obserwuje mnie z uczuciem dalekim od przyjaźni. Poczułem gwałtowną chęć ujawnić jakiś pikantny szczegół z jej przyszłości, ale zdawałem sobie sprawę, że muszę się opanować. Powinienem jak najszybciej nauczyć się tłumić w zarodku wszelkie pokusy wykorzystywania mojej wiedzy i starać się zachowywać tak, jakbym był tym, za kogo się podawałem. Sam zresztą powinienem w to uwierzyć. Moim najpilniejszym zadaniem było stać się częścią tych czasów. Im lepiej tego dokonam, tym mniej będę mógł się obawiać niespodziewanego powrotu. „Ciekawe, jak..." zacząłem układać zdanie w myślach, ale szybko się poprawiłem:

— Cieszę się już na to przedstawienie — powiedziałem na głos.

Trochę mi się ta forma wydawała sztuczna, ale przywyknę do niej. Muszę przywyknąć.

— Eliza...

Pani McKenna zmroziła mnie lodowatym spojrzeniem. Błąd, przemknęło mi przez myśl. To przecież rok 1896, sam szczyt konwenansu. Powinienem

był nazywać ją panną McKenna. Dobry Boże, jęknąłem w duchu przewidując, jakie męczarnie są jeszcze przede mną. Jak dam sobie radę jednocześnie z panią McKenna i Robinsonem? Była to tak przygnębiająca wizja, że znów ogarnęła mnie pokusa, aby puścić się pędem do sypialni, zamknąć za sobą drzwi na klucz i błagać Elizę o chwilę rozmowy.

Przyjrzawszy się ubiorowi pani McKenna doszedłem do wniosku, że byłby nawet atrakcyjny, gdyby nosiła go nieco szczuplejsza osoba. Długa do ziemi suknia z żółtego brokatu z czarnym wykończeniem, miała bufiaste rękawy z czarnego szyfonu. Na ramiona narzuciła ciemny szal. Włosy, podobnie jak Eliza upięła szylkretowymi grzebieniami. Jednak, w przeciwieństwie do niej, sprawiała na mnie wrażenie odpychającego bezguścia. Zaryzykowałem komplement:

— Ma pani wspaniałą suknię.

— ...kuję — odburknęła, nie patrząc na mnie.

Gdyby chociaż usiadła, albo zaczęła spacerować czy wyglądać przez okno, byleby nie stała tak bez ruchu jak strażnik, gotów powstrzymać mój każdy podejrzany ruch. Naszła mnie ponownie chęć, aby ruszyć w stronę sypialni, a krył się w tym przewrotny zamiar, aby sprawdzić, jak ona na to zareaguje. Odegnałem tę myśl, zły sam na siebie. Skoro przeniosłem się do tak statecznych czasów, sam też powinienem zachowywać się statecznie.

Kiedy Eliza wyszła z sypialni poczułem taką ulgę, że aż głośno westchnąłem. Pani McKenna spojrzała na mnie z potępieniem, zaciskając wargi, ja jednak udałem, że niczego nie widzę. Wolałem wpatrywać się

w Elizę, podziwiając wdzięk jej ruchów. Miłość do niej ponownie wezbrała mi w sercu, aż nie mogłem się pohamować, by nie powiedzieć:

— Wyglądasz cudownie — ale był to kolejny błąd.

Ile ich jeszcze miałem popełnić, zanim się nauczę? Mimo jak najszczerszych intencji widziałem, w jakie zakłopotanie wprawiły ją te słowa, wypowiedziane w obecności matki.

— Dziękuję — szepnęła, ale starannie unikała mego wzroku, kiedy sięgnąłem do klamki, żeby otworzyć drzwi.

Pierwsza minęła mnie pani McKenna, a za nią wyszła Eliza w narzuconym na ramiona koronkowym szalu. W prawej ręce trzymała małą torebkę. Owionął mnie zapach jej delikatnych perfum i znowu głośno westchnąłem, a chociaż ona nie dała nic poznać po sobie, jestem pewien, że to usłyszała. Zachowuj się przyzwoicie — skarciłem sam siebie.

Wyszedłem na zewnątrz do owej poczekalni i zamknąłem drzwi za sobą. Eliza podała mi klucz, a potem odebrała go z moich rąk. Kiedy to robiła, nasze oczy się spotkały i przez chwilę poczułem, że znowu wiąże nas to dziwne uczucie. Nie mam pojęcia, jak ona to odbierała, ale z pewnością również mocno. Jak inaczej mógłbym wytłumaczyć fakt, że zgodziła się na wspólny spacer po plaży, na wpuszczenie mnie do swego apartamentu i zaproszenie na kolację, nie mówiąc już o tych intensywnych, zachłannych spojrzeniach? Na pewno nie stało się to wszystko za sprawą mego osobistego uroku.

Czar prysnął, gdy odwróciła się i wrzuciła klucz do torebki. Matka zajęła miejsce u jej boku, nie próbo-

wałem więc nawet do nich się przyłączyć, tylko poszedłem ich śladem przez poczekalnię i dalej na zewnątrz, na podwórzec.

Na mój okrzyk zachwytu obie kobiety odwróciły głowy. Podwórzec wyglądał jak baśniowa kraina, oświetlony był setkami kolorowych żarówek poukrywanych wśród tropikalnej roślinności, pośrodku zaś podświetlona fontanna wyrzucała całe kaskady migocącej wody.

— Jestem zachwycony wyglądem dziedzińca — wyjaśniłem i dopiero w myślach poprawiłem się na „podwórzec", przygnębiony własnym roztrzepaniem. Od tego miejsca pani McKenna uwięziła mnie w dwojaki sposób. Fizycznie jej tusza nie pozwalała mi zająć miejsca obok Elizy, ścieżka bowiem była zbyt wąska. Zostałem ponadto izolowany w sensie możliwości konwersacji, będąc zmuszonym do przysłuchiwania się jej opowieściom na temat zupełnie mi nieznanych aktorów i aktorek. Przypuszczam, że ta rozmowa o sprawach świata, w który nie byłem wprowadzony, miała na celu odciągnięcie Elizy z zasięgu moich „niecnych wpływów". To, że wiedziałem o życiu Elizy znacznie więcej, niż jej matka mogła przypuszczać, było dla mnie niewielkim pocieszeniem. Niepokoiło mnie, że pani McKenna już teraz usiłowała wbić klin pomiędzy mnie i Elizę. Bez wątpienia zamierzała mi obrzydzić kolację na wszelkie sposoby, a potem może nawet usunąć Elizę całkowicie z mego pola widzenia. A jeżeli towarzyszyć jej będzie Robinson, moje kłopoty wzrosną w dwójnasób.

Wlokąc się tak za nimi, zastanawiałem się mimochodem, czemu nie przeszliśmy do hallu drogą przez

tylną werandę, którędy prowadził mnie podstarzały boy? Teraz wydaje mi się, choć to tylko domniemanie, że skierował mnie on tamtędy, ponieważ była to dłuższa droga, a jemu zależało na tym, aby jak najpóźniej znaleźć się z powrotem w hallu, w zasięgu wzroku pana Rollinsa.

Do uczucia przykrości, jaką sprawiało mi wymuszone oddzielenie od Elizy, zaczął dołączać narastający niepokój, wynikający ze zbliżania się do hallu. To miał być drugi etap mego zstąpienia do otchłani. Posuwałem się wprost w oko cyklonu, jakim dla mnie był rok 1896. Usiłowałem przygotować się na to psychicznie, ale zdawałem sobie sprawę, że w konfrontacji ze szczególną energią tego wieku będę i tak, praktycznie — bezbronny.

Zbierając siły, aby otworzyć drzwi przed Elizą i jej matką zauważyłem, że hall był pełen ludzi. Kiedy już je rozwarłem, usłyszałem dźwięki muzyki granej przez małą orkiestrę smyczkową na balkonie oraz gwar licznych głosów. Wrażenie, jakie obecnie odniosłem, ku memu miłemu zdziwieniu, było niczym w porównaniu z tym, co przeżyłem za pierwszym razem. Czyżby sprawiła to ta krótka drzemka?

Niestety, moje zadowolenie znikło natychmiast, gdy stwierdziłem, że przebieg wspólnego posiłku skomplikuje obecność niejakiego Williama Fawcetta Robinsona. Spoglądałem na niego z obawą, idąc przez hall u boku Elizy, która zaczekała na mnie, gdy wchodziliśmy do środka.

Robinson był mężczyzną krępej budowy, a jego wzrost oceniałem na jakieś sto siedemdziesiąt pięć centymetrów. Zdziwiłem się, że nie dostrzegłem

dotychczas na zdjęciach, jak bardzo przypominał ze swą czarną brodą Sergiusza Rachmaninowa. Jego kanciastej ponurej twarzy nie ożywiała najmniejsza iskierka humoru. Wlepiał we mnie czarne, duże oczy z wyrazem takiego samego wstrętu, jaki widziałem na twarzy pani McKenna. Ubrany był na czarno, z kieszonki czarnej kamizelki zwisała mu dewizka od zegarka. W przeciwieństwie do Rachmaninowa jego czupryna cofnęła się tak daleko, że nad czołem pozostała jedynie mała kępka czarnych włosów starannie przygniecionych szczotką. Z Rachmaninowem łączyły go duże uszy, ale mógłbym się założyć, że nie świadczyły one o zamiłowaniu do muzyki.

Kiedy podeszliśmy bliżej, zerknąłem na Elizę.

— Williamie, to jest pan Collier — powiedziała głosem tak opanowanym, że mógłbym niemal przypuszczać, iż doszła już całkiem do siebie po przeżytym wstrząsie i moja obecność jej wcale nie wzrusza.

Uścisk ręki Robinsona nie dał mi okazji do podobnych rozważań, niewątpliwie bowiem był o wiele za silny.

— Collier — warknął, bo trudno inaczej określić jego gardłowy, niemiły głos.

— Miło mi, panie Robinson — odrzekłem, wyrywając zmiażdżone palce.

Czekaj no, Bill, pomyślałem, ja cię też ścisnę, kiedy tylko odzyskam siły.

O ile pani McKenna wahała się jeszcze, czy otwarcie nie odsunąć mnie od udziału w kolacji, o tyle Robinson nie wykazywał żadnych wątpliwości w tej kwestii.

— Będzie pan musiał nam teraz wybaczyć — powiedział i odwrócił się do Elizy i jej matki.

— Pan Collier je kolację razem z nami — odrzekła Eliza, i znów zmuszony byłem podziwiać zdecydowanie, jakie zabrzmiało w jej głosie.

Powody, dla których mnie zaakceptowała, stawały się dla mnie coraz bardziej tajemnicze, było bowiem oczywiste, że gdyby chciała się mnie pozbyć, mogła to zrobić w jednej chwili. Uznałem, że nigdy nie zamierzała krzyczeć ani uciekać przede mną. To po prostu nie było w jej stylu.

Było to natomiast dokładnie w stylu Robinsona, zauważył bowiem:

— O ile wiem, mamy stół na trzy osoby — na co Eliza odpowiedziała:

— Mogą położyć dodatkowe nakrycie.

Zdawałem sobie sprawę, że teraz ona zaczyna tracić grunt pod nogami, i zacząłem się obawiać, aby zmęczona ciągłą obroną mojej osoby, nie zwróciła się w końcu przeciwko mnie. Gdyby nie przemożna potrzeba przebywania w jej pobliżu, dawno bym się już wycofał, w tej sytuacji jednak mogłem tylko patrzeć na Robinsona, który dodał z naciskiem:

— Jestem pewien, że pan Collier ma inne plany.

Niemal odpowiedziałem na głos „nie mam", wolałem jednak zmilczeć. Uśmiechnąłem się tylko i, wziąwszy Elizę pod ramię, ruszyłem z nią w stronę Sali Królewskiej. Odchodząc usłyszałem, jak Robinson mruczy pod nosem:

— Czyżby to było wytłumaczenie dla dzisiejszej próby?

— Przepraszam, Elizo — szepnąłem. — Wiem, że sprawiam kłopot, ale naprawdę muszę być z tobą. Błagam cię, wytrzymaj.

Nie odpowiedziała, ale wyczułem napięcie mięśni jej ramienia, kiedy zbliżaliśmy się do wąsatego fircyka we fraku, który wyszczerzył do nas zęby w uśmiechu równie naturalnym, jak sklepowy manekin. Sztucznie brzmiał także jego głos, kiedy zanucił:

— Dobry wieczór, panno McKenna.

— Dobry wieczór — odpowiedziała, a ja bałem się na nią spojrzeć, by nie widzieć, czy odwzajemniła mu jego przeraźliwy uśmiech. — Pan Collier będzie nam dziś towarzyszył przy kolacji.

— Ależ oczywiście — odrzekł maitre, uśmiechając się znowu, jakby był niezwykle uradowany. — Cała przyjemność po naszej stronie, panie Collier.

Wykręcił piruet na pięcie jak tancerz i ruszył przez salę, wiodąc nas za sobą.

Przechodząc przez hall nie miałem czasu, aby zerknąć do wnętrza Sali Królewskiej. Prawdę mówiąc, nie byłem w niej nigdy, nawet w 1971 roku, i dopiero teraz miałem okazję ocenić jej rozmiary. Jest to nieprawdopodobnie wielkie pomieszczenie, o wymiarach co najmniej pięćdziesiąt na dwadzieścia metrów, zmieściłoby się w nim więc pewnie pięć niemałych domków. Sufit z ciemnego, sosnowego drewna dzieli od podłogi jakieś dziesięć metrów, a rozłożyste, nabijane ćwiekami łuki przypominają wręgi przewróconego statku. Żaden słup ani kolumna nie kalają doskonałości rozległej posadzki.

Należy wyobrazić sobie tę ogromną przestrzeń wypełnioną tłumem kobiet i mężczyzn, którzy jedzą,

rozmawiają, po prosu są, ażeby zrozumieć, że mimo znacznej poprawy samopoczucia zaczęło mi się kręcić w głowie, gdy maitre prowadził nas przez sam środek tego kipiącego kotła. Podłogi nie przykrywał żaden dywan, przez to każdy dźwięk wydawał mi się ogłuszający — hałas ogólnej konwersacji, potworny grzechot sztućców o talerze, a przede wszystkim łomot kroków całej armii kelnerów, biegających tam i z powrotem po całej sali. Nikomu poza mną nie wydawało się to przeszkadzać. Epoka ta w ogóle wydaje mi się bardziej materialna niż czasy, które opuściłem. Więcej tu ruchu i hałasu, więcej zaangażowania w podstawowe mechanizmy życia.

Zerknąłem na Elizę, ale ona szła odwrócona ode mnie, pozdrawiając ludzi przy mijanych stolikach. Większość z nich przyglądała mi się z nieskrywaną ciekawością. Dopiero po dłuższej chwili zdałem sobie sprawę, że byli to członkowie jej trupy, nic dziwnego więc, że tak mi się przypatrywali. Prawdopodobnie nigdy przedtem nie widzieli Elizy w towarzystwie nieznanego mężczyzny.

Maitre musiał po drodze dać jakiś dyskretny sygnał, ponieważ gdy dotarliśmy do stojącego pod oknem w głębi sali owalnego stołu, stało już przy nim czwarte krzesło, a kelner kończył układać na kremowym obrusie nakrycie. Maitre podał krzesło Elizie, a ona zasiadła na nim z gracją aktorki doskonale panującej nad każdym swoim ruchem.

Odwróciłem się do dwóch ponurych widm, które snuły się za nami, i wysunąłem krzesło dla pani McKenna, równie dobrze jednak mogłem stać się niewidzialny, .poczekała bowiem, aż maitre poda

jej to, na którym raczyła spocząć. Udałem, że nic nie widzę i sam usiadłem na trzymanym krześle, dostrzegłem jednak, że Eliza zacięła usta w grymasie oburzenia na grubiaństwo matki. Maitre poszeptał chwilę z Robinsonem, który po chwili dołączył do nas. Kiedy usiadł, rozłożono przed nami menu.

— Zobacz, co mamy w programie, Elizo — odezwała się pani McKenna.

Spojrzałem na menu i zobaczyłem u jego dołu słowo *program,*^ niżej nazwisko: *R.C. Kemmermeyer, dyrygent.* Przeglądając listę utworów znalazłem wreszcie „Walc Babbie" Williama Fursta. To o to chodziło! Babbie to imię postaci, granej przez Elizę w „Małym ministrze".

Moja zrolowana serwetka była przeciągnięta przez pierścień z drewna pomarańczowego. Zupełnie jak w Muzeum, pomyślałem rozwijając ją i kładąc sobie na kolanach, natychmiast jednak poprawiłem się w myślach: nie w żadnym Muzeum. Tu i teraz. Odłożyłem pierścień na stół i przyjrzałem się okładce menu. Widniały na niej wydrukowane słowa: *Hotel del Coronado, Coronado, Kalifornia,* poniżej zaś znajdował się kwiecisty wieniec z koroną pośrodku. Pod nim odczytałem nazwisko: *E.S. Babcock, kierownik.* To znaczy, że on tu jest, pomyślałem. Ten człowiek, który dyktował owe wyblakłe, niemal niewidoczne zdania, czytane przeze mnie w piekielnym żarze sklepionej piwniczki. Dziwnie się poczułem, kiedy dotarło to do mojej świadomości.

Kiedy ponownie popatrzyłem na menu, uderzyła mnie ogromna rozmaitość dań do wyboru. Prze-

biegłem wzrokiem listę dań głównych: *Consommé Franklyn, Petits Pâtes à la Russe, Oliwki, Figi Marynowane, Stek z Łososia à la Valois, Filet Wolowy à la Condé Szpikowany Słoniną...*

Poczułem złowieszcze burczenie w żołądku. Filet wołowy szpikowany słoniną? Mój organizm nawet teraz, kiedy jego stan znacznie się polepszył, nie był przygotowany na coś aż tak ciężkiego, spróbowałem więc odwrócić jego uwagę, przenosząc wzrok na spis deserów: *Pomarańczowy Tort Beżowy, Gâteau d'Anglais...*

Byłem tak zaabsorbowany, iż nie zauważyłem, że Eliza coś do mnie powiedziała.

— Przepraszam? — powiedziałem.

— Co wybierasz?

Ciebie, pomyślałem, i tylko ciebie.

— Właściwie nie jestem wcale głodny — odpowiedziałem na głos.

Co my tu właściwie robimy? PowUniśmy być gdzieś indziej, sami. Eliza znowu spuściła wzrok na swoje menu i ja uczyniłem to samo. Nie miałem wątpliwości, że szykowała mi się odsiadka przez najdłuższy posiłek w całym moim życiu.

Kiedy pojawił się kelner, aby odebrać nasze zamówienia, podniosłem głowę i zacząłem przysłuchiwać się pani McKenna, która życzyła sobie takich potraw, jak fałszywe żółwie w kseresie, Canapé Rex, nerkówkę Montpelier nadziewaną truflami i inne temu podobne cuda, od samych ich nazw mój żołądek aż się skręcił. Kiedy mówiła, zdawało mi się, że wokół mnie zaczyna gromadzić się wonny opar. Wtedy sądziłem, że wywołują to jej słowa, teraz jednak już wiem, że

moje nadwrażliwe powonienie wyławiało najsłabsze zapachy pobliskich napojów i potraw. Tak czy inaczej, wcale mi to nie służyło.

Orkiestra kameralna w Rotundzie skończyła wiązankę walców i, nie zważając na oklaski, zaczęła grać „Wyspę szampana" z operetki Chassalgne'a, a w każdym razie tak twierdził program, gdyż ja sam nie byłem w stanie nic na ten temat powiedzieć. Starając się uniknąć nawet aluzji do jedzenia, zamknąłem menu i spojrzałem na jego tylną okładkę. Pod tytułem „Obiekty godne uwagi w okolicy hotelu" odnalazłem pozycje, takie jak: Łazienki, Muzeum i Hodowlę Ostryg na rogu ulic Dziesiątej i B, która przedstawiała „ciekawy widok w porze karmienia". Pomyślałem sobie, że i ja muszę przedstawiać ciekawy widok w porze karmienia.

— Collier?

Spojrzałem na Robinsona.

— Co pun zamawia?

— Tylko trochę bulionu i grzankę.

— Nie wygląda pan zbyt dobrze — zauważył. — Może lepiej byłoby, gdyby ktoś odprowadził pana do pokoju.

O tak, pomyślałem, do pokoju. To by panu odpowiadało, panie Robinson. Uśmiechnąłem się i odpowiedziałem:

— Nie, dziękuję. Mam się dobrze — myśląc sobie, że znowu zaczynam to swoje „nie, dziękuję itd.".

Robinson skierował uwagę na kelnera, a mój żołądek znowu przeżywał katusze, kiedy słuchałem mimo woli, jak zamawiał górskie ostrygi a la Villeroi, młodą gąskę po bostońsku w sosie jabłkowym, kluski

z tartą bułeczką, sałatkę włoską i butelkę piwa. Jak widać, wbrew swoim staraniom słyszałem każde słowo.

— Rozmawiałem z Unittem przed chwilą — zwrócił się Robinson do Elizy, kiedy kelner już się oddalił, a ja dopiero wtedy zorientowałem się, że przeoczyłem jej zamówienie. — Spotkał się z tym Babcockiem i doszli do porozumienia, że rozniecanie prawdziwego ognia na scenie nie byłoby rozsądne, zważywszy na konstrukcję hotelu. Unitt stara się coś zaaranżować z naszymi pomocnikami. Nie da to takiego wrażenia, ale sądzę, że w tej sytuacji powinniśmy pójść im na rękę.

— Dobrze — przytaknęła Eliza.

— A poza tym, wyruszamy jutro wieczorem, jak tylko skończą ładować wagony — dodał, bardziej dla moich, jak mi się wydawało, niż dla jej uszu.

Ona nie wyjedzie, ale ty tak, zwróciłem się do niego w myślach, ale jakoś bez głębszego przekonania.

Już miałem się odezwać do Elizy, kiedy Robinson zaskoczył mnie nieoczekiwanym pytaniem.

— A czymże pan się zajmuje, panie Collier?

Czy to miała być pułapka? Czy sprawdził już, co powiedziałem pani McKenna?

— Jestem pisarzem — odpowiedziałem.

— O? — najwyraźniej mi nie dowierzał. — Pisze pan artykuły do gazet?

— Sztuki.

Czy to mi się wydawało, czy też rzeczywiście przez jedną ulotną chwilę w jego głosie zabrzmiał ton szacunku, kiedy powtórzył swoje

— O?

Być może tak było naprawdę, albowiem jeśli w ogóle mógł dostrzec we mnie jakieś zalety, musiałoby to w jakiś sposób wiązać się z teatrem. Wrażenie to minęło jednak natychmiast, kiedy zadał następne pytanie:

— A czy któraś z nich była wystawiana? Nie przypominam sobie pańskiego nazwiska wśród dramatopisarzy, a wydawało mi się, że znam wszystkich ważniejszych — dokończył z naciskiem na słowie „ważniejszych".

Wytrzymałem w milczeniu jego prowokacyjne spojrzenie. Kusiło mnie, żeby odpowiedzieć: Tak, we wrześniu dawali moją sztukę „Film tygodnia" na kanale siódmym, ale dzięki Bogu zdołałem się pohamować. Nie byłoby to zresztą żadne zwycięstwo z mojej strony, bo po chwili osłupienia uznałby mnie po prostu za wariata.

— Nie w zawodowym teatrze — odrzekłem w końcu.

— Ach, tak — stwierdził, w pełni usatysfakcjonowany.

Spojrzałem na Elizę. Chciałem na niej wywrzeć wrażenie, moja odpowiedź jednak mogła ją tylko rozczarować, bo przecież teatr był dla niej wszystkim. Z drugiej strony tak było bezpieczniej niż brnąć w kłamstwa, z których później mógłbym się nie wyplątać.

— A jakiego rodzaju są to sztuki, panie Collier? — zapytała, wyraźnie starając się złagodzić moje zakłopotanie, zanim jednak zdążyłem odpowiedzieć, Robinson wtrącił się, mówiąc:

— Boja najwyżej cenię dramat, klasyczny dramat.

Tym razem nawet się nie starał ukryć złośliwego uśmieszku. Poczułem, że ogarnia mnie gniew, zdusiłem go jednak w zarodku, tłumacząc sobie, że nie byłby tak arogancki gdyby wiedział, że zginie na „Lusitanii". Tania to była pociecha, ale podziałała na mnie uspokajająco.

— Rozmaite — odpowiedziałem Elizie — trochę komedii, trochę dramatu.

Nie pytaj mnie o nic więcej, dodałem w myślach, bo ci i tak nie powiem.

Na szczęście nie drążyła tego tematu dalej, ale wyczułem ze zmartwieniem, że miała podobne zdanie jak Robinson, choć oczywiście nie wyrażała go w sposób tak brutalny. Dla niej byłem dyletantem, a ja nie miałem śmiałości powiedzieć czegokolwiek, co by mogło zmienić jej mniemanie.

Od tej chwili straciłem chyba poczucie czasu, nie bardzo sobie przypominam, ile go upłynęło. Pamiętam zaledwie strzępy konwersacji, o wiele więcej natomiast zapamiętałem z samego posiłku.

Eliza jadła bardzo mało. Tak, jak i ja, zamówiła talerz bulionu w towarzystwie kromki chleba i kieliszka czerwonego wina. Przypuszczam, że przed występami zawsze jadła niewiele, bo chyba nawet gdzieś o tym czytałem.

Robinson i pani McKenna wyrównywali z nawiązką jej wątły apetyt. Przypuszczam, że to właśnie widok ich, pochłaniających kolację, zadał ostateczny cios mojemu układowi trawiennemu — i mojej cierpliwości. Szczególnie Robinson rozkładał mnie na obie łopatki. Ten facet jadł z niemal zmysłowym apetytem. Mdłości mnie brały kiedy patrzyłem, jak napychał

sobie usta jedzeniem, żując potem starannie ich zawartość. Odwróciłem oczy, aby uwolnić się od widoku tej żarłoczności, ale nie byłem w stanie obronić się przed dźwiękami. W każdym bądź razie ratowało to mnie przed zerwaniem się z krzykiem na równe nogi i wyskoczeniem przez okno. Dopiero teraz jestem w stanie docenić tragikomiczny wymiar tej sceny. Z jednej strony moje marzenia o pięknie, romantyczności, o słodkiej idylli, wszechogarniającej namiętności, a z drugiej — ja przy stole z żołądkiem pełnym rozpalonej lawy, podczas gdy oni jedli i gadali, gadali i jedli, jedli i jedli, jedli. Eliza nie mówiła nic, ja też nie mówiłem nic. Ona popijała wino na przemian z zupą i wyglądało na to, że czuje się nieswojo. Ja też pociągałem bulion, dziobałem grzankę i czułem się niemalże wykończony.

Zdarzyło się raz, że Robinson włączył mnie do rozmowy z panią McKenna, a właściwie nie tyle włączył, co zwrócił na mnie uwagę. Wspomniawszy coś o polowaniach na ptaki w pobliżu Coronado, zapytał mnie, czy też jestem myśliwym, a kiedy potrząsnąłem przecząco głową, stwierdził:

— To szkoda. Mówiono mi, że są tu niezłe siewki. Dużo tu również bekasów i kulików, a nawet są czarne bernikle (tak właśnie powiedział, przysięgam).

— To brzmi wspaniale — odpowiedziałem.

Nie miałem zamiaru kpić, ale tak to wyszło. Robinson nachmurzył się na mój brak szacunku, ale za to dyskretny uśmiech Elizy był dla mnie chwilowym wybawieniem.

Mniej więcej w tym czasie do naszego stołu podszedł burmistrz San Diego — o ile pamiętam, nazywał

się Carlson — chciał się przedstawić i powitać Elizę w imieniu miasta. Wydawał mi się bardzo młody pomimo nastroszonych wąsów, lecz uścisk ręki miał równie miażdżący jak Robinson.

Kiedy obaj panowie zaczęli rozmawiać, poczułem, że opuszczają mnie resztki sił. Robinson uskarżał się na spadek zarówno ilości, jak i jakości cygar od czasu wybuchu powstania na Kubie, Carlson zaś proponował mu przejażdżkę popołudniowym pociągiem z hotelu do Starego Meksyku, gdzie można zakupić tyle doskonałych cygar, ile dusza zapragnie. Robinson wymówił się brakiem czasu, przypuszczalnie ze względu na mnie, bo przecież cały zespół wyjeżdżał do Denver dopiero po zakończeniu przedstawienia.

Nie byłem w stanie już dłużej tego znosić. Po co ja tu, na Boga, siedzę z Robinsonem i panią McKenna, jeżeli pokonałem siłą woli otchłań siedemdziesięciu pięciu lat tylko po to, by być sam na sam z Elizą? Byłem już niemal gotów nalegać, aby się ze mną przeszła, ale zdrowy rozsądek zwyciężył. Nie była zresztą w nastroju, który by pozwalał na uległość żądaniom, musiałem jednak jakoś ją stąd wyrwać.

Kiedy znalazłem rozwiązanie, nachyliłem się ku niej i jak najciszej wymówiłem jej imię.

Podniosła głowę znad talerza, mrużąc oczy. Przypomniałem sobie, że powinienem ją nazywać panną McKenna, ale dałem temu spokój.

— Czuję się niedobrze. Chyba muszę wyjść na dwór — powiedziałem do niej. — Czy mogłabyś...

— Zaraz ktoś odprowadzi pana do pokoju — przerwał mi Robinson.

Najwidoczniej nie mówiłem dostatecznie cicho.

— Nie...

Przerwałem, bo on już obrócił się, aby wezwać kelnera. Czyżby jednak mimo wszystko miał to załatwić po swojej myśli, a przy okazji dowiedzieć się, że nie mam nie tylko pokoju, ale nawet bagażu?

— Chcę tylko zaczerpnąć powietrza — powiedziałem głośniej.

Popatrzył na mnie apatycznie.

— Pańska sprawa.

— Elizo, proszę cię, wyjdź ze mną — zwróciłem się do niej wiedząc, że tylko apelując do jej współczucia, mam jakąkolwiek szansę na pokonanie sprzeciwu Robinsona, który natychmiast zagrzmiał:

— Panna McKenna musi uważać na swoje zdrowie.

Postanowiłem go zignorować, bo też nie miałem innego wyjścia.

— Pomożesz mi? — ponowiłem pytanie.

Głos Robinsona przybrał na sile, kiedy zaczął mnie informować, że staję się bezczelny.

— Dość tego — Eliza przerwała mu w pół słowa.

Nasze oczy spotkały się, kiedy oboje wstaliśmy od stołu, i z bólem przekonałem się, że mój sukces był tylko połowiczny. Zgodziła się zrobić to, o co ją prosiłem, nie z sympatii do mnie jednak, lecz tylko po to, aby uniknąć sceny, a może nawet — na samą myśl przebiegły mnie dreszcze — pozbyć się mnie dyskretnie.

— Elizo — odezwała się pani McKenna głosem, w którym było więcej zdumienia niż urazy. Zdawałem sobie sprawę, że jej przekonania nie były ani w połowie równie niezłomne, jak Robinsona, i że

spośród mych wrogów tylko jego powinienem się lękać.

Stał teraz o krok, wlepiając we mnie płonące oczy.

— Ja pójdę z panem — zaproponował, choć brzmiało to raczej jak rozkaz.

— Nie rób sobie kłopotu — odpowiedziała Eliza tak niepokojącym tonem, że ogarnął mnie lęk, czy przypadkiem nie tracę więcej, niż zyskuję.

— Elizo, ja nie mogę na to pozwolić.

— Nie możesz... — urwała, a twarz jej nagle stężała.

Nie padło więcej ani jedno słowo. Odwracając się od stołu czułem na ramieniu mocny uścisk jej palców. Rzuciłem przelotne spojrzenie na Robinsona i aż drgnąłem na widok jadowitego wyrazu jego twarzy. Usta miał zaciśnięte mocno w jedną twardą, zbielałą szramę, a czarne oczy wbijał we mnie. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem, ale tak chyba wygląda twarz człowieka o „złych zamiarach".

Chciałem powiedzieć Elizie coś uspokajającego, ale przypomniałem sobie, że ma mi być przecież słabo. Zastanawiałem się, jak daleko powinienem posunąć się w tej grze, uznawszy jednak, że i tak w końcu będę musiał wyznać jej prawdę, zdecydowałem się na kłopotliwe milczenie w trakcie drogi przez salę. Mówię kłopotliwe, ponieważ zdawało mi się, że wszyscy biesiadnicy, podobnie jak Robinson, wpatrywali się w nas, choć teraz, wracając myślą do tych zdarzeń, sądzę, że było to w dużej mierze grą mojej wyobraźni.

Kiedy wyszliśmy do korytarza, który prowadził na werandę, zacząłem się zastanawiać, dokąd mnie pro-

wadzi, bo co do tego, że sterowała moimi krokami, nie było najmniejszej wątpliwości.

— Chcesz mnie utopić w morzu — odezwałem się, ale ona nie odpowiedziała, patrząc wprost przed siebie z wyrazem twarzy, który mnie zaniepokoił, nie było w nim bowiem ani odrobiny współczucia.

— Raz jeszcze przepraszam — powiedziałem znowu. — Wiem...

Urwałem, zły sam na siebie. Dosyć przeprosin; chciałem ją wydostać z Sali Królewskiej i udało mi się to. W miłości jak na wojnie, podszepnął mi mój wewnętrzny głos, wszystko wolno, ale powiedziałem mu, żeby nie nudził.

Kiedy otworzyła drzwi werandy i zobaczyłem strome schodki, prowadzące w mrok, mimowolnie cofnąłem się z zaskoczeniem.

— Przytrzymaj się poręczy — powiedziała, biorąc prawdopodobnie moje zaskoczenie za lęk.

Dodałem to przewinienie do mojego bagażu win i, kiwnąwszy głową, ruszyłem naprzód. Na Paseo del Mar prowadziło dwoje schodów —jedne na północną, a drugie na południową stronę; my schodziliśmy po stronie północnej. Starałem się iść powoli, jak gdyby wiejący w twarz morski wiatr przynosił mi ulgę. Nie było sensu udawać chorego, aż do samego zejścia na ziemię. Nie chciałem przecież, żeby uważała mnie za jakiegoś słabeusza, z drugiej strony jednak mój powrót do zdrowia nie mógł nastąpić cudownie szybko. Nie mam też co tchórzliwie ukrywać prawdy, że chciałem jak najdłużej czerpać przyjemność z uścisku jej ręki i bliskości ramienia.

Wreszcie jednak zeszliśmy na promenadę i, idąc

ciągle pod ramię, ruszyliśmy w stronę kolejnych, krótkich schodów, prowadzących w dół niskiej, około dwumetrowej skarpy. Jej skłon był obsadzony trawą i niskimi palmami, których twarde liście głośno szeleściły na wietrze. Przed nami groźnie huczał przybój, który wydawał mi się niepokojąco bliski. Księżyc skrył się za chmurami, z trudem więc rozróżniałem tylko zarysy szybko przemykających fal. Wydawało się, że za chwilę mogą i nas ogarnąć.

Zeszliśmy po schodkach i przekroczyliśmy następną ścieżkę. Nabrałem już przekonania, że za chwilę spryska nas piana, a może nawet i same fale, zauważyłem więc z niejaką troską:

— Zniszczysz sobie sukienkę.

— Nie — to była cała jej odpowiedź.

W chwilę później zorientowałem się, że przybój był rzeczywiście dalej niż myślałem, skraj ścieżki bowiem wznosił się o jakieś dwa metry ponad kamienistym brzegiem. Stała tam ławka, na której Eliza kazała mi usiąść. Posłuchałem, a ona po krótkim wahaniu usiadła obok mnie, nakazując mi oddychać głęboko.

Ryzykując kolejne przewinienie, oparłem głowę ojej ramię. Chamstwo, pomyślałem tylko półżartem, ale tak naprawdę mało o to dbałem. Przypomniałem sobie, ile godzin ciężkiej pracy doprowadziło do tej chwili. Tak, naprawdę zasłużyłem sbbie na to i nie zamierzałem zrezygnować, w każdym razie jeszcze nie teraz.

Zesztywniała, kiedy dotknąłem głową jej ramienia, ale wyczuwałem jak stopniowo napięcie zelżało.

— Czujesz się już lepiej? — zapytała.

— Tak, dziękuję.

Miałem nadzieję, że uda mi się wynurzyć z tej udawanej otchłani powoli, a nie jednym szybkim skokiem, bo to by ją z pewnością rozgniewało.

— Elizo?

— Tak?

— Powiedz mi coś.

Czekała w milczeniu.

— Dlaczego jesteś taka dobra dla mnie? Od chwili spotkania ciągle narażam cię na przykrości, nie miałem więc nawet prawa oczekiwać takiej dobroci. Nie rezygnuj z tego — dodałem pospiesznie — nie rezygnuj na litość boską, ale powiedz mi... dlaczego?

Nie odpowiedziała od razu, zacząłem się więc zastanawiać, czy w ogóle ma jakąś odpowiedź, czy też wpędziłem ją tym pytaniem w jeszcze bardziej kłopotliwą sytuację. Trwało to tak długo, że już przestałem mieć nadzieję, kiedy wreszcie się odezwała:

— Powiem tylko to i nic więcej. Nie domagaj się ode mnie wyjaśnień, bo teraz nie mogę ci ich dać.

Czekałem dalej czując, jak serce wali mi w piersiach.

— Spodziewałam się ciebie — powiedziała w końcu.

Drgnąłem tak gwałtownie, że aż wstrzymała oddech.

— Co się stało? — spytała.

Nie mogłem mówić. Niewiele myśląc uniosłem głowę tak, że mój policzek dotknął jej twarzy. Chciała się cofnąć, ale powstrzymał ją mój słaby jęk. Wydaje mi się, że gdybym miał wtedy umrzeć, z policzkiem tak przytulonym do jej policzka i z myślami pełnymi tylko jej słów, to umarłbym bez słowa skargi.

— Ryszardzie? — odezwała się w końcu.

— Słucham?

Odsunąłem głowę, aby na nią popatrzeć. Spoglądała w morze z posępnym wyrazem twarzy.

— Kiedy wcześniej byliśmy tam, na plaży, powiedziałeś: „nie pozwól mi tego utracić". Co to znaczy?

Patrzyłem na nią w bezradnym milczeniu. Cóż mogłem jej powiedzieć? Wszystko, byle nie prawdę. Byłem tego teraz absolutnie pewien. *Skąd przybyłeś do mnie* — przemknęło mi przez myśl. *Dokąd...*

Nie! Odrzuciłem od siebie te wspomnienia. Nigdy nie napisze tego wiersza, a jej ogrodnik nigdy nie odnajdzie tego świstka papieru.

— Pozwól, że odpowiem ci tym samym — powiedziałem. — Nie proś mnie, żebym teraz ci to wyjaśniał.

Dostrzegłem napięcie w jej twarzy i dorzuciłem pospiesznie:

— To nic strasznego, to tylko... Cóż, jeszcze nie nadszedł czas, żebym ci to powiedział.

Patrzyła dalej na ocean, lecz teraz zaczęła powoli poruszać głową tam i z powrotem, zbyt wolno, aby nazwać to zaprzeczeniem, choć jej uczucia były niewątpliwie negatywne.

— Co się dzieje? — zapytałem.

Dźwięk, jaki wydała, mógł wyrażać zarówno zniecierpliwienie jak i niewesołe rozbawienie.

— To jakieś szaleństwo — powiedziała jak gdyby myśląc na głos. — Siedzę tu z kimś, kogo kompletnie nie znam i sama nie wiem, dlaczego.

Obróciła twarz ku mnie.

— Gdybyś to mógł zrozumieć — dodała.

— Mogę — odpowiedziałem.

— Nie możesz.

— A jednak mogę — upierałem się. — Mogę, Elizo.

Odwróciła się znowu ode mnie, mrucząc:

— Nie.

— A zatem pobądź ze mną — zaproponowałem. — Poznaj mnie i zdecyduj...

Urwałem, zanim wymknęło mi się: ... czy ja cię obchodzę. Nie mogłem jej oferować takiego wyboru. Musiałem ją obchodzić, nie było po prostu innej możliwości.

— Po prostu spędź ze mną tyle czasu, ile możesz — dokończyłem.

Milczała przez dłuższy czas, patrząc na morze, a potem powiedziała:

— Muszę już wracać do środka.

— Oczywiście.

Wstałem i podałem jej rękę, powstrzymując się przed pokusą objęcia jej ramieniem. Powoli, powiedziałem sobie, krok po kroku; nie zepsuj sprawy. Kiedy się obróciłem, ujrzałem przed sobą światła hotelu, jego wysoki dach z czerwonego gontu i flagę powiewającą z wysokiej wieży ponad Salą Balową. Na ten widok ogarnęła mnie fala sympatii do owego cudotwórczego budynku, dzięki któremu mogłem spotkać Elizę i właśnie teraz podać jej ramię.

— Muszę ci teraz coś wyznać — powiedziałem, kiedy weszliśmy na schody wiodące w górę zarośniętej skarpy.

Zatrzymała się i wyszarpnęła rękę spod mego ramienia.

— Nie stawaj — ciągnąłem dalej — i chwyć mnie znowu pod ramię. Patrz prosto przed siebie i przygotuj się na straszliwe objawienie.

Starałem się — aby to, co zamierzałem powiedzieć, zabrzmiało możliwie lekko, choć w rzeczywistości sprawiało mi to głęboki ból.

— Co to ma być? — spytała podejrzliwie, nie wypełniając żadnego z mych poleceń.

Odetchnąłem głęboko i powiedziałem:

— Wcale mi nie było słabo.

— Nie...

— Powiedziałem ci, że czuję się niedobrze tylko po to, żeby cię mieć po swojej stronie.

Nie mogłem zrozumieć wyrazu jej twarzy. Czy wyrażała zrozumienie, wstrząs, a może obrzydzenie?

— Oszukałeś mnie?

— Tak.

— Ależ to wstrętne.

Wydawało mi się, że ton jej głosu przeczył ostrości słów, ośmieliłem się więc odpowiedzieć:

— Tak, wiem, ale zrobiłbym to jeszcze raz.

Ponownie wpatrzyła się we mnie tak intensywnie, jak gdyby pragnęła w mojej twarzy znaleźć klucz do zrozumnienia mnie całego. Nagle jednak otrząsnęła się z zapatrzenia i ruszyła w stronę hotelu, a ja wraz z nią.

— Myślę, że już czas, żebym poszukał pokoju — powiedziałem.

Zerknęła na mnie z ukosa. Boże, czyżby i to brzmiało dla niej dwuznacznie?

— Naprawdę nie masz pokoju? — spytała.

— Nie miałem czasu tego załatwić — odrzekłem. — Zacząłem szukać ciebie zaraz po przyjeździe.

— To możesz mieć trudności — powiedziała. — Hotel jest zatłoczony.

— Ojej — mruknąłem.

Jeszcze jedna okoliczność, której nie brałem pod uwagę. A jednak pocieszałem się, z pewnością coś mi znajdą. Ostatecznie, jest to sezon zimowy.

• • •

Kiedy weszliśmy do Rotundy, Robinson stał przy jednej z kolumn, najwidoczniej czekając na nasz powrót.

— Przepraszam cię — powiedziała Eliza, a gdy skręciła w jego stronę, zobaczyłem, że nozdrza jej pobielały. Między nimi rzeczywiście panowało wielkie napięcie. Książki mówiły prawdę.

Przez chwilę zastanawiałem się, kiedy się znowu zobaczymy, bo przecież niczego nie ustaliliśmy, uznałem jednak, że przede wszystkim muszę załatwić sprawę pokoju i skręciłem w stronę kontuaru. W jaki sposób jednak mógłbym teraz otrzymać pokój? Była w tym niepokojąca sprzeczność, mój podpis widniał bowiem pod jutrzejszą, a nie dzisiejszą datą.

Rozwiązanie nie dało długo na siebie czekać. Recepcjonista Rollins zmierzył mnie z chłodną pogardą i z ostentacyjną satysfakcją poinformował, że nie ma żadych wolnych pojedynczych pokoi. Może jutro.

Miałem już na końcu języka „nieodwołalnie jutro", zamiast tego jednak podziękowałem, odwróciłem się i odszedłem od kontuaru. Eliza i Robinson byli wciąż pogrążeni w niezbyt przyjacielskiej rozmowie. Zwol-

niłem kroku, zawahałem się, wreszcie przystanąłem. I co teraz? Czyżbym miał przesiedzieć całą noc na krześle w hallu? Poczułem, że mimo woli się uśmiecham. Może ten wielki fotel na półpiętrze mógłby zapewnić mi osobliwe, chociaż bezsenne, przytulisko? A może, przeszło mi do głowy, zapytać Elizę, czy pozwoliłaby mi przespać się w jej prywatnym wagonie, natychmiast jednak porzuciłem ten zamiar. Dałem jej już wystarczająco wiele powodów do podejrzeń i nie chciałbym dłużej ryzykować.

Drgnąłem lekko, kiedy odwróciła się od Robinsona, na jej twarzy malował się bowiem gniew, który nawet mnie przeraził. Gdy mnie zobaczyła, podeszła i zapytała:

— Masz już pokój? — z troską, a może z wyzwaniem w głosie.

— Nie, wszystkie są zajęte — odpowiedziałem. — Będę musiał to załatwić rano.

Popatrzyła na mnie w milczeniu.

— Nie martw się, coś wymyślę — dodałem.

Nie wyglądała na specjalnie zmartwioną. Jej twarz była raczej wciąż zagniewana, pocieszałem się jednak, że był to skutek rozmowy z Robinsonem.

— Bardziej mi zależy na spotkaniu z tobą... — zacząłem, ale przerwałem, ponieważ odwróciła się i ruszyła z powrotem ku Robinsonowi. Co teraz będzie? Czy zamierzała go namówić, aby mnie stłukł na kwaśne jabłko? Obserwowałem czujnie, jak podeszła do niego i coś powiedziała, a on potrząsnął głową, popatrzył gniewnie w moim kierunku, potem znów na nią i zaczął mówić z widoczną wściekłością. Co ona mu nagadała, na litość boską? Sądząc po jego zdecy-

dowanie wrogiej reakcji zacząłem podejrzewać, że prosiła go, aby mi jakoś pomógł.

Nagle wyciągnął rękę i złapał ją za prawe ramię, a ona szarpnęła się gwałtownie z owym, znanym mi już, rozkazującym wyrazem twarzy. Ponownie ogarnęło mnie zdumienie, że ta kobieta, zdolna do tak królewskich gestów, dla mnie była tak dobra. To oczywiste, że gdyby tylko zapragnęła, potrafiłaby się pozbyć mnie w jednej chwili.

Wprawdzie Robinson nie poddawał się, ona jednak stawiła mu czoła i najwyraźniej miała lepsze karty w ręku, ucichł bowiem i pozwolił jej mówić, łypiąc tylko ponuro spode łba. Po dłuższej chwili odwróciła się i znów podeszła ku mnie z twarzą wciąż tak wyniosłą, że aż ogarnęła mnie trwoga. Czy teraz powie mi, żebym się wynosił?

— W pokoju pana Robinsona jest jedno wolne łóżko — powiedziała. — Możesz się na nim przespać dzisiaj, ale jutro musisz zadbać o coś innego.

Już chciałem jej odmówić, powiedzieć, że raczej wolałbym się przespać na plaży, niż spędzić noc w towarzystwie jej impresaria, ale powstrzymałem się przed tym. Byłoby to przecież dla niej obrazą po tym, jak jeszcze raz okazała mi swą pomoc, odpowiedziałem więc tylko:

— Wspaniale. Dziękuję ci, Elizo.

Znów dłuższy czas bacznie mi się przyglądała, szukając oczami moich oczu, z wyrazem napięcia i niepewności, jak gdyby nie mogąc się zdecydować, czy jednak nie należałoby się mnie ostatecznie pozbyć. Nie mówiłem nic, świadomy, że teraz wsparcia mogę oczekiwać wyłącznie w jej uczuciach.

Niespodziewanie szepnęła:

— Dobranoc — i odwróciła się ode mnie.

Cierpiałem najstraszliwsze katusze w moim życiu, stojąc tak i patrząc, jak się ode mnie oddala. Musiałem wytężyć całą siłę woli, aby nie pobiec za nią, nie chwycić jej za ramię i błagać, aby ze mną pozostała. Powstrzymywało mnie jedynie przekonanie, że w ten sposób zraziłbym ją do siebie całkowicie. Mimo przemożnej tęsknoty, stałem tam jak przerażone dziecko, patrząc bezradnie, jak jedyna bliska mi w tym świecie osoba znika sprzed moich oczu.

Nie słyszałem jego kroków; w ogóle nie zauważyłem, że się zbliża. Pierwszym sygnałem jego obecności, jaki do mnie dotarł, było chrapliwe odchrząknięcie w pobliżu, a kiedy się obróciłem, spojrzałem prosto w jego kamienną twarz. Nie ma co ukrywać, że jego czarne oczy wpatrywały się we mnie z morderczą nienawiścią.

— Wiedz pan — zwrócił się do mnie — że nie robię tego z żadnego innego powodu, jak tylko z szacunku dla panny McKenna. Co do mnie, wyrzuciłbym pana stąd precz, gdybym tylko miał wolną rękę.

Nigdy bym dotąd nie przypuszczał, że jakakolwiek jego wypowiedź mogłaby mnie rozśmieszyć, a jednak teraz poczułem się rozbawiony, i to pomimo przygnębienia z powodu odejścia Elizy. Jego słowa tak idealnie pasowały do epoki, że z trudem powściągnąłem uśmiech.

— Pana coś bawi? — spytał.

Poczucie fizycznego zagrożenia natychmiast spłoszyło mój dobry nastrój. Robinson był silnie zbudo-

wany, choć raczej niski. Przewyższałem go o dobre osiem centymetrów i przez to wydawało mi się, że mam przewagę, nie byłoby jednak rozsądnie prowokować go do bójki.

— Nie pan — odrzekłem.

Miała to być uspokajająca odpowiedź, ale zabrzmiała raczej jak obelga. Może to było złudzenie, ale wydało mi się, że garnitur Robinsona jakby nagle napęczniał rozpierany jego nabrzmiałymi z wściekłości mięśniami.

— Niech pan posłucha — zacząłem ostro, bo już nie mogłem go dłużej ścierpieć — panie Robinson. Nie mam zamiaru kłócić się z panem, tak czy inaczej. Wiem, iż pan sądzi, że ja... przepraszam, cofam to, nie wiem, co pan myśli o mnie poza tym, że myśli pan źle, czy nie moglibyśmy jednak na razie zawrzeć rozejmu? Po prostu nie mam ochoty na nic innego.

Długi czas przyglądał mi się zimnym wzrokiem, a potem odrzekł mrużąc oczy:

— Kim pan jesteś i co pan knujesz?

— Niczego nie knuję — odpowiedziałem ze znużonym westchnieniem.

Uśmiechnął się pogardliwie, samymi wargami.

— To się jeszcze okaże — wycedził — to pewne jak amen w pacierzu.

Niezłe zdanko, uradowała się moja pisarska dusza, choć świadom byłem kryjącej się w nim groźby.

— Ostrzegam pana raz i na zawsze — ciągnął dalej. — Nie wiem, co powiedział pan pannie McKenna, że zaufała mu z taką łatwowiernością, myli się pan jednak bardzo sądząc, że te fortele mogłyby zwieść mnie, choćbyś się pan nie wiem jak starał.

Chciałem mu przyklasnąć, ale nie zrobiłem tego. Nie mogłem mu się sprzeciwiać albowiem wiedziałem, że pan William Fawcett Robinson zawsze musi mieć ostatnie słowo. Gdybym tego nie pojął, moglibyśmy tak stać w Rotundzie przez całą noc, dałem więc za wygraną.

— Czy moglibyśmy teraz udać się do pańskiego pokoju? — spytałem.

Jego rysy wykrzywił wzgardliwy grymas.

— Moglibyśmy — odpowiedział i, obróciwszy się na pięcie, począł przemierzać posadzkę szybkimi krokami.

Upłynęło parę chwil, zanim zrozumiałem, co on właściwie robi, aż wreszcie olśniło mnie, że nie miał najmniejszego zamiaru mi towarzyszyć. Gdybym nie dotrzymał mu kroku, powiedziałby Elizie po prostu, że miał zamiar zabrać mnie do pokoju, ale ja zrezygnowałem.

Ruszyłem za nim najszybciej, jak tylko mogłem, przeklinając go w duchu soczyście. Gdybym tylko czuł się odrobinę lepiej, pobiegłbym za nim i zdrowo mu przyłożył, w tej sytuacji jednak mogłem mówić o szczęściu, że udało mi się utrzymać go w zasięgu wzroku. Kiedy dopadł schodów, zaczął przeskakiwać po dwa stopnie, najwyraźniej usiłując mnie zgubić. Przekonałem się przy tej okazji, że poprawa mego stanu fizycznego wcale nie była tak wielka, jak mi się wydawało.

Często myślałem, że powinienem dziękować Bogu za poczucie humoru, lecz nigdy tak gorliwie, jak właśnie wtedy. Jeśli bym nie potrafił dostrzec zabawnej strony tego pościgu, pewnie bym się wreszcie

załamał. Wyglądałem zapewne komicznie, miotając się po schodach i podciągając na balustradzie, byleby tylko nie stracić z oczu tego typa, który mknął w górę jak przyciężka gazela. Po drodze nogi mi się plątały, zmuszając mnie nie jeden raz do zawiśnięcia na poręczy w pozie nieszczęsnej ofiary trzęsienia ziemi. Minął mie jakiś mężczyzna, schodzący w dół, ale w przeciwieństwie do tego, którego spotkałem na samym początku, ten patrzył z lodowatą niechęcią na moją chwiejną wspinaczkę. Śmiałem się do rozpuku, wywracając się tuż za nim, ale dla niego brzmiało to na pewno jak pijacka czkawka.

Kiedy dotarłem do trzeciego piętra, Robinson zniknął na dobre. Dowlokłem się do korytarza i rozejrzałem w obie strony, ale że nie zobaczyłem nikogo, zawróciłem i tym samym chwiejnym krokiem podjąłem dalszą drogę w górę. Ściany wokół zaczęły się chwiać i mętnieć, co mi uświadomiło, że nie minie wiele czasu i zemdleję, jeżeli będę musiał iść dalej. Cóż, popełniłem kolejny błąd myśląc, że przezwyciężyłem ostatecznie uboczne skutki podróży w czasie.

Szczęśliwie natknąłem się na niego na czwartym piętrze. Co on tam może robić, u diabła, pomyślałem półprzytomnie, kiedy skręciłem w prawo z podestu i ujrzałem go w głębi korytarza, jak rozmawiał z jakimś mężczyzną. Do dzisiaj nie wiem czy dając mi szansę, abym go dogonił, zrobił to specjalnie — nie z osobistej sympatii, niech Bóg broni — ale po prostu ze strachu przed reakcją Elizy, gdybym jej opowiedział, jak zostałem wykołowany. Z drugiej strony mógł najzwy-

czajniej wpaść na faceta, który nie dał mu się wymknąć.

W każdym bądź razie, idąc ku nim na miękkich nogach, usłyszałem, że rozmawiają o przedstawieniu. Kiedy podszedłem bliżej, przystanąłem i oparłem się o ścianę, walcząc przy akompaniamencie sapania z nacierającym zamroczeniem. Robinson nie uznał za stosowne mnie przedstawić, co mi nie przeszkadzało, bo i tak mógłbym tylko zagulgotać do jego rozmówcy, który pewnie zastanawiał się, kim może być, u Boga Ojca, ten dziwny, ociekający potem facet, bezsilnie podpierający ścianę.

Rozmowa wreszcie dobiegła końca i mężczyzna przeszedł obok, obrzucając mnie mrocznym, taksującym spojrzeniem. Robinson skręcił w boczny korytarz, odepchnąłem się więc od ściany i pospieszyłem za nim. Jego pokój był po lewej stronie. Kiedy otworzył drzwi, zatoczyłem się w jego kierunku. Byłem tak bliski omdlenia, że nawet nie czekałem na zaproszenie.

Robinson burknął coś zgryźliwie, kiedy przepchnąłem się obok niego przez drzwi, ale nie zrozumiałem z tego ani słowa. Zmętniałym wzrokiem obrzuciłem pokój i dostrzegłem dwa łóżka pod przeciwległą ścianą. Na jednym z nich leżała gazeta, rzuciłem się więc ku drugiemu, ale źle wymierzyłem odległość l rąbnąłem goleniami o oparcie. Z bólu nie mogłem złapać tchu, kuśtykając okrążyłem łóżko i bezwładnie padłem na nie, wyciągając przed siebie prawą rękę, aby wyhamować upadek. Dłoń ześliznęła mi się po pościeli i poczułem, że zapadam się w nią twarzą. Cały pokój począł kręcić się wokół mnie

jak nieoświetlona, milcząca karuzela. Wracam, przebiegło mi przez myśl, i była to ostatnia świadoma czynność, zanim pochłonęła mnie ciemność.

• • •

Zbudził mnie jakiś dźwięk. Otworzywszy oczy zobaczyłem przed sobą ścianę. Zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, gdzie się znajduję. Upłynęło kilkanaście sekund zanim poczułem ukłucie lęku i obróciłem głowę.

Może to i dziwne, ale widok Robinsona przyniósł mi pewne pocieszenie, uświadamiając mi, że jednak nie wróciłem. Pomimo chwilowej przerwy w świadomości moje ciało pozostało na miejscu, a to mogło oznaczać najpewniej, że zaczynam zapuszczać tu korzenie.

Popatrzyłem ze zdumieniem na Robinsona, który stał do mnie plecami przed pozornie pustą ścianą. Trzymał coś w rękach, nie mogłem tego dostrzec, ale z szelestu, mogłem wnioskować, że było to coś papierowego.

Nagle coś stuknęło, a on poruszył się i zaczął się odwracać. Zamknąłem oczy, nie mając odwagi znowu z nim zaczynać. Kiedy uchyliłem nieco powieki, zobaczyłem, że znowu stoi do mnie tyłem, spojrzałem więc w to miejsce, gdzie dopiero co był i zobaczyłem drzwiczki ściennego sejfu. Przymknąłem oczy.

Gdy spojrzałem na Robinsona ponownie, siedział w wyplatanym krzesełku przy oknie i zdejmował buty, a w lewym kąciku ust trzymał wygasłe cygaro. Wcześniej zdjął już żakiet, kamizelkę i krawat,

ujawniając na rękawach prążkowanej koszuli gumowe opaski, których sprzączki wyglądały, jak gdyby były zrobione z czystego srebra, tak samo zresztą jak sprzączki przy jego czarnych szelkach.

Krzesło skrzypnęło, kiedy ściągał drugi but, a raczej wysoki do kostki kamasz, westchnął i położył odziane w czarne skarpetki stopy na niskim taborecie. Ze stojącego obok stolika wziął ozdobny srebrny scyzoryk, otworzył go i zaczął czyścić paznokcie czubkiem ostrza. W pokoju było tak cicho, że wyraźnie słyszałem delikatne skrobanie. Zauważyłem, że na środkowym palcu prawej ręki nosił pierścień z czarnym onyksem i nałożonym nań złotym godłem.

Chciałem rozejrzeć się po pokoju, ale powieki znów miałem ciężkie. Było mi ciepło i wygodnie, nawet pomimo obecności Robinsona, który ostatecznie robił przecież tylko to, co uznawał za najlepsze dla Elizy.

Zacząłem zastanawiać się nad tym, co mi powiedziała tam, za hotelem; o tym, że mnie oczekiwała. Czy to w ogóle mogło być możliwe? Każda odpowiedź wydawała się niewiarygodna, chyba żebym uwierzył w zjawiska parapsychologiczne. Czyżby to o nie chodziło? Wszystko mi się mieszało, ale zarazem odczuwałem wielką wdzięczność wobec losu, bo przecież, niezależnie od powodów, to oczekiwanie zmieniało postać rzeczy. Wciąż jeszcze była daleka od zaakceptowania mnie w sposób, jakiego bym pragnął, ale początek w każdym razie został zrobiony.

Znów zapadałem w nieświadomość, ale tym razem bez żadnych obaw. Byłem pewien, że gdy się obu-

dzę, będę wciąż w 1896 roku. Ześlizgując się już w sen próbowałem resztką świadomości rozwikłać nasuwającą mi się zagadkę. Czy to, że natknąłem się na jej fotografię, że zakochałem się w niej, zdecydowałem się do niej dotrzeć i w końcu zrealizowałem to, było już z góry przesądzone? Czy wszystko to mogło się zdarzyć tylko pod warunkiem, że ona o mnie wiedziała?

Byłem już zbyt senny, aby cokolwiek z tego zrozumieć, porzuciłem więc te rozmyślania, a wraz z nimi odpłynęła i świadomość.

20 listopada 1896

Wiem już, że sny mogą być odzwierciedleniem wrażeń zmysłowych, ponieważ tuż przed przebudzeniem śnił mi się wodospad, a kiedy otworzyłem oczy usłyszałem szum deszczu na dworze.

Wkręciłem szyję, aby spojrzeć w stronę okna i ujrzałem w nim ścianę deszczu spływającego z okapu i z hukiem walącego o dach poniżej.

Po chwili w ogólnym hałasie wyodrębniłem wcale nie cichsze od deszczu chrapanie, spojrzałem więc na drugie łóżko. Robinson usnął w ubraniu przy zapalonym świetle. Leżał bezwładnie na plecach, jak ofiara morderstwa, z szeroko otwartymi ustami, z których wydobywało się chrapanie przypominające urywane pomruki lamparta. Cygaro, które przedtem trzymał w kąciku ust, leżało na poduszce obok jego głowy. Dzięki Bogu zgasło, zanim zasnął, byłoby bowiem

prawdziwą ironią losu dotrzeć do 1896 roku tylko po to, by zginąć w pożarze hotelu.

Usiadłem ostrożnie, aby go nie obudzić, ale mój wysiłek był zbyteczny. Robinson to typ człowieka, którego nie zbudzi nawet wystrzał z armaty. Patrzyłem na niego przypominając sobie, jak wstrętnie mnie potraktował, lecz dzięki temu, co o nim przeczytałem, nie czułem doń żadnego żalu. Taka nadnaturalna wiedza bywa jednak czasami korzystna.

Nagle ogarnęło mnie gwałtowne pragnienie zobaczenia Elizy, zacząłem więc ją sobie wyobrażać. Pomyślałem, jak by zareagowała, gdybym zastukał o tej porze do jej drzwi, chociaż zdawałem sobie sprawę, że jest to niemożliwe. Zabraniała tego moralność jej epoki, nie mówiąc już o tym, że gdyby Robinson czegoś się dowiedział, nie odmówiłby sobie przyjemności, by skatować mnie na śmierć.

Mimo to jednak świadomość, że dystans siedemdziesięciu pięciu lat zamienił się teraz tylko w przestrzenne i to niewielkie oddalenie, nie przestawała mnie dręczyć. Co ona mogła robić w tej właśnie chwili? Może spała w rozkosznym cieple swego łóżka, a może, jak podszeptywała mi niemiłosierna, nieludzka nadzieja, stała przy oknie i rozmyślała o mnie, patrząc w ociekającą deszczem noc?

Wystarczyłoby tylko wymknąć się z pokoju i zejść na dół, aby przekonać się samemu.

Po pewnym czasie udało mi się wprowadzić w stan półobłędu, wyobrażając sobie, jak wpuszcza mnie do pokoju. W moich myślach miała na sobie koszulę nocną i szlafrok, a kiedy ją przytulałem — w ma-

rżeniach pozwalała na to natychmiast — wyczuwałem ciepło jej ciała. Zaczęliśmy się nawet całować; czułem jej miękkie, spragnione wargi i wpijające się w moje ramiona palce. Przytuleni ruszyliśmy w stronę sypialni, cały czas spleceni w uścisku.

Dopiero w tym momencie, nie bez złości na siebie samego, udało mi się zapanować nad wizjami. Krok po kroku — tłumaczyłem sobie. Nie rób z siebie idioty, to przecież rok 1896. Uspokoiłem wzburzony oddech i rozejrzałem się za czymś, co odwróciłoby moją uwagę.

Mój wzrok padł na drobiazgi, które Robinson porzucił na blacie biurka. Wstałem i podszedłem bliżej. Otwarty zegarek wskazywał siedem minut po trzeciej. Idealna pora na stukanie do drzwi kobiety — pomyślałem przyglądając się bogato zdobionej kopercie. Była ze złota, ze skomplikowanym grawerunkiem wzdłuż brzegu i wizerunkiem lwa pośrodku, ale nie z natury. Był to lew pomnikowy, w rodzaju tych, jakie stoją na przykład przed nowojorską Biblioteką Publiczną.

Kiedy oglądałem żakiet Robinsona, przerzucony przez oparcie krzesła, zauważyłem pióro, wystające z wewnętrznej kieszeni. Wyjąłem je i ze zdumieniem stwierdziłem, że było to pióro wieczne. To dziwne, że wciąż byłem skłonny uważać tę epokę za bardziej prymitywną, niż była w istocie. Dziwiły mnie elektryczne światła, a teraz to pióro, a przecież w ostateczności nie było to średniowiecze — pomyślałem. O ile sobie przypominam, mieli już wtedy nawet swego rodzaju zegary cyfrowe.

Odsunąłem krzesło, ostrożnie usiadłem i wyciąg-

nąłem szufladę. Wewnątrz znalazłem teczkę z hotelową papeterią. Odsunąłem na bok resztę rzeczy Robinsona, to znaczy portfel i srebrne pudełko z zapałkami, i wziąłem się do pisania, stawiając jak najmniejsze litery i posiłkując się tym, co zapamiętałem z kursu stenografii, miałem bowiem tak wiele do zanotowania, że mogłoby mi zabraknąć papieru, a poza tym nie chciałem, by ktoś kto je zobaczy, mógł poznać treść moich zapisków.

Piszę teraz wciąż jeszcze, choć minęło już wiele godzin. Deszcz przestał padać, chyba zbliża się świt, bo niebo jakby poszarzało. Jestem pod wrażeniem tego, że mój styl się zmienił, jak gdybym starał się dostosować do tych czasów. Scenariusze telewizyjne w zasadzie nie wymagają niczego więcej poza oszczędnością słów, a ich dyktowanie wpływa na jeszcze większą zwięzłość i dynamikę, teraz zaś najwyraźniej popadłem w niespieszną gadatliwość charakterystyczną dla tej epoki i wcale nie uważałem tego za nieprzyjemne. Tak sobie siedząc i przysłuchując się drapaniu stalówki o papier, któremu poza stłumionym szumem fal nie przeszkadzał żaden dźwięk, bo nawet chrapanie Robinsona umilkło na pewien czas, czuję się zupełnie jakbym był typowym dżentelmenem z 1896 roku.

Mam nadzieję, że zapamiętałem wszystko, co było ważne. Wiem, oczywiście, że przeoczyłem niezliczone chwile i odcienie uczuć, że wielu słów wypowiedzianych, nawet pomiędzy mną i Elizą, nie byłem w stanie spamiętać. Niemniej przypuszczam, że spisałem wszystkie istotne momenty.

Na dworze jest już niemal jasno. Z dachu ściekają

tylko pojedyncze krople. Po drugiej stronie zatoki Glorietta widać skupisko świateł, a na niebie lśnią jak brylanty gwiazdy. Widzę ciemny kształt komina pralni, biegnące w stronę Meksyku pasmo plaży, a po prawej widmowe zarysy wybiegającego w morze żelaznego mola.

Zastanawiam się, czy byłoby bardzo niemądrze, a może nawet szaleńczo, rozważyć sprzeczności w tym, czego dotychczas dokonałem. Przypuszczam, że najbezpieczniej dla mnie byłoby skoncentrować się wyłącznie na Czasie 1 czyli roku 1896. W każdym innym podejściu wyczuwałem bowiem ukryte pułapki, z drugiej jednak strony trudno było mi oprzeć się pokusie takiej analizy sprzeczności, bodaj pobieżnej. Co stanie się na przykład 20 lutego 1935 roku? Zamierzam pozostać tu gdzie jestem, co więc stanie się tego, jeszcze dziś odległego, dnia? Czy moje dorosłe „ja" wtedy nagle zniknie? Czy ja jako dziecko będę żył, czy też umrę przy urodzeniu, a może w ogóle nie zostanę poczęty? A może, co byłoby jeszcze gorsze od tych możliwości, mój powrót w przeszłość stanie się przyczyną groteskowej zagadki jednoczesnej egzystencji dwóch Ryszardów Collierów? Brzmi to tak niepokojąco, że zaczynam żałować, iż w ogóle o tym pomyślałem.

A może odpowiedź jest bardzo prosta. Może, pozostając tu, stopniowo zacznę przybierać całkiem inną osobowość, tak że w 1935 roku dosłownie już nie będzie żadnego Ryszarda Colliera, którego miałoby zastąpić nowonarodzone dziecko.

Przyszła mi teraz dziwna myśl do głowy, dziwna o tyle, że pojawiła się dopiero w tej chwili.

Chodzi o to, że wielu sławnych ludzi, o których dotychczas tylko czytałem, żyje właśnie teraz.

Einstein jest szwajcarskim nastolatkiem, Lenin młodym prawnikiem, a jego rewolucyjna kariera to sprawa odległej jeszcze przyszłości, Franklin Roosevelt jest studentem, Gandhi prawnikiem w Afryce, Picasso młodzieńcem, a Hitler i de Gaulle uczą się w szkole. Na tronie brytyjskim wciąż zasiada królowa Wiktoria, Teddy Roosevelt jeszcze nie poprowadził ataku na San Juan Hill. H.G. Wells właśnie opublikował „Wehikuł czasu", a McKinley został wybrany prezydentem w tym właśnie miesiącu. Henry James uciekł do Europy, John L. Sullivan dopiero co wycofał się z ringu, a Crane, Dreiser i Norris teraz właśnie zaczynają tworzyć szkołę realizmu literackiego. A w chwili, kiedy piszę te słowa, w Wiedniu Gustaw Mahler rozpoczyna pracę dyrygenta w Operze Królewskiej.

Lepiej przerwać to rozumowanie, bo...

Boże Święty!

Ręka zadrżała mi tak mocno, że z trudem utrzymałem pióro.

Przespałem wiele godzin i ani razu nie rozbolała mnie głowa!

• • •

Czuję się, jakbym wciąż wstrzymywał oddech. To zmiana tak podniecająca, że aż się boję o niej myśleć.

Przede wszystkim nie powinienem nad tym się zastanawiać. Z intencjonalną przesadą zacząłem więc koncentrować się na szczegółach mego zachowania.

Starannie złożyłem kartki papieru, czując pod palcami ich fakturę i przysłuchując się suchemu szelestowi, gdy wsuwałem je do wewnętrznej kieszeni surduta. Kiedy ponownie spojrzałem na zegarek Robinsona, stwierdziłem, że minęło właśnie wpół do siódmej. Wstałem i rozprostowałem się, a potem popatrzyłem na Robinsona. Wciąż spał, a z jego gardła wydobywał się bulgoczący oddech, zacząłem więc wygładzać zagniecione fałdy na moim ubraniu. Zapaliłem światło w łazience i przejrzałem się w lustrze. Moją brodę pokrywała kłująca szczecina. Zerknąłem na miseczkę i pędzel Robinsona, stojące na umywalce, ale uznałem, że nie mam czasu. Chciałem już stąd wyjść i zająć się czymś innym, a nie gapić się na odbicie w lustrze. Musiałem oddalić od siebie ową natarczywą myśl, bo nie byłem jeszcze gotów, by stawić jej czoła.

Pospiesznie spłukałem twarz zimną wodą i wytarłem ją, a potem spróbowałem bez zbytniego powodzenia przyczesać włosy palcami. To mi uświadomiło, że muszę kupić grzebień, brzytwę i inne przybory do golenia, jakąś koszulę, a przede wszystkim, co szczególnie było kłopotliwe, skarpetki i bieliznę.

Wyszedłem jak najciszej z pokoju, licząc na to, że Robinson śpi dostateczne głęboko, by nie usłyszeć stuknięcia zamykanych drzwi, na których od zewnętrznej strony była tabliczka z numerem 472. Skręciłem w lewo, doszedłem do końca krótkiego bocznego korytarza, jeszcze raz zrobiłem zakręt w lewo, ale stwierdziłem, że idę w złym kierunku, zawróciłem więc i poszedłem przed siebie.

Schodząc po schodach zdumiewałem się głęboką

ciszą, jaka panowała w hotelu. Do moich uszu nie docierał żaden warkot samochodów ani ryk lądujących samolotów. Była kompletna cisza za wyjątkiem odległego, nieprzerwanego szumu przyboju, i mój każdy krok zaznaczał się w niej wyraźnym stuknięciem buta o stopień.

Na drugim piętrze przeszedłem korytarzem ku zewnętrznym schodom, aby ominąć Rotundę. Podchodząc do drzwi przypomniałem sobie, że dziś o dziewiątej osiemnaście powinienem wpisać się do rejestru i otrzymać pokój numer 350.

Gdy wyszedłem na balkon i spojrzałem na podwórzec, przez myśl przemknęły mi dwa słowa: déjà vu. Choć wówczas wyglądał on zupełnie inaczej, nie pokrywał go bowiem taki gąszcz fig, granatów, cytryn, pomarańczy, guaw i innych tropikalnych roślin, to jednak uczucie jakiego doświadczyłem bardzo przypominało moje wrażenia z pierwszego poranka pobytu w hotelu. Oczywiście z punktu widzenia logiki nie należałoby mówić o nim jako o déjà vu, oznacza to bowiem mniej więcej „byłem już tu kiedyś", a ja, prawdę mówiąc, miałem znaleźć się tu dopiero za siedemdziesiąt pięć lat.

Drażniły mnie te zawiłości, więc usunąłem je ze świadomości, zszedłem na dół i ruszyłem przez wilgotny podwórzec. Po drodze mijałem kwietniki i białe krzesełka, przemykałem pod łukami utworzonymi z wysokich bujnych żywopłotów, omijając ukrytą wśród nich fontannę z posągiem nagiej nimfy, trzymającej na głowie dzban. Aż drgnąłem, kiedy mignął koło mnie żółty kanarek i przepadł w krzakach, a gdy przechodziłem obok drzewa oliwkowego, uchwyci-

łem kątem oka jakiś ruch i ze zdumieniem ujrzałem jaskrawo ubarwioną papugę, która siedząc nisko na gałęzi czyściła pióra. Uśmiechnąłem się do niej, a potem do całego tego nowego świata, bo naraz zalała mnie fala wielkiej radości. Spałem, a jednak nie boli mnie głowa, a teraz idę zobaczyć się z Elizą!

Wszedłem do mrocznego cichego przedpokoju w promiennym nastroju i aż mnie korciło, żeby przerwać ciszę wesołym pogwizdywaniem. Dopiero, gdy znalazłem się pod jej drzwiami, znowu opadły mnie wątpliwości. Czy jednak nie jest jeszcze zbyt wcześnie? Czy jej nie przeszkodzę? A może nawet ją rozgniewam, jeżeli zapukam właśnie teraz? Za nic nie chciałbym jej obudzić, przemyślawszy jednak całą sprawę na tyle metodycznie, na ile było mnie stać, doszedłem do wniosku, że jeśli teraz odejdę, mogę pożegnać się z nadzieją, że ją zobaczę. Gdybym czekał, aż wszyscy dookoła się obudzą, jej matka i Robinson znowu odetną mi dostęp do niej. Zebrałem się więc w sobie i uniosłem zaciśniętą w kułak dłoń. Przez kilka chwil wpatrywałem się w tabliczkę z numerem pokoju, aż wreszcie w końcu zastukałem.

Chyba zrobiłem to zbyt ostrożnie, by mogła usłyszeć, z drugiej jednak strony obawiałem się pukać zbyt głośno, żeby nie zbudzić kogoś z jej sąsiadów, kto mógłby mnie przyłapać na gorącym uczynku. O ile wiedziałem, jej matka zajmowała sąsiedni pokój, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powinna więc być tam teraz. Dobry Boże, co by to jednak było, gdyby pani McKenna uparła się, że tę noc spędzi w pokoju Elizy?

Rozmyślałem nad tym wszystkim, gdy zza drzwi dobiegło mnie ciche pytanie, zadane głosem Elizy:

— Kto tam?

— To ja — odpowiedziałem, nie zastanawiając się ani przez chwilę, że mogłaby przecież nie wiedzieć, co to za „ja" dobija się do niej.

Wiedziała jednak, gdyż usłyszałem szczęk zamka, po czym drzwi powoli uchyliły się i zobaczyłem ją jeszcze piękniejszą, niż sobie wyobrażałem w marzeniach, ubraną w koszulę nocną koloru czerwonego wina, obramowaną przy szyi koronką i z dwoma pasami zawiłego haftu na gorsie. Rozpuszczone włosy spływały kaskadą na jej ramiona, a szarozielone oczy przyglądały się mi z powagą.

— Dzień dobry — powiedziałem.

• Patrzyła na mnie w milczeniu, aż wreszcie wyszeptała:

— Dzień dobry.

— Czy mógłbym wejść? — zapytałem.

Zawahała się, ale wyczuwałem, że nie było to wahanie kobiety zastanawiającej się, czy właściwe jest wpuszczenie do pokoju mężczyzny w tak dwuznacznych okolicznościach. Przypuszczam, że myślała, czy naprawdę ma ochotę pozwolić uwikłać się jeszcze bardziej.

W końcu podjęła decyzję i usunęła się, robiąc mi przejście. Zamykając drzwi, spojrzała na mnie i wtedy dostrzegłem, ile w jej oczach było zmęczenia i smutku. Co ja jej zrobiłem najlepszego? Chciałem już zacząć się usprawiedliwiać, ale nie dała mi szansy, mówiąc wcześniej:

— Siadaj, proszę.

Powiedzieć, że komuś serce zamarło, nie jest żadną przenośnią; wiem o tym, bo sam to właśnie wtedy przeżyłem. Czyżby to miała być scena finałowa, starannie wyreżyserowane pożegnanie? Podchodząc do krzesła, czułem, że moje gardło wyschło na papier.

W saloniku nie paliło się żadne światło, wszystko tonęło w cieniu. Niejasne przeczucia sprawiły, że zadrżałem czekając, aż ona usiądzie. Kiedy wreszcie przycupnęła na brzeżku kanapy, opadłem na krzesło, czując się jak statysta w mającej zaraz się rozegrać scenie, chociaż nie znałem ani akcji, ani dialogów.

Podniosła oczy i wpatrzyła się we mnie.

— Co się dzieje? — spytałem, gdy cisza przedłużała się.

Westchnęła ciężko, ze zmęczeniem i powoli potrząsnęła głową.

— Nie rozumiem, dlaczego to robię — w jej głosie brzmiał ból. — Nigdy w życiu tak się nie zachowywałam.

Wiem o tym, pomyślałem, ale na szczęście nie powiedziałem tego na głos. Nieomal mi się wyrwało, że przecież mnie oczekiwała, uznałem jednak, że i tego lepiej nie mówić, zachowałem więc milczenie.

Kiedy Eliza odezwała się ponownie, w jej głosie słychać było ton wyzwania.

— Rozum mówi mi, że po raz pierwszy spotkaliśmy się wczoraj wieczorem na plaży, i że do tej chwili byliśmy sobie obcy. Rozum mówi mi również, że nie ma najmniejszego powodu, abym zachowywała się wobec ciebie tak, jak to robiłam. Nie ma żadnego powodu...

Jej głos rozpłynął się w ciszy. Spuściła oczy i wpatrzyła się w swoje dłonie. Chyba upłynęło dużo czasu, zanim dodała, nie podnosząc wzroku:

— ...a jednak to robię.

— Elizo — powiedziałem, unosząc się z krzesła.

— Nie, nie ruszaj się — spojrzała na mnie przelotnie. — Chciałabym, żeby między nami był... dystans. Nie chcę nawet widzieć cię zbyt wyraźnie. Sam widok twojej twarzy...

Przerwała, spazmatycznie łapiąc powietrze.

— Chcę pomyśleć — dokończyła.

Czekałem w milczeniu na analizę, podsumowanie i wnioski, ponieważ jednak nic takiego nie nastąpiło, pojąłem, że to, o czym mówiła, wyrażało raczej jej nadzieje niż plany.

Po dłuższej chwili uniosła głowę i popatrzyła na mnie.

— Jak ja dzisiaj, na litość boską, zdołam zagrać?

— Będziesz grała — odpowiedziałem — i to doskonale.

Wydwało mi się, że potrząsnęła głową.

— Tak będzie — powtórzyłem z naciskiem. — Ja będę na widowni.

— Co wcale mi nie pomoże — odrzekła.

Chwilę spoglądała na mnie w milczeniu, a potem pociągnęła za łańcuszek przełącznika lampy na nocnym stoliku. Zamrugałem, oślepiony blaskiem zapalonej żarówki.

Przy świetle, nadal przyglądała mi się z nieodgadniona twarzą. Wydawało mi się, że oprócz powagi dostrzegam w niej początki przychylności, choć może lepiej byłoby to nazwać ostrożnie tolerancją. W każ-

dym razie osiągnąłem znów ten pierwszy, bardzo jeszcze niski poziom.

— Przepraszam — powiedziała pochylając głowę. — Znowu zapatrzyłam się na ciebie. Nie wiem, dlaczego wciąż to robię. Nie, oczywiście, że wiem — poprawiła się. — To przez twoją twarz. Pod atrakcyjnymi rysami kryje się w niej coś jeszcze, tylko co to może być?

Chciałem coś powiedzieć lub zrobić, ale nie wiedziałem co, a bardzo bałem się popełnić jakiś błąd.

— Wydawało mi się — ciągnęła dalej, patrząc na swoje dłonie — że wiem już dużo o świecie, w każdym razie o moim świecie — poprawiła się — że jestem z nim zgrana każdą swoją cząstką, a teraz...

Szczerze pragnąłem zastosować się do jej prośby o utrzymanie dystansu, zanim jednak na dobre dotarło to do mojej świadomości, już wstałem i ruszyłem w jej stronę. Zauważyłem, że popatrzyła na mnie bez zakłopotania, choć trudno w jej oczach byłoby doszukać się radosnego oczekiwania. Usiadłem obok niej na kanapie i uśmiechnąłem się najłagodniej jak umiałem.

— Przykro mi, że nie spałaś tej nocy — powiedziałem.

— Czy to aż tak widać? — spytała, a ja zdałem sobie sprawę, że dotychczas nie zwróciłem na to uwagi.

— Ja też wiele nie spałem. Większą część nocy... myślałem.

Nie wydawało mi się słuszne mówić o pisaniu.

— To tak, jak ja.

Dzieliliśmy się wyznaniami, ale wciąż wyczuwałem istniejącą pomiędzy nami niewidzialną barierę.

— I...?

— I wszystko jest tak skomplikowane, że nie mogłam nic zrozumieć.

— Nie — odpowiedziałem impulsywnie. — To wcale nie jest skomplikowane, Elizo. To, żeśmy się spotkali, było nam przeznaczone.

— Przez *col*

Nie miałem gotowego żadnego wyjaśnienia.

— Sama mówiłaś, że się spodziewałaś mnie — odpowiedziałem wymijająco. — To dla mnie brzmi jak przeznaczenie.

— Albo nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

Poczułem ukłucie w piersiach.

— Chyba w to nie wierzysz.

— Sama już nie wiem, w co mam wierzyć.

— Dlaczego mnie oczekiwałaś? — spytałem.

— A powiesz mi, skąd przybyłeś? — odparowała.

— Przecież ci powiedziałem.

— Ryszardzie! — powiedziała łagodnym tonem, ale reprymenda była oczywista.

— Obiecuję, że powiem ci, gdy nadejdzie właściwy czas. Teraz nie mogę ci tego powiedzieć, bo... — nie mogłem znaleźć odpowiedniego słowa —...bo mogłoby cię to zdenerwować.

— Zdenerwować? — roześmiała się krótko, z odcieniem goryczy. — Czy mogłabym być bardziej zdenerwowana niż teraz?

Czekałem w milczeniu. Zbierała się tak długo, że już myślałem, że w ogóle nic mi nie powie, gdy przerwała ciszę nieoczekiwanym pytaniem:

— Czemu się nie śmiejesz?

— A było to śmieszne?

Pożałowałem tych słów natychmiast, gdy wyrwały mi się z ust, na szczęście jednak zrozumiała moje intencje i twarz jej złagodniała w zmęczonym uśmiechu.

— Na swój sposób — odpowiedziała — a przynajmniej dziwaczne.

— Pozwól, że sam zdecyduję — odrzekłem.

Znów nastąpiło długie wahanie, aż wreszcie wyprostowała się sztywno, jakby przygotowywała się do zeznań i zaczęła:

— Historia składa się z dwóch części. W końcu lat osiemdziesiątych, nie pamiętam dokładnie, w którym roku, występowałyśmy razem z mamą w Virginia City.

W listopadzie 1887, podszepnęła mi nieproszona pamięć.

— Pewnego wieczoru, po przedstawieniu — ciągnęła — do hotelu, w którym mieszkałyśmy, jacyś ludzie sprowadzili starą Indiankę. Mówili, że ona potrafi przepowiadać przyszłość, niewiele myśląc poprosiłam ją więc, żeby zrobiła to i dla mnie.

Poczułem, że serce bije mi coraz mocniej.

— Powiedziała mi, że gdy będę miała dwadzieścia dziewięć lat, spotkam... pewnego mężczyznę, i że zjawi się on... — spazmatycznie zaczerpnęła powietrze — w bardzo dziwnych okolicznościach.

Czekałem patrząc na jej uroczy profil, a gdy milczenie zaczęło się przedłużać, podrzuciłem:

— A druga część?

Zareagowała natychmiast.

— W naszym zespole jest garderobiana, której matka była Cyganką. Utrzymuje ona, że posiada... jakby to nazwać? Moc wróżebną.

Serce waliło mi ciężko jak młotem.

— I...? wyszeptałem.

— Pół roku temu powiedziała, że... — urwała niespodziewanie.

— Powiedz, proszę.

Zawahała się, ale po chwili podjęła opowieść.

— Że spotkam tego... mężczyznę w listopadzie... — głośno przełknęła ślinę — na plaży.

Byłem tak przytłoczony tym, co powiedziała, że nie mogłem wymówić nawet słowa. Cud, który wydarzył się w moim życiu, wydawał się teraz zrównoważony cudem, który przydarzył się jej. Nie chodzi o to, żebym uważał, że jestem tym jednym jedynym, jej przeznaczonym; nic podobnego. Po prostu odczuwałem całą doniosłość i grozę tego, żeśmy się spotkali.

Odezwała się zanim odzyskałem zdolność mówienia, a jej prawa ręka uniosła się w geście zakłopotania.

— Nie miałam wtedy pojęcia, że przyjedziemy tu na próby z „Ministrem". Zaproszenie przyszło wiele miesięcy później i w ogóle nie wiązałam Coronado z tym, co mi powiedziała Marie.

Zamyśliła się, jak gdyby zaglądając w przeszłość, a potem ciągnęła:

— Dopiero, kiedy przyjechaliśmy do hotelu, wszystko zaczęło mi się przypominać. We wtorek wieczorem wyglądałam przez okno, gdy niespodziewanie widok plaży przywołał wspomnienie słów Marie, a potem tej starej Indianki.

Odwróciła głowę i spojrzała na mnie z wyrzutem, było to jednak bardzo łagodne oskarżenie.

— Od tej chwili zaczęłam zachowywać się jakoś dziwnie. Wczoraj na próbie byłam po prostu straszna.

Przypomniało mi się, co na ten temat mówił wieczorem Robinson.

— Zapominałam ciągle tekstu — opowiadała — gubiłam się z wejściem, plątałam wszystko. A przecież nigdy mi się to nie zdarzało, nigdy, dopiero teraz. Nic mi nie wychodziło. Myślałam tylko o tym, że jest listopad, że jestem w pobliżu plaży, i że powiedziano mi, nawet nie raz, ale dwa razy, że w tym czasie i w takim miejscu spotkam jakiegoś mężczyznę. To znaczy...

Urwała, a ja wyczułem jej niepokój, że wyjawiła więcej, niż zamierzała. Zrobiła ruch rękami, jakby unieważniała tę chwilę szczerości, i powiedziała:

— W każdym bądź razie właśnie dlatego zapytałam: „Czy to pan?", czego normalnie nigdy bym nie zrobiła. A gdy odpowiedziałeś „tak", omal nie zemdlałam — dokończyła i potrząsnęła głową ze smutnym westchnieniem.

— Mnie też niemalże zrobiło się słabo, kiedy zadałaś mi to pytanie.

Spojrzała na mnie bystro.

— Nie wiedziałeś więc, że cię oczekuję?

Miałem nadzieję, że nie popełniam jakiegoś strasznego błędu, ale nie mogłem się już wycofać.

— Nie.

— A dlaczego powiedziałeś wtedy „tak"?

— Żebyś mnie zaakceptowała — odpowiedziałem. — Naprawdę wierzę, że było nam przeznaczone spotkać się. Nie wiedziałem tylko, że ty na mnie czekasz.

Wbijając we mnie oczy wpatrwała się z napięciem.

— Skąd przybywasz, Ryszardzie?

Niewiele brakowało, a bym jej powiedział. W tym momencie wydawało się to tak naturalne, że już otwierałem usta, ale w ostatniej chwili powstrzymał mnie jakiś wewnętrzny hamulec. Zdałem sobie sprawę, że zupełnie czym innym jest znać przyszłość z przepowiedni starej Indianki i swojej garderobianej, półkrwi Cyganki, niż poznać ją w szokujący sposób od kogoś, kto stamtąd przywędrował.

Gdy nie doczekała się odpowiedzi, jęknęła tak rozpaczliwie, że aż poczułem ukłucie w sercu.

— Znowu to samo. Znów otaczasz mnie jakąś mgłą, mgłą tajemnicy.

— Nie miałem takiego zamiaru — odpowiedziałem — chcę cię tylko chronić.

— Przed czym?

Znowu nie miałem gotowej żadnej, zrozumiałej dla niej odpowiedzi.

— Nie wiem — odrzekłem, a kiedy odsunęła się ode mnie, szybko dodałem:

— Przeczuwam tylko, że to mogłoby cię zranić, a tego chciałbym uniknąć. Kocham cię, Elizo — zakończyłem, próbując wziąć ją za rękę.

Zerwała się, zanim zdążyłem ją dotknąć, i oddaliła od kanapy krótkimi, szybkimi krokami.

— Nie bądź nieuczciwy — powiedziała.

— Przepraszam, to tylko... — co ja jej mogłem powiedzieć?

— Zaangażowałem się tak całkowicie, że trudno...

— Ja nie mogę się w nic angażować — przerwała mi.

Siedziałem w milczeniu, odrętwiały i skruszony, przyglądając się jej, jak stała przy oknie ze skrzyżowa-

nymi rękami i spoglądała na ocean. Wyczuwałem w niej straszliwe napięcie, coś, co powstrzymywała jedynie największym wysiłkiem woli. Nie miałem nadziei, że do tego dotrę czy dowiem się, co to jest. Wiedziałem tylko, że poczucie bliskości, które odczuwałem tak silnie jeszcze parę chwil temu, doszczętnie zniknęło.

Przypuszczam, że wyczuła ogarniające mnie poczucie straty, a przynajmniej zrozumiała, że potraktowała mnie zbyt ostro, jej twarz bowiem złagodniała i odezwała się:

— Nie chciałabym, żebyś poczuł się dotknięty. To nie chodziło o ciebie. To nie tak, że nie czuję do ciebie... pociągu. Wręcz przeciwnie, czuję.

Cicho westchnęła zwracając ku mnie twarz.

— Gdybyś wiedział, jakie życie dotychczas prowadziłam i jak bardzo moje zachowanie wobec ciebie przeczy wszystkiemu, co robiłam do tej pory...

Wiem, pomyślałem, ale wcale nie jest mi lżej.

— Sam widziałeś, jak wczoraj moja matka zareagowała na twoją obecność i zaproszenie ciebie na kolację. Widziałeś również, jak zareagował mój menadżer. Mam tylko jedno słowo, na określenie tego, oboje byli po prostu wstrząśnięci, chociaż wcale nie bardziej ode mnie — dokończyła z wymuszonym rozbawieniem.

Nie odpowiedziałem, czułem bowiem, że nie mam nic do dodania. Złożyłem już swoje oświadczenie, wyjaśniłem całą sprawę, teraz więc mogłem tylko wycofać się, dając jej czas. Tak, czas, pomyślałem, zawsze ten czas. Czas, który mnie do niej sprowadził, i który teraz powinien dopomóc mi w jej zdobyciu.

— Pochlebiasz mi twoim zainteresowaniem — powiedziała, ale zabrzmiało to zbyt oficjalnie, aby poprawić moje samopoczucie. — Chociaż praktycznie nie znam cię, w twoim zachowaniu wyczuwam coś, z czym nigdy się nie zetknęłam u innych mężczyzn. Wiem, że nie zamierzasz mnie skrzywdzić, ja tobie nawet... ufam — to wyznanie było tak naiwne, że dostatecznie jasno tłumaczyło jej narosłe od lat uprzedzenia wobec mężczyzn. — Ale zaangażować się uczuciowo nie mogę — dokończyła.

Musiałem wyglądać bardzo żałośnie, bo najwyraźniej wzruszyła się i, wróciwszy na swoje miejsce, usiadła obok mnie. Uśmiechnęła się, a ja z trudem zdołałem odpowiedzieć jej tym samym.

— Czy rozumiesz? — zaczęła. — Nie, nie możesz zrozumieć, uwierz mi więc w każdym razie, kiedy ci powiem, że to jest tak... że to po prostu niewiarygodne, żebym siedziała obok mężczyzny w swoim pokoju hotelowym, do tego w nocnym stroju, bez żywego ducha w pobliżu. To jest... nadnaturalne, Ryszardzie.

Uśmiechem starała się przekazać mi stopień nadnaturalności tej sytuacji, z którego i tak świetnie zdawałem sobie sprawę, choć wcale mi nie było do śmiechu.

— Nie możesz tu pozostać — powiedziała nagle skonfudowanym tonem. — Gdyby moja matka zastała mnie tu w koszuli z tobą, o tej porze, chyba by... wybuchła.

Obraz eksplodującej matki pojawił się chyba jednocześnie przed naszymi oczyma, ponieważ roześmieliśmy się w tej samej chwili.

— Cicho — zawołała nagle. — Ona przecież śpi w sąsiednim pokoju i może nas usłyszeć.

W romantycznych powieściach wspólny śmiech mężczyzny i kobiety nieodmiennie kończy się spojrzeniem prosto w oczy, gwałtownym uściskiem i namiętnym pocałunkiem, nam jednak nie było to dane. Oboje zdołaliśmy już odzyskać panowanie nad sobą, po czym ona po prostu wstała i powiedziała:

— Teraz musisz iść, Ryszardzie.

— Czy moglibyśmy razem zjeść śniadanie? — spytałem.

Zawahała się, ale w końcu skinęła głową.

— Pójdę się ubrać.

Chciałem już świętować zwycięstwo z powodu jej zgody, rozum jednak mi na to nie pozwolił, patrzyłem więc tylko w ślad za nią, jak wyszła do sypialni i zamknęła drzwi za sobą.

Patrzyłem tak, usilnie starając się wzbudzić w sobie poczucie pewności co do naszych wzajemnych układów, ale za nic mi to nie wychodziło. Między nami, jak mur, stało jej wychowanie i całe dotychczasowe życie; wszystko, czym była. Nie stanowiło to łatwej przeszkody. Moja fantazja sprawiła, że zakochałem się w fotografii i powędrowałem przez czas, aby być z nią. Może przepowiedziała też jej moje nadejście, poza tym jednak cała ta sytuacja była i jest nadal, absolutnie realna i tylko realne czyny mogą teraz zdecydować o naszej przyszłości.

• • •

Nad drzwiami widniał napis: *Sala Śniadaniowa.* Gdy weszliśmy do środka, podszedł do nas mały

człowieczek w czarnym ubraniu i poprowadził do stołu.

Sala wyglądała zupełnie inaczej od tej, jaka była, to znaczy tej, jaka będzie — chciałem powiedzieć. Tylko kasetonowy strop pozostał taki sam. Brakowało łuków, podpór, a cała sala była zdecydowanie mniejsza niż pamiętałem. Również okna, niższe i węższe, zasłaniały drewniane żaluzje. Całą przestrzeń zapełniały okrągłe i kwadratowe stoliki, otoczone ogrodowymi krzesełkami. Każdy stół nakryty był białym obrusem z wazonem świeżo ściętych kwiatów pośrodku.

Od mijanego przez nas stołu poderwał się niski, krępy mężczyzna z kręconymi blond włosami i ucałował wylewnie dłoń Elizy. Uznałem, że człowiek ten, którego Eliza przedstawiła jako pana Jepsona, musiał być jednym z aktorów. Pan Jepson z daleka mierzył mnie wzrokiem z nieskrywaną ciekawością, a także i potem, gdy odchodziliśmy, nie skorzystawszy z zaproszenia do jego stolika.

Nasz przewodnik usadził nas przy stole pod oknem, słonił się ze sztywnym, mechanicznym uśmiechem, a potem oddalił się. Kiedy usiadłem, zorientowałem się, dlaczego teraz sala wydawała mi się mniejsza. Tam bowiem gdzie, jak pamiętam, sam dawniej siedziałem, obecnie znajdowała się otwarta weranda pełna bujanych foteli.

Zerknąwszy przelotnie w bok zauważyłem, że pan Jepson wciąż wlepiał w nas swoje paciorkowate oczka.

— Zdaje się, że znowu cię kompromituję — powiedziałem. — Strasznie cię przepraszam.

— Co się stało, to się nie odstanie, Ryszardzie.

Muszę przyznać, że wydawała się mało tym przejmować, stwarzając wrażenie, że nie pozwala sobie na jawne zaniepokojenie wrogimi reakcjami otoczenia. Jeszcze jeden plus dla niej, choć chyba tego nie potrzebowała.

Biorąc z talerzyka przede mną zwiniętą w stożek serwetkę, usłyszałem, jak ktoś obok powiedział: „Jesteśmy narodem w sile siedemdziesięciu pięciu milionów" i liczba ta wprawiła mnie w zdumienie. Czyżby to znaczyło, że przez następne siedemdziesiąt pięć lat przybędzie ponad sto milionów ludzi? O Boże!

Myśląc o tym, nie dosłyszałem pytania Elizy, musiałem więc poprosić ją o powtórzenie.

— Czy jesteś głodny?

— Troszeczkę — odpowiedziałem i uśmiechnąłem się do niej. — Masz dzisiaj próbę?

— Tak.

— I... — trudno mi było to powiedzieć — nadal zamierzasz... wyjechać z hotelu zaraz po przedstawieniu?

— Tak uzgodniliśmy.

Spojrzałem na nią z nagłą, niepohamowaną rozpaczą. Wiedziałem, że to zauważy, ale tym razem nie mogłaby pozwolić sobie na żadną reakcję. Kiedy odwróciła twarz w stronę okna, usiłowałem skoncentrować uwagę na menu, ale litery rozpływały mi się przed oczami. Nie mogłem przestać myśleć, że mogą to być ostatnie chwile, jakie spędzamy razem.

Mimo wszystko zdołałem zdusić w sobie narastający lęk; jeszcze nie byłem gotów do poddania się. Uspokój się — mówiłem sobie — masz jeszcze dużo

czasu. Uśmiechnąłem się w duchu, przypomniawszy sobie, że właśnie te słowa miałem wypisane na kartce, przypiętej do ściany mojej pracowni w Ukrytych Wzgórzach. Patrząc na nie, zawsze czułem się podbudowany nie tylko duchowo, ale i fizycznie, a ich wspomnienie także teraz mi pomogło. Wszystko będzie dobrze — zaklinałem sam siebie, uda ci się!

Wszystko jednak poszło na marne i menu ponownie zmętniało, kiedy mój nikczemny umysł pisarza zaczął improwizować schematyczny, wiktoriański melodramat pod tytułem „Mój los". Zaczynało się to dzisiejszego wieczoru wyjazdem Elizy, oczywiście beze mnie. Pozostawiony bez grosza przy duszy najmuję się do pracy jako pomywacz w hotelowej kuchni, aby po trzydziestu latach, już jako posiwiały, roztrzęsiony starzec, bełkoczący coś o dawno utraconej miłości, wpaść głową w dół w pomyje i utopić się. *Hic iacet* największy frajer tego stulecia. Psy będą grzebać swe kości wśród moich — tu na Polu Garncarza [(Mat. 27,7)]. Wizja była tak pocieszna, a zarazem przerażająca, że sam już nie wiedziałem, śmiać się, czy płakać, wybrałem więc zachowanie spokoju.

— Ryszardzie, czy ty...?

Jej nie dokończone pytanie przytłumił męski głos.

— A, witam, panno McKenna!

Do stołu zbliżał się krępy mężczyzna (czyżby wszyscy mężczyźni byli w tych czasach krępi?), obłudnie uśmiechając się do Elizy. — Ufam, że wszystko przebiega ku pani zadowoleniu, nieprawdaż? — spytał.

— Tak, panie Babcock, dziękuję panu.

Gapiłem się na niego, pomimo przygnębienia wstrząśnięty jego widokiem. Eliza przedstawiła nas i podaliśmy sobie ręce. Mówię wam, mało co da się porównać z odczuciem krzepkiego uścisku ręki człowieka, którego do tej chwili miało się za dawno zmarłego.

Opowiadał Elizie, jak to wszyscy są „głęboko przejęci oczekiwaniem" na dzisiejsze przedstawienie, ja zaś widziałem siebie znowu w tej gorącej piwnicy, czytającego wyblakłe maszynopisy, których części on jeszcze nie zdążył podyktować. Obraz ten, podobnie jak i inne tego rodzaju, nie wpływał na mnie najlepiej, z pewnym wysiłkiem zdołałem więc przegnać go z mojej pamięci.

Kiedy Babcock odszedł, przeniosłem wzrok znów na Elizę, a widząc jej reakcję, zrozumiałem, jak mało w gruncie rzeczy robiłem, by ją sobą zainteresować. Siedząc tak w ponurym milczeniu, miałem szansę zanudzić ją kompletnie, niezależnie od jej uczuć.

— Czy wiesz, że wczoraj wieczorem brałem udział w wyścigach? — powiedziałem, siląc się na lekki ton.

— Naprawdę?

Na jej wargach pojawił się absolutnie uroczy półuśmiech, który urósł do pełnych wymiarów, gdy opisałem dokładnie swą pogoń za Robinsonem.

— Przykro mi — powiedziała. Powinnam była przewidzieć, że zrobi coś takiego.

— Dlaczego on ma pokój na najwyższym piętrze?

— Zawsze tak robi — odpowiedziała. — Korzystając ze schodów, tam i z powrotem, podtrzymuje, jak on to nazywa, swój „wigor cielesny"

Uśmiechnąłem się i prawie pokiwałem głową, przypomniawszy sobie jego budowę fizyczną.

— Jak sądzisz, co on sobie o mnie myśli? — zapytałem, ale zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, powstrzymałem ją podniesieniem dłoni.

— Mniejsza z tym, wolałbym nie wiedzieć. Powiedz mi raczej, co myśli twoja matka; powinna być bodaj odrobinę bardziej miłosierna.

— Tak sądzisz?

Jej uniesione w uśmiechu kąciki ust opadły.

— Aż tak źle?

— Jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć — przechyliła nieco głowę, co na moment przypomniało mi słowa Johna Drew o jej zniewalającym uroku na scenie — nazwała ciebie hultajem i blagierem.

— Doprawy, jakież to zniechęcające — pokiwałem głową z udawaną powagą.

Tak było rzeczywiście lepiej. Bez wątpienia milsze jej były moje kpiny niż obezwładniający smutek.

— A co jej na to odpowiedziałaś?

— Że właśnie dlatego pożądam twojej słodyczy.

Chyba rozdziawiłem ze zdumienia usta. Czyżby, pomyślałem z nagłym przerażeniem, zgrywała się ze mnie?

— Nie wiesz, co to są „hultaje" i „Magiery"? — spytała.

— Myślałem, że wiem.

— Cukierki.

— Cukierki? — to dopiero zbiło mnie z pantałyku.

Kiedy wytłumaczyła mi, że „hultaje" to długie, żółte cukierki z białym nadzieniem, a „blagiery" różnią się od nich tylko prostokątnym kształtem, poczułem się bardzo głupio.

— Przepraszam — wy bąkałem. — Chyba nie jestem zbyt dobrze poinformowany.

Poza tym, co dotyczy ciebie i twojego życia, przemknęło mi przez myśl.

— Powiedz mi coś o twoim pisaniu — poprosiła.

Wydawało mi się, że zadała to pytanie tylko z grzeczności, ale w tej sytuacji nie mogłem kwestionować jej motywów.

— Cóż mógłbym ci powiedzieć?

— Co napisałeś?

— Właśnie teraz pracuję nad książką — odpowiedziałem spięty, ale zaraz się rozluźniłem.

Tyle mogłem jej powiedzieć bez żadnych konsekwencji.

— A o czym ona będzie?

— To historia miłosna.

— Chciałabym móc ją przeczytać, kiedy będzie skończona.

— Oczywiście — odparłem — kiedy tylko zdecyduję się, jakie dać zakończenie.

Uśmiechnęła się przelotnie.

— To jeszcze nie wiesz?

Czułem, że zawędrowałem w tym kierunku już niebezpiecznie daleko, usiłowałem więc zatrzeć ślady mówiąc:

— Nie. Nigdy nie wiem, dopóki nie napiszę.

— To dziwne — powiedziała. — Wydawałoby się, że powinieneś wiedzieć dokładnie, dokąd zmierza twoja opowieść.

Tak — pomyślałem — tobie tak się wydaje, bo sądzisz, że wiesz, dokąd zmierza twoja opowieść.

— Nie zawsze — odpowiedziałem na głos.

— W każdym razie chciałabym ją przeczytać, kiedy będzie gotowa.

Przeczytać? Przecież ty ją przeżywasz!

— Przeczytasz — obiecałem, choć w głębi duszy wątpiłem, czy bym ją kiedykolwiek dał jej do ręki. Zdrowy rozsądek podszepnął mi zresztą, że już najwyższy czas zmienić temat.

— Czy mógłbym być obecny dzisiaj na próbie? — spytałem.

Chyba powiedziałem coś nieodpowiedniego, bo jej twarz natychmiat spochmurniała.

— Nie mógłbyś zaczekać do wieczora? — zapytała w końcu.

— Jeżeli tak sobie życzysz.

— Nie chciałabym być niemiła. Po prostu ja... widzisz, nigdy nie lubiłam, jak obcy przyglądali się...

Urwała, widząc moją reakcję.

— To niewłaściwe słowo. Chciałam powiedzieć, że... — głęboko zaczerpnęła powietrza — ...że to krępująca sytuacja. Nie mogłabym pracować, gdybyś na mnie patrzył.

— Rozumiem — odpowiedziałem. — Wiem, jakie masz wymagania jako aktorka. Naprawdę.

Przynajmniej to było prawdą.

— Będę szczęśliwy, czekając do wieczora. Nie, to nieprawda... Wcale nie będę szczęśliwy, ale poczekam. Dla twego dobra.

— Jesteś bardzo wyrozumiały — odpowiedziała.

Wcale nie jestem, pomyślałem, bo tak naprawdę chciałbym skuć nas ze sobą.

• • •

Nie ma większego sensu rozwodzić się nad szczegółami naszego wspólnego śniadania. Przede wszystkim niewiele mówiliśmy, ponieważ w miarę, jak coraz więcej gości przybywało na swój pierwszy posiłek, narastał hałas. Stulecie to niewątpliwie zasługuje na miano wieku jedzenia. Pierwszą rzeczą, za jaką biorą się z rana ci ludzie, jest zaspokajanie głodu i pozostają jej wierni przez cały dzień, a nawet pokaźną część nocy. Łudziłem się, że mój żołądek powrócił do normalnego stanu, ale trwało to tylko do chwili, gdy zmieszane zapachy szynki, boczku, steków, kiełbas, jajek, naleśników, płatków, świeżego pieczywa, mleka, kawy itd. itp. zaczęły przesycać aż do nudności atmosferę w sali. Na szczęście Eliza nie jadła wiele więcej niż ja, dzięki czemu nasz posiłek trwał krótko.

Kiedy wyszliśmy z Sali Śniadaniowej i ruszyliśmy z powrotem przez Rotundę, Eliza powiedziała:

— Teraz muszę się przyszykować do próby. Zaczynamy o wpół do dziesiątej.

Chyba po raz pierwszy udało mi się nie zdradzić wyrazem twarzy lęku, jaki mnie przeszył.

— Czy w ogóle będziesz miała dzisiaj trochę wolnego czasu? — spytałem, licząc na to, że mój głos brzmi spokojnie.

Patrzyła, jakby rozważała moje słowa, a kto wie czy i nie moje miejsce w jej życiu.

— Bo jeśli tak — dodałem — to chciałbym się z tobą zobaczyć.

— Czy będziesz wolny o pierwszej? — spytała w końcu.

— Moje plany są dość ograniczone — odpowiedziałem z uśmiechem. — Składają się głównie ze spotkań z tobą, kiedy to tylko możliwe.

I znowu to spojrzenie, to bystre przypatrywanie się mojej twarzy jakby w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania, których, jak wiedziałem miała wiele. Nie wiem, jak długo to trwało, nie przerywałem jej jednak, czułem bowiem, że te chwile są decydujące, a każde moje słowo mogłoby je bezpowrotnie zniszczyć.

Gdy wreszcie przestała mi się przypatrywać, spojrzała w stronę podwórca, a potem znowu na mnie.

— Może tam, przy fontannie? — zapytała.

— Zatem o pierwszej, przy fontannie — potwierdziłem.

Wyciągnęła rękę, a ja ująłem ją jak najdelikatniej, podniosłem do ust i ucałowałem.

Stałem później bez ruchu, obserwując każdy jej krok, gdy szła przez dziedziniec, aż w końcu poczułem wstrząs, kiedy niknęła w hallu. Przeszło cztery godziny! Trudno było mi wyobrazić sobie, że tak długo będziemy rozdzieleni. Wprawdzie noc trwała jeszcze dłużej, ale wtedy trochę spałem.

Tak, spałem. Po raz pierwszy od czasu, gdy to się zdarzyło, pozwoliłem sobie na w pełni świadomą ocenę swojego stanu fizycznego. Zamknąwszy oczy zaniosłem dziękczynną modlitwę sprawującym nade mną opiekę mocom, bowiem dotychczas nie odczułem nawet szmeru w głowie. Tylko ten, kto doświadczył czegoś podobnego, byłby w stanie zrozumieć mój stan ducha. Jeszcze wczoraj rano, to

prawda, że w innym czasie, obudziłem się ze zwykłym bólem głowy, oślepiającym mnie i torturującym, tym tak dobrze znanym mi symptomem mojego stanu zdrowia. Dzisiaj zaś, wszystko to minęło.

Z uśmiechem na ustach podszedłem do kontuaru i zapytałem stojącego za nim mężczyznę, gdzie mógłbym zakupić parę drobiazgów toaletowych. Powiedział mi, że w podziemiu, w bok od klatki schodowej znajdę drogerię, ale będzie ona otwarta dopiero o dziewiątej.

Przez jedną chwilę czułem szaleńczą pokusę poprosić o pokój i wpisać się do rejestru. Czy byłbym w stanie to zrobić, czy też coś by mi w tym przeszkodziło? Opanowawszy się postanowiłem jednak nie prowokować losu, podziękowałem więc grzecznie 1 skierowałem się w stronę schodów.

Schodząc w dół rozmyślałem o Elizie. Dotychczas myślałem o niej tylko w odniesieniu do samego siebie, najwyższy więc czas zmienić punkt widzenia i zacząć traktować ją jak drugiego człowieka. Jeżeli mam zamiar ją zdobyć, nie mogę z góry zakładać, że między nami nawiąże się romans. Znamy się dopiero od paru godzin, a przecież muszę poradzić sobie z dwudziestoma dziewięcioma latami jej życia.

• • •

Drogeria znajdowała się tam, gdzie jak pamiętam, było biuro handlu nieruchomościami. Byłem zmuszony poczekać przed wejściem około sześciu minut, jakie pozostały do otwarcia, w tym czasie minęło mnie kilkoro Chińczyków z kuchni, gwarzą-

cych w swym rodzimym języku. W końcu pojawił się sprzedawca i odryglował zamki. Był to niski, ciemnowłosy mężczyzna w koszuli ze sztywnym kołnierzykiem, na oko chyba z celuloidu, w cienkim czarnym krawacie i wysoko zapiętej, białej płóciennej marynarce z wąskimi wyłogami. Zauważyłem, że dopiero zaczynał sypać mu się wąs. Jego górną wargę znaczyło czarne pasemko, przypominające bardziej smugę sadzy niż prawdziwy zarost i dopiero po tym można było stwierdzić, że jest to jeszcze młody człowiek.

Trudno byłoby to poznać po czymkolwiek innym, bo, podobnie jak większość mężczyzn w tych czasach, wyglądał nieprawdopodobnie poważnie, jak gdyby w pełni zdawał sobie sprawę z ogromu stojących przed nim zadań, a co więcej, akceptował to. Nawet jego „Dzień dobry panu", choć uprzejme, było wypowiedziane szybko i zwięźle, jakby nie chciał tracić ani jednej zbędnej chwili. Ten młody człowiek mierzył wysoko. Tak powinien był wyglądać Horatio Alger, jeżeli nie była to fikcyjna postać.

Moje zakupy trwały długo, nabyłem bowiem prostą brzytwę (nie z wyboru, a po prostu dlatego, że innej nie było), pędzel, miseczkę i mydło do golenia, grzebień i szczotkę do włosów, szczoteczkę i proszek do zębów oraz wieczne pióro, miałem więc dość czasu, aby rozejrzeć się po sklepie.

Jego ściany pokrywały liczne plakaty z reklamami typu: *Farba do Włosów Damschinsky'ego, Oraniyna Uśmierza, Łagodzi, Leczy Bóle, Bromo-Chinina przeciw Przeziębieniom* lub *Seler — Środek na Zaparcia;* szczególnie ten ostatni problem musiał tu być poważny, zważywszy na to, jak ci ludzie jedzą. Była tam

jeszcze masa innych drobiazgów, nie ma jednak sensu wyliczać ich wszystkich. Wystarczy powiedzieć, że półki i szklane gabloty zapchane były butelkami i pudełeczkami najrozmaitszych kształtów i rozmiarów.

Kiedy spojrzałem na ścienny zegar, ze zdumieniem stwierdziłem, że jest już dziewiąta jedenaście, zapytałem więc pospiesznie sprzedawcę, czy gdzieś w pobliżu mógłbym nabyć „męskie odzienie spodnie". To, że posłużyłem się taką właśnie nazwą świadczy chyba, że w głębi duszy jest we mnie sporo z wiktoriańskiego dżentelmena.

Tym razem jednak chyba trochę przeholowałem, sprzedawca bowiem najwyraźniej powstrzymywał uśmiech, kiedy mi wyjaśniał, że w przyległej części sklepu, w której jeszcze nie zdążył zapalić świateł, mieści się magazyn „Wszystko dla panów".

Szybko wybrałem komplet bielizny i skarpetki, do czego w ostatniej chwili dorzuciłem jeszcze białą koszulę, po czym wyjąłem z kieszeni dziesięciodolarowy banknot i położyłem go na ladzie.

— Hmm — powiedział sprzedawca. — Dawno już czegoś takiego nie widziałem.

Boże, czyżbym zakupił niewłaściwe pieniądze? — pomyślałem z rosnącym zaniepokojeniem. Zdawałem sobie sprawę, że powinienem wpisać się do rejestru dokładnie o dziewiątej osiemnaście i coraz bardziej się lękałem, że jeśli nie spełnię tego warunku, może się stać coś strasznego, co zniszczy całą delikatną strukturę mojej obecności w 1896 roku, jak domek z kart.

Na szczęście sprzedawca nie robił już więcej uwag na temat banknotu, tylko wydał reszty i zapakował

moje zakupy do torby. Mimo zdenerwowania nie mogłem wyjść ze zdumienia, że za wszystko, co kupiłem, zapłaciłem mniej niż pięć dolarów. Kręcąc głową wyszedłem ze sklepu i szybko ruszyłem korytarzem w kierunku schodów.

Byłem już tak zdenerwowany możliwością przegapienia momentu rejestracji, że gdy dopadłem schodów, pokonałem je skacząc po dwa stopnie, a potem szybkimi, długimi krokami przeciąłem Rotundę i zatrzymałem się z mocno bijącym sercem przy kontuarze. Kiedy spojrzałem na zegar, wskazywał piętnaście minut po dziewiątej.

Po chwili podszedł do mnie recepcjonista, poprosiłem go więc o pokój.

— Służę panu. Pan właśnie przyjechał? — zapytał.

Z wyniosłego spojrzenia, jakim mnie obrzucił, nietrudno było się zorientować, że zadał to pytanie wyzywająco, a nie z chęci zaspokojenia ciekawości. W jego oczach wyglądałem zapewne żałośnie podejrzanie.

Sam się zdumiałem łatwością, z jaką przyszło mi kłamać. Spontanicznie, nie zdradzając się tonem, gestem ani wyrazem twarzy opowiedziałem, jak to zaraz po przyjeździe, wczoraj wieczorem zachorowałem, w związku z czym zmuszony byłem przenocować w pokoju przyjaciela i dopiero dzisiaj poczułem się dostatecznie dobrze, by zadbać o swój własny pokój.

Być może cała ta historyjka nie była tak doskonale zmyślona, jak mi się wydawało, recepcjonista jednak nie czuł się na tyle pewny siebie, by dalej mnie wypytywać. Odwrócił się, popatrzył na kasetki z klu-

czarni i po chwili położył przede mną na kontuarze klucz z numerkiem.

— Proszę bardzo — powiedział. — Pojedynczy pokój, trzy dolary dziennie, używalność łazienki za dodatkową opłatą. Czy byłby pan uprzejmy wpisać się do rejestru? — i podał mi pióro.

Gapiłem się na klucz ogłupiały i wstrząśnięty. Był to klucz od pokoju numer 420. Nagle poczułem się znowu zdezorientowany, jak gdyby widok tego klucza pozbawił mnie w jednej chwili pozorów adaptacji, którą jak mi się wydawało, już osiągnąłem.

— Ee... czy jest pan pewien? — wymamrotałem w końcu.

— Słucham?

Nie wiem, dlaczego ta chwila była dla mnie tak przerażająca. Znajdowałem się przecież dalej w 1896 roku, o pierwszej miałem spotkać się z Elizą, a chociaż wciąż jeszcze wiele pozostało do zrobienia, nasza znajomość rozwijała się tak, jak należało się tego spodziewać. Pomimo to, wszelkie możliwe skutki zmiany numeru pokoju były dla mnie tak przerażające, że poczułem się dosłownie sparaliżowany strachem.

— Czy jest pan pewien, że to właściwy pokój? — powtórzyłem.

Głos mi się trząsł i zdawałem sobie sprawę, że mówię za głośno.

— Właściwy pokój? — recepcjonista patrzył na mnie, jakbym postradał zmysły.

Bóg jeden wie, co byłbym dalej powiedział lub zrobił, gdyby obok recepcjonisty nie pojawił się jego kolega, który spojrzał na klucz i jakby nigdy nic, chwycił go w dłoń.

— Przepraszam bardzo, panie Beals — powiedział — ale ten pokój jest zarezerwowany. Zapomniałem zostawić notatkę w przegródce.

Westchnienie, jakie mi się wyrwało, musiało być dobrze słyszalne dla wszystkich. Recepcjonista łypnął na swego kolegę z irytacją, a potem obrzucił mnie spojrzeniem, od którego cały zesztywniałem, i sięgnął po inny klucz. Mogłem w tej chwili przekonać się, jak bardzo wrażliwy jestem na każde zdarzenie, które wiąże się z moją podróżą w czasie. Nie wiem, kiedy mi to minie, ale na razie towarzyszy mi stale, grożąc potencjalną katastrofą.

Kiedy recepcjonista odwrócił się do mnie, na jego twarzy wciąż gościł wyraz podejrzliwej ciekawości, ja zaś pomyślałem, że jeśli i ten klucz okaże się niewłaściwy, chyba padnę jak długi na podłogę. Zobaczyłem numer i nie zdołałem powstrzymać kolejnego westchnienia, któremu towarzyszył tak samo odruchowy uśmiech. Bingo — przebiegło mi przez myśl i poczułem odprężenie. Ponownie wziąłem z ręki recepcjonisty pióro.

Patrząc na stronicę otwartego przede mną rejestru znowu doświadczyłem przypływu emocji, bardzo podobnych do tych, jakich doznawałem ściskając rękę Babcocka. Wiedziałem przecież, że ten nowiutki rejestr pewnego dnia znajdzie się, popękany i pokryty grubą warstwą szarego kurzu, w piekielnie gorącej piwnicy, a ja będę go przeglądać.

Odsunąłem czym prędzej tę myśl od siebie i przeczytałem ostatni wpis na stronie: *kancelista L. Jenks z żoną, San Francisco.* Ręka zadrżała mi, kiedy

uświadomiłem sobie, że jeśli nie podpiszę się natychmiast, mogę przegapić właściwy moment.

Była to niesamowita myśl. Wystarczyłoby, żebym stał nic nie robiąc, a wszystko uległoby zmianie.

Przyglądałem się własnej dłoni składającej podpis: *R. C. Collier.* Skutki tego czynu były również niepokojące, mogłem przecież podpisać się po prostu jako Ryszard Collier; normalnie podpisałbym się właśnie tak. To, że w 1971 roku widziałem własne nazwisko zapisane w tak nietypowy sposób, a potem cofnąłem się do czasu powstania tego podpisu i skopiowałem to, co zobaczyłem siedemdziesiąt pięć lat później, tworzyło tak poplątaną zagadkę, że aż mi się zakręciło w głowie.

— Dziękuję panu — powiedział recepcjonista, odwrócił rejestr do siebie i wpisał „pokój 350" oraz dokładny czas. Podwójne bingo — pomyślałem i przebiegł mnie dreszcz.

— W którym pokoju jest pański bagaż? — zapytał recepcjonista. — Zadzwonię, żeby go przeniesiono.

Popatrzyłem na niego przez chwilę, a potem się uśmiechnąłem. Musiał to być straszliwie sztuczny uśmiech.

— Dziękuję, nie trzeba — odpowiedział R. C. Collier. — Sam to załatwię później. Nie ma tego zbyt wiele.

Tyle, co nic, dodałem w myślach.

— W porządku, proszę pana.

Recepcjonista znowu nabrał podejrzeń, ale teraz byłem już gościem hotelowym, wobec którego nie należało okazywać podejrzliwości. Strzelił palcami głośno, aż się skrzywiłem, na ten znak poja-

wił się boy, który odebrał klucz i skinął na mnie, mówiąc:

— Tędy, proszę pana.

Poprowadził mnie do windy, drzwi powoli i ze zgrzytem zamknęły się. Ruszyliśmy w górę. W trakcie jazdy boy i windziarz wymieniali poglądy na temat nowo zainstalowanego w windzie światła elektrycznego, nie zwracałem na to większej uwagi, pochłonięty rozmyślaniami nad ryzykownym stanem, w jakim wciąż się znajdowałem. Dotychczas sądziłem, że nastąpiła pewna poprawa, teraz jednak widziałem, że jest on równie groźny jak dawniej. Mój umysł wciąż balansował na krawędzi równowagi. W każdej chwili mogło coś nastąpić: słowo, zdarzenie, nawet myśl, co strąci mnie w dół, a efektem takiego upadku mógł być tylko powrót do 1971 roku. Zdawałem sobie z tego jasno sprawę i napawało to mnie przerażeniem.

Wysiedliśmy z windy na trzecim piętrze i boy (zapomniałem powiedzieć, że także on, podobnie jak ten pierwszy, tak przypominał chłopca jak ja chińskiego cesarza) poprowdził mnie na zewnątrz i przez werandę, w kierunku zwróconego w stronę morza, skrzydła hotelu. Na zewnętrznych schodach zobaczyłem dwa gołębie pawiki, które wspinały się na czwarte piętro, znacząc stopnie śladami łapek. Przypomniałem sobie, że poprzedni boy coś wspominał o tym, że należą do właściciela, a pan Babcock reaguje jak „tyran" na nieporządki jakie robią.

Gdy znowu znaleźliśmy się wewnątrz budynku, na podłodze w korytarzu zobaczyłem gazetę. Leżała obok drzwi jakiegoś pokoju, tak jakby ktoś właśnie przeczytał ją i wyrzucił. Podniosłem więc ją, udając,

że nie widzę spojrzenia boya i znów przeżyłem déjà vu (oczywiście na odwrót), była to bowiem „San Diego Union".

Klamka do pokoju 350 wykonana była z rzeźbionego w kwiatowe motywy ciemnego metalu. Przyjrzałem się jej dokładnie w czasie, kiedy boy otwierał drzwi. Przez chwilę wspominałem pokój, z którego wczorajszego popołudnia wyrąbałem sobie drogę na zewnątrz. Ciekawe, czy wciąż jeszcze trwa zamieszanie wokół tego tajemniczego zdarzenia?

Boy wręczył mi klucz z czerwono-brązową owalną przywieszką i zapytał:

— Czy coś jeszcze, proszę pana?

— Nie, dziękuję.

Wręczyłem mu ćwierć dolara z nadzieją, że wystarczy, tymczasem zaś okazało się, że było to za dużo. Wybałuszył oczy i odwrócił się mamrocząc:

— Bardzo panu dziękuję.

— Chwileczkę, jeszcze coś — powiedziałem, ponieważ przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Boy zatrzymał się i odwrócił znowu w moją stronę.

— Czy mógłbyś chwilę poczekać?

— Oczywiście, proszę pana.

Przymknąłem drzwi i pospiesznie ściągnąłem z siebie surdut i spodnie, co zmusiło mnie też do zdjęcia butów, następnie wysunąłem rękę za drzwi i wręczyłem ubranie boyowi.

— Czy mógłbyś zanieść to do wyprasowania i przynieść mi z powrotem za jakąś godzinę?

— Tak, proszę pana — dobiegł mnie jego głos z korytarza.

. Ciekawe, co mógł sobie o mnie pomyśleć? Gość

w Hotelu del Coronado bez ubrania na zmianę? Miejcie mnie w swojej opiece, święci Pańscy! Kiedy już sobie poszedł, zacząłem rozglądać się po pokoju.

Było to niewielkie pomieszczenie o wymiarach mniej więcej cztery na cztery i pół metra, a jego umeblowanie ograniczone było do minimum. Łóżko z ciemnego drewna sąsiadowało z prostokątnym, wspartym na ciężkim postumencie stolikiem o dwóch szufladach, dalej stało biurko na czterech nogach udających zwierzęce łapy, plecione krzesło, a na ścianie nad biurkiem lustro w rokokowej ramie. Nie było żadnych stojących lamp, a jedyne źródło oświetlenia stanowił zwieszający się z sufitu żyrandol, dokładnie taki sam, jak w pokoju, w którym przebudziłem się wczoraj. W głębi pokoju, w prawym rogu patrząc od drzwi, znajdował się kominek. Czy coś przegapiłem? Ach, tak — obok krzesła czaiła się w oczekiwaniu porcelanowa spluwaczka, sam szczyt findesieclowego wdzięku. Rzeczywiście, powinienem nauczyć się spluwać.

Zanim jeszcze zdjąłem ubranie, torbę z zakupami rzuciłem na łóżko. Wziąłem ją teraz stamtąd i przeniosłem na biurko, po czym rozpakowałem, kładąc każdą rzecz z osobna na jego blacie. Kiedy skończyłem, podszedłem do okna, zaintrygowany odgłosami przyboju.

Kolejny raz uderzyło mnie bliskie sąsiedztwo hotelu z oceanem. Przypływ był wysoki i na piasek waliły się z nieprzerwanym grzmotem, wielkie grzywacze. W oddali, na wybiegającym w morze kamiennym falochronie zobaczyłem jakiegoś mężczyznę, najprawdopodobniej mieszkańca hotelu. Ubrany był

w długi płaszcz i cylinder, i palił nieodłączne cygaro, spoglądając na przestwór morza. Czy muszę dodawać, że był krępej budowy? Daleko w głębi zatoki niewyraźnie majaczyły zarysy jakiegoś stojącego na kotwicy statku.

Spojrzałem w prawo, w stronę plaży, gdzie po raz pierwszy spotkałem Elizę. Patrzyłem tak dłuższy czas, rozmyślając o niej. Co też mogła teraz robić? Próba właśnie powinna się zaczynać. Czy myślała o mnie? Czułem zdradziecki przypływ tęsknoty, którą ze wszystkich sił starałem się zdławić. Musiałem przetrwać bez niej jeszcze trzy i pół godziny, a nie wytrzymam tego, jeśli pozwolę sobie na marzenia.

Odszedłem od okna, w górnej szufladzie biurka odnalazłem papeterię i znów zacząłem spisywać wszystko, co się wydarzyło.

Siedzę teraz na łóżku w mojej nowiusieńkiej bieliźnie, która nie leży na mnie zyt dobrze i przeglądam gazetę, wczytując się w wiadomości, które jeszcze wczoraj stanowiły dla mnie część zamierzchłej przeszłości.

Gdyby zresztą nie to, nie byłyby one dla mnie specjalnie wstrząsające. Szczegóły życia w roku 1896 są przygnębiająco swojskie. Ot, weźmy na przykład taki tytuł: *Przyznał się do winy.* Pastor wyznaje, że usiłował zamordować żonę podając jej truciznę, a w podtytule: *Nikczemnik skazany na sześć lat więzienia.* To właśnie nazywam obiektywnym dziennikarstwem.

Inne tytuły również wskazują, że choć chronologicznie lata 1896 i 1971 są odległe, to pod względem wydarzeń dnia, niewiele się różnią: *Koniec polityka.*

Człowiek z Denver zmarł w Nowym Jorku, albo: *Straszliwy upadek. Zarwanie się platformy, na której znajdowało się trzydzieści osób,* czy też mój faworyt: *Zjedzony przez ludożerców.*

Zaniepokoiła, a nawet wręcz przyprawiła mnie o dreszcze, tylko jedna notatka, którą przytaczam tu w całości: *Krupp, pruski producent broni informuje, że jego roczny dochód wynosi 1 700 000 dolarów, co daje mu możliwości wielkich inwestycji w niektórych krajach.*

Nie powinienem jednak teraz w ogóle myśleć o tym, co ponurego zdarzy się w czasie, który obecnie stał się dla mnie przyszłością. Mogłoby to być bardzo niebezpieczne. Muszę to wszystko wyrzucić z pamięci, aby nie wiedzieć więcej, niż ktokolwiek ze współcześnie żyjących. Jestem pewien, że to jedyne rozsądne rozwiązanie. Znajomość przyszłości może mnie zadręczyć, chyba że zająłbym się „wymyśleniem" czegoś, co jeszcze nie istnieje, na przykład agrafki, i stałbym się nieprawdopodobnie bogaty...

Nie, precz i z tą pokusą. Nie mogę wtrącać się do historii bardziej, niż już to nastąpiło. Odłóż papiery, Collier i pomyśl o Elizie. Muszę pamiętać, że moje życie w tej chwili jest skrajnie uproszczone, że wszelkie komplikacje z mojej „przeszłości" nie istnieją 1 myślę tylko o tym, jak ją zdobyć. To, co będę robić w najbliższej przyszłości, w ogóle mnie nie interesuje, z nią jednak jest inaczej.

Moje pojawienie się mogło wytrącić ją na pewien czas z równowagi, ale przecież nie wyrwało całkowicie z jej dotychczasowego życia. Przez dwadzieścia dziewięć lat kreśliła go ma więc już chyba wytyczony

konkretny kurs. Mogę być na nim chwilową, niespodziewaną bryzą, ale jej statek niesiony jest nadal przez ten sam główny prąd, te same wiatry wypełniają jego żagle. Marne to porównanie, ale niech będzie. W każdym bądź razie, chcę przez to powiedzieć, że jej życie nie zostało tak doszczętnie ogołocone ze wszystkich szczegółów jak moje, a ona w dalszym ciągu musi dawać sobie z nimi radę, tak samo jak z moją obecnością.

Wynika stąd wniosek, że nie powinienem wywierać na nią żadnego zbędnego nacisku.

• • •

Kiedy portier przyniósł mi odprasowane ubranie, wciągnąłem spodnie i buty, wziąłem przybory do golenia, szczoteczkę, proszek do zębów i udałem się do łazienki w końcu korytarza, gdzie starannie posiekałem twarz na krwawe strzępy.

Mimo pragnienia, aby puścić w niepamięć rok 1971, nie raz żałośnie westchnąłem, że gotów jestem dać królestwo za maszynkę do golenia. W pewnej chwili, gdy krew sączyła się z jedenastu zacięć, a brzytwa właśnie wyrzynała dwunaste, zacząłem poważnie zastanawiać się, czy zdążę skończyć tę balwierską orgię zanim zajdzie potrzeba zrobienia mi transfuzji. Zniechęcony rzuciłbym tę robotę w połowie gdyby nie to, że wiedziałem, iż mój zarost raził również Elizę, o czym nie powiedziała mi tylko przez grzeczność.

Przyszło mi do głowy, że w przyszłości mógłbym zapuścić brodę. Nie tylko odpowiadałoby to ówczes-

nej modzie, ale pomogłoby mi stworzyć swój nowy wizerunek nie tylko we własnych, ale i w cudzych oczach.

Na razie jednak mogłem tylko po wielekroć przeklinać się za to, że nie byłem dostatecznie przezorny, aby poćwiczyć golenie brzytwą. Nie jest to najprostsza umiejętność, ale jestem pewien, że po pewnym czasie byłbym w stanie opanować ją na wypadek gdyby Eliza jednak wolała mnie z gładko wygoloną twarzą.

Widok mojej oskrobanej twarzy w lustrze doprowadzał mnie do histerii, musiałem więc przerwać golenie, aby w końcu nie poderżnąć sobie gardła.

Wyobraziłem sobie, że idę do pokoju 527 i proszę tego, kto tam mieszka, o jego plaster na zacięcia. Myśl, jak mógłby zareagować na taką prośbę i na wieść, że to właśnie ja zepsułem jego brzytwę, manipulując przy zamku, sprawiła, że zacząłem się spazmatycznie śmiać.

Było to chyba coś w rodzaju przesilenia, chociaż stanie z morderczym narzędziem drżącym w zdrętwiałej dłoni, nadal groziło mi, delikatnie mówiąc, samobójstwem. Kiedy wreszcie zdołałem pohamować śmiech i dokończyć tej partaniny, po całej pokancerowanej twarzy spływały mi strużki krwi, które spłukałem wodą.

Kiedy wyszedłem na korytarz, czekał tam już jakiś mężczyzna. Zapomniałem, że nie jest to moja prywatna łazienka i kazałem mu długo czekać, musiał więc być pewnie w nie najlepszym humorze. Prawdopodobnie słyszał również mój rechot, bo gdy wychodziłem, obrzucił mnie spojrzeniem, jakim dozorca w zoologu

mógłby patrzeć na jakieś wyjątkowo paskudne stworzenie. Usiłowałem zachować poważną minę, ale zaledwie go wyminąłem znowu mimowolnie parsknąłem śmiechem. Pognałem więc na oślep do pokoju, bez wątpienia odprowadzany jego zgorszonym wzrokiem.

Znalazłszy się z powrotem w pokoju założyłem czystą koszulę, zawiązałem krawat, przetarłem buty brudną koszulą i uczesałem włosy, co przyszło mi łatwo, bo wreszcie miałem grzebień, a potem przejrzałem się w lustrze. Nie wyglądasz zbyt sympatycznie, R. C, pomyślałem, patrząc na zakrzepłe krwawe ślady, znaczące mi skórę na twarzy na podobieństwo górskich grzbietów na mapie topograficznej.

To dla ciebie, Elizo — wyznałem pokaleczonemu odbiciu, a ono wyszczerzyło do mnie zęby jak zakochany dureń, którym w istocie było.

Nie wiem, o której godzinie wyszedłem z pokoju, ale byłem pewien, że do pierwszej jeszcze daleko; prawdopodobnie nie minęło nawet południe. Udałem się do zewnętrznych drzwi i wyszedłem na otwartą werandę. Stałem tam dłuższy czas, spoglądając na bujnie zarośnięty dziedziniec w dole i usilnie starając się wchłonąć jak najwięcej z atmosfery 1896 roku. Coraz bardziej przekonywałem się, że tajemnica powodzenia podróży w czasie, kryje się w zatraceniu przynależności do określonej epoki i dlatego też zamierzałem jak najszybciej pozbyć się wszelkiej wiedzy o „tamtym roku".

Tęsknota za Elizą wkrótce stała się tak silna, że zagłuszała każdą myśl i odczucie. Zszedłem więc na dół, przemierzyłem Rotundę i stanąwszy pod drzwia-

mi Sali Balowej, zacząłem nasłuchiwać. Ze środka dobiegł mnie jakiś głos pobrzmiewający sztuczną manierą teatralnego dialogu, przekonałem się więc, że próba wciąż jeszcze trwa. Kusiło mnie bardzo, aby wślizgnąć się do wnętrza, przysiąść gdzieś w kącie i oglądać ją na scenie, ale zdołałem się oprzeć temu pragnieniu. Prosiła mnie przecież, abym tego nie robił, powinienem więc dotrzymać słowa.

Wyszedłem na podwórzec, znalazłem sobie bujak i zasiadłem w nim, patrząc na fontannę spływającą kaskadą po figurze najady. Jeżeli mogłem przewędrować wstecz siedemdziesiąt pięć lat, dlaczego nie mógłbym teraz przesunąć się w przód o półtorej godziny? Odsunąłem od siebie tę frywolną myśl i spojrzałem na lewą dłoń. Ze zdumieniem zobaczyłem, że przysiadł na niej komar. Komar w listopadzie? Zgniotłem go prawą ręką i strzepnąłem jego doczesne szczątki. Przypomniało mi to opowiadanie Bradbury'ego o motylu, którego śmierć zmieniła przyszłość. Może i ja w tej chwili zmieniłem bieg historii?

Westchnąłem i pokiwałem głową. Może by się tak zdrzemnąć, przecież to też swego rodzaju podróż w czasie? Nie bałem się już snu, bez strachu więc przymknąłem oczy. Właściwie byłoby lepiej, gdybym pokręcił się tu i tam, zaznajamiając się z tym nowym światem, ale nie bardzo mi się chciało. Czułem się już zmęczony. Bądź co bądź wstałem dziś bardzo wcześnie, aby rozpocząć zapiski. Pragnąłem już tylko odpoczynku. Mam jeszcze dużo czasu, a drzemka właśnie teraz, tylko mi zrobi dobrze, pomyślałem, i zapadłem w sen, nie zważając na otaczające mnie dźwięki.

• • •

Otworzyłem oczy, czując na ramieniu dotyk ręki. Przede mną stała Eliza w poszarpanej sukni i z włosami w nieładzie.

— Boże, co się dzieje? — zawołałem wstrząśnięty jej wyglądem.

— On chce mnie zabić — odpowiedziała z trudem dobywając głos z gardła. — Naprawdę chce to zrobić!

Nie zdążyłem odpowiedzieć, kiedy obróciła się z krzykiem i pomknęła przez dziedziniec w stronę północnego wejścia do hotelu. Wykręciłem się w drugą stronę i zobaczyłem Robinsona, który biegł z laską w ręku wprost na mnie, a czarne rozczochrane włosy lepiły mu się do twarzy. Siedziałem skamieniały, w milczeniu patrząc jak się zbliża.

On jednak ku memu zdumieniu przebiegł obok, nie widząc mnie, tak był zaaferowany pogonią za Elizą. Zerwałem się na równe nogi i krzyknąłem:

— Nie zrobisz tego! — po czym pobiegłem za nimi, chociaż oboje byli już daleko.

Przemknąłem bocznym wyjściem i zbiegłem po schodach na parking, rozglądając się za nimi. Czekaj no, pomyślałem, przecież to nie może być żaden parking. Musiałem przeskakiwać przez jakieś białe myszki biegające po chodniku i wtedy zobaczyłem Robinsona goniącego Elizę po plaży.

— Niech cię Bóg ma w opiece Robinson, jeśli jej zrobisz coś złego! — wrzasnąłem.

Czułem, że zabiłbym go, gdyby ją tknął.

Potem znalazłem się na plaży. Usiłowałem biec, ale bezskutecznie. Widziałem tylko ich malejące sylwe-

tki. Eliza biegła tuż przy samym brzegu. Dostrzegłem, że nadchodzi gigantyczna fala, krzyknąłem więc, aby ją ostrzec, ale ona mnie nie słyszała. Tak się bała Robinsona, że nie wiedziała, co robi! Chciałem biec szybciej, ale nie mogłem ruszyć się z miejsca.

Wydawało się, że Eliza biegnie prosto w falę, która z rykiem przewaliła się nad nią, rozbryzgując we wszystkie strony białą pianę. Nogi ugięły się pode mną i upadłem na piasek. Zdołałem się jednak podnieść, ze zgrozą popatrzyłem po plaży. Również Robinsona nie było widać. Fala zabrała ich oboje.

Otworzyłem oczy, czując na ramieniu dotyk ręki. Przede mną stała Eliza.

Przez dobrych parę chwil nie mogłem odróżnić snu od jawy. Musiałem dziwnie na nią popatrzeć, ponieważ wymówiła moje imię głosem pełnym niepokoju.

Rozejrzałem się dookoła, spodziewając się widoku szarżującego Robinsona i dopiero gdy nie dostrzegłem niczego niepokojącego, zrozumiałem, że to był sen.

— Mój Boże — mruknąłem.

— Co się stało?

Westchnąłem ciężko.

— Miałem sen. Straszny... — urwałem, bo zorientowałem się, że wciąż siedzę, pospiesznie więc wstałem.

— Coś ty zrobił ze swoją twarzą? — spytała z przerażeniem.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem, o czym mówi i dopiero po chwili rozjaśniło mi się w głowie.

— Cóż, chyba nie jestem zbyt wprawny w goleniu — wyznałem.

Obrzuciła mnie spojrzeniem kobiety, która nagle stwierdza, że jej towarzysz utracił wszelkie męskie przymioty. Mężczyzna w tym wieku nie potrafi się ogolić?

— A co z tobą? — spytałem pospiesznie. — Wszystko w porządku?

Kiwnęła głową tak lekko, że niemal niezauważalnie.

Tak — odrzekła — ale chodźmy się przejść.

— \)czywiście.

Odruchowo wziąłem ją pod rękę i dopiero jej spojrzenia sprawiło, że podałem jej ramię. Kiedy ruszyliśmy ścieżką łagodnie zakręcającą w stronę północnego wejścia, zobaczyłem że ogląda się przez ramię. Przebiegł mnie dreszcz, bo przypomniałem sobie sceny ze snu.

— Uciekasz przed kimś? — zapytałem sztucznie żartobliwym tonem.

— Można by tak powiedzieć.

— Przed Robinsonem?

— Oczywiście — odpowiedziała, znowu zerkając za siebie.

Kiedy dotarliśmy do bocznego wyjścia, przytrzymałem przed nią drzwi i wyszliśmy na zewnątrz. Pokazało się teraz blade słońce i powietrze się nieco ogrzało. Schodząc ze schodów spojrzałem w lewo i zobaczyłem grupę chińskich robotników, którzy zamiatali z Paseo del Mar zwiędłe liście i trawę, a potem znosili ich całe naręcza na plażę, gdzie rzucali je na płonące stosy.

Gdy zeszliśmy już na dół, Eliza powiedziała:

— Może pójdziemy tędy? — wskazując ręką Aleję

Pomarańczową i przez moment miałem wrażenie, że jest to kobieta bardziej nawykła do wysuwania propozycji niż ich wysłuchiwania.

Ruszyliśmy promenadą, która wielkim łukiem obiegała wschodnią fasadę hotelu.

— Jak ci poszła próba? — zapytałem.

Było to prawdopodobnie najgorsze z pytań, jakie mógłbym jej zadać.

— Fatalnie — odpowiedziała.

— Aż tak źle?

— Aż tak — odrzekła z westchnieniem.

— Przykro mi.

— To moja wina. Zespół nie popełnił żadnego błędu.

— A może pana Robinsona?

— Nie można powiedzieć, żeby się nie przysłużył — przyznała z ponurym uśmiechem.

— Tym bardziej mi przykro. Jestem pewien, że to z mojego powodu.

— Nie, nie — zaprzeczyła, ale nie dość przekonująco. — Miewał już takie humory i wcześniej.

— To tylko troska o twoją karierę.

— Dokładnie te słowa powtarza mi w kółko i to tyle razy, że cały świat już pamięta.

Rozbawił mnie ten zwrot.

— Ale naprawdę tak myśli.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem, jakby zaskoczyło ją, że mówię dobrze o Robinsonie pomimo tego, jak mnie potraktował, czy jednak mogłem postąpić inaczej? Dla niego jej kariera była największą świętością, wiedziałem o tym lepiej niż ona sama. Fakt, że był również zaangażowany uczuciowo,

czemu raczej trudno było się dziwić, to zupełnie inna sprawa.

— Przypuszczam, że tak — powiedziała — ale robiąc to, zachowuje się jak tyran. To będzie cud, jeżeli jutro w ogóle jeszcze będę miała menadżera po tym, jakżeśmy sobie nawzajem dogryzali.

Przytaknąłem i umiechnąłem się, ale tak naprawdę czułem zazdrość o ich długotrwałą zażyłość, choćby nawet objawiającą się głównie tarciami, a nie harmonią. Z drugiej strony być może przeceniałem związki, jakie mogły istnieć pomiędzy nimi. Szczerze mówiąc, nie mógłbym wyobrazić sobie Elizy zakochanej w nim, doskonale natomiast rozumiałem jego adorację z „przyzwoitego" dystansu i przekształcenie tego, nie wyznanego uczucia w tyranizowanie jej na każdym kroku.

Nagle Eliza ścisnęła moje ramię i znowu uśmiechnęła się, tym razem jednak pogodnie i czule, choć może tylko tak mi się wydawało.

— Ponure masz we mnie towarzystwo — powiedziała. — Wybacz mi.

— Nie mam ci nic do wybaczenia — odrzekłem oddając jej uśmiech.

Znowu zaczęła mi się bacznie przypatrywać i tak uszliśmy dobry kawałek, zanim z westchnieniem jakby przygany pod własnym adresem, odwróciła oczy mówiąc:

— Znowu robię to samo.

Po chwili jednak ponownie podniosła na mnie wzrok i powiedziała:

— Wątpię, Ryszardzie, czy naprawdę możesz zrozumieć, jak niezwykłe jest to, że rozmawiam z tobą

tak swobodnie. Nigdy przedtem nie postępowałam z mężczyznami w podobny sposób. Chciałabym, żebyś wiedział, jakim komplementem jest dla ciebie to, że robię to, co robię.

— A ja chciałbym żebyś wiedziała, iż możesz ze mną mówić o wszystkim.

Spojrzała na mnie bacznie, jak przedtem, po czym potrząsnęła głową z zakłopotaniem.

— O co chodzi? — spytałem.

— Tęskniłam za tobą — odrzekła, a ja nie mogłem powstrzymać uśmiechu słysząc ton zdumienia w jej wyznaniu.

— Jakie to dziwne — odpowiedziałem, patrząc na nią z uwielbieniem. — Ja nie tęskniłem wcale!

Uśmiechnęła się już weselej i znowu ścisnęła moje ramię, a potem, jakby pragnąc wyładować swoją radość, wskazała przed siebie i zawołała:

— Och, popatrz!

Spojrzałem i zobaczyłem grupę kobiet i mężczyzn na rowerach, która z podjazdu prowadzącego do hotelu kierowała się w stronę Pomarańczowej Alei. Głośno roześmiałem się, widok ten był bowiem zarazem zabawny i pełen uroku. Śmieszyło mnie, że każdy z rowerów miał jedno koło, wielkie jak koło ciężarówki, drugie zaś maleńkie jak kółko dziecinnego trójkołowca. Urok zaś brał się z wyglądu dosiadających je par, były to bowiem tandemy. Mężczyźni ubrani byli w pumpy i każdy miał na głowie melonik lub cyklistówkę, ich partnerki zaś nosiły długie spódnice i bluzki lub sweterki, a ich kapelusiki przypominały męskie czapki. W każdym przypadku kobieta jechała z przodu, dając się biernie

wieźć lub dzielnie wspomagając mężczyznę w pedałowaniu. Jechało ich tam w sumie siedem par w niezbyt równym szyku. Cały czas gawędzili i śmieli się.

— Wygląda to na świetną zabawę — powiedziałem.

— Nigdy tego nie robiłeś?

— Nie... — o mało co byłbym powiedział „na takim rowerze", ale przytomnie dokończyłem:

— ...po ulicach miasta. W każdym razie chciałbym się tak przejechać z tobą.

— Może tak i będzie — odrzekła, a ja poczułem dreszcz, o jaki przyprawia słyszana z ust ukochanej wzmianka o możliwościach wspólnej przyszłości.

Zauważyłem, że Eliza idąc przytrzymuje prawą ręką spódnicę i halki, co mi uświadomiło, że w 1896 roku spacerująca kobieta jest w zasadzie istotą jednoręczną, ponieważ drugą rękę stale ma zajętą podtrzymywaniem rąbka sukni, aby nie zetknął się z kurzem,, błotem, śniegiem czy czym tam jeszcze. Uśmiechnąłem się na tę myśl dyskretnie, ale Eliza zuważyła to natychmiast i zaczęła dopytywać o przyczynę. Wiedziałem, że prawda wprowadziłaby znowu tylko atmosferę obcości między nami, powiedziałem więc zamiast tego:

— Myślałem właśnie o reakcji twojej matki na mój widok wczoraj wieczorem.

— Ona nigdy nie robi awantur — powiedziała z uśmiechem — ale wiedz, że mimo to zostałeś z miejsca obcięty.

Skwitowałem to chrząknięciem i zapytałem:

— Czy ona miała jakieś sukcesy jako aktorka? — bo nigdzie nie mogłem się tego doczytać.

Na twarzy Elizy pojawił się wyraz melancholii.

— Domyślam się, o co ci chodzi. Sądzisz, że to jest powód? Nie, ona naprawdę nigdy nie zmuszała mnie do aktorstwa. To przyszło do mnie w naturalny sposób.

Nie chciałem drążyć delikatnego tematu aktorki bez powodzenia, która rekompensuje sobie to, żyjąc sukcesami bardziej utalentowanej córki. Nie odpowiedziałem więc nic, uśmiechając się tylko, kiedy dodała:

— A w pewnym sensie ona i tak odniosła sukces.

— Z pewnością — potwierdziłem.

Przez pewien czas szliśmy w milczeniu. Nie czułem potrzeby mówienia, ona chyba też nie; teraz mi się wydaje, że nawet bardziej niż ja. Zaczynałem rozumieć, dlaczego tak bardzo lubiła spacery. Świeże powietrze, spokój i kojący wpływ ruchu pod sklepieniem nieba — wszystko to dawało jej szansę ucieczki przed napięciami związanymi z jej pracą.

Stopniowo zagłębiałem się w marzeniach o naszej wspólnej przyszłości. Trzeba zaznaczyć przede wszystkim, że nie było żadnego powodu, abym nie miał z nią pozostać. Oczywiście, wciąż jeszcze obawiałem się niespodziewanego powrotu do 1971 roku, ale był to chyba lęk nieuzasadniony, bo przecież spałem tu już trzykrotnie i nie stało się nic złego. Zresztą, niezależnie od moich odczuć wszystkie dowody świadczyły, że z każdą godziną zakotwiczam się coraz bardziej w jej czasie.

Z mojej strony zatem, istniało przeświadczenie, że z nią pozostanę. W odpowiednim czasie pobierzemy się, a potem ponieważ jestem pisarzem, zabiorę się do

pisania sztuk. Nie miałem zamiaru prosić ją o pomoc w ich wystawieniu, bo i tak, wcześniej czy później, okazałyby się same tego warte. Oczywiście, nie wątpiłem, że chciałaby mi pomagać, ale wolałbym nie budować naszego związku na takich podstawach. Nigdy więcej nie chciałbym już oglądać wyrazu zwątpienia na jej twarzy.

Niewiele mnie obchodziło, że wszystkie mówiące o niej książki będą musiały się teraz zmienić. Teraz śmieszył mnie mój lęk przed zakłóceniem środowiska nawet przez wyłamywanie zamka w drzwiach, uznałem bowiem, że historia musi być do pewnego stopnia elastyczna, przynajmniej w zdarzeniach niższego rzędu. Nie zamierzałem przecież zmieniać przebiegu bitwy pod Borodino.

W tym właśnie punkcie rozważań moją uwagę zwrócił widok stojącego na bocznicy, w odległości jakich trzydziestu metrów od narożnika hotelu wagonu kolejowego. Uświadomiłem sobie, że może należeć do niej, a po chwili uzyskałem potwierdzenie tego domysłu z jej ust. Nic na to nie odpowiedziałem, ale poczułem się dość dziwnie, widząc tak namacalny dowód jej bogactwa. Trudno się dziwić, że żywiła wobec mnie pewne podejrzenia. Może zresztą wciąż jeszcze je miała, chociaż pocieszałem się nadzieją, że to już minęło. Już chciałem zapytać, czy nie mógłbym obejrzeć wnętrza wagonu, ale w porę się zorientowałem, że nie byłaby to najrozsądniejsza prośba.

Przecięliśmy podjazd, omijając okrągły kwietnik **1** wyszliśmy na otwarty teren. Po lewej ciągnął się długi, drewniany konowiąz, przed nami wyrastała

gęstwina drzew i krzewów. Przedarliśmy się przez poszycie i wyszliśmy na drewniany pomost, ciągnący się wzdłuż plaży pomiędzy oceanem a Zatoką Glorietta.

Patrząc w stronę morza widziało się w oddali błękitne niebo z białymi, gnanymi wiatrem na północ chmurami. Jakieś sześćset metrów przed nami widniał spiczasty dach Muzeum oraz budynek Łazienek, zaś po drugiej stronie plaży znajdował się hangar dla łodzi, połączony z nimi podobnym pomostem. Po prawej czerniała sylweta ogromnego, żelaznego mola wspartego na podporach w kształcie odwróconego „V", na którym wędkowało z pół tuzina mężczyzn i jedna kobieta. Plaża była bardzo wąska, miała nie więcej niż dziesięć metrów szerokości, i na oko całkiem zaniedbana, bo walały się na niej muszle, morszczyny i coś jakby zwyczajne śmieci, choć trudno mi było w to uwierzyć.

Przeszliśmy około dwudziestu metrów i zatrzymaliśmy się przy barierce, patrząc na ciężko sunące fale. Rześki, zimny wiatr ciskał nam w twarze lodowatą pianę.

— Elizo? — odezwałem się pierwszy.

— Ryszardzie? — naśladowała mój głos tak dokładnie, że musiałem się uśmiechnąć.

— Daj spokój — powiedziałem z udaną surowością. — Chcę ci powiedzieć coś poważnego.

— Ojej!

— No, nie aż tak poważnego, żebyś nie mogła tego wytrzymać — zapewniłem, ale zaraz zastrzegłem:

— Mam nadzieję.

— Ja też, panie Collier.

— Rozmyślałem o nas dzisiaj rano, wtedy gdy byliśmy osobno.

— Tak? — powiedziała to już nie tak lekko, a nawet jakby z wahaniem.

— Wiesz, doszedłem do wniosku, że byłem strasznie bezmyślny.

— Dlaczego?

— Bo wydawało mi się, że moje własne zaangażowanie zmusi cię...

— Przestań.

— Pozwól mi dokończyć. To wcale nie takie straszne.

Spojrzała na mnie z niepokojem, a potem westchnęła:

— No, dobrze.

— Chcę tylko powiedzieć, iż zdaję sobie sprawę, że potrzebujesz czasu, aby przywyknąć do tego, że stałem się częścią twojego życia, daję ci więc cały ten czas.

Zabrzmiało to dosyć arogancko, dodałem zatem z uśmiechem:

— To znaczy tak długo, aż sama stwierdzisz, czy rzeczywiście stałem się częścią twojego życia.

Huk przyboju rozległ się jak dowcip nie w porę i Eliza odruchowo odwróciła się w stronę morza a na jej twarzy znowu pojawił się cień udręki. O Boże, czemu ja wciąż popełniam jakieś gafy?

— Nie chciałem wywierać na ciebie żadnego nacisku. Wybacz mi, jeżeli tak to zabrzmiało.

— Proszę cię, daj mi pomyśleć — odpowiedziała.

Nie było to polecenie ani prośba, ale coś pośredniego.

Panującego między nami napięcia wcale nie złagodziło dwóch mężczyzn, którzy minęli nas rozmawiając o brudzie panującym na plaży. Okazało się, że moje podejrzenia były słuszne — to jednak były śmieci. Hotelowa barka z odpadkami ustawicznie zrzucała swój ładunek przed czymś, co oni nazywali „punktem balastowym", w związku z czym wszystkie „szczątki" spływały z powrotem, „plugawiąc" plażę.

Podniosłem gwałtownie głowę i spojrzałem na Elizę.

— Czy musisz wyjechać dziś wieczorem? — spytałem.

— Według rozkładu mamy być w Denver dwudziestego trzeciego — odparła.

Nie była to precyzyjna odpowiedź, ale musiała mi wystarczyć.

Ująłem jej dłoń w swoją rękę i przytrzymałem mocno.

— Wybacz mi, ale będę ci wciąż powtarzał, że nie zamierzam wywierać na ciebie nacisku.

Poczułem lekkie ukłucie niepokoju, kiedy zdałem sobie sprawę, że zwrot „wywierać nacisk" mógł brzmieć dla niej dziwacznie. Moje zakłopotanie wzrosło jeszcze bardziej, kiedy okazało się, że wracamy już do hotelu. Chciałem powiedzieć coś, co pomogłoby przywrócić atmosferę naszego spaceru w milczeniu, ale wszystko, co mi przychodziło do głowy, mogło tylko pogorszyć sytuację.

Minęła nas jakaś para — mężczyzna w długim surducie i cylindrze, z laseczką w dłoni i cygarem w zębach, a jego towarzyszka w długiej błękitnej sukni i berecie pod kolor. Przechodząc obok uśmiech-

nęli się do nas, a mężczyzna dotknął ronda kapelusza i powiedział:

— Oczekujemy dzisiejszego wieczoru z niecierpliwością, panno McKenna.

— Dziękuję — odpowiedziała, a ja poczułem się jeszcze gorzej, bowiem przypomniano mi, że musiałem się zakochać ni mniej, ni więcej tylko w „sławnej amerykańskiej aktorce".

Wciąż łamałem sobie głowę, co by tu powiedzieć, aby odwrócić przeczucie narastającej obcości, i wreszcie wymyśliłem.

— Czy lubisz muzykę klasyczną? — zapytałem, a kiedy odpowiedziała, że tak, dorzuciłem natychmiast:

— I ja też. Moi ulubieni kompozytorzy to Grieg, Debussy, Chopin, Brahms i Czajkowski.

I to był błąd. Z tego, jak na mnie spojrzała, rozpoznałem od razu, że straciłem więcej niżbym zyskał, że zaprezentowałem się jak dobrze przygotowany konkurent, a nie prawdziwy wielbiciel muzyki.

— Ale najbardziej lubię Mahlera — dodałem.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem jej odpowiedzi. Dopiero po pewnym czasie dotarło do mnie, że zapytała:

— Kogo?

Zostałem zupełnie zbity z tropu. W książkach przecież pisano, że Mahler był jej ulubionym kompozytorem.

— Nie znasz jego dzieł?

— Nigdy o nim nie słyszałam.

Byłem kompletnie zdezorientowany. Jak to możliwe, żeby w ogóle nie słyszała o Mahlerze, skoro

książki podają coś wręcz przeciwnego? Kręciło mi się w głowie, aż wreszcie przyszło mi na myśl, że to może dopiero ja zapoznam ją z muzyką Mahlera. A jeśli tak, to czy oznacza to, że będziemy ze sobą długo, czy też wystarczy jej za całe wprowadzenie ta jedna wzmianka?

Kiedy tak pogrążałem się w sprzecznych rozmyślaniach, Eliza odwróciła się do mnie z uśmiechem na twarzy. Z pewnością nie był to uśmiech zakochanej kobiety, ale dla mnie i tak był cenniejszy od złota.

— Przepraszam, że byłam jakby nieobecna — powiedziała — ale to tylko dlatego, że jestem w kłopocie. Czuję się rozdarta, jakby jednocześnie pociągana w przeciwnych kierunkach. W jedną stronę ciągną mnie okoliczności naszego spotkania i to wszystko, czego w tobie jeszcze nie mogę pojąć, ale i zarazem odrzucić, w drugą zaś, moja... podejrzliwość wobec mężczyzn. Muszę ci szczerze powiedzieć, że już od wielu lat dawałam sobie radę z zalotami różnych mężczyzn i dodam, że przychodziło mi to bez najmniejszych trudności, z tobą jednak... —jej uśmiech wyraźnie przybladł — jest to tak trudne, że aż zaczynam wątpić, czy nadal jestem sobą.

Zawahała się przez chwilę, a potem dodała:

— Przypuszczam, że wiesz, iż kobietom daje się do zrozumienia, że jeśli chodzi o ich obiektywne możliwości są istotami niższego rzędu.

Przez chwilę, aż mnie zamurowało. To już nie tylko *non sequitur,* to stwierdzenie godne współczesnej feministki w ustach kobiety z 1896 roku!

— W ten sposób — ciągnęła dalej — są one niejako zmuszane do zajęcia pozycji zależnej, to znaczy do

czynienia samych siebie ważniejszymi niżby należało przez nacisk, jaki kładą na próżność i wygląd, kosztem własnych zdolności umysłowych. Dzięki moim sukcesom teatralnym uniknęłam tego losu, ale za cenę utraty najzwyklejszego szacunku. W teatrze mężczyźni nie ufają kobietom. Swoimi osiągnięciami zagrażają one ich ustanowionemu porządkowi świata. Jeśli nawet mężczyźni cenią nas czasami za nasze osiągnięcia, nie mogą jednak do końca wyłamać się ze swego kodeksu postępowania wobec kobiet. Recenzenci zawsze piszą o uroku i urodzie aktorek, nie wspominając nigdy o ich umiejętnościach w odtwarzaniu roli, chyba że oczywiście, omawiana aktorka jest już zbyt stara, by krytykowi wypadało skupiać się na czymkolwiek innym.

Słuchając jej czułem, jak walczą we mnie dwa odmienne uczucia. Jednym z nich była pełna aprobata dla treści jej wypowiedzi, drugim zaś, coś w rodzaju grozy i zdumienia dla nagle objawionej głębi myśli kobiety, w której się zakochałem. Jasne, że nie mogłem tego dostrzec w wyblakłej fotografii, a jednak okazało się, że Eliza posiada to, co najbardziej podziwiam w kobietach — dynamiczną indywidualność ukrytą pod osłoną rozwagi — i dlatego przysłuchiwałem się jej zafascynowany.

— Jak wszystkie aktorki — mówiła — także skrępowana jestem owym męskim wymaganiem prezentowania tylko konwencjonalnych atrybutów kobiecości. Grałam Julię, ale nie jestem zadowolona z tej roli, ponieważ nigdy nie pozwolono mi przedstawić jej jako ludzkiej istoty w działaniu, lecz jako uroczą subretkę wygłaszającą kwieciste przemowy. Chcę

przez to powiedzieć, że ponieważ oczywiście jestem kobietą, a ponadto jeszcze aktorką, wypracowałam przez długie lata cały system emocjonalnej obrony przeciwko męskim zachowaniom. Sukcesy finansowe sprawiły jedynie, że system jeszcze się umocnił, przybył bowiem dodatkowy powód do podejrzliwości wobec każdego mężczyzny, który usiłował zbliżyć się do mnie. I dlatego właśnie proszę cię bardzo, abyś zechciał zrozumieć, iż fakt, że przebywam z tobą tak długo, w świetle mojej przeszłości zakrawa wręcz na cudowną zmianę poglądów, a to że mówię ci takie rzeczy, jest dla mnie nawet czymś więcej niż cudem.

Westchnęła, a potem dodała:

— Zawsze starałam się powściągnąć moje skłonności do okultyzmu, ponieważ kobiecą intuicją przeczuwałam, że grozi to nadwątleniem zdrowego rozsądku i wystawienia na łup łatwowierności umysłu, który powinien być sprawny i czujny, że krótko mówiąc, stałabym się bezbronna. Mimo to jednak widzę, że całe moje zachowanie przy tobie mogę złożyć jedynie na karb tej słabości. Czuję się tak, jakbym była wplątana, i to bez reszty, w jakąś niewysłowioną tajemnicę. Tajemnicę, która niepokoi mnie bardziej niż potrafię to wypowiedzieć, ale zarazem nie jestem w stanie od niej się oderwać.

Uśmiechnęła się bezradnie i zapytała:

— Czy powiedziałam bodaj jedno rozsądne słowo?

— Wszystko to było bardzo rozsądne, Elizo — odrzekłem. — Zrozumiałem każde twoje słowo i każde z nich doceniam.

Westchnęła, jakby spadł jej wielki ciężar z serca.

— Cóż, w każdym razie dobre i to — powiedziała.

— Elizo, czy moglibyśmy usiąść w twoim wagonie i jeszcze porozmawiać? — spytałem. — Dochodzimy do najważniejszych spraw i nie powinniśmy teraz przerywać.

Tym razem nie wahała się ani chwili. Słyszałem w jej głosie szczerą zgodę, gdy powiedziała:

— Doskonale, usiądźmy i porozmawiajmy. Musimy przedrzeć się przez tę tajemnicę.

Przeszliśmy przez zagajnik i gęste krzaki, i znów znaleźliśmy się przy bocznicy kolejowej. Ukazał się przed nami mały, pomalowany biało na krawędziach budynek z miniaturową kopułką na dachu, a za nim ciągnęły się obramowane z obu stron drzewami tory. Minęliśmy gazon i skręciliśmy w lewo, w kierunku wagonu, gdzie podałem jej rękę, pomagając wejść na tylny pomost.

Otwierając drzwi powiedziała, ale nie tonem usprawiedliwienia, lecz po prostu zwyczajnie stwierdzając fakt:

— Wnętrze jest ozdobne ponad potrzebę. Pan Robinson urządził je dla mnie, ale byłabym tak samo zadowolona z mniejszego przepychu.

Ta uwaga w najmniejszym stopniu nie przygotowała mnie na widok, jaki roztoczył się przed moimi oczyma. Chyba przez chwilę stałem z otwartymi ustami, a potem wyrwało mi się całkiem nie po wiktoriańsku:

— O rany!

Zmitygowałem się, słysząc jej cichy śmiech i pytanie:

— Co powiedziałeś?

— Jestem oszołomiony.

I rzeczywiście byłem. Kiedy oprowadzała mnie po wagonie czułem się, jakbym zwiedzał królewskie komnaty. Ściany i sufit salonki pokrywała boazeria, na podłodze leżały grube dywany. Kanapy i fotele z obiciami w głębokich tonach zieleni i złota, były miękko wyścielane. Na ścianach lampy typu okrętowego, w zawieszeniu kardanowym, dzięki czemu niezależnie od kołysania wagonu wisiały zawsze pionowo. Zasłony na oknach obramowane były złotymi frędzlami. W każdym szczególe uwidaczniało się niezmierne bogactwo, a zarazem brak dobrego smaku. Całe szczęście, że mnie uprzedziła, iż projekt był dziełem Robinsona.

W głębi, za salonem dla gości, znajdował się jej prywatny gabinet. Tu owa „ozdobność" została doprowadzona niemal do szczytu. Podłogę pokrywał pomarańczowy dywan, ściany zaś i sufit były obite materiałem — sufit w kolorze jasnozłotym, a ściany w tonacji królewskiej purpury, dostosowanej do suto wyścielanej sofy i foteli. Pod ścianą stało małe biureczko i proste krzesło, a nad nimi mała lampa, której abażur nawiązywał kolorem do barwy materii na suficie. W głębi pomieszczenia widniały pokryte jasną okleiną drzwi z wąską szybką, przysłoniętą firanką.

Jeżeli nawet dotychczas źle interpretowałbym stosunek Robinsona do Elizy, teraz wiedziałem już o nim wszystko. Dla niego była po prostu królową i to taką, która powinna, wedle jego marzeń, panować samotnie.

Nie jestem pewien, czy uczucie zaczęło narastać właśnie wtedy, gdy stanęliśmy oboje w otwartych

drzwiach do jej sypialni. Trudno mi samemu uwierzyć, aby tak prymitywny bodziec, jak widok jej wielkiego, mosiężnego łoża mógł mieć znaczenie w takiej chwili, po wszystkim, co sobie powiedzieliśmy o wzajemnej potrzebie zrozumienia. Z drugiej strony jednak być może właśnie ten mebel symbolicznie przypominający nam o najgłębszym podłożu naszych odczuć sprawił, że staliśmy w milczeniu tuż obok siebie, spoglądając w mroczną głębię przedziału.

Bardzo powoli zacząłem odwracać się do niej, a ona, jakby poruszana tym samym, niemym impulsem, również odwróciła się, aż w końcu stanęliśmy twarzą w twarz. Czy stało się tak dlatego, że nareszcie znaleźliśmy się całkiem sami, wolni od wszelkich przeszkód świata na zewnątrz? Sam nie wiem. Z przekonaniem pisać mogę tylko o atmosferze uczucia, która stale i nieodwracalnie gęstniała wokół nas.

Tak samo powolnym ruchem, jak nasze zwrócenie się do siebie, wyciągnąłem do niej ręce i ująłem ją za ramiona, a ona westchnęła głęboko, z lęku, a może i z rozbudzonego pragnienia. Wciąż bardzo wolno przyciągnąłem ją do siebie i przytuliłem, opierając się czołem o jej czoło. Poczułem, jak jej lekki, pachnący oddech owiewa mi wargi ciepłem, jakiego nie zaznałem nigdy w życiu. Wyszeptała moje imię zdławionym, niemal przerażonym głosem.

Odsunąwszy nieco głowę uniosłem ręce, wziąłem jej twarz w swoje dłonie i najostrożniej jak tylko mogłem przechyliłem w tył. Utkwiła oczy w moich źrenicach, szukając w nich jeszcze czegoś, z rozpaczliwym, wręcz błagalnym napięciem, jakby wiedziała, że teraz już nie

może dłużej się opierać, niezależnie od odpowiedzi, jaką w nich wyczyta.

Przysunąłem się bliżej i delikatnie pocałowałem jej wargi. Zadrżała, a jej oddech tchnął prosto w moje usta jak ciepły aromat wina.

Potem trzymałem ją już mocno w ramionach, a ona niemal ze smutkiem wyszeptała:

— Co ze mną się dzieje? Boże, co się ze mną dzieje?

— Zakochujesz się.

— Jeszcze bardziej — odpowiedziała słabym, zrezygnowanym głosem.

— Elizo! O Boże, jak ja cię kocham — szeptałem z mocno bijącym sercem i zacieśniłem jeszcze uścisk.

Nasz drugi pocałunek był już namiętny. Objęła mnie również i to tak mocno, że aż się zdumiałem, skąd tyle siły w jej ramionach.

Nagle opuściła głowę, opierając czoło na mojej piersi, z jej ust popłynął potok słów:

— Ryszardzie, dotychczas całym życiem był dla mnie teatr. Wyrosłam w nim i sądziłam, że jeśli skupię na nim wszystkie siły, reszta przyjdzie sama, a jeśli czegoś w moim życiu zabraknie, nie będzie to dla mnie ważne. Ale to jest ważne, sama wiem, że jest. Teraz właśnie czuję taką wielką potrzebę, potrzebę pozbycia się... jakby to nazwać? Siły? Woli? Zaradności? No, tego wszystkiego, nad czym pracowałam całe życie. Teraz, z tobą strasznie pragnę stać się słaba, poddać się, dać się otoczyć opieką, uwolnić wreszcie z więzów tę kobietę, którą więziłam spętaną w głębi duszy tyle lat, bo zdawałam sobie sprawę, że ona właśnie tego pragnie. Chcę ją teraz uwolnić Ryszardzie i oddać pod twoją ochronę.

Załkała krótko, a potem mówiła dalej:

— Boże, nie mogę wprost uwierzyć, że to ja wypowiadam takie słowa. Czy wiesz, jak ty, w tak krótkim czasie mnie zmieniłeś? Czy to rozumiesz? Nigdy nie było nikogo, nigdy. Matka zawsze mi powtarzała, że pewnego dnia poślubię bogatego, utytułowanego mężczyznę, ale ja jej nie wierzyłam. Byłam w głębi serca przekonana, że w moim życiu nie będzie nikogo, ale teraz nagle, tak nagle, zjawiłeś się ty. Zabrałeś mi wszystko, Ryszardzie — wolę, rozsądek, duszę, i obawiam się, także moje serce.

Cofnęła się gwałtownie i podniosła na mnie błyszczące od wezbranych łez oczy, a jej wdzięczna twarz cała płonęła.

— Powiem to. Muszę! — zawołała.

W tej właśnie chwili zdarzyło się coś nieprawdopodobnego, coś, co nigdy nie powinno się zdarzyć! Czyż nie powiedziałem, że byliśmy sam na sam, wreszcie bezpieczni od wszelkich zewnętrznych zagrożeń?

Otóż właśnie wtedy rozległo się pukanie do tylnych drzwi wagonu, a zaraz potem nikt inny jak sam William Fawcett Robinson głośno krzyknął:

— Elizo!

Wywarło to na niej straszliwe wrażenie. Wydawało się, jakby jego głos sprawił, iż wszelkie powody, dla których tyle lat trzymała się z dala od mężczyzn, z powrotem ożyły. Odskoczyła ode mnie z otwartymi z przerażenia ustami i rzuciła się w głąb salonki.

— Nie odpowiadaj mu — zawołałem za nią, ale równie dobrze mogłem rozmawiać z głuchym.

Kiedy Robinson ponownie wykrzyknął jej imię, Eliza pospiesznie podeszła do wiszącego na ścianie lustra i aż jęknęła na widok swego odbicia, obiema dłońmi usiłując przykryć wypieki na policzkach. Rozejrzawszy się dookoła, podeszła do umywalni, z dzbanka nalała odrobinę wody na miskę i zanurzyła w niej koniuszki palców, chłodząc następnie nimi rozpaloną twarz. Kompromitacja, pomyślałem, a co najdziwniejsze, rzeczywiście tak to odczuwałem. Byłem pogrążony w być może absurdalnym, ale aż nazbyt, wręcz niepokojąco realnym wiktoriańskim dramacie, w którym szlachetna kobieta zostaje schwytana w okrutną pułapkę, grożącą jej, jak to się wówczas mawiało, „doszczętnym zniszczeniem" jej pozycji społecznej. Nie było to zabawne, nic a nic. Stałem nieruchomo, obserwując, jak wycierała twarz. Usta miała mocno zaciśnięte, nie wiem — z gniewu czy też, aby powstrzymać ich drżenie.

— Elizo, wiem, że jesteś tam w środku! — znowu dał się słyszeć głos Robinsona.

— Zaraz wyjdę — odpowiedziała tonem tak zimnym, że aż przeszły mnie ciarki.

Otarła się o mnie bez słowa i ruszyła przez salon, a ja automatycznie podążyłem za nią. Musiał nas śledzić — myślałem — to jedyne możliwe wytłumaczenie.

Byłem w połowie salonu, gdy przyszło mi na myśl, że może ona nie chciałaby, abym się pokazywał, ale szybko odrzuciłem to przypuszczenie. Jeżeli Robinson nas śledził, ukrywając się pogorszyłbym tylko sytuację, poza tym, kim on właściwie jest, aby zmuszać mnie do chowania się po kątach? Ruszyłem

znowu przed siebie i znalazłem się tuż za plecami Elizy w chwili, kiedy otwierała drzwi.

Twarz Robinsona zastygła w maskę o tak wrogim wyrazie, że poczułem ukłucie strachu. Gdyby w tej chwili miał rewolwer w kieszeni, byłoby już po mnie. Przez myśl przemknął mi tytuł: „Menadżer sławnej aktorki zabił człowieka". A może byłoby tam napisane: „...zabił kochanka"?

— Myślę, że powinnaś teraz pójść trochę odpocząć — zwrócił się do Elizy niskim, rwącym się głosem.

— Śledziłeś mnie? — zapytała.

— To nie czas na dyskusje — uciął krótko.

— Panie Robinson, jestem zaangażowana przez pana jako aktorka, a nie wycieraczka — powiedziała tak wyniosłym tonem, że zemdlałbym na miejscu, gdyby mówiła do mnie — niech więc pan nie próbuje wycierać sobie o mnie butów.

To było właśnie to wszystko, co wyjaśniła mi tak dokładnie, skierowała to teraz z całym jadem przeciwko niemu.

Robinson wydawał się blednąc po każdym jej słowie, choć trudno było sobie wyobrazić, żeby mógł być jeszcze bledszy. Nic nie mówiąc odwrócił się i zaczął schodzić z tylnej platformy, wtedy Eliza wyszła na zewnątrz, a ja za nią. Przez dobrą chwilę stałem patrząc, jak zamyka drzwi na klucz, nim do mnie dotarło, że dżentelmen powinien był zrobić to za nią, ale wtedy było już za późno, zeszła bowiem na dół przede mną. Robinson podał jej rękę, ale zignorowała go z twarzą skamieniałą w wyrazie pogardy.

Kiedy znalazłem się na ziemi, Robinson spojrzał na mnie tak jadowicie, że prawie się cofnąłem.

— Panie Robinson... — zacząłem, lecz on przerwał mi warcząc:

— Wynoś się pan, albo napędzę panu stracha!

Nie bardzo zrozumiałem, o co mu właściwie chodziło, ale domyślałem się, że miało to być coś z dziedziny fizycznej przemocy.

Robinson przeniósł wzrok na Elizę i podał jej ramię. Boże Święty, jak ona na niego spojrzała! Bogini w swym niebiańskim gniewie nie byłaby groźniejsza od niej.

— Pan Collier mnie odprowadzi — wyjaśniła.

Twarz Robinsona zesztywniała, jakby była wyrzeźbiona z drewna. Jego oczy i tak już nieco wyłupiaste, groziły teraz wypadnięciem z orbit. Nigdy w życiu nie widziałem jeszcze tak wściekłego człowieka. Poczułem, jak napinają mi się mięśnie karku, a ręce odruchowo zaciskają w pięści, przygotowując się do obrony. Jestem pewien, że gdyby nie jego niewątpliwy szacunek dla Elizy, wkrótce rozegrałaby się tu krwawa walka.

W tej sytuacji jednak odwrócił się tylko gwałtownie na pięcie i ruszył w stronę hotelu długim krokiem zagniewanego człowieka. Nie podałem ramienia Elizie, lecz sam wziąłem ją pod rękę. Czułem jak drży, kiedy oddalaliśmy się od wagonu. Domyślałem się, że nie ma ochoty na rozmowę, milczałem więc i przytrzymywałem ją tylko pewną ręką, gdy myliła krok, zerkając od czasu do czasu na jej stężałą, pobladłą twarz.

Do chwili, gdy dotarliśmy do drzwi jej pokoju, nie padło między nami ani jedno słowo. Dopiero wtedy spojrzała na mnie, siląc się na słaby grymas, który miał być uśmiechem.

— Przykro mi za to, co się stało, Elizo — powiedziałem.

— Nie ma powodu, żeby ci było przykro — odrzekła. — To wszystko sprawka Robinsona. Rozgrywa to wyjątkowo podle.

Mówiąc to, odsłoniła zęby i przez chwilę miałem — muszę przyznać — zaskakujące wrażenie, że pod jej opanowaniem czai się drapieżna tygrysica.

— To bezczelność — wymruczała — nie dam mu sobie rozkazywać!

— Trzeba przyznać, że zachowywał się dość po pańsku — zauważyłem, próbując nieco rozluźnić atmosferę, ale nie poparła moich wysiłków, prychnąwszy pogardliwie:

— Wiele by trzeba, żeby z niego zrobić prawdziwego pana!

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu, lecz ona widząc to zesztywniała. Być może myślała, że to z niej się śmieję, po chwili jednak zrozumiała właściwą przyczynę i nawet sama zdołała się uśmiechnąć, choć niezbyt wesoło.

— Zawsze byłam najbardziej zgodną — powiedziała — i najbardziej dochodową z jego gwiazd. Nie ma najmniejszego powodu, żeby się tak wobec mnie zachowywał. Zupełnie, jakbyśmy byli związani kontraktem małżeńskim, a nie umową o pracę — zakończyła znowu ze wzgardliwym prychnięciem, ale potem dodała:

— Ludzie myślą, że naprawdę pobraliśmy się w sekrecie, a on nie robi nic, żeby ich wyprowadzić z błędu.

Wziąłem w ręce jej dłonie i przytrzymałem delikat-

nie, uśmiechając się do niej. Widziałem, że stara się opanować gniew, ale najwidoczniej Robinson poruszył ją zbyt głęboko, by mogła się tak łatwo uspokoić.

— No cóż, on się myli — powiedziała. — Jeżeli myśli, że to grubiaństwo i skandal, to tylko jego strata. To moje serce i moje życie.

Odetchnęła głęboko, z drżeniem i dokończyła:

— Pocałuj mnie, a potem pozwól mi odejść.

Może to była i prośba, ale zabrzmiała jak żądanie. Nie chciałem z nią się spierać, nachyliłem się więc i dotknąłem wargami jej ust. Nie wykazała żadnej reakcji. Może więc miała to być z jej strony raczej osobista zniewaga dla Robinsona niż zaspokojenie pragnienia. Potem jakby za sprawą czarów znikła, a ja wpatrywałem się w zamknięte drzwi myśląc, że nic nie zostało powiedziane na temat naszego następnego spotkania. Czyżby miało to znaczyć, że nie chce mnie już więcej widzieć? Po tym, co zdarzyło się w wagonie, nie mogłem w to uwierzyć, z drugiej jednak strony nie byłem tak całkiem pewny siebie.

Westchnąłem, odwróciłem się i przez poczekalnię wyszedłem na dziedziniec, kierując się ku zewnętrznym schodom, którymi poczłapałem na trzecie piętro i dalej, do mego pokoju. Wszedłem do środka, zrzuciłem surdut i buty, padłem na łóżko i dopiero wtedy stwierdziłem, jak bardzo jestem zmęczony. Dzięki Bogu, pomyślałem, że jednak nie doszło do bójki, bo Robinson mógłby bez trudu mnie zabić.

Dotychczasowe starcia z nim wyczerpały mnie. Bronił Elizy tak zagorzale, iż nie mogło być wątpliwości, że jego uczucia daleko wykraczają poza zwyczaj-

ną troskę menadżera o klientkę, ale trudno było mi za to go potępiać.

Spróbowałem się zastanowić, w jaki sposób mógłbym się z nią znowu spotkać. Oczywiście teraz musiała odpocząć, ale co później? Czy załatwiła mi możliwość obejrzenia przedstawienia? A może nie? Na samą myśl, że mógłbym być zawrócony od drzwi Sali Balowej, aż się skurczyłem ze strachu, ale tak przecież mogło się zdarzyć.

Chciałem przypomnieć sobie całą scenę, jaka rozegrała się w jej salonce, ale pamięć podsuwała mi jedno i to samo: słaby, zrezygnowany głos, szepczący: „Jeszcze bardziej". Słyszałem, jak mówi to raz za razem, wciąż budząc we mnie dreszcze. Ona mnie kocha; dotarłem do niej, a ona mnie kocha!

• • •

Kiedy się obudziłem, dookoła panowała ciemność. Natychmiast poczułem lęk i rozejrzałem się wokół, a gdy nie dostrzegłem niczego, co pozwoliłoby mi zorientować się w otoczeniu, usiadłem i próbowałem przypomnieć sobie, gdzie może być wyłącznik światła. Nie byłem pewien, czy go w ogóle zauważyłem, ale powinien być przecież gdzieś w pobliżu drzwi, wstałem więc i po omacku zacząłem posuwać się w tym kierunku. Macałem nieporadnie po ścianie, aż wreszcie palce odnalazły go i przekręciły.

Błysk światła wyzwolił westchnienie ulgi z mojej piersi. Wciąż znajdowałem się w 1896 roku. Uśmiechnąłem się z satysfakcją, gdy uświadomiłem sobie, że to już czwarty raz sen nie spowodo-

wał powrotu i że to czwarte przebudzenie bez bólu głowy.

Po chwili jednak znowu ogarnął mnie strach, ponieważ zdawało mi się, że zaspałem i przedstawienie już trwa. Nie był to wprawdzie strach tak wielki, jak ten poprzedni, jednak wystarczająco duży, by zmusić mnie do panicznego poszukiwania metody sprawdzenia, która godzina. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to zadzwonić do recepcji, natychmiast jednak ze złością skarciłem sam siebie. Kiedy ja się wreszcie nauczę?!

Szybko otworzyłem drzwi, a wtedy zobaczyłem leżące na dywanie dwie małe koperty, jedną białą, a drugą kremową. Podniosłem je i przyjrzałem się ręcznemu pismu na obu z nich. Obie były zaadresowane równo i starannie, ale na kremowej znajdowała się pieczęć z jasnozielonego wosku z odciśniętym delikatnym rysunkiem róży. Widok ten miał w sobie cały wdzięk tej epoki, ale dodatkowo wzruszył mnie, wiedziałem bowiem, że musi to być list od niej, gapiłem się więc nań z uśmiechem rozradowanego uczniaka.

Chciałem przeczytać list natychmiast, ale wpierw musiałem dowiedzieć się, która godzina, wyszedłem więc na korytarz i rozejrzałem w obie strony. Ani żywej duszy. Wprawiło mnie to w panikę, bo wyobraziłem sobie że wszyscy są już na przedstawieniu. Przebiegłem przez korytarz i wyszedłem na balkon.

Dziedziniec znowu wyglądał jak kraina z baśni, cały w kolorowych światłach. Trzęsąc się od nocnego chłodu, który przenikał moją koszulę, przeszukiwałem wzrokiem cały teren, aż w końcu dostrzegłem

jakiegoś mężczyznę. Zacząłem go wołać, ale dopiero za drugim okrzykiem zatrzymał się i spojrzał z zaskoczeniem w górę.

Musiałem przedstawiać dość dziwaczny wygląd, stojąc tak tylko w koszuli, z dwoma listami w ręce i sterczącymi na wszystkie strony rozczochranymi włosami. Na szczęście, kiedy zapytałem go o godzinę, nie komentował mego wyglądu, lecz wyjął zegarek z kieszonki kamizelki, otworzył go i poinformował mnie, że jest właśnie trzynaście minut i dwadzieścia dwie sekundy po szóstej. Trzeba przyznać, że był to bardzo dokładny facet.

Podziękowałem mu wylewnie i zawróciłem do pokoju. Miałem mnóstwo czasu, aby się umyć, zjeść i dotrzeć na miejsce przedstawienia. Zamknąłem więc drzwi, usiadłem na łóżku i otworzyłem najpierw białą kopertę, list od Elizy chciałem bowiem zachować sobie na koniec.

Wewnątrz koperty znajdował się biały kartonik rozmiaru mniej więcej dziesięć na trzynaście centymetrów, na którym widniały wydrukowane słowa: *Kierownictwo Hotelu del Coronado ma zaszczyt prosić o Pańską obecność w (dalej następował dopisek ręczny) piątek, 20 listopada 1896 roku o godz. 8:30 wieczorem.* Poniżej znajdowało się jeszcze parę słów, również napisanych ręcznie: *W Sali Balowej— „Mały minister" — Występuje Panna Eliza McKenna.* Uśmiechnąłem się z wdzięcznością. A więc pomyślała o wszystkim.

Pospiesznie otworzyłem teraz drugą kopertę, starając się bezskutecznie nie zepsuć pieczęci. To rzeczywiście był list od niej i muszę przyznać, że wręcz

zdumiała mnie jakość jej charakteru pisma. Gdzież ona nauczyła się tak pięknie pisać? Wstydziłbym się pokazać jej swoje bazgroły.

Napisane przez nią słowa brzmiały bardziej szczerze i pewniej niż wtedy, gdy je wypowiadała. Czy potrzebna jej była moja nieobecność, aby mogła pozwolić sobie na taką swobodę wypowiedzi? Być może w 1896 roku kobiety tylko w listach potrafiły wyrazić swoje prawdziwe uczucia.

„Ryszardzie (tak pisała) proszę cię, wybacz mi tę „zmarnowaną" kopertę (nie wspomniałem, że była trochę pognieciona). To jedyna, jaką miałam, co powie ci, jak często pisuję do mężczyzn...

Wybacz mi, że w tym liściku słowa będą przemieszane z uczuciami, ale od chwili naszego spotkania na plaży żyję w stanie *folie lucide* —jakby wszystkie moje zmysły stały się bardziej wyczulone, wszystko widzę dziwnie ostro i żywo, każdy dźwięk brzmi czysto i wyraźnie. Jednym słowem, od kiedy Cię spotkałam odczuwam więcej.

Czy wczorajszego wieczoru, kiedy pierwszy raz weszliśmy razem do hotelu i spojrzałam na Ciebie, byłam bardzo blada? Czuję, że tak być musiało, mnie bowiem zdawało się, że krew mi w żyłach zastygła. Czułam się słaba jak we śnie, tak samo jak, o czym z pewnością wiesz — dzisiejszego popołudnia w moim wagonie.

Muszę Ci wyznać, że pomimo owej wyostrzonej percepcji wywołanej Twoim wtargnięciem w moje życie, miałam Cię z początku za ni mniej ni więcej, tylko nader przebiegłego i sprytnego łowcę posagów! Wybacz, że Ci to mówię, robię to jednak tylko

dlatego, że chcę, abyś wiedział wszystko. Podejrzewałam nawet — niechaj mi Bóg wybaczy mój wstrętny charakter — Marie (może pamiętasz, że to moja garderobiana) o jakiś spisek z Tobą. Po stokroć teraz proszę o przebaczenie. Nie mówiłabym Ci tego, gdybym nie uważała, że muszę być z Tobą szczera. Dziś po południu będąc razem z Tobą czułam taki zalew szczęścia, że zatonęły w nim wszelkie inne uczucia. Czuję to wciąż jeszcze, siedząc tu w pokoju i pisząc do Ciebie. Dzięki Niebiosom burza jednak ucichła już i strumień szczęścia płynie spokojnie.

Choć moje zachowanie w czasie spaceru było tak chwiejne, to wiedz, że sprawił mi on wiele przyjemności. Nie, to za słabe słowo! Wzruszył mnie i to tak, że teraz nasza rozłąka napełnia mnie smutkiem, który mąci dopiero co wspomniany strumień szczęścia. Jakże dziś pomieszane są moje uczucia!

Wciąż myślę o swoich błędach. Z jednej skrajności: szukania błędów w Tobie (na próżno, przyznaję), popadłam teraz w drugą i widzę je wyłącznie we własnej osobie. Czuję, że powinnam się bardzo zmienić, aby zasłużyć na Twoje oddanie.

Ryszardzie, moje serce jeszcze nigdy nie było zaangażowane. Powiedziałam Ci to i chcę powtórzyć raz jeszcze, na piśmie. Nigdy nie było w moim życiu nikogo. Taka jestem z tego rada! Tak naprawdę nie wierzyłam chyba nigdy, może jedynie w dziecinnych marzeniach, że jakikolwiek mężczyzna sprawi, że odczuję to, co czuję teraz. Cóż drogi panie Collier, zaczynam dostrzegać, jak bardzo się myliłam.

Kobieta taka jak ja, z natury niezdolna oddać serce więcej niż jednemu mężczyźnie przez całe życie,

może być albo najszczęśliwszą, albo też najbardziej pożałowania godną. Ja zaś jestem nimi obiema jednocześnie. To, że kochasz mnie, a czuję, jak uczucie do Ciebie bezustannie we mnie narasta, jest źródłem szczęścia, zaś przyczyną niedoli jest moja mroczna wyobraźnia.

Nawet teraz trapi mnie niezwykłość naszego spotkania i głęboko zastanawiam się, skąd się tu pojawiłeś. Nie! Obiecuję nie pytać Cię o to. Powiesz mi sam, kiedy będziesz gotowy, a zresztą tak naprawdą, cóż to znaczy w porównaniu z faktem, że tu jesteś. Poczynając od dziś dnia zaczęłam naprawdę wierzyć w cuda.

Od tego dnia też poczynając moje uczucia zostały wyzwolone, ale jakież one są skomplikowane! W jednej chwili pragnę całemu światu głośno opowiadać, co czuję, gdy już w następnej, chcę strzec tego zazdrośnie i zachować tylko dla siebie samej. Ufam jednak, że nie doprowadzę Cię do szaleństwa. Postaram się postępować rozsądnie, a nie błądzić jak planeta, która zgubiła swoją orbitę, bo przecież wreszcie odnalazłam moje Słońce!

Teraz muszę już kończyć, aby się trochę uspokoić i ostudzić żar, którym płonę, bo trzeba poczynić ostatnie przygotowania do przedstawienia, a potem jeszcze spróbować nieco odpocząć. Prosiłam, aby dostarczono Ci zaproszenie, ale jeśli nie dotarło, upomnij się w recepcji. Życzyłam sobie, aby dostawiono w pierwszym rzędzie z boku krzesło dla Ciebie. Teraz jednak myślę, że to był błąd. Jeżeli raz spojrzę na Ciebie pewna jestem, że natychmiast zapomnę każde słowo i każdy ruch z mojej roli.

Cóż, trzeba ryzykować. Chcę, byś był tak blisko mnie, jak to tylko możliwe.

Ten straszny człowiek przeszkodził nam właśnie w chwili, gdy chciałam wymówić słowa, jakich nie spodziewałam się powiedzieć nigdy w życiu żadnemu mężczyźnie, piszę więc je teraz. Traktuj je jak przysięgę, bo będą one ważne na zawsze.

Kocham Cię.

Eliza."

Wyobraźcie sobie oszołomionego miłością człowieka, który siedzi na łóżku i nie zważając na nic dookoła, czyta i czyta ten list, a potem raz jeszcze od początku, aż wreszcie z oczami pełnymi łez pogrąża się w radości, powtarzając w myślach tylko jedno zdanie: Dzięki Ci za nią Boże!

• • •

Była szósta czterdzieści pięć, kiedy wszedłem do Rotundy i skierowałem się do Sali Królewskiej. Na balkonie na drugim piętrze orkiestra smyczkowa grała coś w rodzaju marsza, a ja czułem się tak wspaniale, że prawie zacząłem maszerować w jego takt. Uśmiechnąłem się też na widok niespodziewanego obrazka w dalszej części hallu; wisiał tam rezultat „godzinnego połowu (tak brzmiał podpis) na błystkę w głębokich wodach". Trzeba przynać, że to, delikatnie mówiąc, niezwykłe ujrzeć ogromną rybę, wiszącą w hallu tak eleganckiego hotelu.

Kiedy usiadłem spostrzegłem, że na sali nie było nikogo z teatralnej trupy. Najprawdopodobniej byli w swoich pokojach albo w Sali Balowej, szyku-

jąc się do przedstawienia. Chociaż byłem osamotniony nie czułem się jednak nieswojo. Chyba stawałem się już częścią tego otoczenia. Jakże odmienne odczucie od tego, co przeżywałem wczorajszego wieczora.

Zamówiłem rosół, kurczaka, chleb, ser i wino, a potem jąłem rozglądać się ciekawie po sali, bezwstydnie podsłuchując. Niemal roześmiałem się w głos słysząc, co powiedział mężczyzna przy sąsiednim stoliku do swego kolegi, takiego samego komiwojażera jak i on. Mówiąc o talii swojej małżonki, wykrzyknął: „Przybywało jej i przybywa, ale przecież musi ubyć, do diabła!".

Krztusząc się od hamowanego śmiechu obróciłem głowę, aby na nich popatrzeć i zobaczyłem, że obaj byli niscy i krępi. Czy tylko mi się wydaje, czy też rzeczywiście przeciętnie, ludzie tej epoki są niżsi? Chyba jednak to drugie, bo wyraźnie góruję wzrostem nad większością ludzi, z którymi się dotąd zetknąłem.

Przytoczę jeszcze parę innych wyjątków z rozmowy tych dwóch dżentelmenów, część z nich o wartości informacyjnej, część kompletnie niezrozumiałych, w takim brzmieniu, w jakim je zapamiętałem: „Temu chłopakowi bat pasuje jak ulał" (ma dostać baty czy też jest woźnicą?), „Kafirowie zachowują się prymitywnie i zbójecko, ale można z nimi ubić interes" (nieźle pasuje do kategorii „niezrozumiałe"), „Czy wiesz, że na dach tego hotelu poszło dwa miliony gontów?" (informacja), „To istna Mekka, mówię ci; Mekka" (to o hotelu).

Jeden z nich, mówiąc o postępie cywilizacji, za-

rzekal się, że osiągnęła „absolutne szczyty", a mnie zastanowił sposób, w jaki on to mówił. W rezultacie doszedłem do wniosku, że w 1896 roku wszystkie sprawy są traktowane bardzo poważnie. Czy to będzie polityka, patriotyzm, sprawy domu i rodziny czy też interesy i praca. Dla tych ludzi nie są to po prostu tylko tematy do rozmów, lecz głęboko zakorzenione przekonania łatwo mogące wzbudzić gwałtowne emocje.

Prawdę mówiąc, nie bardzo mi się to podoba. Ponieważ z natury jestem liberałem, a semantykiem z przekonania, wyznaję pogląd, że słowa nie są tym samym, co rzeczy. Fakt, że słowa są w stanie wywołać wściekłość, a nawet wyzwolić najniższe instynkty, stając się przyczyną śmierci i zniszczenia, jest dla mnie okropnym, przerażającym fenomenem.

Z drugiej jednak strony w ludziach, którzy mają głębokie przekonania, jest coś pociągającego. Nie chciałbym rozwodzić się szeroko nad czasami, które pozostawiłem za sobą, powiem więc tylko tyle, że wyniosłem stamtąd wspomnienie obojętności w stosunku do wielu rzeczy, włączając w to nawet samo życie.

A zatem, chociaż postawy ludzi z roku 1896 zdradzają tendencję do przesady, a czasem nawet i brutalności, jest w nich przynajmniej wyraźna świadomość zasad. Tu zwraca się uwagę na s p r a w y i przydaje im ważności, a t r o s k a jest czynem, nie zaś pogardzanym słowem.

Chciałbym przez to powiedzieć, że ta druga skrajność dzięki innemu rozłożeniu akcentów ma jakąś świeżość. Gdzieś pomiędzy zaciętą sztywnością na-

kazów, a kompletną apatią kryją się motywacje, które mogą okazać się zbawienne.

Rozmyślałem o tych sprawach, kiedy mój wzrok zarejestrował sylwetkę kierującego się w moją stronę mężczyzny. Odruchowo podkurczyłem wyciągnięte pod stolikiem nogi — to był Robinson.

Gapiłem się na niego, nie mając najmniejszego pojęcia, jak fizycznie i duchowo przygotować się na to spotkanie. Trudno mi było uwierzyć, że przyszedł tu, do sali pełnej ludzi, aby mnie zaatakować, ale do końca nie byłem tego pewien. Poczułem, jak coś mnie ściska w żołądku, odłożyłem więc łyżkę i nerwowo oczekiwałem na jakieś oznaki jego zamiarów.

Zaczął od tego, że nie pytając o pozwolenie wziął krzesło i usiadł naprzeciwko mnie z twarzą jak maska, która nie mówiła nic o tym czego mam się spodziewać.

— Słucham? — powiedziałem, przygotowany do rozmowy albo w razie potrzeby, ciśnięcia mu w twarz talerza z zupą, gdyby nagle wyciągnął z kieszeni pistolet.

Trzeba przyznać, że miałem dość ograniczone wyobrażenie o agresji w stylu roku 1896.

— Przyszedłem, aby z panem porozmawiać — powiedział. — Jak mężczyzna z mężczyzną.

Miałem nadzieję, że ulga, jaką poczułem słysząc, że nie zostanę zastrzelony na miejscu, nie była zbyt widoczna.

— W porządku — powiedziałem, starając się mówić spokojnie i cicho.

Zbyt cicho, jak się okazało.

— Co?

— W porządku — powtórzyłem z naciskiem, niszcząc z miejsca cały wysiłek.

Wpatrywał się we mnie tak intensywnie, ale inaczej niż patrzyła Eliza. W jego wzroku nie było ciekawości; była tam tylko podejrzliwość.

— Chcę wiedzieć dokładnie, kim pan jesteś i czego pan szukasz — powiedział.

— Nazywam się Ryszard Collier — odrzekłem — i nie szukam niczego. Tak się składa, że jestem...

Urwałem, bo wydął wargi i prychnął pogardliwie.

— Nie próbuj mnie pan zwodzić — powiedział. — Pańskie zachowanie może się wydawać tajemniczym pewnej damie, ale ja je przejrzałem na wylot. Szukasz pan zarobku.

— Zarobku? — wybałuszyłem na niego oczy.

— Pieniędzy — odwarknął.

Zbił mnie tym z tropu całkowicie. Nie panując nad sobą, roześmiałbym mu się niemalże prosto w twarz, gdyby nie dzielił nas stolik.

— Pan chyba żartuje — powiedziałem.

Oczywiście wiedziałem, że nie żartował, ale była to odruchowa reakcja. Ochota do śmiechu odeszła mnie jednak natychmiast, gdy ponownie spojrzałem na skamieniałą twarz.

— Ostrzegam cię, Collier — zagrzmiał i przysięgam, że to rzeczywiście brzmiało jak grzmot. — Jest jeszcze prawo w tym kraju i nie zawaham się zrobić z niego użytku.

Tego było już za wiele. Poczułem narastający gniew.

— Robinson...

— Panie Robinson — przerwał.

— Tak, oczywiście. Panie Robinson, pan nie wie, o czym pan, u diabła, mówi.

Drgnął, jakbym go mocno uderzył w twarz, a ja znowu poczułem napięcie mięśni. Nie miałem wówczas cienia wątpliwości, że chciał mi wyrządzić krzywdę i zrobiłby to, gdyby stracił panowanie nad sobą.

Zresztą niezbyt o to dbałem. Z natury nie jestem awanturnikiem i dotychczas rzadko bywałem w tego rodzaju sytuacjach, niemniej jednak właśnie wtedy byłem z pewnością gotów, jakby on to powiedział: napędzić mu stracha. Przyznaję się szczerze, że miałem wówczas wielką ochotę przestawić mu nos, zamiast tego jednak pochyliłem się do przodu i powiedziałem:

— Słuchaj no, Robinson, nie mam specjalnej ochoty na rękoczyny, ale niech ci się ani przez chwilę nie zdaje, że się przed nimi cofnę. Jeżeli chcesz wiedzieć, dołożyłbym ci z rozkoszą. Nie lubię cię. Jesteś chamem, a ja nie lubię chamów, bardzo nie lubię. Czy to jasne?

Byliśmy tak blisko zwarcia, jak jeszcze nigdy. Patrzyliśmy na siebie jak dwa byki tuż przed ostateczną walką, ale po chwili jego wargi ułożyły się w paskudny, drwiący uśmieszek.

— Co to za odwaga przy ludziach — powiedział.

— Możemy wyjść na dwór — odpaliłem.

Jezu, jak ja go chciałem uderzyć! Nigdy w życiu nie spotkałem jeszcze człowieka, który by budził we mnie taką wrogość.

Napięcie nieco opadło, gdy do stolika podszedł kelner pytając, czy Robinson będzie jadł ze mną.

— Nie, nie będzie — odparłem.

Zabrzmiało to zapewne bardziej chłodno niż było potrzebne i kelner pomyślał chyba, że swój gniew kieruję przeciwko niemu, ale na nic innego nie mogłem zdobyć się w takich okolicznościach.

Kiedy kelner już się oddalił, Robinson odezwał się do mnie:

— Nie uda ci się wykorzystać panny McKenna, przyrzekam ci.

— Masz absolutną rację — odpowiedziałem. — Nigdy jej nie będę wykorzystywał, ale nie ma to nic a nic wspólnego z tobą.

Rysy twarzy znów mu stwardniały, a w przymrużonych oczach mignął błysk stali.

— Spróbujmy się ugodzić — powiedział. — Jaka jest twoja cena?

Wprawił mnie w oszołomienie i musiałem znowu się roześmiać, choć wiedziałem, że to go rozgniewa.

— Czy naprawdę nie możesz tego zrozumieć? — spytałem z niedowierzaniem.

Ponownie mnie zaskoczył, zamiast bowiem najeżyć się, uśmiechnął się chłodno.

— Marnie zagrane, Collier — powiedział — ale przynajmniej teraz wiem, że nie jesteś bezrobotnym aktorem szukającym zarobku.

Jęknąłem z niedowierzaniem.

— I znowu to samo... szukać zarobku — potrząsnąłem głową. — Jesteś po prostu ślepy, jeśli nie widzisz tego, co masz tuż przed oczyma.

— Tuż przed oczyma mam hultaja — odrzekł z zimnym uśmiechem.

— I blagiera, wiem — dorzuciłem, przypomniaw-

szy sobie, co powiedziała Eliza, po czym z westchnieniem zapytałem:

— Dlaczego po prostu nie wstaniesz i nie pójdziesz sobie?

— Już nieraz miałem do czynienia z takimi jak ty i zawsze traktowałem ich tak, jak na to zasługiwali.

— Mmhmm — pokiwałem głową ze znużeniem i właśnie wtedy znowu mi się to przydarzyło.

Całe moje dotychczasowe nastawienie runęło w jednej chwili, zniszczone tym ogłupiającym, można powiedzieć nieuczciwym, ubocznym skutkiem wiedzy o przyszłości. Niespodziewanie poczułem przypływ współczucia dla tego człowieka, przypomniawszy sobie w jaki sposób ma on umrzeć. Miał przecież utonąć w lodowatych wodach Atlantyku, nie zaznawszy nigdy miłości kobiety, którą w tak oczywisty sposób uwielbiał. Jak więc mógłbym nienawidzić kogoś, kogo czeka taki los?

Robinson nieoczekiwanie dostrzegł zmianę wyrazu mojej twarzy, choć do tej pory nie posądzałbym go o taką wrażliwość, i to go skonfudowało. Potrafiłby poradzić sobie z moim gniewem, ale nie z litością. Myślę, że wręcz to go przeraziło, jego głos bowiem nie brzmiał już tak pewnie, gdy znowu się odezwał:

— Moja w tym głowa, żeby wkrótce ona sama się pana pozbyła. Możesz pan na mnie polegać.

— Przykro mi, panie Robinson — odpowiedziałem, ale on mnie nie słuchał.

— A jeśli mi się to nie uda — powiedział, zagłuszając moje słowa — zapewniam, że potrafię doprowadzić do pańskiego zgonu.

Nie słuchałem zbyt uważnie i dlatego dopiero po dobrych piętnastu sekundach dotarło do mnie, że mi groził śmiercią.

— Według pańskiego życzenia — odparłem.

Patrząc na mnie spode łba, odepchnął gwałtownie krzesło, niemal je wywracając wstał, odwrócił się na pięcie i odszedł szybkim krokiem.

Zastanawiałem się jakie kipią w nim teraz emocje. Pomimo, iż obrzucił mnie obelgami, było mi go żal. To przekleństwo pisarza, który potrafi wypaczyć nawet tak podstawowe odruchy, jak instynkt samozachowawczy, ale nie było sposobu, aby tego uniknąć. Kochał przecież Elizę tak samo mocno jak ja, a do tego o wiele dłużej, jak więc mogłem mu nie współczuć?

• • •

Dopiero co minęło wpół do ósmej, kiedy podałem zaproszenie człowiekowi, stojącemu w drzwiach Sali Balowej i zostałem zaprowadzony do swojego krzesła w pierwszym rzędzie. W sali była zaledwie garstka ludzi, miałem więc okazję, aby pisać, nie zwracając na siebie uwagi. Dotarłem właśnie do opisu tej chwili, mogę więc wreszcie rozejrzeć się dookoła.

Wygląd Sali Balowej nie umywał się do wspaniałości, którą zapamiętałem. Teraz sprawia wrażenie przepastnej i ponurej, z nieprawdopodobnie wysokim sklepieniem podpartym belkami. Ma wysokie i wąskie okna, ściany pokrywa ciemna, drewniana boazeria, a podłoga ze zwyczajnych desek wydaje się pusta i uboga. Nawet krzesło, na którym siedzę, to zwyczaj-

ny składany stołek. Niezbyt to wszystko niestety wytworne.

Nawet scena, chociaż większa, bo ma chyba jakieś dwanaście metrów szerokości, wydaje się bardziej prymitywna, brakuje na przykład schodków wiodących na wygięte w stronę widowni proscenium. Trudno powiedzieć, jak jest głęboka, bo przedzielają szczelnie zaciągnięta kurtyna, spoza której dobiega, jak z ula, gwar niewyraźnych głosów, stąpnięć, szelestów i postukiwań. Bardzo bym chciał tam wejść i życzyć jej powodzenia, ale zdaję sobie sprawę, że nie powinienem jej teraz przeszkadzać. Premierowy wieczór jest trudny także bez kłopotów, jakich jej przysporzyłem. W każdym bądź razie mam nadzieję, że wszystko jest w porządku.

Patrzę teraz na program. Na okładce widnieje tytuł sztuki, a pod nim zdjęcie Elizy. Zdjęcie? To właśnie *to* zdjęcie. Dziwne uczucie patrzeć na nie teraz, wiedząc jak daleko mnie ono zawiodło.

U dołu okładki jest napis *„Hotel del Coronado, kierownik E. S. Babcock, Coronado Beach, Kalifornia"*. Odwracając program, widzę ogłoszenie reklamujące *„liczne i urozmaicone atrakcje"* hotelu. Dla Waszego skromnego skryby największą z nich jednak jest bez wątpienia drobna, szczupła aktorka o imieniu Eliza.

Po otwarciu programu po lewej stronie czytam: *Pan William Fawcett Robinson przedstawia Pannę Elizę McKenna w premierze nowej komedii w czterech aktach, pod tytułem 'Mały Minister' K. J. M. Barriego, opartej na jego powieści pod tym samym tytułem.* Poniżej tego tekstu znajdują się dwie linijki nut

melodii skomponowanej przez *„W.P. Fur sta"* i zatytułowanej *„Muzyka Lady Babbie (tempo di valse) "*. Usiłuję odtworzyć sobie jej brzmienie korzystając ze strzępów wspomnień lekcji fortepianiu w dzieciństwie.

Jeszcze niżej widnieje prawdziwa lista postaci takich, jak Gavin Dishart, Lord Rintoul i Kapitan Halli well. Na czwartym miejscu wymieniona jest Lady Babbie, córka Lorda Rintoula, a kropkowana linia wiedzie od niej do nazwiska — Eliza McKenna. Dosłownie, wcale nie w przenośni czuję dreszcz podniecenia na myśl, że zobaczę ją na scenie.

Odczuwałbym zresztą emocje nawet wtedy, gdybym tylko jako zwykły widz oczekiwał momentu pojawienia się na scenie jednej z nieśmiertelnych heroin amerykańskiego teatru. Chociaż jeszcze nie osiągnęła szczytu kariery i tak z pewnością jest wspaniała, a przecież na dodatek właśnie ta kobieta napisała do mnie czuły list, kończący się słowami: „kocham cię". Nic więc dziwnego, że chce mi się wręcz krzyczeć z radości. Czuję zupełnie to samo, co ona, raz chciałbym łapać każdego za guzik, aby wszystko opowiedzieć, to znowu pragnę wszystko zazdrośnie zatrzymać w tajemnicy dla siebie.

Właśnie przymknąłem oczy, by dać upust uczuciom w wielkim wybuchu radości. Czy takie szczęście jest w ogóle możliwe? Chyba tak, bo przecież je przeżywam. Nie straszne mi nawet groźby Robinsona.

Za chwilę rozglądam się po sali i dostrzegam, że publiczność zaczyna się już gromadzić. O, widzę jakąś kobietę, która spogląda przez operową lornetkę na

wąski i najwyraźniej nie używany balkon nad sceną. Wodzę oczami za jej wzrokiem i nie mogę powstrzymać uśmiechu na widok mężczyny, który ukradkiem pociąga łyk z butelki, a potem chowa ją do kieszeni, gładząc nerwowo brodę. Chyba już przerwę pisanie.

• • •

Przedstawienie za chwilę się zacznie. Światła już przygasają i orkiestra przestała grać. Zamieram w oczekiwaniu, serce bije mi jak werbel. Z trudem dostrzegam zapisywane słowa.

Już! Kurtyna rozsuwa się, a orkiestra znowu gra. Według programu to „księżycowy wieczór w kwietniu". Pomimo, że stenografuję, będę musiał pisać krótkimi zdaniami, żeby zdążyć spisać wrażenia na gorąco.

Na scenie dekoracja przedstawia leśny zakątek. Świeci księżyc. Jest też ten sztuczny, niezbyt przekonujący ogień, o którym wspominał Robinson. Dwóch mężczyzn śpi przy ogniu, trzeci stoi na straży. Wychodząc zza drzewa, pojawia się czwarty. Rozmawiają o „małym ministrze". „Żadna z przyziemnych pokus tego świata nie przyciągnie Gavina..." — dalsza kwestia mi umknęła. Boże, jak oni okropnie mówią!

Gadają i gadają. Ile jeszcze czasu pozostało do jej wejścia? Cały aż kipię... Przybywa minister, żąda od nich, aby odeszli. Oni odpowiadają skargami na fabrykantów. Akcja nabiera tempa. (Gdzie jest Eliza?!).

Nagle cała scena zapełnia się tłumem policjantów. Wśród nich jest Lord Rintoul i Kapitan Halliwell. Szybko zerkam do programu. Lord Rintoul to jej ojciec. Kapitan Halliwell chciałby się z nią ożenić i stąd jego współpraca z Lordem Rintoulem podczas pościgu za prowodyrami buntu. Ludzie na scenie zamierzali dać sygnał, gdy pojawi się policja, aby umożliwić ucieczkę swoim przywódcom. Zaczynam coś rozumieć, mimo że mówią, jakby mieli kluski w gębie.

Jakaś kobieta śpiewa za sceną. Czy to ona? Czyżby ona również śpiewała? Co za uroczy głos. Boże, jak ja ją kocham. Dygoczę z oczekiwania.

Jest. Tańczy! Boże! Jaka ona piękna, jak urocza! Przebrana ni mniej, ni więcej tylko za Cygankę. Długie, rozpuszczone włosy, biała bluzka, przez lewe ramię przerzucony szal z frędzlami, który sięga rąbka czarnej spódnicy. W pasie owinięta jest także chustą z frędzlami niby fartuchem, a na szyi ma sznur korali. Co to ja o niej czytałem? Że błyskotliwa, eteryczna? O tak, to wszystko prawda.

Ona jest boso! (Nigdy dotąd nie używałem wykrzykników! To zdradza moje podniecenie). Ale dlaczego widok jej stóp tak mnie podnieca? Przecież widywałem kobiety na plaży niemal nagie i nic, a te obnażone stopy, jej stopy... To niewiarygodne. Wpatruję się w nią jak zaczarowany, gubiąc zupełnie w akcji sztuki.

Przetańczyła przez scenę i zniknęła, w przelocie posyłając pocałunek ministrowi. I to wszystko? Oczywiście, że nie, przecież jest gwiazdą, ale w tym momencie odczuwam zawód. Bez niej scena wydaje się pusta.

Teraz zresztą naprawdę jest pusta, wszyscy wyszli. Wchodzi jakiś mężczyzna i zaczyna wspinać się na drzewo. Ach! Ona też wróciła.

Rozmawiają. Jaki ona ma cudowny głos, zupełnie jak instrument muzyczny. O czym mówią? Aha, on wie, kim ona jest. Widział ją w zamku Rintoul, kiedy tam był... łowić krety? Chyba się przesłyszałem.

Ona teraz go prosi, żeby jej nie wydawał; przyszła tu, żeby ich ostrzec o nadejściu żołnierzy; podsłuchała rozmowę między ojcem i Halliwellem; chciała ich przechytrzyć, ale żołnierze zablokowali drogę. Przywódców może uratować tylko róg, który ów mężczyzna ma przy sobie. Trzeba w niego trzykrotnie zadąć, ale mężczyzna boi się, że żołnierze wówczas „przydybią" go podczas gdy to zrobi.

Teraz on zniknął, a Eliza, to znaczy Babbie, sama próbuje zadąć w róg. Jest urocza. Oczywiście, nie daje rady, tylko bezradnie wydyma policzki. Jest naprawdę rozkoszna. Czy to możliwe, aby to była ta sama kobieta, która patrzyła na mnie z taką powagą? Tu, na scenie, to sama radość życia.

Nadchodzi minister. Obrzuca ją wymysłami sądząc, że jest Cyganką, ona tymczasem mówi mu... Jezus Maria, co ona mówi? Bełkocze w tej chwili tak, jak i reszta. W tekście powinny być podtytuły. Chociaż właściwie, gdy ona jest na scenie i tak nie bardzo zwracam uwagę na dialog. Jestem rozmarzony, widząc ją i słysząc rozkoszuję się gracją jej ruchów i melodią jej głosu...

No dobrze, skupmy się. Coś o... zaraz... Aha! Prosi go, żeby trzy razy zadął w róg. To niby znak dla ojca, który jej poszukuje.

I on to robi! Śmieszne. Widzi (za sceną) ludzi na rynku miasteczka i nie rozumie, o co chodzi, ona mu więc tłumaczy, że właśnie usłyszeli sygnał alarmowy. „Po tym, jak go zakazałem?" — dziwi się.

Ależ zrobił minę, gdy mu powiedziała, że to przecież on zatrąbił na alarm. Wścieka się, rzuca róg na ziemię i wybiega ze sceny w pogoni za Babbie.

Wchodzą Lord Rintoul i Kapitan Halliwell. Aktor grający Rintoula to ten, którego spotkaliśmy w Sali Śniadaniowej — chyba nazywał się Jepson? „Patrząc" za kulisy opowiadają sobie, że widzą, jak minister namawia tłum, aby rzucił broń, a jakaś Cyganka podburza ich do walki. Kapitan Halliwell przysięga Rintoulowi, że uwięzi Cygankę nim nadejdzie świt, ale wątpię, żeby mu to się udało.

Wraca Gavin i Rintoul mu dziękuje. Wtedy wchodzi jakiś żołnierz i oznajmia, że prowodyrom udało się zbiec. Rintoul i Halliwell wychodzą zagniewani, minister pozostaje sam.

Moja urocza Eliza znowu na scenie. Znowu patrząc na nią pogubię się w akcji. Czy ona wie, gdzie ja siedzę? To chyba nie ma znaczenia. Jest za bardzo pochłonięta grą. Teraz to nie Eliza, to Babbie i to bez reszty. W tym chyba kryje się jej sekret, w całkowitej identyfikacji z odtwarzaną postacią.

Co teraz się dzieje? Zapomniałem powiedzieć, że ma na sobie długi płaszcz i beret. Jest ścigana i błaga ministra, aby jej pomógł, ten jednak woła: „precz!" Wchodzą dwaj żołnierze.

A to zabawne. Chwyciła go za ramię i czystym, wyraźnym głosem powiedziała: „Przedstaw mnie panom, kochanie". Minister Dishart patrzy na ną

osłupiały, a ona wyjaśnia sierżantowi, że w taką noc najwłaściwsze miejsce dla kobiety jest „u boku męża". Minister oniemiał, ale potem otrząsa się i mówi: „Sierżancie, muszę panu powiedzieć...".

„Tak, tak" — szybko wtrąca ona — „o tej dziewczynie w cygańskiej sukience". To zbija ministra z tropu, a ona tymczasem wskazuje gdzieś za scenę i dodaje: „Wymknęła się stąd i pobiegła w tamtą stronę".

Dishart próbuje jeszcze raz: „Sierżancie, muszę...", ale ona zaraz się wtrąca: „Kochanie, chodźmy do domu". „Kochanie!" wykrzykuje minister, a ona się uśmiecha. Uwielbiam ten uśmiech.

„Tak, kochanie" potwierdza. Żołnierze odchodzą. „Powiedziałaś, że jesteś moją żoną" mówi Dishart, „nie zaprzeczyłeś" ona na to, a on mamrocze: „rzeczywiście, nie".

Mówi mu, że weźmie na siebie winę, jeśli żołnierze odkryją jego „straszny postępek", on jednak zabrania jej tego. Nie chce jej widzieć w więzieniu. Najwyraźniej już zaczął się w niej durzyć. Czy to zresztą takie dziwne? Kocham się w niej nie tylko ja, kocha się cała widownia. Słychać to po westchnieniach, które jak fale co chwila przepływają po sali. Jej urok z nieodpartą siłą promieniuje poza scenę, jest wręcz magnetyczny.

Podaje mu kwiat, który miała przypięty do pasa i schodzi ze sceny. Nie odchodź, Elizo!

Gavin wpatruje się w kwiat, a wtedy jakiś mężczyzna wbiega na scenę, wyrywa mu go z ręki, rzuca na ziemię i woła: „Podnieś, jeśli się odważysz!". Dishart podnosi kwiat, wpina go sobie w klapę i wychodzi.

Kurtyna. Koniec pierwszego aktu.

• • •

Przerwa. Rozmyślam teraz o jej grze. Jest taka, jak jej osobowość, szczera i uczciwa, oszczędna w środkach, bez żadnych ozdób. Obawiałem się trochę, że może być tak przesadna i egzaltowana, jak innych aktorów w tej sztuce, ale nie — nie ma w niej żadnych sztuczek. Jest bezpretensjonalna z nieskończenie cudownym wyczuciem humoru. Jest urocza i rozkoszna, ponieważ tak właśnie się czuje. Dosłownie tryska z niej figlarna radość, a kokieteria pojawia się niespodzianie, jak błysk czy wybuch. Widać, że całkowicie pokłada zaufanie w sile swej kobiecości. Będąc świadoma słabości ministra, nie wykorzystuje tego do przesady i może tym właśnie budzi sympatię kobiet na widowni? Każdy jej ruch naznaczony jest odrobiną pikanterii, ale od czasu do czasu wyczuwa się, że w jej grze jest coś jeszcze, coś, co porusza nas do głębi. Bez wątpienia ma wszelkie zadatki na doskonałą tragiczkę, ale ujawnią się one w sposób naturalny. Ja nie będę z tym miał nic wspólnego.

Cóż jeszcze mógłbym dodać; że bez względu na to, jak dobrze odtwarza swoją rolę, ma się zawsze wrażenie, że więcej, daleko więcej kryje w zanadrzu? Tak, to prawda. Czytałem w jednej z książek... Nie, nie powinienem wracać więcej do tych spraw, ale...

No dobrze, tylko ten jeden raz, bo to naprawdę słuszne. W tej książce wspominano o polu energetycznym emitowanym przez aktorów będącym swego rodzaju poszerzeniem tak zwanej aury. Otóż pole to jak utrzymywano w książce, może w sprzyjających okolicznościach, to znaczy gdy istnieje wyjątkowa

więź pomiędzy aktorem i widzem, rozszerzyć się do tego stopnia, że obejmuje całą widownię. Zjawisko takie było potwierdzone przez jednostki wyjątkowo wrażliwe psychicznie, a teraz, kiedy ujrzałem Elizę i ja wierzę w jego istnienie.

Dotarła do nas wszystkich.

A teraz ja...

• • •

Przestałem pisać, ponieważ ktoś wywołał moje nazwisko. Rozejrzałem się i zobaczyłem człowieka, który odbierał ode mnie zaproszenie, teraz zaś wymachiwał złożoną kartką papieru.

— To dla pana — powiedział.

Podziękowałem mu wziąłem kartkę i poczekałem, aż odejdzie. Schowałem pióro i notatki do wewnętrznej kieszeni surduta, po czym rozwinąłem list i przeczytałem: *Collier, muszę z panem natychmiast pomówić o zdrowiu panny McKenna. To sprawa życia i śmierci, więc mnie pan nie zawiedź. Czekam w hallu. W.F. Robinson.*

Wiadomość mną wstrząsnęła. Sprawa życia i śmierci? Z sercem pełnym lęku zerwałem się i pospiesznie wyszedłem na korytarz. Ale co złego mogło stać się Elizie? Dopiero co widziałem ją na scenie i wyglądała wspaniale, z drugiej strony jednak nikt tak nie dbał o jej dobro, jak Robinson.

Dotarłem do hallu i rozjrzałem się, ale nie dostrzegłem ani śladu Robinsona. Przeszedłem przez zatłoczone pomieszczenie sprawdzając czy nie czeka gdzieś w kącie, chociaż jednak patrzyłem we wszyst-

kie strony, nigdzie go nie było. Okazując żałosną naiwność, nie rozumiałem o co chodzi nawet wtedy, gdy zbliżyło się do mnie dwóch barczystych mężczyzn.

— Collier? — zapytał jeden z nich.

Był to starszy już człowiek z wystającymi żółtymi zębami pod krzaczastym, obwisłym wąsem.

— Słucham?

Zacisnął palce na moim prawym ramieniu tak mocno, że aż jęknąłem i powiedział:

— Chodźmy!

— Co takiego? — wymamrotałem, gapiąc się na niego.

Jak dalece można być łatwowiernym? Nawet w tej sytuacji jeszcze niczego nie rozumiałem.

— Chodźmy — powtórzył podnosząc górną wargę w niewesołym uśmiechu i zaczął mnie prowadzić w stronę głównego wejścia. Drugi mężczyzna trzymał równie boleśnie moją lewą rękę.

Zdumienie pierwszej chwili przeszło teraz we wściekłość na Robinsona, że tak mnie podszedł i na samego siebie, że dałem się tak wrobić. Usiłowałem uwolnić ręce, ale trzymali mnie zbyt mocno.

— Ja tam bym się nie wyrywał — wymamrotał starszy. — Możesz tego pożałować.

— Na pewno... — dodał drugi.

Spojrzałem na niego. Był mniej więcej w moim wieku, a gładko wygolone, czerwone policzki sprawiały, że robił wrażenie poczciwca. Podobnie jak towarzysz był mocno zbudowany, a przyciasne ubranie leżało na nim zbyt obcisłe. Obserwował mnie bladoniebieskimi oczyma.

— ...po prostu grzecznie idź — dokończył.

Niespodziewanie ogarnęło mnie niedowierzanie pomieszane z rozbawieniem. To wszystko było zbyt głupie.

— Puśćcie mnie — powiedziałem niemal ze śmiechem.

— Zaraz nie będzie ci do śmiechu — odrzekł starszy i całe rozbawienie natychmiast mnie opuściło. Wyczuwając zapach whisky w jego oddechu, spojrzałem na niego.

Byliśmy już przy samych drzwiach, gdy wyjdziemy na zewnątrz nie będę miał żadnej szansy.

— Puśćcie mnie albo zacznę wołać o pomoc — powiedziałem. — No, już!

Aż mi zaparło dech z przerażenia, kiedy młodszy włożył rękę do kieszeni, przycisnął się do mnie, a ja poczułem ucisk jakiegoś twardego przedmiotu.

— Piśnij tylko słówko, Collier, a stracisz życie — zagroził.

Zbliżając się do drzwi patrzyłem na jego niewzruszoną twarz. To się nie może zdarzyć, myślałem, i była to jedyna obrona, na jaką było stać mój umysł. Tak melodramatyczna sytuacja nie mogła być rzeczywista. Dać się porwać dwu krzepkim rzezimieszkom, to przecież tak absurdalne, że aż trudne do uwierzenia.

A jednak nie miałem innego wyjścia, jak uwierzyć, bo to jednak działo się. Po otwarciu drzwi, obaj mężczyźni wyprowadzili mnie na ganek i wtedy uderzyła mnie pewna myśl. Czy po to przebyłem do Elizy siedemdziesiąt pięć lat, by wszystko miało się tak skończyć?

— O, nie! — zawołałem i zacząłem się szarpać, aż wreszcie udało mi się uwolnić lewą rękę. — Wy nie...

Urwałem ze zdławionym krzykiem, jaki wyrwał mi się z ust, gdy starszy z nich odwrócił się błyskawicznie i rąbnął mnie pięścią jak z żelaza prosto w środek brzucha. Załamałem się pod tym ciosem i niemal złożyłem w pół, czując, jak ból promieniuje na całe ciało, a oczy przesłaniają fale mroku. Poczułem, że niemal niosąc w powietrzu, sprowadzają mnie ze schodów. Mętnie docierała do mnie świadomość obecności innych ludzi przechodzących obok. Usiłowałem wzywać pomocy, ale brakowało mi tchu, by wydobyć z siebie bodaj słowo.

Wreszcie znaleźliśmy się na dole i w poprzek prowadzącej do wejścia alei, skierowaliśmy się ku plaży. Chłodny wiatr owiał mi twarz i nieco ocucił. Łapczywie wciągnąłem powietrze. Zaczęły do mnie docierać jakieś słowa.

— ...nie robić tego, Collier. To był idiotyczny błąd.

— Puśćcie mnie — powtórzyłem.

W pierwszej chwili myślałem, że pada deszcz, ale naraz zorientowałem się, że to uderzenie pięści wycisnęło mi łzy z oczu.

— Puśćcie!

— Jeszcze nie teraz — odpowiedział starszy.

Znajdowaliśmy się teraz na drewnianym pomoście i kierowaliśmy się w stronę łazienek. Usiłowałem uporządkować myśli i zastanowić się. Przecież musiało być z tego jakieś wyjście. Odchrząknąłem i spróbowałem:

— Jeżeli chodzi o pieniądze, to mogę wam zapłacić więcej niż Robinson.

— Nie znamy żadnego Robinsona — odparł młodszy, wbijając palce w moje ramię.

Przez chwilę byłem gotów mu uwierzyć, ale zaraz przypomniałem sobie list, który wplątał mnie w to wszystko.

— Oczywiście, że znacie i mówię wam, że zapłacę więcej od niego, jeżeli...

— Idziemy na przechadzkę, paniczu — przerwał mi starszy.

Zerknąłem przez ramię na hotel i nagle poczułem przypływ paniki.

— Błagam, nie róbcie tego... —jęknąłem.

— Właśnie to robimy — odrzekł starszy takim tonem, że aż zadrżałem.

Nagle zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo różnił się ode mnie ten człowiek. Z pewnymi cechami Robinsona pomimo jego wrogości mógłbym się identyfikować, ale ten człowiek i jego partner byli ludźmi całkowicie mi obcymi. Reprezentowali ten typ społeczności 1896 roku, z którym nie miałem nic a nic wspólnego. Wyczuwałem w nich taką obcość, że równie dobrze mogliby być Marsjanami. Domyślałem się, że byliby w stanie zabić. Ta myśl przyprawiła mnie o wstrząs. Zebrałem się na odwagę i zapytałem, dokąd chcą mnie zabrać.

— Dowiesz się we właściwym czasie — odpowiedział. — A teraz bądź cicho albo znowu oberwiesz.

Dreszcz przebieg mi po karku. Czy to możliwe, aby Robinson nakazał im zamordować mnie? To by było straszne, ale prawodpodobne. Czyż mógł istnieć prostszy sposób pozbycia się mnie? Czyżbym aż tak go nie doceniał, myśląc o nim tylko jako o chamie,

podczas gdy w rzeczywistości był on w obronie swoich interesów związanych z Elizą, gotów na wszystko?

Znowu zacząłem coś mówić, ale urwałem z grymasem bólu, gdy ich palce ponownie zacisnęły się na moich ramionach. Fizyczny opór nie miał żadnego sensu, widziałem to z przeraźliwą jasnością. Jeżeli w ogóle było jakieś wyjście z tej sytuacji, można je było osiągnąć wyłącznie siłą rozumu, a nie mięśni.

Kiedy przechodziliśmy obok budynku łazienek odwróciłem gwałtownie głowę, bo właśnie otworzyły się drzwi i wyszła z nich jakaś młoda para. Wewnątrz dostrzegłem balkon, a w głębi za nim dwa wielkie betonowe baseny z wodą. Do jednego z nich zbiegała długa, drewniana pochylnia. W basenie z ciepłą wodą, nad którym unosiła się para, dwóch chłopców ujeżdżało konia zrobionego z beczki. Ich śmiech odbijał się echem o ściany i sufit. Doglądał ich stojący u brzegu basenu starszy mężczyzna z siwą brodą, ubrany w dwuczęściowy czarny kostium kąpielowy, który u góry kończył wysoki kołnierzyk i krótkie rękawy, a u dołu nogawki sięgające kolan.

Drzwi się zamknęły, a młodzi ludzie ruszyli w naszą stronę. Wpatrywałem się w mężczyznę zastanawiając się, czy byłby w stanie mi dopomóc. Człowiek po prawej jakby wyczuł moje myśli, ponieważ wzmocnił chwyt na moim ramieniu, aż syknąłem z bólu i ostrzegł:

— Nie odzywaj się.

Jęknąłem z rozpaczą, gdy para przechodniów minęła nas idąc w stronę hotelu.

— Teraz byłeś rozsądny — pochwalił mnie starszy.

— Dokąd chcecie mnie zabrać?

— Do Starego Meksyku — odezwał się młodszy.

— Co?

— Zabierzemy cię tam, pokroimy na plasterki i wrzucimy do głębokiej studni.

Wstrząsnąłem się i powiedziałem:

— Bardzo zabawne... — ale wcale nie byłem pewny czy on żartuje.

— Nie wierzysz mi? — zapytał prowokacyjnie. — Myślisz, że kłamię?

Obejrzałem się żałośnie na hotel.

— Myślisz, że tak, co? — dopytywał się, szturchając mnie w bok.

— Idź do diabła — burknąłem, a on natychmiast wbił mi tak mocno palce w ciało, że jęknąłem z bólu.

— Nie lubię młodych ważniaczków, co się do mnie tak odzywają — powiedział. — Chyba chcesz jeszcze raz w kałdun.

Znowu dźgnął mnie.

— Chcesz, Collier?

— No dobrze, twoje na wierzchu — powiedziałem i nacisk palców zelżał.

— Wiesz, co z tobą zrobimy — rzekł, ale nie było to pytanie. — Weźmiemy cię na łódź, przy wiążemy do kotwicy i wyrzucimy rekinom na pożarcie.

— Przestań go straszyć, Jack — odezwał się starszy mężczyzna — bo nam posiwieje przed czasem.

— Jego czas już nadszedł — odpowiedział Jack.

Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie całą grozę sytuacji. Ponownie rzuciłem przez ramię spojrzenie w stronę hotelu i nie mogłem powstrzymać jęku

przerażenia, gdy zobaczyłem, jak już daleko od niego jesteśmy.

— Al, on coś stęka — zauważył młodszy. — Może będzie rzygał?

Całkowicie pogrążony w rozpaczy nie zwracałem już na niego uwagi. A więc miałby to być koniec? Czy moja długa podróż do Elizy miała się zakończyć brutalnym morderstwem na plaży? Jak mogłem być tak ślepy, żeby nie docenić Robinsona? Przecież jego ostatnie skierowane do mnie słowa mówiły, że jest w stanie „doprowadzić do mojego zgonu". Nie tylko był w stanie, ale wręcz to zrobił, a ja stracę Elizę na zawsze, spędziwszy z nią zaledwie parę krótkich chwil. Książki o niej nie zostaną napisane inaczej. Jej życie potoczy się dokładnie tak, jak czytałem. Jej „skandal w Coronado" już się skończył. Nie zobaczymy się już nigdy więcej, aż do tego wieczoru w 1953 roku, kiedy na przyjęciu w Columbii zobaczy mnie w postaci dziewiętnastoletniego chłopca i w parę godzin potem umrze. I to miałoby być wszystko, czego dokonałem przez swą podróż? Nieszczęsne błędne koło, nieprzerwany krąg podróży wstecz po to, by być zabitym, potem narodzić się i żyć aż do chwili, gdy znowu wrócę w czasie, aby ponownie dać się zabić.

— Błagam was — powiedziałem, zwracając się do starszego z mężczyzn — nie róbcie tego. Nic nie rozumiecie. Ja tu przybyłem z 1971 roku, aby spotkać pannę Mckenna. Kochamy się i...

— Jakie to wzruszające — odezwał się Jack, a w jego głosie zadźwięczała fałszywa sympatia.

— To prawda — ciągnąłem, nie zwracając na

niego uwagi. — Zrobiłem to naprawdę. Przewędrowałem wstecz w czasie do...

— Uhuhu — to znowu Jack.

— Niech cię cholera weźmie! — wykrzyknąłem.

— Nie, to ciebie weźmie! — odrzekł, a mnie oblał zimny pot, zobaczyłem bowiem, że jego prawa dłoń powędrowała do kieszeni. To już koniec ze mną, pomyślałem.

— Spokój tam — starszy puścił moją rękę, aby powstrzymać Jacka. — Zdumiałeś? Tak blisko hotelu?

— A co mi tam! Muszę wpakować kulkę w łeb tego ważniaka.

— Trzymaj pistolet w kieszeni albo rozwalę ci gębę, jak mi Bóg miły! — powiedział starszy głosem, który w jednej chwili uświadomił mi, o ile był on dojrzalszy i groźniejszy zarazem.

Jack znieruchomiał i popatrzył na niego z wściekłością. Starszy poklepał go po ramieniu.

— No, uspokój się — powiedział — i rusz trochę mózgownicą. Chcesz mieć policjantów na karku?

— Żaden ważniak nie będzie mi bezkarnie ubliżał — mruknął Jack.

— Jack, on jest zdenerwowany. Nie rozumiesz tego?

— I tak umrze, moja w tym głowa — odrzekł Jack.

— Może i tak będzie — powiedział Al — ale teraz ruszajmy.

Kiedy podjęliśmy marsz, ponownie mnie zaskoczył, odchrząknął bowiem i spytał:

— Co ty właściwie mówiłeś? Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tak błagał o życie.

Zadrżałem, bo wyobraziłem sobie, że spędził już długie lata na zabijaniu ludzi. W pierwszej chwili nie

miałem ochoty odpowiadać, ale uznałem, że milczenie nie przyniesie mi żadnej korzyści, zacząłem więc od nowa:

— Mówiłem wam prawdę. Przyjechałem do tego hotelu siedemdziesiąt pięć lat później, czyli w 1971 roku? Zdecydowałem...

— A kiedy się urodziłeś? — wpadł mi w słowo.

— W tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym.

Z jego ust wyrwał się chrapliwy śmiech owiewający mnie smrodem whisky.

— No dobra, jeśli się jeszcze nie urodziłeś, to jak możesz teraz iść z nami?

— On jest pomylony. Trzeba go załatwić — odezwał się Jack.

Byłem zrozpaczony bo zdawałem sobie sprawę, jak trudno będzie wytłumaczyć tajemniczy sens tego, czego dokonałem, nie miałem jednak innego wyjścia.

— Posłuchaj — powiedziałem. — Przyjechałem do hotelu 14 listopada 1971 roku, zobaczyłem tu fotografię panny McKenna i zakochałem się w niej.

— Och! — Jack wtrącił się znowu, ja udałem, że nie słyszę i ciągnąłem dalej:

— Zacząłem więc badać problem czasu, a potem całą siłą woli zapragnąłem przenieść się wstecz, do 1896 roku i... udało mi się. Przysięgam, że mi się udało — dodałem szybko, widząc uśmieszek Ala. — Urodziłem się 20 lutego 1935 roku. Poszedłem...

Urwałem, kiedy Al szorstko poklepał mnie po ramieniu.

— Dobry z ciebie chłop, Collier, ale kompletnie zbzikowany — powiedział.

Pojąłem wtedy, że nie ma nadziei, aby zrozumiał, pozostała mi więc tylko jedna możliwość. Być może, gdy dostatecznie oddalimy się od hotelu, moja więź z 1896 rokiem zerwie się i umknę im w ten sposób. To jednak, oczywiście, byłoby jeszcze gorsze.

Kładka skończyła się i zeszliśmy na piaszczystą plażę, idąc dalej w kierunku południowym. Kiedy znowu obejrzałem się, hotel wydawał mi się odległy o całe mile. Patrząc w jego stronę nagle poczułem, że rodzi się we mnie desperacja, nie dam się im tak łatwo!

— Nie musicie mnie już tak trzymać. Nigdzie wam nie ucieknę — powiedzałem, starając się nadać głosowi gorzki ton rezygnacji.

— To prawda. Nie uciekniesz — odrzekł Al i uwolnił moją rękę, ale Jack w pierwszej chwili nie zareagował. Czekałem w napięciu, aż wreszcie po dobrej minucie i on puścił mnie.

W tej samej chwili rzuciłem się do przodu i pobiegłem tak szybko, jak tylko mogłem, z każdą sekundą oczekując wystrzału pistoletu Jacka i szarpiącego uderzenia kuli w plecy. Krzyk Ala:

— Jack, nie! — potwierdził moje obawy.

Biegnąc, starałem się kluczyć i podnosić jak najwyżej nogi, zdawałem sobie bowiem sprawę, że moją jedyną szansą było zdobycie jak największej przewagi nad nimi. Wydawało mi się to o tyle prawdopodobne, że obaj byli znacznie bardziej krępi niż ja.

Cały czas patrzyłem prosto przed siebie, bojąc się obejrzeć. W zasięgu mojego wzroku nie było niczego — żadnego domu, żadngo znaku życia, niczego co mogłoby się stać celem ucieczki. Zacząłem więc stopniowo skręcać w lewo w nadziei, że uda mi się

zatoczyć duży luk, co w końcu doprowadzi mnie wprost do hotelu. Zdawało mi się, że słyszę za sobą odgłosy ich pościgu, ale nie byłem tego pewny. Wciąż nikt nie strzelał, w moim sercu wezbrała więc naraz fala nadziei.

Wszystko urwało się nagle, gdy poczułem od tyłu straszne uderzenie w nogi i padłem jak długi twarzą w piasek. Odwróciłem się na plecy i ujrzałem nad sobą sylwetkę Jacka. Zamachnął się na mnie ze stłumionym przekleństwem. Wyrzuciłem do przodu lewą rękę, aby osłonić się przed ciosem. Aż jęknąłem z bólu, gdy poczułem uderzenie jego pięści. Była twarda jak kamień. Parę takich ciosów wystarczyłoby, abym leżał nieprzytomny i cały we krwi.

W tej samej jednak chwili dopadł go starszy towarzysz i zanim Jack zdołał znowu wziąć zamach, został poderwany w powietrze i odrzucony na bok. Była to jednak tylko krótka chwila ugli. Al bowiem schylił się nade mną i pochwycił mnie za kołnierz. Nagle znalazłem się znowu na nogach i zobaczyłem, że ręka Ala cofa się w tył. Chciałem osłonić się przed ciosem, ale był on zadany z taką siłą, że po prostu odrzucił w bok moją rękę. Potworny ból eksplodował mi w oku i szczęce, gdy twarda dłoń na odlew rąbnęła mnie w twarz.

— No, to już wystarczy tego dobrego — powiedział potrząsając mną z niesamowitą siłą, jak dorosły małym dzieciakiem. — Jeżeli jeszcze raz zrobisz coś podobnego, zabijemy cię.

Odepchnął mnie i odwrócił się, aby powstrzymać Jacka, przytrzymując go z taką samą łatwością, jak przed chwilą mnie.

— Puść mnie do niego! — wściekle darł się Jack. — Al, puść mnie do niego!

Półprzytomnie przyglądałem się, jak starszy mężczyzna unieruchamia swego koleżkę i próbuje go uspokoić, mówiąc:

— No już, spokój, chłopie! Wypuść z siebie parę.

A więc nie zamierzali mnie zabijać. W pierwszej chwili sprawiło mi to ulgę, potem jednak uznałem, że w ten sposób moja sytuacja tylko pogorszyła się jeszcze bardziej. Gdybym wiedział to wcześniej, poczekałbym na lepszą sposobność do ucieczki, po tym jednak, co się zdarzyło, nie mogę spodziewać się następnej szansy.

Jack przestał się szarpać dopiero wtedy, gdy starszy, całkiem już rozeźlony, przypomniał mu, kto tu rządzi, a kto ma być posłuszny. Chwilę później obaj panowie chwycili mnie pod ręce i poprowadzili plażą. Palce Jacka niemiłosiernie wbijały mi się w bok, ale nie okazałem bólu i przez zaciśnięte zęby spytałem starszego, co zamierzają ze mną zrobić.

— Zabić cię — pierwszy wyrwał się Jack. — Zabić cię na śmierć!

— Nie, Jack, dobrze wiesz, że nie jestem człowiekiem, który popełniłby morderstwo — jakby ze znużeniem powiedział Al.

— Co w takim razie zrobicie?

— Mamy nie dopuścić, abyś powrócił do hotelu — poinformował mnie Al — aż do odjazdu pociągu.

— To właśnie nakazał wam Robinson?

— Tak chyba nazywa się ten pan — Al kiwnął głową — i możesz podziękować mu za to, że jeszcze żyjesz. Kilka razy powtarzał, że nie może ci się stać

żadna krzywda, że masz być tylko trzymany z dala od hotelu przez parę godzin — cmoknął z niesmakiem i dodał:

— I nic by ci się nie stało, gdybyś się tak nie opierał. No, ale to chyba młodość. Mój Paul był podobny.

Na tym skończył, ja zaś pogrążyłem się w domysłach, czemu to Robinson tak pieczołowicie zatroszczył się o moje życie, skoro wcześniej wywołał wrażenie, że na niczym mu tak nie zależy, jak na moim rychłym zgonie. Czyżbym znowu go źle ocenił? Odpędziłem i tę myśl, bo i jakie to teraz miało znaczenie? Utrata Elizy była dla mnie równa utracie życia. Czytałem wprawdzie, że pozostała w hotelu, ale czy mogłem na tym polegać? Czy miałoby to jakikolwiek sens, gdyby ona została, a wszyscy inni odjechali? Czy to możliwe, aby przebywała tam bez matki i przede wszystkim, bez Robinsona? Jak mógłby po tylu zabiegach ją pozostawić?

Co więcej, moje nagłe zniknięcie mogła łatwo sobie wytumaczyć tym, że odszedłem tak jak się pojawiłem, tak samo tajemniczo i niewytłumaczalnie. Najprawdopodobniej nawet by jej do głowy nie przyszło, że Robinson mógł kazać porwać mnie. A więc wyjechała ze swoją trupą, bo żadne inne rozwiązanie nie wydaje mi się logiczne. W takim jednak przypadku pozostawało mi tylko jedno — zarobić tyle pieniędzy, aby móc pojechać za nią do Nowego Jorku, ale zadanie to jawiło się przede mną jak stroma, niemożliwa do pokonania góra. Jakiej pracy mógłbym się podjąć, aby zarobić na transkontynentalną podróż szybciej niż w parę mie-

sięcy? A przecież w tym czasie Eliza mogłaby całkowicie zmienić zdanie o mnie, nie mówiąc już o tym, że stale towarzyszyło mi uczucie (a teraz wręcz przekonanie), że mój związek z rokiem 1896 jeszcze przez pewien czas będzie się ograniczać tylko do hotelu i jego najbliższego otoczenia. Jeżeli obawiałem się oddalić od hotelu, który wciąż jeszcze pozostawał w zasięgu wzroku, to jak mógłbym odważyć się odjechać stąd o parę tysięcy mil? Co jednak mi w takim razie pozostawało — pisać do niej i czekać z nadzieją na jej powrót? Przecież Robinson będzie kontrolował całą jej korespondencję i ona nigdy nawet nie zobaczy mojego listu.

Drgnąłem słysząc glos starszego mężczyzny:

— To tutaj.

Wytężając wzrok ujrzałem niewyraźne zarysy jakiejś niskiej szopy.

— To będzie twój dom, Collier, na parę godzin — powiedział Al.

— I na zawsze — z cicha dodał Jack.

Spojrzałem na niego z przerażeniem.

— Co to było? — zapytał Al.

Jack milczał, pokonałem więc suchość w gardle i powiedziałem:

— On zamierza mnie zabić.

— Nikt cię nie zabije — odrzekł Al.

Ale to Jack ma pistolet — pomyślałem. Co będzie, jeżeli jego chęć zamordowania mnie okaże się tak silna, że zabije również Ala, aby tylko dopiąć swego? Rzeź wśród rzezimieszków. Sytuacja znów stawała się zabawnie melodramatyczna, ale zarazem przeraźliwie realna.

Dotarliśmy już do szopy. Drzwi skrzypnęły głośno, gdy Al otworzył je i wepchnął mnie do środka. Potknąłem się. Odzyskując równowagę skrzywiłem się z nagłego bólu w lewym oku. Wewnątrz było ciemno jak w kominie. Przez chwilę zastanawiałem się czy nie poszukać czegoś ciężkiego na podłodze, aby mieć się czym bronić, powstrzymała mnie jednak myśl o pistolecie w kieszeni Jacka. W chwilę później trzasnęła zapałka, a jej płomień rzucił migotliwy blask na ich twarze. To były twarze ludzi, których życie nie oszczędzało, twardych bez reszty i nieodwracalnie.

Patrzyłem, jak Al wyjął z kieszeni świecę, zapalił knot, a potem wciskał ją w szparę podłogi, aż wreszcie stanęła pewnie. Jej płomień wydłużył się i przybrał żółtą barwę rzucając więcej światła, mogłem więc rozejrzeć się wokół. W szopie nie było żadnych okien, otaczały mnie tylko ściany z rozpadających się desek.

— No dobra, zwiąż go — powiedział Al do swego wspólnika.

— Po co tyle zachodu? — sprzeciwił się Jack. — Kulka w łeb i po naszych kłopotach.

— Rób, co ci mówię — ponaglił go Al. — Doprowadzisz do tego, że stracę cierpliwość.

Pogwizdując lekceważąco Jack poszedł w kąt szopy, schylił się i podniósł zwój brudnej liny. Kiedy odwracał się do mnie, w nagłym przypływie strachu, uprzytomniłem sobie, że nadeszła moja ostatnia chwila. Jeżeli teraz się nie wyrwę, nigdy już nie ujrzę Elizy. Sprężyłem się, zacisnąłem pięść, a potem z rozpaczliwą siłą uderzyłem Jacka prosto w twarz. Krzyknął z zaskoczenia i bezwładnie rąbnął plecami o ścianę. Błyskawicznie odwróciłem się. Na twarzy star-

szego ujrzałem pierwsze oznaki reakcji. Wiedziałem, że nie mam szansy zbić go z nóg, dałem więc nura obok niego, prosto w drzwi. Otworzyły się pod ciężarem mojego ciała. Wypadłem na zewnątrz, przeturlałem się i już zrywałem na nogi, gdy poczułem, że wielka dłoń Ala schwyciła poły mojego surduta. Zostałem wciągnięty z powrotem do szopy i rzucony na podłogę. Krzyknąłem z bólu, gdy wykręcił mi lewą rękę.

— Ty się nigdy nie nauczysz, co, Collier? — rzucił mi wściekle.

— Niech go jasna cholera! Teraz to już nieboszczyk! — usłyszałem za sobą zgrzytliwy głos Jacka. Wykręciłem się, by zobaczyć go, jak chwiejnie stojąc, sięga ręką do kieszeni.

— Poczekaj na dworze — powiedział Al.

— Al, on już nie żyje.

Jack wyjął pistolet i wyciągnął rękę celując we mnie. Patrzyłem na niego jak sparaliżowany, bez ruchu, bez najmniejszej myśli.

Nie zauważyłem ruchu Ala. Pierwszą rzeczą, jaka dotarła do mojej świadomości był widok Jacka osuwającego się na ziemię po ciosie w głowę i pistoletu, który wypadł mu z ręki. Al podniósł go i schował do kieszeni, a potem schylił się nad Jackiem, chwycił go za kołnierz i pasek, przeniósł do drzwi i wyrzucił na dwór jak worek kartofli.

— Spróbuj tylko wrócić, a ty dostaniesz kulkę w łeb! — krzyknął.

Ciężko dysząc odwrócił się i popatrzył na mnie.

— Trudno cię pokonać, młodzieńcze — powiedział. — Cholernie trudno.

Przełknąłem ślinę wpatrując się w niego i bojąc wydać najmniejszy dźwięk, on zaś ochłonął nieco, a potem zdecydowanym ruchem chwycił zwój liny i rozwinął, następnie przyklęknął i zaczął krępować nią moje ciało. Wciąż z kamiennym wyrazem twarzy.

— Radziłbym ci, żebyś się więcej nie ruszał — powiedział po chwili. — Byłeś o włos od śmierci, chyba więc lepiej nie zbliżać się do niej jeszcze bardziej.

Trwałem w bezruchu i milczeniu cały czas, gdy mnie wiązał, starając się nawet nie skrzywić przy mocniejszym zaciśnięciu liny. Nie będę się więcej poruszać ani błagać o wolność. Przyjmę z całkowitym spokojem to, co mi pisane.

Mimo wszystko jednak drgnąłem ze zdumieniem, gdy on nieoczekiwanie zachichotał. Przez jedną chwilę mignęła mi szaleńcza nadzieja, że to był tylko żart i że zaraz wypuści mnie wolno. On jednak powiedział tylko:

— Podoba mi się twoja odwaga, chłopcze. Kapitalny z ciebie facet. Jack jest bardzo silny, a jednak prawie go załatwiłeś.

Znowu zachichotał i dodał:

— To zdumienie na jego twarzy będę długo pamiętał.

Wyciągnął rękę i potargał mi włosy.

— Przypominasz mi mojego Paula. Też miał wiele odwagi, całe kopy. Mogę się założyć, że ubił z tuzin dzikusów zanim go wykończyli. Przeklęci Apacze.

Zabrał się dalej za wiązanie sznura, a ja gapiłem się na niego w oszołomieniu. Jego syna zabili Apacze? To nie mieściło mi się w głowie, było zbyt obce dla mnie. Wiedziałem tylko, że dzięki niemu żyję, i że nie

uwolniłby mnie, choćbym nie wiem jak go błagał. Mogłem mieć tylko nadzieję, że zdołam się jakoś wyzwolić po jego odejściu.

Zawiązał ostatni, twardy jak kamień węzeł i wstał ze stęknięciem.

— No cóż, Collier — powiedział, patrząc na mnie. — Pora nam się rozstać.

Sięgnął za siebie i przez chwilę gmerał w tylnej kieszeni spodni, nie mogąc czegoś z niej wydobyć. Patrzyłem na niego z mocno bijącym sercem, a gdy wreszcie wyciągnął ten przedmiot, oblał mnie zimny pot. Pojąłem, że nie zdążę wyzwolić się z więzów i powrócić do hotelu przed odjazdem pociągu.

Stanął za mną z tyłu i powiedział:

— Ponieważ nie mam zamiaru siedzieć tu z tobą parę godzin i pilnować, muszę cię trochę uśpić.

— Nie — wyszeptałem, nie mogąc się powstrzymać.

Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem takiej krótkiej, maczugowatej pałki. To była straszna, przerażająca broń.

— Nie ma rady, chłopcze — odrzekł. — Tylko się teraz nie ruszaj. Jeśli będziesz siedział spokojnie, trafię cię we właściwe miejsce, a gdybyś się rzucał, mógłbym ci niechcący rozwalić głowę.

Zamknąłem oczy i czekałem. Wymówiłem w myślach imię Elizy i przez chwilę wydawało mi się, że widzę jej twarz, wpatrującą się we mnie spłoszonymi oczyma. Potem straszny ból eksplodował mi w czaszce. Zapadłem się w mrok.

• • •

O powrocie świadomości świadczyło stopniowe narastanie bólu, najpierw poczułem pulsowanie w tyle głowy, potem kurcze w żołądku, zesztywnienie kończyn i mrówki odrętwienia w całym ciele. W końcu udało mi się otworzyć oczy. Spojrzałem w ciemność usiłując przypomnieć sobie, gdzie się znajduję. Wciąż czułem linę krępującą ciasno moje ręce, nogi i korpus, a więc chyba nadal znajdowałem się w 1896 roku, tylko która teraz mogła być godzina?

Spróbowałem usiąść. Na próżno. Byłem omotany tak ciasno, że nie mogłem nawet odetchnąć bez bólu w klatce piersiowej. Mrugając patrzyłem wprost przed siebie, aż wreszcie ciemność zrzedła nieco i zobaczyłem słabe światło sączące się przez szczeliny w ścianach. A więc był to z pewnością rok 1896, ponieważ leżałem związany w szopie. Spróbowałem poruszyć nogami krzywiąc się, gdyż były sztywno związane razem i krążenie w nich niemal ustało.

— Rusz się — powiedziałem sobie, starając zmusić się do myślenia i działania. Gdybym tylko zdołał stanąć na nogach, spróbowałbym doskakać do drzwi i ciałem otworzyć je, a wtedy może znalazłby się ktoś na plaży, kto mógłby udzielić mi pomocy. Kiedy wyprężyłem się, aby unieść plecy z podłogi, dopiero poczułem na jak zimnym podłożu leżałem. Pomyślałem, że moje ubranie musi być w strasznym stanie i zirytowałem się na własną małostkowość. Wytężyłem wszystkie siły, aby usiąść, jednak nie dałem rady i z łomotem znowu upadłem. Ból w tyle głowy wybuchł z nową siłą, rozpłakałem się więc z żałości. Czyżby Al rozwalił mi czaszkę, chociaż nie wyrywałem się? W każdym razie tak to odczuwałem. Musia-

łem na dłuższą chwilę zamknąć oczy, czekając aż ból powoli osłabnie. Zacząłem teraz rozróżniać zapachy wypełniające wnętrze szopy. Była to mieszanina woni gnijącego drewna i wilgotnego, zimnego kurzu. Odór grobu, przemknęło mi przez myśl i natychmiast ból odezwał się znowu. Spokojnie. Zamknąłem oczy i zacząłem się zastanawiać, czy pociąg mógł już wyruszyć. Całkiem możliwe, że Elizie udało się trochę opóźnić jego odjazd w nadziei, że jednak powrócę. Musiałem wydostać się na wolność.

Otworzyłem oczy i rozejrzałem się wokół, starając się ocenić swoje położenie. Zdawało mi się, że widzę zarys drzwi, zebrałem więc siły do obrony przed następnym atakiem bólu i zacząłem przesuwać się w tamtą stronę. Wyobraziłem sobie, jak muszę wyglądać, skręcając się tak i wijąc po podłodze. Dla postronnego obserwatora było to może i śmieszne, ale dla mnie wcale nie było zabawne. Przypominałem zapewne wyrzuconą na brzeg rybę, bo tak też wtedy czułem się pod każdym względem.

Musiałem się zatrzymać, oddychałem bowiem z wysiłkiem. Każdy wdech przyprawiał mnie o ból w piersiach i mrok przed oczami. Spokojnie, odpocznij chwilę — mówiłem sobie, jednak tym razem raczej tonem prośby, a nie rozkazu. Starałem się opanować oddech tłumacząc sobie, że to przecież długa, czteroaktowa sztuka, że rozmontowanie dekoracji i załadowanie wagonów musi potrwać, że wreszcie poza tym wszystkim, Eliza mogła opóźnić odjazd. Było to całkiem możliwe. Musiałem w to uwierzyć, bo nie było nic...

Wstrzymałem oddech i przestałem się poruszać,

ponieważ przez kilka — pięć, sześć, a może więcej sekund miałem to samo wrażenie, jakiego zaznałem już w pokoju 527, leżąc na łóżku, tuż przed powrotem w czasie. Było to dziwne uczucie jakby zsuwania się ku otchłani, przebywania nie w żadnym konkretnym miejscu, lecz jakby w stanie przejściowym. O Boże, nie! — pomyślałem — tylko nie to, błagam! Leżałem tak, balansując na krawędzi dwóch czasów, jak skulone w ciemności dziecko, które modli się o zniknięcie jakiegoś bezkształtnego stracha.

Potem wszystko minęło i ponownie poczułem, że znajduję się w szopie, pewnie osadzony w 1896 roku. Nie mam innego sposobu, aby lepiej to opisać. Wyczuwam to bardziej ciałem, niż umysłem jako swego rodzaju cielesne poczucie umiejscowienia. Poczekałem, aby się upewnić, czy ten stan nie zmienia się, a potem znów zacząłem się wić ku drzwiom. Tym razem nie ustawałem nawet wtedy, gdy niezdolność klatki piersiowej do normalnego rozszerzania się sprawiała, że mój oddech wydawał się cofać, powodując dławiące skurcze krtani.

Kiedy dotarłem do drzwi, pierś przeszywały mi igły bólu. Nic innego jak atak serca, pomyślałem, w każdym bądź razie tak można było sądzić po objawach. Próbowałem odpędzić tę myśl uśmiechem, ale pewnie zdobyłem się tylko na grymas. Tego mi tylko było trzeba, pomyślałem i oparłem głowę o drzwi czekając, aż ból zelżeje. Rzeczywiście, stopniowo zaczął słabnąć, wraz z nim słabło również pulsowanie w głowie. Teraz, pomyślałem. Uniosłem się najwyżej jak tylko mogłem i zwaliłem całym ciałem na drzwi.

Ani drgnęły.

— To niemożliwe — wyjęczalem.

Czyżby zamknęli je na klucz? Z niedowierzaniem popatrzyłem na drzwi. Przecież w takim razie mogę pozostać w tej szopie jeszcze długo. Boże święty — pomyślałem ogarnięty nagłym przerażeniem — mogę tu umrzeć z pragnienia! Na samą myśl o tym ogarnęła mnie zgroza. Nie, to niemożliwe, to tylko zły sen, z którego zaraz się obudzę. Niestety, doskonale zdawałem sobie sprawę, że jestem całkowicie przytomny.

Musiała minąć dobra chwila nim zdołałem się pozbierać i opanować strach na tyle, by zacząć rozsądnie myśleć. Pomalutku, zaciskając z bólu zęby odwróciłem się w ten sposób, że stopy miałem oparte o drzwi. Odpocząłem chwilę, a potem uniosłem nogi jak najwyżej i kopnąłem wrota.

Nie mogłem powstrzymać jęku ulgi, gdy za trzecią próbą, drzwi ze zgrzytem rozwarły się na roścież. Leżałem potem, dysząc ciężko i uśmiechając się pomimo nieustającego bólu głowy. Na zewnątrz świecił księżyc, oblewając mnie bladą poświatą, dzięki której mogłem się dokładnie obejrzeć. Byłem starannie obwiązany liną, od ramion i piersi aż po kostki u nóg. Trzeba przyznać, że nieźle się nade mną napracował.

Następnie pomału, cal po calu, wijąc się jak wielka gąsienica wyczołgałem się na dwór. Dopiero wtedy spostrzegłem, że drzwi były zamknięte na drewniany skobel, który pękł pod moimi kopniakami. Co by było, gdyby tu była kłódka, przeraziłem się, ale szybko odsunąłem tę myśl od siebie. Nie było sensu marnować czasu na wymyślone problemy, gdy musia-

łem dać sobie radę z rzeczywistymi kłopotami. Raz jeszcze popatrzyłem po sobie i stwierdziłem, że jedyne miejsce, od którego mogę zacząć wyplątywanie to okolice prawej dłoni. Z wielkim trudem udało mi się dotknąć twardego jak kamień węzła. Słabym poskubywaniem nie mogłem niczego osiągnąć, ale to wszystko, na co było mnie stać. Zastanawiałem się, dlaczego właściwie moja prawa ręka tak strasznie osłabła, aż wreszcie przypomniałem sobie, że to właśnie w nią Jack mnie uderzył.

Dalej bezskutecznie skubałem węzeł, aż wreszcie przerwałem czując, że przepełnia mnie przemieszana z cierpieniem wściekłość porażki.

— Ratunku! — krzyknąłem zmienionym, chrapliwym głosem. — Ratunku!

Nasłuchiwałem odpowiedzi, ale nie było słychać niczego poza odległym hukiem przyboju. Krzyczałem, aż rozbolało mnie gardło. Wszystko na próżno. W pobliżu nie było nikogo, musiałem wyzwolić się sam. Wykręciłem się, aby popatrzeć na hotel, ale w zasięgu wzroku nie było go widać. Nie odjeżdżaj, Elizo — błagałem ją w myślach — proszę cię, poczekaj na mnie!

Przez parę chwil wydawało mi się, że znów się osuwam w stronę tej delikatnej błony między czasami. Leżałem nieruchomo, aż wrażenie minęło, tym razem wyraźnie szybciej. Zastanawiałem się, co jest przyczyną tego? Może uderzenie w głowę, zbytnia odległość od hotelu, a może jakiś ogólny uraz po wszystkich przeżytych zdarzeniach?

Bałem się myśleć o tym zbyt intensywnie, aby znowu się nie zaczęło, i dlatego jeszcze raz starannie

przyjrzałem się sobie, próbując znaleźć sposób na uwolnienie z więzów. W końcu wpadłem na pomysł. Zacząłem napierać na sznur oplatający nogi, starając się rozsunąć kolana i napiąć linę. Najlepiej wychodziło mi to, gdy oparłem buty kantami o siebie, uzyskując w ten sposób punkt podparcia. Wargi rozchylił mi uśmiech, kiedy wreszcie poczułem luz i zdołałem rozdzielić kolana.

Nadal szamotałem się z liną, starając się nie zwracać uwagi na pulsowanie w głowie i kłujący ból w piersiach, do momentu gdy udało mi się unieść czubek prawego buta i zaczepić nim najniższą pętlę. Pchnąłem stopę w dół i but ześliznął się, jednak uparcie ponowiłem próby i za kolejnym razem poczułem, jak sznury zsuwają mi się z nóg.

Nie wiem, jak długo to trwało, stopniowo jednak zdołałem ściągnąć więzy, tak, iż utworzyły kłąb przy moich kostkach. Spróbowałem przesunąć przez zwoje prawy but, ale mi się nie powiodło. Z wielkim wysiłkiem (przy okazji pęta na piersiach chyba również się rozluźniły, ponieważ ból przy oddychaniu był już mniejszy) zacząłem lewą stopą ściągać prawy but, aż wreszcie zsunął się całkiem. Bosa stopa przeszła już gładko, a za nią lewa, obuta. Obie nogi miałem wolne!

Radość ze zwycięstwa szybko jednak minęła kiedy uświadomiłem sobie, że to, co mnie czeka, będzie znacznie trudniejsze. Nie chcąc przedwcześnie się zniechęcać, skoncentrowałem się na problemie wstania z ziemi. Nogi miałem tak zdrętwiałe, że zabrało mi to ponad minutę. Pierwsze pięć prób kończyło się upadkami, stopniowo jednak krew zaczęła mi znowu krążyć w żyłach, wywołując mrowienie i powrót bólu,

ale w końcu, powoli i chwiejnie, zdołałem jednak stanąć na nogach.

Co teraz? — zadałem sobie pytanie rozglądając się wokół. Miałem tak wbiec do hotelu, na poły spętany i tylko w jednym bucie? To byłoby idiotyczne. Najpierw musiałem wyzwolić się do końca. Patrząc tak tu i tam, zatrzymałem wzrok na zbudowanym z kamieni spojonych pokruszoną zaprawą, fundamencie szopy. W jednym miejscu ściana była głęboko wklęśnięta, a cementowa krawędź wyglądała na bardzo szorstką. Szybko tam podszedłem, ukląkłem i nachyliłem się nisko, a potem zacząłem trzeć więzami o kant fundamentu.

Po paru minutach sznur zaczął się strzępić, wciągnąłem więc pełne piersi powietrza, próbując go nadwątlić, ale niewiele to pomogło. Musiałem piłować dalej, przyspieszając tempo.

Kiedy wreszcie przerwałem i oparłem głowę o ścianę, szopa wydawała się kołysać. Wiedziałem, że byłem bliski omdlenia. Tylko nie to — powtarzałem w myślach — nie teraz, kiedy jestem już tak bliski uwolnienia. Walcząc z urywanym oddechem, błagałem bezgłośnie Elizę, by nie odjeżdżała, żeby zatrzymała pociąg. Będę tam już niedługo, już zaraz.

W końcu zawroty głowy ustały i znowu mogłem podjąć przerwaną pracę. Już po paru minutach sploty sznura na tyle osłabły, że mogłem je rozluźnić, zsunąć w dół przez biodra i całkiem się z nich wydostać.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza, a czując, że twarz i kark mam mokre od potu, sięgnąłem po chustkę, wytarłem się dokładnie, raz jeszcze głęboko odetchnąłem i ruszyłem w stronę hotelu.

W pierwszej chwili wydało mi się, że idę w złym kierunku, przede mną bowiem nie było widać żadnych świateł. Przystanąłem i obejrzałem się za siebie, ale tam również było ciemno. Dreszcz przebiegł mi po plecach. Jak wybrać właściwy kierunek? Chwileczkę, zreflektowałem się, drzwi szopy były zwrócone mniej więcej w stronę morza, szedłem więc prawidłowo. Zawróciłem i powlokłem się dalej plażą.

Zauważyłem, że wspinam się po łagodnym stoku. Musiałem być głęboko pogrążony w rozpaczy, że nie spostrzegłem tego wcześniej. Starałem się iść równym krokiem, ale nogi miałem jak z ołowiu. Musiałem zatrzymać się i odpocząć. Przycisnąłem lewą dłonią tył głowy, aby złagodzić bolesne pulsowanie. Zdumiałem się rozmiarami wymacanego guza. Był tak wielki, jak przecięta na pół i wszyta pod skórę piłka baseballowa. Nawet pod lekkim dotykiem nie mogłem powstrzymać się, by nie syknąć z bólu.

Wkrótce znowu zmusiłem się do marszu, a gdy osiągnąłem szczyt wzniesienia zobaczyłem w oddali hotel. Był odległy przynajmniej o milę, a może nawet i o dwie. Jęknąwszy na widok odległości, jaką mam pokonać, zacząłem schodzić po przeciwległym stoku, miejscami zsuwając się po piasku. Kiedy już znalazłem się na dole, przebrnąłem przez sypki piach do samego brzegu, gdzie grunt był zbity i twardszy. Ruszyłem biegiem, starając się nie uderzać o ziemię piętami. Próbowałem zobojętnić umysł na wszelki ból i niepokój, całą uwagę skupiłem na kopule hotelu. Tylko w myślach powtarzałem sobie jedno: „ona nie wyjechała, nie wyjechała".

Gdy dopadłem kładki dyszałem ciężko, a nogi miałem tak wyczerpane, że wbrew wszelkim postanowieniom musiałem przystanąć. Natychmiast doświadczyłem znanego uczucia dezorientacji, które pojawiało się i znikało niemal w rytmie mojego oddechu. Próbowałem je przeanalizować w nadziei, że uda mi się wykryć i zablokować drogi, którymi zwykło wkradać się w moje myśli. Jego przyczyną był chyba wstrząs po wszystkim, co dzisiaj przeszedłem, ale to minie, gdy znowu znajdę się razem z Elizą, jej miłość jest bowiem dla mnie najpewniejszym punktem oparcia w tym czasie.

Zanim jeszcze mój przewrotny umysł zdołał zareplikować, że przecież może jej już nie być w hotelu, zerwałem się do niezdarnego truchtu. Biegłem kładką zagryzając zęby, z oczyma wbitymi w hotel, a w myślach w kółko powtarzałem: „Ona tam jest, nie odjechała, wagon będzie na miejscu, kazała go zostawić aż do...".

Zatrzymałem się, bo zakręciło mi się w głowie. Serce mówiło mi, że to nie może być prawda, oczy jednak widziały wyraźnie. Bocznica była pusta.

Pokręciłem głową. No i co z tego? W porządku, salonka odjechała, ale Eliza została na miejscu; mniejsza o logikę. Przecież czytałem o tym, prawda? Wysłała cały zespół do Denver, ale sama wciąż była tutaj.

Znowu biegłem, choć nie przypominam sobie momentu, kiedy ruszyłem. Światła hotelu były symboliczne, w większości okien panowała bowiem ciemność. Była teraz pewnie jakaś trzecia lub czwarta nad ranem. To nieważne — powiedziałem so-

bie — ona i tak jest w swoim pokoju i nie śpi, bo czeka na mnie. Nie pozwalałem sobie na inne wytłumaczenie, po prostu nie mogłem. Gdzieś głęboko we mnie czaił się strach tak wielki, że gdybym pozwolił mu wezbrać, pochłonąłby mnie z kretesem. Ona tam jest — myślałem koncentrując się na wznoszeniu bariery przed strachem — ona tam jest, ona tam jest!

Dopiero kiedy wbiegałem na aleję wejściową zorientowałem się, że jestem strasznie brudny i rozczochrany. Gdybym pojawił się w takim stanie w hallu mógłbym zostać zatrzymany, a przecież musiałem dotrzeć do niej natychmiast. Skręciłem w lewo, zbiegłem ścieżką do Paseo del Mar i okrążyłem róg hotelu. Jego wielka biała fasada zostawała po prawej stronie, w uszach rozbrzmiewały mi własne kroki. Każdy oddech palił mnie i kłuł w piersiach, ale wewnętrzny głos powtarzał: „Nie zatrzymuj się, ona tam jest, idź dalej, jesteś już niemal na miejscu, biegnij". Musiałem jednak zwolnić, ponieważ traciłem dech. Dotarłem do południowych schodów i czepiając się poręczy zacząłem się na nie wspinać. Zdawało się, że minął już wiek od chwili, gdy wchodziliśmy tędy razem, a od spotkania na plaży, może nawet milion lat. „Ona tam jest", nalegał głos, „biegnij, ona jest tam".

Przede mną były drzwi werandy. Pociągnąłem za klamkę i jęcząc z wysiłku wpadłem do wnętrza. Skierowałem się w boczny korytarz. Ona tam jest, czeka w swoim pokoju, tak jak o tym czytałem. Moje buty łomotały o podłogę. Kontury przedmiotów poczęły się rozmazywać.

— Listopad 1896 — bełkotałem trwożnie. — Teraz jest listopad 1896 roku.

Skręciłem na podwórzec i pobiegłem ścieżką, wciąż sobie powtarzając: „Ona tam jest". Wzrok mi zmętniał od łez, stwierdziłem to, gdy jedna z nich stoczyła mi się po policzku. „Ona jest tam, właśnie tam", z tą myślą wpadłem do poczekalni, niemal zatoczyłem się na jej drzwi, oparłem się o nie i zapukałem.

— Elizo!

Odczekałem chwilę, starając się usłyszeć coś przez łomot serca w uszach i zapukałem znowu.

— Elizo?

Z wewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk. Przełknąłem z trudem i przycisnąłem ucho do drzwi. Przecież musiała być w środku! Może zatem spała, a teraz właśnie się zrywa i biegnie do drzwi, aby je otworzyć. Pukałem jeszcze i jeszcze raz. Za chwilę otworzy i będę ją trzymał w ramionach. Moją Elizę. Przecież nie mogła wyjechać, nie, nie po takim liście. Biegnie do drzwi właśnie teraz, teraz, teraz...

— Boże Święty! — olśniło mnie w jednej chwili.

Wyjechała! Robinson namówił ją do odjazdu. Była w drodze do Denver i już nigdy więcej jej nie zobaczę.

Nagle opuściły mnie wszystkie siły. Oparłem się plecami o drzwi, a potem powoli osunąłem na dywan. Przed oczami miałem mgłę. Obie dłonie przycisnąłem do twarzy i zacząłem płakać. Płakałem tak, jak wtedy, całe życie wcześniej, w gorącej i dusznej piwnicy. Wtedy jednak był to płacz z radości, szczęścia i poczucia ulgi, że wiem, jak do niej dotrzeć, teraz zaś przepełniał mnie gorzki żal bezradności. Wiedzia-

łem bowiem, że już na zawsze jest dla mnie nieosiągalna. Niech teraz czas robi ze mną co zechce. Czy to ważne, w którym roku umrę? Nic już nie było ważne, bo utraciłem Elizę.

— Ryszard!

Podniosłem oczy, zbyt oszołomiony, by inaczej zareagować. Dosłownie nie mogłem uwierzyć własnym oczom, gdy ujrzałem ją, jak biegła ku mnie przez poczekalnię.

— Elizo — usiłowałem wstać, ale nogi i ręce miałem jak z waty, więc tylko zawołałem:

— Elizo!

Padła na kolana przede mną i objęliśmy się z rozpaczliwą siłą.

— Kochany, kochany — powtarzała szeptem. — Mój najdroższy. »

Wtuliłem twarz w jej włosy, zanurzając ją głęboko w to jedwabiste, pachnące ciepło. A więc nie odjechała, czekała na mnie mimo wszystko.

— O Boże! — mówiłem całując jej włosy i szyję — Elizo, myślałem już, że cię utraciłem.

— Ryszard, kochanie — cofnęła się nagle i w następnej chwili już całowaliśmy się.

Poczułem jak jej deliktne wargi poruszają się, ale wkrótce odsunęła się zdyszana, a gdy dotknęła mego policzka na jej twarzy pojawił się niepokój.

— Skaleczyłeś się — powiedziała.

— To nic, nic mi nie jest — uśmiechnąłem się do niej, podniosłem jej ręce do ust i jedną po drugiej całowałem.

— Ale co ci się stało? — zapytała, a jej uroczą twarz wciąż znaczyła troska.

— Pozwól mi się objąć — odrzekłem.

Przycisnęła się do mnie i jeszcze raz objęliśmy się mocno, a ona pieściła palcami moje włosy pomrukując:

— Ryszard, mój Ryszard.

Skrzywiłem się, gdy dotknęła guza z tyłu głowy, ona zaś wstrzymała oddech i odsunęła się z wyrazem przerażenia na twarzy.

— Boże drogi, powiedz, co ci się stało?

— Zostałem... wzięty.

— Wzięty?

— Uprowadzony — rozśmieszyło mnie to słowo — ale już po wszystkim, już dobrze. Nic mi nie jest, nie przejmuj się — mówiłem, gładząc ją po policzku.

— Ależ oczywiście, że się przejmuję, Ryszardzie. Przecież cię pobito/Cały policzek masz opuchnięty i posiniaczony.

— Czy strasznie wyglądam? — zapytałem.

— Och, najdroższy — położyła dłonie na moich policzkach i lekko ucałowała mnie w usta — dla mnie jesteś najcudniejszy na świecie.

— Elizo — wymówiłem z trudem.

Objęliśmy się znowu i całowałem jej twarz, szyję, włosy, aż naraz mimo woli roześmiałem się.

— Założę się, że wyglądam strasznie.

— Nie, wcale nie. Po prostu martwię się o ciebie.

Uśmiechnęła się do mnie, kiedy przesuwałem palcem po jej policzku, ścierając gorące łzy.

— Chodź do środka, zrobię ci jakiś okład.

— Nic mi nie jest — powtórzyłem uparcie, bo też teraz żaden ból nie był mi straszny.

Miałem swoją ukochaną z powrotem.

21 listopada 1896

Zabrała mój surdut, aby go wyczyścić, był bowiem cały ubabrany piaskiem i błotem. Potem zasiadłem na kanapie w jej pokoju, zdjąłem krawat i wodziłem za nią pełnym uwielbienia wzrokiem, gdy obmywała mi ciepłą wodą twarz i ręce. Kiedy dotknęła mojej prawej dłoni skrzywiłem się z bólu i dopiero wtedy zauważyłem, że była całkiem sina, a kostki miałem obtarte do krwi.

— Jak to się stało? — spytała z troską.

— Uderzyłem kogoś.

Dalej obmywała mi rękę, ale twarz jej spoważniała.

— Ryszardzie — spytała w końcu — kto ciebie... wziął?

Doskonale wyczuwałem jej napięcie.

— Dwóch mężczyzn — odrzekłem.

Przełknęła ślinę i spojrzała na mnie z pobladłą twarzą, a potem bardzo cicho zadała pytanie:

— Z polecenia Williama?

— Nie — odparłem bez wahania, wzmagając tylko jej podejrzenia i zdumiewając sam siebie.

Dlaczego właściwie tak go osłaniałem? Przyszło mi właśnie do głowy, że być może chodziło mi wówczas o to, aby jej nie zasmucić i nie rozgniewać, aby nie zniszczyć tego, co było między nami tak piękne.

Ona jednak nadal przyglądała się z tym, tak dobrze mi znanym, świadczącym o nieprzepartym pragnieniu poznania prawdy, wyrazem twarzy.

— Czy mówisz prawdę? — zapytała.

— Tak — odrzekłem. — Podczas pierwszej przer-

wy wyszedłem na spacer, a ci dwaj... ludzie chyba chcieli mnie obrabować.

Nagle poczułem ukłucie lęku. Czy odkryła nietknięte pieniądze w kieszeni surduta?

— Potem, jak przypuszczam, postanowili związać mnie i zostawić w szopie, by zyskać na czasie, zanim dam znać na policję.

Zdawałem sobie sprawę, że mi nie wierzy, ale musiałem dalej brnąć w kłamstwa. Robinson wciąż wiele znaczył w jej zawodowym życiu, byłoby więc dla niej straszne po tylu latach znajomości myśleć o nim jako o zdrajcy. Zresztą zrobił to w swoim pojęciu dla jej dobra, ze szczerej, choć błędnie pojętej troski. A może powodowała mną również ta, stale obecna w moich myślach świadomość, że on zginie na „Lusitanii" nigdy nie doczekawszy się nagrody za swe oddanie? Nie byłem pewien; wiedziałem tylko, że nie powinienem niszczyć jego obrazu w tak brutalny i gwałtowny sposób; każdy, tylko nie ja.

— On nie mógłby tego zrobić — powiedziała.

Zrozumiałem, że sama siebie próbuje przekonać. Najwyraźniej nie chciała uwierzyć w winę Robinsona, a to było najlepszym usprawiedliwieniem dla moich kłamstw. Nasze ponowne spotkanie nie powinno zostać splamione taką rewelacją.

— Nie, to nie on — powiedziałem, zdobywając się nawet na smętny uśmiech. — Przecież nie wahałbym się go oskarżyć, gdyby tylko było o co.

Uśmiechnęła się przelotnie.

— A ja byłam pewna, że to on. Tuż przed jego odjazdem mieliśmy straszną awanturę. Tłumaczył mi, że ty już nie wrócisz, w taki sposób, że byłam święcie

przekonana, iż sam o to jakoś zadbał. Musiałam zagrozić zerwaniem kontraktu, żeby zgodził się odjechać beze mnie.

— A twoja matka?

— Jest tutaj — odrzekła.

Musiałem zrobić przerażoną minę, bo uśmiechnęła się i lekko ucałowała moją rękę.

— Jest w swoim pokoju. Wzięła proszki i będzie spać — a potem dodała z wymuszonym rozbawieniem:

— Z nią też była niezła scena.

— Narobiłem ci strasznych przykrości — powiedziałem.

Pospiesznie rzuciła ręcznik do miednicy i przytuliła się do mnie kładąc mi głowę na ramieniu, a prawą ręką obejmując mnie w pół.

— Zrobiłeś dla mnie najcudowniejszą rzecz, jakiej nikt jeszcze dla mnie nie zrobił przez całe moje życie — powiedziała. — Przyniosłeś mi miłość.

Nachyliwszy się ucałowała moją lewą dłoń i przytuliła ją do policzka.

— Kiedy w drugim akcie spojrzałam na widownię i zobaczyłam, że twoje miejsce jest puste, powiedziałam sobie, że zatrzymał cię jakiś drobiazg, ale gdy czas płynął, a ty wciąż nie wracałeś, z każdą minutą stawałam się coraz bardziej przerażona — w jej cichym śmiechu zabrzmiała niemal udręka. — Publiczność pewnie myślała, że zbzikowałam, ponieważ ciągle na nich zerkałam, co normalnie nigdy nawet by mi nie przyszło do głowy. Zupełnie nie pamiętam, jak przetrwałam trzeci i czwarty akt — chyba zachowywałam się jak automat.

Zaśmiała się znowu, słabym, smutnym śmiechem.

— Jestem pewna, że cały zespół miał mnie za wariatkę dlatego, że przez wszystkie przerwy wyglądałam przez kurtynę. Posłałam nawet Marie, żeby cię poszukała, bo myślałam, że się poczułeś źle i poszedłeś do swojego pokoju. Kiedy wróciła i powiedziała, że nie mogła cię nigdzie odnaleźć, wpadłam w panikę. Byłam przekonana, że gdybyś odszedł, zostawiłbyś mi jakąś wiadomość, a nie otrzymałam żadnego listu. Zamiast niego pojawił się William i oznajmił, że wyniosłeś się na dobre, bo zagroził, że skompromituje cię jako łowcę posagów.

— Doprawdy? — wzniosłem oczy ku niebu.

William wcale nie ułatwiał obrony swego dobrego imienia. No, ale już się stało i nie było teraz sensu rozdrapywać starych ran.

— Czy możesz sobie wyobrazić, jak ja mogłam po tym wszystkim grać w komedii? To był chyba najokropniejszy występ w całej mojej karierze. Publiczność na pewno obrzuciłaby mnie pomidorami, gdyby tylko mogła je kupić.

— Jestem pewien, że byłaś wspaniała — powiedziałem.

— O nie — wyprostowała się, spojrzała i pogładziła mnie po twarzy. — Och, Ryszardzie, gdybym cię utraciła po tylu latach oczekiwania, po tym niezwykłym spotkaniu, które tak bardzo starałam się zrozumieć... Gdybym cię miała stracić po tym wszystkim, nie przeżyłabym tego.

— Kocham cię, Elizo.

— I ja cię kocham — odrzekła. — Ryszard, mój Ryszard.

Ucałowała mnie czule, a teraz z kolei ja uśmiechnąłem się boleśnie.

— A gdybyś ty mogła mnie widzieć jak leżałem w tej szopie w kompletnych ciemnościach — powiedziałem — związany tak mocno, że ledwo mogłem oddychać, jak rzucałem się po klepisku niczym wyjęta z wody ryba. Potem udało mi się kopniakiem otworzyć drzwi, trochę rozluźnić więzy, aż wreszcie zdołałem ściągnąć je z nóg, ale sznury na piersiach musiałem przepiłować o ostrą krawędź fundamentu. Gdybyś widziała... Później biegłem jak szalony do hotelu, a gdy zobaczyłem, że nie ma twojego wagonu, że twój pokój jest pusty...

Śmiech zamarł mi w gardle, pozostało tylko wspomnienie bólu. Objąłem ją i przytuliliśmy się do siebie, jak dwoje przerażonych dzieci, które odnalazły się po długich, strasznych godzinach rozłąki.

Nagle zerwała się, coś sobie przypomniawszy przeszła przez pokój i wzięła z biurka jakąś paczuszkę, którą wręczyła mi ze słowami:

— To z serca.

— To ja raczej powinienem dawać ci prezenty — zaoponowałem.

— Będziesz.

Powiedziała to tak, że naraz serce przepełniła mi radość, bowiem wyobraziłem sobie te wszystkie lata, jakie mamy spędzić razem. Odwinąłem papier, spod którego ukazało się pudełeczko z czerwonej skóry, a gdy podniosłem pokrywkę, ujrzałem wewnątrz złoty zegarek z takąż dewizką. Na chwilę wstrzymałem oddech.

— Podoba ci się? — w jej głosie słychać było entuzjazm.

— Jest piękny — odrzekłem.

Ująłem go za łańcuszek i podniosłem do góry, aby lepiej przyjrzeć się kopercie. Była delikatnie nacinana na brzegu, pośrodku widniał grawerunek przypominający jakieś kwiaty wśród splątanych zwojów.

— Otwórz go — zachęciła mnie.

Nacisnąłem sztyft i koperta się otworzyła.

— Och, Elizo — wyjąkałem.

Cyferblat zegarka był biały, okolony majestatycznym wieńcem rzymskich cyfr, a nad każdą z nich znajdował się jej odpowiednik, zapisany małymi, czerwonymi cyframi arabskimi. U dołu widniała druga, miniaturowa tarczka z cyframi, a obracająca się na niej wskazówka była cieńsza od włosa. Był to zegarek firmy Elgin o wadze i sposobie wykończenia bardzo typowym dla tej epoki.

— Pozwól, kochanie, że ci go nakręcę — poprosiła.

Z uśmiechem wręczyłem jej zegarek i przyglądałem się, jak wysunęła spod spodu maleńką dźwigienkę i ustawiła wskazówki według pokojowego zegara; była już prawie za kwadrans pierwsza. Skończywszy, schowała dźwigienkę i nakręciła sprężynę z takim przejęciem, z tak czarującym skupieniem, że nie mogłem się powstrzymać, aby nie pocałować jej pochylonego karku. Drgnęła i przytuliła się do mnie, a potem wręczyła mi zegarek z pełnym miłości uśmiechem.

— Mam nadzieję, że go polubisz — powiedziała. — To najlepszy, jaki mogłam dostać w tak krótkim czasie, ale obiecuję, że później sprawię ci najwspanialszy zegarek na świecie.

— To właśnie jest najwspanialszy zegarek na świecie. Nie potrzebuję żadnego innego. Dziękuję.

— To ja tobie dziękuję — wyszeptała.

Przysunąłem zegarek do ucha i przez chwilę rozkoszowałem się jego dźwięcznym, pracowitym tykaniem.

— Załóż — zachęciła mnie, zatrzasnąłem więc kopertę i z zaskoczeniem zauważyłem skrzywienie na jej twarzy.

— O co chodzi?

— O nic, kochanie.

— A jednak mi powiedz.

— Widzisz — zaczęła z zakłopotaniem — jeżeli przyciskasz sztyft, gdy zamykasz kopertę... — nie mogła dokończyć.

— Och, przepraszam — speszyło mnie to kolejne przypomnienie, jak bardzo brak mi rozeznania nawet w najprostszych realiach 1896 roku.

Kiedy zabrałem się do umocowywania dewizki przy kamizelce uświadomiłem sobie, że Eliza, chociaż nieświadomie, dokonała najwłaściwszego wyboru prezentu, obdarzając mnie przedmiotem tak ściśle związanym z czasem. Niestety, nie potrafiłem sobie dać z nim rady, zakłopotany podniosłem więc wzrok i powiedziałem:

— Chyba nie jestem zbyt inteligentny.

Szybko odpięła jeden z guzików kamizelki i przewlokła dewizkę przez dziurkę tak, aby zatyczka nie pozwoliła jej wypaść. Uśmiechnęła się do mnie, spojrzała na pudełko i powiedziała:

— Nie przeczytałeś mojego bileciku.

— Przepraszam, nie zauważyłem.

Otworzyłem znowu pudełko i znalazłem karteczkę przyszpiloną od spodu do wieczka. Odczepiłem ją i przeczytałem słowa wykaligrafowane jej zgrabnym pismem: „A miłość najsłodsza".

Nie mogłem opanować dreszczu, jaki mnie przebiegł. To były przecież jej ostatnie słowa. Wstrząsnęła mną ta myśl, choć usiłowałem odsunąć ją od siebie.

— Oczywiście, ona natychmiast spostrzegła zmianę na mojej twarzy.

— Co się stało, kochanie? — spytała.

— Nic takiego — nigdy dotychczas nie skłamałem tak ciężko.

— Ależ na pewno coś się stało — wzięła w dłonie moją rękę i popatrzyła na mnie z powagą. — Powiedz mi, Ryszardzie.

— To te słowa — odrzekłem. — Bardzo mnie poruszyły.

Czułem, że napięcie wzrasta, ale brnąłem dalej.

— Skąd je wzięłaś? Sama je wymyśliłaś?

Potrząsnęła głową i widziałem, że ona również zmaga się z jakimiś złymi przeczuciami.

— To słowa z pieśni religijnej. Czy słyszałeś kiedykolwiek o Mary Baker Eddy?

Zastanawiałem się, co jej odpowiedzieć, ale zanim zdążyłem podjąć świadomą decyzję, słyszałem już własny głos:

— Nie, a kto to?

— To twórczyni nowej religii, zwanej scjentyzmem. Słyszałam tę pieśń podczas nabożeństwa, w którym uczestniczyłam. Ona sama napisała jej słowa.

Nigdy nie powiem ci, że się przesłyszałaś, przysiągłem sobie w duchu, a tym bardziej nie przypomnę ci dalszego ciągu pieśni.

— Spotkałam się z nią po nabożeństwie — dodała.

— Naprawdę? — spytałem zaskoczony, ale zaraz ugryzłem się w język.

Skoro nigdy nie słyszałem o pani Eddy, jak mógłbym okazywać zdumienie z jej spotkania z Elizą?

— Było to jakieś pięć lat temu — jeżeli nawet zauważyła moją gafę, a podejrzewam, że tak, to uznała, że powinna puścić ją mimo uszu. — Miała wtedy już ponad siedemdziesiąt lat, a jednak... Ryszardzie, gdybym posiadała jej magnetyzm, byłabym największą aktorką świata. Miała najbardziej zdumiewającą osobowość, jaką kiedykolwiek spotkałam u kobiety., i u mężczyzny też. Kiedy przemawiała, wydawało się, że rzuca jakiś czar na całe zgromadzenie. Była drobnej budowy, z niewyszkolonym głosem, ale osobowość Ryszardzie, ta osobowość! Po prostu mnie urzekła. Nie widziałam nic poza tą maleńką postacią, nie słyszałam niczego poza jej głosem.

Wyczuwałem, że przeciąga swą opowieść, ponieważ nie jest pewna mojej reakcji, żeby więc położyć temu kres objąłem ją i przyciągnąłem do siebie.

— Pokochałem już swój zegarek — powiedziałem — i kocham osobę, która mi go dała.

— Osoba kocha ciebie — odparła niemal smutnym głosem, a potem zagadnęła, siląc się na uśmiech:

— Ryszardzie?

— Co takiego?

— Czy powiedziałbyś, że jestem okropna, jeżeli... — urwała.

— Jeżeli co? — nie wiedziałem, czego się spodziewać, ona jednak nadal się wahała.

— O co chodzi, Elizo? — spytałem z uśmiechem, ale czułem, że coś mnie ściska w dołku.

Zebrała się na odwagę i powiedziała:

— Mam jeszcze inną słabość poza miłością.

Dalej nie rozumiałem, czekałem więc z niepokojem.

— Zamówiłam wcześniej do pokoju trochę wina i jedzenia — no wiesz, jakieś pieczywo, sery, owoce — zerknęła w kąt pokoju.

Poszedłem za jej wzrokiem i zobaczyłem wózek, pełen przykrytych talerzy, z królującą pośrodku butelką w srebrzystym wiaderku; jakoś wcześniej go nie zauważyłem. Roześmiałem się z ulgą i zapytałem:

— To znaczy, że jesteś głodna, tak?

— Wiem, że to niezbyt romantyczne — usprawiedliwiała się z zakłopotaną miną — ale po przedstawieniu zawsze jestem głodna, a teraz nawet jeszcze bardziej, bo wreszcie się rozluźniłam. Czy mi wybaczysz?

Śmiejąc się, przyciągnąłem ją do siebie i ucałowałem w policzek.

— Przepraszasz za coś takiego? Dalej, spróbujmy cię nakarmić, a skoro już o tym mowa, to i ja poczułem głód. Cała ta bieganina bardzo pobudza apetyt.

Zaśmiała się promiennie, porywająco, a potem uścisnęła mnie tak mocno, że aż się skrzywiłem.

— Jak ja cię kocham — wykrzyknęła — i jaka jestem szczęśliwa!

Szybko, raz za razem pocałowała mnie czterokrotnie w okolice ust, a następnie odsunęła się i powiedziała:

— Czy pozwoli pan, drogi panie Collier, że zaproszę pana na bardzo spóźnioną kolację?

Myślę, że mój uśmiech był pełen uwielbienia.

— Muszę sprawdzić mój karnecik — odrzekłem, a ona znowu mnie uścisnęła, i to tak mocno, że tym razem mimowolnie syknąłem z bólu.

— Och, czy zrobiłam ci krzywdę? — spytała, wypuszczając mnie natychmiast z objęć.

— Jeżeli masz tyle siły na głodniaka, to co będzie, jak się najesz?

— Poczekaj, a zobaczysz — szepnęła z ledwo widocznym uśmiechem.

Wstała i wyciągnęła do mnie rękę, a ja podprowadziłem ją do wózka i podsunąłem jej krzesło.

— Dziękuję, kochanie — powiedziała.

Sam usiadłem naprzeciw i przyglądałem się, jak podnosiła pokrywki odsłaniając najrozmaitsze potrawy.

— Czy mógłbyś otworzyć wino? — spytała.

Wyjąłem butelkę z wiaderka i spojrzałem na etykietę.

— O, ale to nie jest niewychłodzone czerwone bordeaux? — powiedziałem bezmyślnie.

Jej twarz stężała, a cała postać wyprostowała się w krześle.

— O co chodzi? — zapytałem, starając się nadać głosowi niedbały ton, ale wyraz jej twarzy zaniepokoił mnie.

— Skąd wiesz, że to moje ulubione wino? — spytała. — Nie mówiłam tego nikomu poza matką. Nawet pan Robinson o tym nie wie.

Przez chwilę usiłowałem sklecić jakąś odpowiedź,

zanim zorientowałem się, że to niemożliwe. Poczułem mrowienie widząc, że odwraca ode mnie twarz.

— Dlaczego ja się ciebie boję? — wyszeptała.

— Nie, Elizo — wyciągnąłem do niej rękę, ale jej nie wzięła. — Tylko nie to. Nie bój się. Kocham cię i nigdy nie zrobiłbym ci nic złego. Nie bój się mnie, Elizo.

Mój głos był tak samo słaby i rozedrgany, jak jej.

Gdy spojrzała na mnie, poczułem przygnębienie, bo na jej twarzy malował się jednak strach, którego nie była w stanie ukryć.

— Obiecuję, że powiem ci wszystko, kiedy nadejdzie właściwy czas. Po prostu nie chcę cię niepokoić.

— Ale mnie niepokoisz, Ryszardzie. Przerażasz mnie niekiedy tym, co mówisz, czasami wyrazem twojej twarzy — zadrżała i dodała — czasem jestem niemal skłonna uwierzyć... — ale urwała z bolesnym grymasem.

— W co?

— Że nie całkiem jesteś człowiekiem.

— Elizo — uśmiechnąłem się równie boleśnie, jak i ona — jestem człowiekiem i popełniam ludzkie błędy. To tylko... chodzi o to, że nie mogę ci powiedzieć, skąd przybyłem; w każdym bądź razie jeszcze nie teraz. Nie ma w tym nic strasznego — dodałem szybko, widząc zmianę w wyrazie jej twarzy. — Już ci to mówiłem. To naprawdę wcale nie jest straszne, po prostu... czuję, że nie powinienem ci tego teraz powiedzieć. Zrozum, staram się ochronić ciebie i... nas.

Popatrzyła na mnie wzrokiem, który przypomniał mi słowa Nata Goodwina o jej wielkich, szarych

oczach wpatrujących się w rozmówcę „jakby potrafiła przeniknąć jego duszę do samej głębi".

— Kocham cię, Elizo — powiedziałem — i zawsze będę cię kochał. Cóż więcej mogę ci powiedzieć?

Westchnęła i zapytała:

— Jesteś pewien, że nie możesz mi powiedzieć?

— Jestem. Jeszcze nie. — I rzeczywiście byłem tego pewien.

Zamilkła na dłuższy, wydawało mi się, że na bardzo długi czas, aż w końcu powiedziała:

— Dobrze.

Trudno mi opisać wzruszenie, jakie mnie wtedy opanowało. Oczywiście, nie mogłem wiedzieć dokładnie, ile to dla niej znaczyło. Domyślałem się jednak, że była to najtrudniejsza zgoda, do jakiej kiedykolwiek została zmuszona.

— Dziękuję ci — odrzekłem.

Rozlałem następnie wino, a ona wręczyła mi pełny talerz i przez dobrą minutę jedliśmy w całkowitym milczeniu. Chciałem bowiem dać jej czas na ochłonięcie.

— Ryszardzie, przez wiele lat byłam na rozdrożu — odezwała się wreszcie. — Uznałam w końcu, że muszę pozbyć się wszelkich romantycznych złudzeń i poświęcić wyłącznie mojej karierze, ponieważ mężczyzna, na którego czekałam, wciąż się nie zjawiał. — Odstawiła kieliszek i spojrzała na mnie. — I wtedy właśnie pojawiłeś się ty, nagle i tajemniczo.

Opuściła oczy na swoje dłonie.

— Najbardziej lękam się, aby ta... tajemniczość nie przytłoczyła mnie, a grozi mi to w każdej chwili. Nawet teraz jestem tak oczarowana twoim wyglądem

i zachowaniem, że obawiam się, czy kiedykolwiek poznam cię naprawdę, czy dowiem się kim jesteś. Stąd mój sprzeciw wobec twojej wstrzemięźliwości. Szanuję twoje zdanie i rozumiem, że masz moje dobro na względzie, a jednak...

Bezradnie rozłożyła ręce.

— Jak mamy dalej żyć? Kiedy zaczniemy się naprawdę poznawać? Jesteś dla mnie ucieleśnieniem najintymniejszych, najbardziej skrywanych marzeń i fantazji, pociągasz mnie więc i fascynujesz, nie mogę jednak budować życia tylko na tych uczuciach. Nie chcę być jak Lady Shalott, która znała miłość tylko z odbicia w swoim lustrze. Chcę widzieć i znać ciebie, tak jak pragnę widzieć i znać siebie samą, całkowicie i bez iluzji. Nie wiem, czy tobie też o to chodzi, czy także patrzysz na mnie przez mgłę fascynacji, tak jak ja na ciebie, ale... Ryszardzie, jesteśmy żywymi ludźmi, każde z nas ma swoje życie i jeżeli mamy je ze sobą dzielić, musimy je zaplanować z poczuciem realizmu.

Pocieszyłem się słysząc, że pomimo rozterek, jej tok rozumowania zgadza się w zasadzie z moim, nie chciałem jej jednak powiedzieć tego od razu z obawy, że będzie mnie podejrzewać, iż ją tylko naśladuję, przytaknąłem więc krótko:

— Zgadzam się z tobą całkowicie.

— A więc na przykład, co do mojej kariery, czy chciałbyś, żebym z niej zrezygnowała?

— Zrezygnowała? — spojrzałem na nią ze zdumieniem. — Elizo, może i oszalałem z miłości, ale nie jestem kompletnym idiotą. Miałbym pozbawić świat tego, co ty mu możesz dać? Boże drogi, na-

wet by mi to do głowy nie przyszło. Przecież jesteś wspaniała.

Jej ulga nie była jednak pełna.

— Czy chciałbyś więc, żebym występowała wyłącznie w twoich sztukach?

Tu już musiałem się roześmiać.

— Oj, Elizo — pogroziłem jej żartobliwie, musiało jednak być coś poważnego w moim tonie lub wyglądzie, bo wyglądała na zaskoczoną. — Czy przez cały czas myślałaś, że za każdym słowem i czynem ukrywałem przebiegle ambicje niewyżytego dramatopisarza?

Jej twarz natychmiast posmutniała. Wyciągnęła do mnie rękę, a ja ją przyjąłem.

— Wybacz mi, kochanie — powiedziała.

— Nie mam ci czego wybaczać — odrzekłem z uśmiechem. — Właśnie o takich sprawach powinniśmy rozmawiać niczego nie ukrywając. Powiem ci szczerze, że dotychczas nie wiem, w jaki sposób będę zarabiał na życie, ale na pewno nie pisaniem sztuk, w których ty miałabyś grać, to ci zaręczam. Może już nigdy nie napiszę żadnej nowej sztuki, może zamiast tego wezmę się za pisanie książek. W każdym razie potrafię pisać w miarę dobrze.

— Tego jestem pewna, tylko...

— Co? — zapytałem, kiedy urwała.

Jej palce powoli zacisnęły się na mojej dłoni.

— Nieważne, co robisz i skąd przychodzisz, ale skoro już tu jesteś — patrzyła na mnie oczyma pełnymi lęku — błagam cię, nie opuszczaj mnie.

• • •

Powietrze było niemal nieruchome, kiedy szedłem z nią plażą, obejmując ręką jej kibić.

— Tłumaczę ci, jakimi powinniśmy być realistami — odezwała się — ale sama wciąż lgnę do tej atmosfery snu, która wszystko otacza. Czy to znaczy, Ryszardzie, że jestem kapryśna?

— Oczywiście, że nie. W naszej znajomości jest coś ze snu. Sam to odczuwam.

Przytuliła się do mnie z westchnieniem.

— Mam nadzieję, że się nigdy nie obudzę.

— My się nie obudzimy.

— Wiesz, ja naprawdę śniłam o tobie — powiedziała. — Na jawie i we śnie. Tłumaczyłam sobie, że to tylko zaspokojenie wewnętrznej potrzeby, ale wcale dzięki temu nie przestawałam śnić. Mówiłam sobie też, że to reakcja na wróżbę tej starej Indianki, a potem na przepowiednię Marie. Nawet przez ostatnich parę dni, kiedy już świadomie oczekiwałam ciebie spodziewając się spotkania za każdym razem, gdy spacerowałam po plaży, jeszcze wmawiałam sobie, że to nic innego, tylko wyobraźnia, ale sama nie mogłam w to uwierzyć.

— I bardzo się z tego cieszę.

— Och, Ryszardzie, co to za tajemnicza siła sprawiła, żeśmy się spotkali? Jednocześnie i chcę, i nie chcę tego wiedzieć. Sama się sobie dziwię, że chciałabym to odkryć, bo i po co właściwie? Czy może być coś ważniejszego od życia z tobą? Czy w ogóle jest coś ważnego poza twoją miłością do mnie, a moją do ciebie?

Jej słowa oczyściły moją duszę z wszelkiego niepokoju.

— Nie, Elizo, nie ma nic ważniejszego. Wszystko inne może zaczekać.

— Tak — potwierdziła żarliwie — tak, niech sobie poczeka.

Przystanęliśmy i odwróciliśmy się twarzami do siebie, a potem długo się całowaliśmy i na całym świecie nie było nic ważniejszego.

Trwało to jednak tylko do końca pocałunku, bo zaraz potem powiedziała z żartobliwą surowością:

— O nie! Jeżeli mam stać się panią Collier, to domagam się, abyś wysłuchał, jak okropną osobę chcesz wziąć za żonę.

— Powiedz mi — starałem się naśladować ton jej głosu. — O, przemów raz jeszcze, jasny aniele.

Skrzywiłem się, a potem roześmiałem, gdy uszczypnęła mnie w rękę.

— Byłoby lepiej, gdybyś się zachowywał poważnie, młody człowieku — powiedziała to niby drażniąc się ze mną, ale wyczuwałem, że w gruncie rzeczy jest szczera. — Założę się, że masz nadzieję, iż czekają cię same rozkosze.

— A nie?

— Nie — skierowała we mnie palec złowieszczym gestem. — Ożenisz się z demonem perfekcjonizmu, który doprowadzi cię do szału. — Opuściła kąciki ust uniesione dotychczas w psotnym uśmiechu, co groziło zrujnowaniem całego efektu i powiedziała:

— Czy uwierzysz, drogi przyjacielu, że ja naprawdę na wszelki wypadek przygotowałam już cały schemat przyszłego małżeństwa? Wyobraź sobie — cały schemat! Każdy szczegół naszego

przyszłego pożycia opracowany w mojej głowie krok po kroku, jak plan domu w umyśle architekta.

Po psotnym uśmiechu nie było już śladu.

— Domu, który by się zawalił, zakładając że w ogóle zostałby zbudowany.

— Mów dalej — powiedziałem.

— Bardzo proszę — uniosła podbródek i spojrzała na mnie z powagą.

Czy to Lady Barbara — zastanawiałem się — czy też może raczej Lady Macbeth?

— Jestem również bardzo zaangażowana w kwestie dotyczące społecznej roli kobiety.

— Proszę, opowiedz mi o tym.

Szturchnęła mnie w ramię i powiedziała tonem przygany:

— To słuchaj.

— Tak, proszę pani.

— A więc powiadam: uważam, że społeczna rola kobiety nie powinna być tak ograniczona.

— Ja też.

Przyjrzała mi się uważnie.

— Nie kpisz sobie ze mnie? — spytała, a w jej głosie słychać było autentyczne zmieszanie.

— Nie.

— Ale się uśmiechasz.

— Bo cię uwielbiam, a nie dlatego, ażebym się z tobą nie zgadzał.

— A więc ty...? — urwała i znowu na mnie spojrzała.

— Co?

— Naprawdę uważasz, że kobiety powinny...?

— ...walczyć o wyzwolenie? Tak, a poza tym wiem, że je w końcu wywalczą.

Przynajmniej jeden pogląd z „tamtego czasu" — pomyślałem sobie — który się na coś przydał.

— Ojej — powiedziała, a ja czekałem, co będzie dalej.

Stopniowo zaczęła mrużyć oczy, a na jej twarzy pojawił się wyraz tak oczywistej podejrzliwości, że tylko dużym wysiłkiem woli zdołałem powstrzymać się od śmiechu.

— Ale przecież jedynym powołaniem kobiety jest wyjść za mąż i być mu posłuszną — nie było to jej twierdzenie, lecz próba wysondowania moich poglądów — jej rolą jest podtrzymywanie istnienia rodzaju ludzkiego.

Wyczekała chwilę i zapytała:

— Czy to nie jest prawda?

— Nie.

Wpatrywała się we mnie w pełnym napięcia milczeniu, aż wreszcie westchnęła, pokonana.

— Ty naprawdę jesteś inny, Ryszardzie.

— Zgadzam się z tym, jeżeli dzięki temu będziesz mnie kochać jeszcze bardziej — odpowiedziałem.

— Muszę cię kochać — powiedziała nie zmieniając wyrazu twarzy, ale w jej głosie zbrzmiała jakby zaduma. — Tak otwarcie mogę mówić tylko z kimś, kogo kocham, a więc to prawda.

— W porządku — zgodziłem się.

— Nikt dotychczas nie poznał mnie do głębi — ciągnęła dalej — nawet moja matka, a ty przejrzałeś mnie już na wskroś, tak głęboko, że — potrząsnęła głową — trudno mi w to uwierzyć.

— Rozumiem cię, Elizo.

— Mam nadzieję, że tak.

Przeszliśmy kawałek drogi w milczeniu, a potem przystanęliśmy i przypatrywaliśmy się równomiernie migoczącemu światłu latarni morskiej na Point Loma. Po chwili podniosłem oczy na srebrzysty krąg księżyca i gwiazdy rozpryśnięte jak garść diamentów na firmamencie. Nie ma nic piękniejszego ponad to — pomyślałem — niebo nie ma nic lepszego do zaoferowania.

Nagle, zupełnie jakby czytała w moich myślach, odwróciła się do mnie, objęła mnie i mocno się przytuliła.

— Niemal boję się tego szczęścia — powiedziała.

Ująłem jej twarz w dłonie i przechyliłem nieco do tyłu. Spojrzała na mnie i wtedy zobaczyłem łzy w jej oczach.

— Już nigdy nie powinnaś się bać — powiedziałem i nachyliwszy się ucałowałem jej oczy. Smakowałem wargami ciepłe, słone krople. — Zawsze będę cię kochał.

Przylgnęła do mnie z urywanym westchnieniem.

— Zapomnij o tym, co mówiłam o kobietach — wyszeptała — a właściwie nie, nie zapominaj, tylko... pamiętaj, że to jedynie część moich uczuć i pragnień. Reszta to właśnie to, co czuję teraz. To ta część, która od bardzo, bardzo dawna nie mogła doczekać się spełnienia. Udawałam, że nie wiem, co to jest, ale przecież wiedziałam doskonale. — Poczułem, jak jej ramiona zacisnęły się mocniej wokół mnie. — To była moja nie nakarmiona kobieca natura. Ryszardzie, ona głodowała.

— Ale już nie będzie.

Zawróciliśmy i skierowaliśmy się z powrotem w stronę hotelu. Zdawało się, że oboje wiemy, dlaczego wracamy. Nie padło między nami ani jedno słowo. Szliśmy w milczeniu, trzymając się za ręce. Nie miałem pojęcia czy jej serce waliło tak samo mocno, jak moje. Wiedziałem tylko, i jestem pewien, że ona również wiedziała, że nieważne już jest, co za tajemnicza siła nas połączyła, i czy ja jestem ucieleśnieniem jej głęboko skrywanych marzeń, a ona tym samym dla mnie. Teraz liczyło się tylko to, że jesteśmy razem, że wspólnie dzielimy te chwile.

Niezależnie od tego, co mówi nam rozum, zawsze musi przyjść moment, gdy serce przemówi głośniej, a teraz właśnie nasze serca przemawiały, w nas zaś nie było sprzeciwu wobec ich rozkazów.

Przed nami potężna bryła hotelu odcinała się na tle nieba, a nad nią zawisły dwie białe, niewiarygodne chmury. Mówię „niewiarygodne", albowiem kształtem przypominały dwie ogromne widziane z profilu głowy.

— Ta po lewej to ty — powiedziałem głęboko przekonany, że także i ona je dostrzegła, powinna zatem zrozumieć, co mam na myśli.

— To jestem ja — potwierdziła. — Mam gwiazdy we włosach.

Nie przerywając marszu, oparła głowę o moje ramię.

— A ta po prawej to, oczywiście, ty.

Aż do końca naszej drogi, która również przebiegła w milczeniu, obserwowaliśmy te dwie ogromne, zjawiskowe głowy, Elizy i moją, unoszące się nad dachem hotelu.

Gdy stanęliśmy u progu jej pokoju, bez słowa wyjęła klucz z torebki i wręczyła go mnie, uśmiechając się jakby w spokojnym śnie.

Otworzyłem drzwi, weszliśmy do środka, potem ponownie je zaryglowałem i oddałem jej klucz. Upuściła szal na podłogę i przywarła do mnie. Staliśmy tak bez ruchu, spleceni ramionami, aż wyszeptała:

— To dziwne.

— Co, kochanie?

— Że dając ci klucz wcale się nie obawiałam, że może to ciebie zaszokować. Nawet o tym nie pomyślałam.

— Bo nie ma o czym myśleć. Wiesz przecież, że dzisiaj nie zostawiłbym cię samej.

— Tak, wiem — odpowiedziała szeptem. — Nie przeżyłabym tej nocy w samotności.

Rozluźniła ramiona, podniosła je wyżej i objęła mnie za szyję. Przyciągnąłem ją bliżej i pogrążyliśmy się w pocałunku, jaki może być udziałem tylko dwojga ludzi całkowicie oddanych sobie duszą i ciałem. Trzymała się mnie mocno, szepcąc słowa, które zdawały się spływać z jej warg jak burzliwy potok:

— Kiedy wczoraj na plaży podszedłeś do mnie, wydawało mi się, że za chwilę umrę, naprawdę. Nie mogłam mówić, ani myśleć, a serce waliło mi tak, że straciłam oddech. Przeżywałam męczarnie od pierwszej chwili, gdy zobaczyłam tę plażę i zaczęłam myśleć o tym, że może się pojawisz. Byłam niespokojna, poddenerwowana, rozdrażniona, co i raz to płakałam, to się opanowywałam. Przez ten tydzień wylałam więcej łez niż przez całe życie. Poganiałam samą siebie i przepracowywałam się,

byle tylko zapomnieć, ale również znęcałam się nad całym zespołem, zmuszając ich do pracy ponad siły. Na pewno myśleli, że tracę rozum, przedtem bowiem zawsze byłam taka opanowana, spokojna i raczej miła. Ale nie w tym tygodniu. Ach, Ryszardzie, byłam po prostu szalona, szalona...

Czułem wargami jej rozpalone usta, jej dłonie ściskały moją głowę, a palce wplątały się we włosy. Nagle odsunęła się ciężko oddychając, z wyrazem strachu na twarzy. Powiedziała:

— To wszystko we mnie jest tak szczelnie pozamykane. Tak bardzo boję się dać temu upust.

— Nie bój się.

— Ale ja i tak się boję — uczepiła się mnie rozpaczliwie. — Najdroższy mój, ukochany, boję się. Obawiam się, że to cię zniechęci. To takie niskie, tak...

— To nie jest niskie — odrzekłem — to naturalne. Piękne i naturalne. Nie powinnaś tego powstrzymywać. Wytłumacz sobie, że to pożądanie serca — ucałowałem jej kark — i ciała.

Poczułem na policzku jej gorący oddech.

— O Boże — szepnęła.

Była rzeczywiście przerażona. Wydawało się, że wewnątrz niej nabrzmiewa coś, jak lawa we wnętrzu wulkanu, co w każdej chwili grozi wybuchem, a ona obawia się to uwolnić ze strachu przed możliwymi zniszczeniami.

— Nie chcę cię zgorszyć, Ryszardzie. Co będzie, jeśli to cię pochłonie? To takie mocne. Nikomu jeszcze nigdy nie pokazałam co kryje się we mnie. To coś takiego, jak straszliwy głód, który starałam się zagłuszyć przez całe życie — pogładziła mnie po

twarzy roztrzęsionymi dłońmi — Nie chcę cię pożreć, nie chcę, żebyś poczuł do mnie wstręt albo...

Powstrzymałem dalsze słowa pocałunkiem, a ona przytrzymała się mnie kurczowo, jakby tonęła. Nie była w stanie złapać oddechu i nie mogąc się opanować, spazmatycznie drżała.

— Uwolnij to — powiedziałem. — Przestań się tego bać. Ja się nie boję, bo nie ma się czego bać. To jest piękne, Elizo, bo to jesteś ty. Jesteś kobietą, daruj więc tej kobiecie wolność. Puść ją, uwolnij od więzów i ciesz się nią. Jedz, Elizo, nie głoduj dłużej. To nic gorszącego ani odpychającego. To wspaniałe, to prawdziwy cud. Nie powstrzymuj tego ani chwili dłużej i kochaj, Elizo, kochaj!

Zaczęła płakać, a ja przyjąłem ten płacz z radością, bo oznaczał on wyzwolenie. Ciasno objęła mnie ramionami, łkała z trudem chwytając powietrze. Czułem, że nadchodzi kres jej wieloletnich cierpień, że w końcu zaczęła uchylać bramy tych podziemnych lochów, w których więziła swoją własną naturę. Łzy wciąż strumieniem spływały jej po twarzy, a całym ciałem wstrząsał szloch. Ja zaś ze szczęścia byłem niemal gotów przyłączyć się do jej płaczu.

A potem jej usta odszukały moje i powoli, metodycznie, biorąc i dając zarazem, zaczęły sycić się tym, co im się słusznie należało. Jej niespokojne dłonie bez przerwy pieściły mój kark i szyję, gładziły włosy, wpijały się w ciało, sprawiając lekki, rozkoszny ból, który chciałbym przedłużać w nieskończoność.

— Kocham cię — szeptała — kocham, kocham, kocham.

Powtarzała to bez przerwy, słowa płynęły z jej ust burzliwym potokiem, a każdym z nich jak kluczem otwierała kolejną komnatę kryjącą pożądanie.

Kiedy wziąłem ją na ręce i zaniosłem do sypialni, nie wydała żadnego dźwięku poza ciężkim, przyspieszonym oddechem. Była lekka, niezwykle lekka.

Ułożyłem ją na łóżku, sam usiadłem obok i zacząłem wyjmować grzebienie, jeden po drugim, aż jej złotobrązowe włosy rozsypały się dookoła głowy i spłynęły na ramiona. Patrzyła na mnie w milczeniu, aż wyjąłem ostatni grzebień, a potem zacząłem całować całą jej twarz, usta, nos, oczy, szyję i uszy, rozwiązując przy tym tasiemki u jej sukni. Odsłoniłem jej białe, ciepłe ramiona i całowałem je raz za razem, a ona dalej nie odzywała się, oddychając tylko z wysiłkiem i pojękując z cicha, jakby o coś błagała.

Gdy rozwiązałem jej gorset i zobaczyłem czerwone ślady na skórze, poczułem taki wstrząs, że nie zdołałem pohamować głośnego jęku. Spojrzała na mnie z niepokojem, a ja wykrzyknąłem:

— Na litość boską, nie noś tego więcej! Nie niszcz tej cudownej skóry.

W odpowiedzi posłała mi promienny, pełen miłości uśmiech i wyciągnęła do mnie ręce.

W chwilę później leżeliśmy obok siebie, spleceni ciasno ramionami. Zacząłem całować jej twarz i szyję, ale ona przyciągnęła moją głowę do swych piersi, wtuliłem więc twarz w ich miękkie ciepło, aż natrafiłem wargami na twarde, różowe sutki. Jej jęk stał się niemal bolesny, a mnie ogarnęła fala pożądania, zerwałem się zatem i pospiesznie zacząłem zrzucać ubranie. Leżała spokojnie, czekając na mnie i nawet

nie próbowała ukryć swojej nagości, a kiedy skończyłem, wyciągnęła do mnie ramiona i wyszeptała:

— Kochaj mnie, Ryszardzie.

Czułem ją wkół siebie, dotykało mnie jej rozpalone ciało, a twarz owiewał gorący oddech. Jej narastający jęk unosił mnie coraz wyżej, aż nagle osiągnąłem szczyt, a wtedy jej odpowiedź nadeszła w tak gwałtownym skurczu, że wygiął ją niemal w łuk. Wpiła mi paznokcie w plecy, a na jej twarzy pojawił się wyraz najprawdziwszej ekstazy, świadectwo chyba pierwszego autentycznego wyzwolenia w jej życiu. Wydawało mi się, że wszystko to razem przekracza możliwości słabej istoty ludzkiej, że powracające fale oszołomienia na zawsze odbiorą mi świadomość. Powietrze wokół nas rytmicznie pulsowało naładowane gorącem i energią.

A potem wszystko ucichło, ona zaś leżała u mego boku, cicho łkając ze szczęścia i szepcąc w kółko:

— Dziękuję ci, dziękuję, dziękuję...

— Elizo — odpowiedziałem całując ją delikatnie. — Nie masz mi za co dziękować. Byłem przecież razem z tobą, tam w niebie.

— Och — brzmiało to jak tchnienie długo wstrzymywanego oddechu — tak. To było niebo.

Zarzuciła mi ramiona na szyję i popatrzyła na mnie z uśmiechem pełnym rozkosznej satysfakcji.

— Wiesz, Ryszardzie, gdyby nie ta noc z tobą, chyba bym umarła — westchnęła. — A jeśli dobrze się zastanowić, to rzeczywiście umarłam.

Pocałowała mnie w policzek i dodała:

— Po to tylko, aby odmłodzić się w twoich ramionach, odrodzić się jako kobieta.

— Ależ ty jesteś kobietą i to jaką!

— Mam nadzieję — musnęła leciuteńko moją pierś. — Byłam tak... pochłonięta szaleństwem, które wydobyłeś ze mnie, że nawet nie zdaję sobie sprawy, czy sprawiłam ci przyjemność.

— Sprawiłaś — uśmiechnąłem się do jej zatroskanej twarzy. — Mogę ci to dać na piśmie, jeśli zechcesz.

Odpowiedziała pełnym miłości uśmiechem, a potem spojrzała na swoje ciało i zapytała:

— Czy naprawdę jestem straszliwie szczupła?

Uniosłem się i popatrzyłem na jej małe, jędrne piersi, płaski brzuch, talię tak wąską, że zmieściłaby się całkowicie w moich dłoniach, na jej zgrabne nogi, a wszystko tak delikatnie kremowe, tak prześliczne, i powiedziałem:

— Straszliwie.

— O... — w jej głosie zabrzmiał taki zawód, że nie mogłem się nie roześmiać, chociaż w oczach miałem łzy rozczulenia.

— Uwielbiam twoje ciało — powiedziałem całując namiętnie jej oczy — i żebyś nigdy nie ważyła się źle o nim mówić.

Nasz pocałunek był długi i słodki, a gdy się skończył, w jej oczach zobaczyłem całkowite oddanie.

— Chciałabym być dla ciebie wszystkim, Ryszardzie — powiedziała.

— Jesteś.

— O, nie — zaprzeczyła, chociaż jej łagodny uśmiech wyrażał zgodę. — Zdaję sobie sprawę, jak mało mam wprawy w... miłości. Jak zresztą mogłoby być inaczej? — uśmiech jej nabrał łobuzerskiego

odcienia. — Nie mam żadnego wykształcenia, mój panie, nie mówiąc już o doświadczeniu. Poruszam się niezdarnie i zapominam całych kwestii. Jestem tak przejęta, że zapominam nawet tytuł sztuki.

Zwolna poruszyła palcami na moich plecach.

— Wszystko zapominam. Na scenie dostaję szału i rozkoszuję się każdą chwilą.

W jej wzroku zabłysło nieskrywane pożądanie. Przytuliła się nagle do mnie i całowaliśmy się długo, żarłocznie poszukując nawzajem smaku naszych ust.

— Odniosłaś sukces w tej roli — powiedziałem z uśmiechem, kiedy już zakończyliśmy pocałunek.

Jej dziecinnie radosny śmiech przepełnił mnie szczęściem. Objąłem ją mocno, szepcząc:

— Elizo, Elizo.

— Kocham cię, Ryszardzie, bardzo cię kocham — wyszeptała mi w ucho — ale ty mnie znienawidzisz, bo znowu jestem głodna.

Ze śmiechem wypuściłem ją z objęć i podniosłem się na chwilę, aby pozwolić jej rozścielić łóżko. Pobiegła potem do drugiego pokoju i wróciła z dwoma jabłkami, które pogryzaliśmy leżąc na chłodnym prześcieradle. W pewnej chwili wydłubała ze swego jabłka pestkę i przylepiła mi ją do policzka. Roześmiałem się i zapytałem, po co to wszystko, ale ona powiedziała tylko:

— Poczekaj.

Po paru sekundach pestka odpadła, zapytałem więc znowu:

— Co to miało znaczyć?

— Że mnie wkrótce opuścisz — odpowiedziała z melancholijnym uśmiechem.

— Nigdy cię nie opuszczę — odpowiedziałem, a kiedy smutek nie ustępował z jej twarzy, uszczypnąłem ją lekko w ramię.

— Komu bardziej wierzysz — spytałem. — Mnie czy pestce?

Ku mojemu rozczarowaniu, jej uśmiech nie pojaśniał a oczy, jak dawniej, przyglądały mi się badawczo.

— Obawiam się, że złamiesz mi serce, Ryszardzie — powiedziała.

— Nie, nigdy, Elizo — zrobiłem wszystko, aby te słowa zabrzmiały jak najpoważniej.

— W porządku — odpowiedziała, najwyraźniej również pragnąc rozproszyć ten smętny nastrój. — Wierzę ci.

— Powinnaś mi wierzyć — zacząłem gderać żartobliwie. — A w ogóle kto to widział, żeby wróżyć przyszłość z pestek jabłek?

Trafiłem we właściwy ton, bo jej uśmiech wyzbył się cienia smutku.

— Mam nadzieję, że jednak napiszesz sztukę dla mnie — powiedziała. — Strasznie bym chciała zagrać w twojej sztuce.

— Postaram się.

— To dobrze — pocałowała mnie w policzek, a zaraz potem dodała:

— Zakładając, że w ogóle będę po tym chciała grać.

— Będziesz.

— Jeżeli tak, a przecież oczywiście wiem, że tak, to na scenie będę już i tak inną osobą — będę kobietą.

Westchnęła i znowu mocno się do mnie przytuliła obejmując mnie ramionami.

— Zawsze dawniej czułam się taka niezrównoważona. Wewnątrz mnie cały czas trwał konflikt rozsądku z uczuciami i dopiero waga twojej miłości wyrównała szale. Jeżeli zachowywałam się chłodno wobec ciebie wczoraj albo i dzisiaj...

— Ależ nie.

— Wiem, że tak było, ale to były tylko resztki oporu przeciw temu, o czym wiedziałam, że i tak nadejdzie za twoją sprawą, wszystkiemu, czego się tak bałam i ukrywałam całe życie.

Podniosła moją dłoń do ust i ucałowała ją czule.

— Będę cię zawsze za to błogosławić.

I znowu wszystko zaczęło się od początku, jej głód bowiem tak długo był nie zaspakajany, że musiała nasycić się ponownie. Tym razem nie opierała się wcale, ale oddała się z całą radością z zerwanych okowów, biorąc zarazem ode mnie z tak żarliwym zapamiętaniem, że gdy nadszedł szczyt odrzuciła głowę w tył, a ramiona szeroko na bok, dłońmi do góry, drżąc i jęcząc od nietamowanego spełnienia. I jak poprzednio, mój wybuch też był potężny, napełniający moje serce nadzieją, że w głębi jej czystego, cudownego ciała pocznie się nasze dziecko.

Później, kiedy leżeliśmy już tuż obok siebie, pełni ciepła i satysfakcji (a w każdym razie tak myślałem), odezwała się pierwsza:

— Ale ty się ze mną ożenisz, prawda?

Nie mogłem się powstrzymać od głośnego śmiechu, co zbiło ją z tropu.

— Nie? — zapytała.

— Oczywiście, że tak. Rozśmieszyło mnie samo pytanie i sposób, w jaki je zadałaś.

— Aha — na jej twarzy pojawiła się ulga, a potem pełen miłości uśmiech.

— Jak mogłaś bodaj przez chwilę przypuszczać, że ja bym się z tobą nie ożenił?

— No wiesz... myślałam... — wzruszyła ramionami.

— Myślałaś?

— Że... że kocham się tak wstrętnie, że ty...

Przycisnąłem lekko palec do jej ust.

— Elizo McKenna — oznajmiłem jej — jesteś najwspanialszą, najbardziej podniecającą dzikuską na świecie.

— Naprawdę? Mówisz to szczerze, Ryszardzie? — jej twarz i głos promieniały zadowoleniem.

— Szczerze — ucałowałem czubek jej nosa. — Mogę ci to dać na piśmie.

— To już zostało zapisane, tutaj — powiedziała, kładąc dłoń na sercu.

— Doskonale — przypieczętowałem słowa pocałunkiem w usta.

— A kiedy już się pobierzemy, zamieszkamy... — spojrzałem na nią kpiarsko — ...no właśnie, gdzie?

— Na mojej farmie, Ryszardzie, bardzo cię proszę. Uwielbiam ją i chciałabym, żeby była nasza.

— A więc dobrze, na farmie.

— Och! — jeszcze nigdy nie widziałem tak radosnej twarzy. — Czuję się... Ryszardzie, nie potrafię tego opisać! Jestem skąpana w miłości!

Zarumieniła się nagle i dodała:

— W przenośni i dosłownie.

Przewróciła się potem na plecy i spojrzała na swoje ciało z wyrazem niedowierzania na twarzy.

— Nie mogę w to uwierzyć — powiedziała. — Po prostu nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ja leżę na łóżku bez skrawka odzieży, obok nagiego mężczyzny, którego poznałam dopiero wczoraj. Wczoraj! A już się kochamy. Czy to naprawdę ja, ja, Eliza McKenna? A może z marzeń wpadłam w halucynacje?

— Nie, to ty — uśmiechnąłem się. — Ta, która stale musiała czekać, ponieważ była troszkę skrępowana.

— Skrępowana? Powiedz raczej, zakuta w pas cnoty. Och! — wstrząsnęła się i zrobiła przerażoną minę. — Co za straszliwy obraz, ale zarazem jaki prawdziwy.

Odwróciła twarz do mnie, żądna pocałunków, spletliśmy się więc ciasno i całowaliśmy długo i zapamiętale.

— Czy żywiłaś jakieś uczucia wobec Robinsona? — spytałem potem.

— Nie, jako do mężczyzny — odrzekła. — Może, jak do ojca. Tak naprawdę nigdy nie miałam ojca, nie widziałam go od wczesnego dzieciństwa, przypuszczam więc, że on przejął tę rolę w moim życiu — wydała lekki, zdumiony okrzyk i powiedziała:

— To zadziwiające, że zdałam sobie sprawę z tego dopiero teraz, po tylu latach. Widzisz, do jakich odkrywczych myśli mnie doprowadziłeś?

Pocałowała mnie przelotnie, jak dojrzała kobieta, swobodnie sięgająca po usta kochanka.

— Mówiłam wcześniej — zaczęła znowu — o tym, że jestem perfekcjonistką, ale myślę, że bierze się to nie tyle z pragnienia doskonałości, co z braku poczucia spełnienia. Tak naprawdę moja praca nigdy

mnie dotychczas nie cieszyła, ani też nie osiągnęłam zadowolenia dzięki niej. Właściwie do tej pory nic mnie naprawdę nie potrafiło ucieszyć i w tym sedno. Zawsze czegoś mi było brak. Jak mogłam nie zorientować się, że to chodzi o miłość? Teraz to się wydaje takie oczywiste i wcale już nie chcę być perfekcjonistką. Jedyne, czego pragnę, to pieścić cię i oddać ci się całkowicie.

Uśmiechnęła się nieśmiało, jakby wciąż jeszcze sobą zakłopotana.

— No, to chyba już zrobiłam, prawda?

Roześmiałem się cicho, a ona zmierzyła mnie wzrokiem z udawaną surowością.

— Uprzedzam pana, panie Collier, że jestem bardzo zazdrosną osóbką. Rozerwę na strzępy każdą kobietę, która by tylko ośmieliła się spojrzeć na ciebie.

— A proszę cię bardzo — mój śmiech był pełen szczęścia.

Przesunęła koniuszkiem palca wokół mych ust, delikatnie śledząc ich zarys.

— Ryszardzie, czy kochałeś już jakąś inną kobietę? Nie — poprawiła się szybko — nie mów mi, nie chcę tego wiedzieć. To przecież nieważne.

Ucałowałem czubek palca, który zatrzymał się na moich wargach, i powiedziałem uroczyście:

— Nie było żadnej innej.

— Naprawdę?

— Naprawdę, nigdy. Przysięgam ci.

— Och, mój najdroższy, kochany — przytuliła policzek do mojej twarzy. — Czy takie szczęście jest w ogóle możliwe?

Przez chwilę trwaliśmy w uścisku, a potem odsunęła się nieco i spojrzała na mnie zwilgotniałymi oczyma.

— Opowiedz mi wszystko o sobie — poprosiła. — To znaczy tyle, ile możesz. Chciałabym kochać to wszystko, co ty kochasz.

— Kochaj siebie w takim razie.

Ucałowała mnie i przesunęła wzrokiem po mojej twarzy.

— Kocham twoją twarz — powiedziała — twoje oczy nocnego ptaka, twoje szarozłote włosy, łagodny głos i dotyk, twoje maniery — tu musiała powstrzymać uśmiech — i twoje sposoby.

Z uśmiechem potargałem jej jedwabiste włosy.

— I kocham także twój uśmiech — dodała — taki, jakby śmieszyło cię coś wiadomego tylko tobie. Chciałabym dzielić z tobą tę wiedzę, ale uśmiech i tak uwielbiam.

Przytuliła się mocniej, całując mnie w ramię.

— Powtórz mi jeszcze nazwisko tego kompozytora.

— Mahler.

— Nauczę się kochać jego muzykę.

— To nie będzie takie trudne — odpowiedziałem i przyszło mi na myśl, że może kiedyś, kiedy się już razem postarzejemy, opowiem jej, jak to jego IX Symfonia doprowadziła do naszego spotkania.

Teraz jednak ująłem jej twarz w dłonie i intensywnie wpatrzyłem się w nią. Trzymałem w rękach ożywioną twarz z owej fotografii i czułem dłońmi jej ciepło, nie gościł na niej jednak lęk, lecz wielki spokój.

— Kocham cię — powiedziałem.

— I ja cię kocham. Teraz i zawsze.

— Jesteś taka urocza.

— Obdarzona delikatną i szlachetną urodą, wdziękiem i czarem — powiedziała z absolutnie poważną twarzą.

— Co?

Łobuzerski uśmiech błysnął spoza maski powagi.

— Koniec cytatu — wykrztusiła nieomal dusząc się ze śmiechu.

Musiałem mieć nieźle zaskoczoną minę, bo natychmiast przytuliła się do mnie, obsypując mnie deszczem pocałunków.

— Och, nie powinnam się z tobą droczyć, ale to tylko dlatego, że przepełnia mnie szczęście i już ani chwili dłużej nie mogłam być poważna. A poza tym ty wyglądałeś tak ponuro, gdy mówiłeś, że jestem urocza.

Ucałowała mnie delikatnie pięć razy w usta i dodała:

— Tak naprawdę to było w hołdzie dla ciebie, bo nie potrafiłabym żartować z mężczyzny, którego nie kocham. Nikt nie zna tej strony mego charakteru. Zawsze trzymałam ją dla siebie. No, może czasami ujawniało się to w mojej grze.

— Zawsze.

Westchnęła z udawaną skruchą.

— Teraz będę grała wyłącznie w tragediach — powiedziała — bo w życiu wykorzystam tyle szczęścia, że już mi go nie starczy na scenę.

Pogłaskała mnie po policzku.

— Wybaczysz mi, dobrze? Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli trochę sobie pożartuję?

— Ależ żartuj, ile chcesz — odpowiedziałem. — I ja też chętnie bym czasem się z tobą podroczył.

— Wszystko, czego tylko zapragniesz, najdroższy — zapewniła tuląc się do mnie.

Po raz trzeci zaczęło się w trakcie pocałunku. Jej piękna twarz okryła się rumieńcem, a wzrok przybrał wyraz bezwolnej uległości, który mnie radował i zarazem podniecał. Zadrżała, gdy wsunąłem jej język do ust, a potem zaczęła mnie pożerać łapczywie, chłonąc aż po gardło. Złączyliśmy się prawie natychmiast i jak poprzednio, skręcała się w gwałtownych spazmach, a jej twarz wyrażała całkowite wyzwolenie. Gdy po raz trzeci osiągnęła szczyt, z jej ust wyrwał się okrzyk:

— To niemożliwe!

Potem, kiedy już wszystko się skończyło, ciasno objęliśmy się. Wyczuwałem jej rozgrzane ciało tuż obok, a kiedy zasypiała, twarz owionął mi jej oddech. Usiłowałem zachować przytomność, aby móc na nią patrzeć, ale było to ponad moje siły, z uczuciem ekstatycznej błogości osunąłem się więc i ja w bezdenną otchłań snu.

• • •

Kiedy otworzyłem oczy, ona wciąż jeszcze spała, choć już nie w moich ramionach. Leżeliśmy obok siebie, nakryci prześcieradłem i kocami, domyśliłem się więc, że przebudziła się wcześniej i zdążyła zadbać o ten szczegół.

Dłuższy czas leżałem na boku, wpatrując się w jej twarz i powtarzając w myślach, że teraz treścią mojego życia jest tylko ta kobieta. Spróbowałem

nawet, czysto eksperymentalnie, przypomnieć sobie Ukryte Wzgórza, Boba, Mary i stwierdziłem, że jest to prawie niemożliwe. Miałem wrażenie, że są to sprawy należące do innego świata. Moje poczucie dezorientacji słabnie coraz bardziej, a wkrótce, jestem tego pewien, zniknie całkowicie. Moja obecność w 1896 roku przypomina ziarenko piasku, które dostało się do wnętrza ostrygi. Początkowo intruz, będę krok po kroku pokrywany ochronną i izolującą warstewką, która stopniowo całkowicie zamknie mnie w swoim wnętrzu. W końcu ziarenko to, czyli mnie, okryje tyle warstw tego czasu, że stanę się kimś innym, kimś, kto zapomniał o swym pochodzeniu i żyje tylko jako człowiek tej epoki. Na tym chyba polega tajemnica podróży w czasie. Jeżeli ci zaginieni bez śladu ludzie, za których się ich ma, rzeczywiście dokonali podróży wstecz w czasie, to powinni już teraz nie mieć żadnej pamięci o swoim miejscu pochodzenia. Przyroda dba o swoje dzieła. Jeżeli jakieś prawo zostanie złamane lub wydarzy się jakiś błąd w porządku rzeczy, musi pojawić się rekompensata, przeciwwaga wyrównująca zachwianą równowagę. W takim razie podróżnik w czasie jest w stanie zakłócić bieg historii tylko chwilowo. Z tego zaś wynika przyczyna dla której nikt jeszcze nie powrócił spoza tej granicy. Jest nią fakt, iż z natury rzeczy, jest to podróż tylko w jedną stronę.

Rozmyślałem o tych sprawach, leżąc i patrząc na Elizę, a kiedy już je przemyślałem do końca, byłem całkiem rozbudzony, nie chciało mi się dłużej spać. Zamiast tego miałem ochotę raz jeszcze smakować te cudowne chwile przeżyte ze śpiącą tuż obok

ukochaną, zwłaszcza, że wciąż jeszcze w mojej pamięci żywe były wspomnienia naszego dawania i brania. Bardzo powoli i ostrożnie ześlizgnąłem się z łóżka, ale była to niepotrzebna przezorność, Eliza bowiem spała głęboko. I nic w tym dziwnego, pomyślałem, przecież fizyczne i emocjonalne przeżycia ostatniej doby musiały być dla niej strasznie wyczerpujące.

Kiedy wstałem, nie odnalazłem na podłodze mojego ubrania, rozejrzałem się więc dookoła i przez uchylone drzwi szafy dostrzegłem je na wieszaku. Podszedłem i sprawdziłem wewnętrzną kieszeń surduta. Papiery były w takim stanie, w jakim je zostawiłem. Nie mogła ich nie zauważyć, było ich bowiem zbyt dużo, ale czy, gdyby je przeczytała, spałaby tak spokojnie? Nawet jeżeli by nie zrozumiała treści stenogramu, to czy sam widok okaleczonych słów nie powinien był jej zaniepokoić? Rzuciłem na nią okiem. Cokolwiek można by o niej powiedzieć, z pewnością nic jej nie trapiło. Uznałem więc, że nie zauważyła papierów, a jeśli nawet, to nie przywiązywała do nich żadnej wagi.

Doszedłem do wniosku, że był to sprzyjający moment, aby doprowadzić moje zapiski do chwili bieżącej, skierowałem się więc w stronę biurka, ale zawróciłem, skuszony widokiem jej ubrań. Dotykałem ich po kolei, aż wreszcie natrafiłem na sukienkę, w której już wcześniej ją widziałem, uniosłem spódnicę i wtuliłem twarz w miękki materiał. Elizo — pomyślałem — gdyby czas zechciał wyświadczyć mi jeszcze tę jedną przysługę i zatrzymał się całkiem w tej najcudowniejszej chwili, abym mógł jej doświadczać wiecznie...

Czas, oczywiście, ani mógł, ani chciał się zatrzymać, kiedy więc kolejna jego porcja odpłynęła niekończącym się strumieniem, wypuściłem z ręki spódnicę, która opadła z szelestem na miejsce i ponownie ruszyłem do biurka.

Leżał na nim list, a raczej tylko dwie złożone kartki papieru, na wierzchniej było wypisane moje imię. Poczułem, że ogarnia mnie niepokój. Czyżby jednak, mimo wszystko, przeczytała i zrozumiała moje zapiski? Pospiesznie rozwinąłem kartki i zacząłem czytać.

Już od pierwszego zdania było widać, że nie odkryła jednak mojego sekretu.

„Szanowny Panie,

Niniejszym powiadamiam, że względy WPana z dn. 21-go zostały właściwie przyjęte, a zarazem wyrażam żal, iż nie znajduję się w WPana ramionach w tej właśnie chwili. Co za licho mnie podkusiło, aby opuścić Twoje objęcia?

Jest już dawno po godzinie duchów. Strachy są zmęczone, podobnie jak zaspane aktorki. Powinnam być teraz z Tobą w łóżku; właśnie spojrzałam na Twoją kochaną twarz i posłałam jej pocałunek; ale muszę jako obowiązkowa kobieta, sto razy wyszczotkować włosy zanim będę mogła powrócić na swoje miejsce u Twego boku.

Chwilę temu szczotkowałam właśnie rzeczone włosy, gdy nagle przemknęło mi przez myśl: Kocham Cię, Ryszardzie! — i serce skoczyło mi z radości tak mocno, że musiałam natychmiast zapisać, co czuję. Gdybym tego nie zrobiła, najprawdopodobniej musiałabym zbudzić Cię kuksańcem,

by Ci wszystko opowiedzieć, a za żadne skarby świata nie chciałabym zakłócać spokoju Twego snu.

Kocham Cię, mój Ryszardzie, kocham Cię tak mocno, że gdybym wyszła teraz na dwór, zaczęłabym tańczyć, śpiewać i gromadzić tłumy, obraziłabym policjanta i dała się zamknąć, a wszystko ze szczęścia. Chce mi się bić w bębny, krzyczeć i pisać na wszystkich murach świata, że Cię kocham, kocham, kocham!

A jednak pomimo tego wszystkiego nie jestem tak szczęśliwa, jak bym pragnęła, jak powinnam być szczęśliwa. Wciąż zdaje mi się, że skrada się za mną coś mrocznego. Czemu nasza miłość nie jest w stanie rozproszyć tego mroku?

Przeraża mnie wciąż powracająca myśl. Jestem już wyczerpana upartym przeczuciem, że stracę Cię tak, jak Cię odnalazłam — dziwnie —jak Ty to nazwałeś, poza moją wiedzą i możliwością kontroli. Kochanie, tak się boję. Wyobrażam sobie straszne rzeczy i zamartwiam się bez przerwy. Powiedz mi, żebym się nie martwiła. Wiem, że będziesz musiał mi to ciągle powtarzać, znowu i znowu, i jeszcze raz, aż strumień Twoich zapewnień spłucze ten strach raz na zawsze. Powiedz mi, że wszystko jest dobrze. Prześladuje mnie bez końca lęk, że nasze małżeństwo w jakiś potworny sposób nie dojdzie do skutku.

Muszę już wreszcie wyrwać się z tego ponurego kręgu i myśleć tylko o naszej miłości. Jesteśmy przeznaczeni sobie i tylko sobie. Wiem, że to prawda. Wydaje mi się, że dzisiaj zrozumiałam dokładnie, na czym polega miłość (w tej chwili mogłabym grać Julię bez najmniejszego fałszu). To klucz do wszystkich

serc, a Twoja miłość otworzyła moje serce na zawsze. Dla mnie świat zaczyna się i kończy na Tobie.

Nie będę już dłużej pisać. Dobranoc, Kochanie. Być może w tej właśnie chwili śnisz o mnie. Chciałabym, żeby tak było, bo kocham Cię sercem i duszą. Ach, gdybym tak mogła znaleźć się w Twoim śnie!

Jestem już zbyt śpiąca i oszołomiona, aby napisać bodaj jedno słowo, ale i tak, zanim zasnę, napiszę jeszcze dwa.

Kocham Cię.

Eliza".

Przez łzy radości dostrzegłem dopisek poniżej jej podpisu:

„P.S. Kocham Cię, Ryszardzie".

Spojrzałem na drugą kartkę i uśmiechnąłem się jeszcze radośniej.

„P.P.S. Nie byłam pewna, czy to napisałam".

Mój uśmiech jednak zbladł, gdy zauważyłem, że było tam napisane coś jeszcze.

„Nie chciałam o tym pisać, ale uczciwość mnie do tego zmusiła. Kiedy odwieszałam Twój surdut do szafy, z wewnętrznej kieszeni wypadł plik papierów. Nie miałam zamiaru ich czytać (nie zrobiłabym tego bez Twego pozwolenia), ale nie mogłam nie zauważyć, że są zapisane. Mam przeczucie, że kryje się w nich odpowiedź na zagadkę Twojej pręy mnie obecności, i że kiedyś, gdy nadejdzie właściwy czas, powiesz mi, co tam napisałeś. To nie ma żadnego wpływu na moją miłość, nic nie ma.

E."

W ten sposób zapisałem wszystko, co wydarzyło się aż do tej chwili, a pisząc doszedłem do takiego oto

wniosku: nigdy jej nie pokażę tego, co napisałem. Zamierzam teraz ubrać się, wyjść na dwór, znaleźć jakieś zapałki i dogodny zakątek plaży, a potem spalić te kartki i rzucić ich popiół na wiatr, by rozsiał go pośród nocy. Ona zrozumie, kiedy jej powiem, że zrobiłem to, aby usunąć ostatnią barierę pomiędzy nami, aby już nic, na tym czy innym świecie nie dzieliło Elizy od Ryszarda.

• • •

Wstałem ostrożnie, przeniosłem jej list i moje notatki do szafy, złożyłem je razem i umieściłem w wewnętrznej kieszeni surduta. Przez kilka minut stałem rozdarty pomiędzy chęcią natychmiastowego wcielenia w życie mego planu a pragnieniem powrotu do łóżka, do jej ciepła. Podszedłem i patrzyłem na nią, jak uroczo spała niczym małe dziecko, z jedną ręką odrzuconą na poduszkę, z zaróżowionymi policzkami i lekko rozchylonymi ustami. Gwałtowne pragnienie, aby nachylić się i ucałować te usta pomogło mi podjąć decyzję. Uwielbiałem ją tak, że nie powinienem spocząć, dopóki nie zerwę swego ostatniego kontaktu z przeszłością, wróciłem więc do szafy i zacząłem się ubierać.

Patrzyłem, jak w lustrze przede mną pojawia się klasyczny mężczyzna z 1896 roku, nieco tylko podrapany i z podbitym lewym okiem. Wkładałem na siebie po kolei bieliznę, skarpetki, koszulę i spodnie, a potem buty. Następnie zawiązałem krawat, założyłem surdut i przyczesałem włosy. Z lustra spojrzał na mnie JWPan R.C. Collier. Skinąłem mu głową.

uśmiechając się z aprobatą. Koniec wahań, powiedziałem sobie, tu jest twoje miejsce.

Wróciłem jeszcze do biurka, wziąłem zegarek i umieściłem go, jak należy — teraz byłem już kompletnie wyposażony. Z uśmiechem na ustach przeszedłem jak najciszej przez pokój, wciąż patrząc na Elizę.

— Wrócę za chwilę, kochanie — szepnąłem.

Odryglowałem ostrożnie drzwi, aby jej nie zbudzić i wyszedłem na zewnątrz. Zamknąłem je za sobą bez hałasu, ale nie przekręciłem klucza, miałem bowiem przecież wkrótce być z powrotem. Nucąc pod nosem przeszedłem przez poczekalnię i wyszedłem na dziedziniec.

Zaledwie skręciłem w lewo, gdy kątem oka spostrzegłem jakiś ruch po prawej i zerknąłem w tamtą stronę. Serce załomotało mi, gdy stanąłem oko w oko z raptownie zatrzymującym się Robinsonem.

Wyglądał straszliwie. Od pierwszego wejrzenia zrozumiałem, że wrócił tu po to, aby mnie zabić. Rzuciłem się w przód i zwarłem z nim, z całych sił przytrzymując jego prawą dłoń. Jego twarz wyglądała jak kamienna maska, była całkiem nieruchoma poza pulsującą żyłą przy prawym oku. Nie odzywał się ani słowem. Ściągnięte grymasem wściekłości wargi ukazywały zaciśnięte zęby, spoza których wydobywał się urywany, świszczący oddech, gdy usiłował sięgnąć do prawej kieszeni, w której z pewnością miał pistolet.

— Pan mnie nie może zabić, panie Robinson — powiedzałem powoli i dobitnie. — Przybyłem z przyszłości i wiem o panu wszystko. Nie mogą pana

powiesić za morderstwo, ponieważ jest panu sądzone utonąć za dwadzieścia lat w Atlantyku.

Zbiło go to z pantałyku na tyle, żeby dać mi niezbędną szansę. Pchnąłem go z całych sił, aż potoczył się do tyłu i upadł, ja zaś wykręciłem się na pięcie i rzuciłem do ucieczki, z powrotem w kierunku drzwi apartamentu Elizy. Kiedy zamknąłem je za sobą i po cichu zaryglowałem, doznałem zawrotu głowy. Musiałem oprzeć się o ścianę, a serce biło mi tak mocno, że z trudem oddychałem. Aż skurczyłem się w sobie, ponieważ wydawało mi się, że słyszę odgłos jego kroków w poczekalni. Co on teraz może zrobić? Czy będzie walił w drzwi, aż ją obudzi, czy też odstrzeli zamek i wpadnie tu za mną? Zatoczyłem się w stronę łóżka, ale przebiegło mi przez myśl: „Nie budź jej", zmieniłem więc kierunek i chwiejnie powlokłem się w stronę szafy. Wydawało mi się, że nie jestem w stanie zaczerpnąć w płuca wystarczająco dużo powietrza, a jednocześnie z całą siłą powróciło poczucie dezorientacji. Jak najszybciej musiałem znaleźć się z powrotem w łóżku, tuż przy niej.

Zacząłem ściągać surdut patrząc cały czas na drzwi. Nikt ich nie wyłamywał ani w nie nie łomotał, ale dlaczego? Czyżby wiedział, jak ona mogłaby na to zareagować? Nagle, moją uwagę odwróciło coś twardego i okrągłego, co wymacałem poniżej prawej bocznej kieszeni. Pomyślałem, że musi być w niej dziura, przez którą jedna z monet, jakimi wydano mi reszty w sklepiku, przedostała się pod podszewkę.

Nie daruję sobie tego do końca życia. Byłem pewien, że to nic ważnego, a jednak coś zmusiło mnie, żeby sięgnąć do kieszeni i gmerać na oślep roz-

trzęsionymi palcami, dopóki nie znalazłem rozdarcia, a potem drugą, równie niepewną ręką wypchnąć monetę do góry. W końcu chwyciłem ją, wyjąłem i przyjrzałem się jej.

B>la to jednocentówka z 1971 roku.

Natychmiast zaczęło we mnie narastać coś straszliwego i mrocznego. Przeczuwałem, co to może oznaczać. Usiłowałem więc odrzucić monetę od siebie, ale jak gdyby za sprawą jakiegoś upiornego magnetyzmu nie mogłem się od niej uwolnić. Z narastającym przerażeniem patrzyłem, jak przywarła mi do palców z koszmarną siłą, której nie byłem w stanie pojąć ani przełamać. Zacząłem dyszeć i drżeć, gdyż spłynęła na mnie fala dotkliwego zimna. Serce biło mi wolno i straszliwie mocno, a ja bezowocnie starałem się krzyknąć, głos jednak jak zmrożony zamarł mi w gardle. Wołałem, lecz tylko w myślach.

Nie mogłem nic zrobić i to było w tym wszystkim najstraszliwsze. Byłem bezradny, chociaż zdawałem sobie sprawę, że podczas gdy tak stoję, niemy i sparaliżowany, rwą się wszelkie nici, które łączyły mnie z nią i z rokiem 1896. Całą siłą woli starałem się oderwać wzrok od cyfr na monecie, ale bez powodzenia. Zdawało mi się, że pulsują one nie tylko przed moimi oczyma, ale także w głębi mózgu, przesyłając mu fale ujemnej energii. 1971, 1971. Czułem, że zaczyna mi brakować oparcia. 1971. Nie — błagałem w myślach, unieruchomiony obezwładniającym obrzydzeniem — nie, tylko nie to! Ale kto miałby mnie wysłuchać?

Cofnąłem się w czasie dzięki uporczywemu koncentrowaniu się na jednej dacie, a teraz przecież, w tej

przeklętej chwili wpatrując się w datę na monecie — 1971, 1971, robiłem dokładnie to samo w przeciwnym kierunku. Rozpaczliwie usiłowałem przekonać sam siebie, że jest teraz 21 listopada 1896 roku, że to rok 1896, ale umysł tego nie przyjmował, nie miałem jak go w tym utwierdzić. Jak mogłem to zrobić z przylepioną do palców monetą, która wciąż wmawiała mojej świadomości istnienie tego roku? 1971, 1971, 1971. Dlaczego nie mogłem się jej pozbyć? Nie chcę wracać! Nie!

Otaczała mnie teraz, jak żywy opar, chmura migotliwej ciemności. Choć skamieniały w bezruchu, zdołałem nieco odwrócić głowę, by spojrzeć w stronę łóżka. Nie! Dobry Boże, nie! — chciało mi się krzyczeć, bo prawie nie widziałem jej już, zaledwie niewyraźna sylwetka majaczyła w gęstej mgle. Bolesny jęk niemo rozdzierał mi piersi. Chciałem jej dotknąć, być przy niej, ale nie mogłem ruszyć się z miejsca. Jakiś potworny, martwy ciężar przygniatał mnie do ziemi, chociaż usiłowałem z nim walczyć. Przecież nic nie może nas rozdzielić! Resztką sił spróbowałem jeszcze raz pozbyć się tej złowieszczej monety. To nie jest 1971, to 1896! 1896!

Wszystko na nic. Jednocentówka pozostała na mojej dłoni jak wstrętna narośl. W poczuciu klęski podniosłem znękany wzrok, by raz jeszcze spojrzeć na Elizę, i targnęła mną zgroza. Eliza zniknęła bowiem całkowicie w wirującej wokół mnie ciemności, która ssąc jak próżnia wciągała mnie w siebie. Z niewiadomego powodu przyszła mi wtedy na myśl pewna kobieta, która kiedyś opowiadała o uczuciach zapowiadających nadejście załamania psychicznego. Opi-

sywała to jako narastanie we wnętrzu „czegoś", co było całkiem niezależne od rozumu i woli, czegoś strasznego i ruchliwego, co rozrastało się bez przerwy jak pająk snujący potworną, lodowatą sieć, która wkrótce miała oplatać umysł i ciało. Czułem się wtedy dokładnie tak samo, bezsilny i bezradny, podczas gdy wewnątrz mnie trwał nieodwracalny rozrost, któremu nie byłem w stanie zapobiec.

• • •

Kiedy otworzyłem oczy, leżałem na podłodze. Z zewnątrz dobiegał odległy huk przyboju.

Usiadłem powoli i rozejrzałem się po pokoju, który niegdyś był jej pokojem. Łóżko było puste. Wstałem nieporadnie i spojrzałem na prawą dłoń. Wciąż jeszcze trzymałem w niej pieniążek. Rzuciłem go z okrzykiem odrazy i usłyszałem, jak spadł na podłogę. Teraz już możesz — pomyślałem z nienawiścią — teraz, kiedy zmusiłeś mnie do powrotu?!

Nie wiem, jak długo tak stałem, bezwolny, jak martwy. Wydało mi się, że całe godziny, chociaż przypuszczam, że w rzeczywistości nie trwało to dłużej niż kwadrans, w końcu jednak powlokłem się ku drzwiom, otworzyłem je i wyszedłem na korytarz. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Zauważyłem, że wciąż mam na sobie surdut, i zadrżałem. Chciałeś powiedzieć, kostium — poprawił mnie mój rozum z goryczą.

Idąc przed siebie nie mogłem przestać myśleć o tym, że utraciłem Elizę przez głupią monetę, która przedostała się pod podszewkę i przewędro-

wała całą podróż w czasie wraz ze mną. Ze wszystkim innym dałbym sobie radę, ale nie z nią. To ona ostatecznie zmusiła mnie do powrotu. Jak powolna, zepsuta maszyna mój mózg uporczywie przeżuwał te fakty, starając się zrozumieć przeraźliwy bezsens całego ciągu zdarzeń. Przecież to nie była nawet moja moneta, lecz' najprawdopodobniej tego, kto ostatni nosił ten kostium przede mną. Przez takie coś, przez takie głupstwo straciłem Elizę na zawsze! Jeszcze parę minut temu byłem tuż przy niej, jeszcze wyczuwałem dotyk i zapach jej ciała. Gdybym pozostał z nią w łóżku, nic złego by się nie wydarzyło. Tylko dlatego, że usiłowałem umocnić swoją więź z 1896 rokiem, zerwałem ją kompletnie. A wszystko przez jednocentówkę zaplątaną w podszewce! Moja myśl wracała uporczywie, mozolnie do tego samego punktu i wciąż bez rezultatu. Nie mogłem tego zrozumieć.

Nigdy tego nie zrozumiem.

Przeszedłem całą drogę aż pod drzwi pokoju — mojego pokoju z 1971 roku — zanim dotarło do mnie, że przecież nie mam do niego klucza. Długi czas stałem, wpatrując się w drzwi. Wydawało się, że samo przeniesienie z powrotem w 1971 rok pozbawiło mnie wszelkiej zdolności jasnego rozumowania. Długo trwało, zanim pozbierałem myśli na tyle, by odwrócić się i wycofać schodami na dół. Zdawałem sobie sprawę, że nie mógłbym teraz pójść do recepcji i wdać się tam w rozmowy i wyjaśnienia. Nie byłem w stanie funkcjonować jako myślący człowiek. Oszołomiony i pusty, zszedłem po prostu na parter i skierowałem do tylnego wyjścia. Tak niedawno byłem

razem z nią, ale teraz było już siedemdziesiąt pięć lat później, a Eliza była martwa.

I ja też byłem martwy; w każdym razie tyle mogłem zrozumieć. Schodząc ze stopni ganku zastanawiałem się, czy nie należałoby teraz iść nad morze i utopić się niszcząc ciało, skoro dusza i tak już została zniszczona, ale zabrakło mi siły woli i tylko bezmyślnie krążyłem w kółko po parkingu. Padał deszcz tak drobny, że niemal nie czułem jego kropli na twarzy. Przypominał bardziej osiadającą mgłę niż prawdziwy deszcz.

Zatrzymałem się przy jakimś samochodzie i długi czas mu się przypatrywałem, zanim do mnie dotarło, że to mój wóz. Zacząłem grzebać w kieszeni zesztywniałymi palcami, aż wreszcie zrozumiałem, że nie znajdę tam kluczyków. Ukląkłem i sięgnąłem na oślep głęboko pod podwozie, aż wymacałem małe, metalowe pudełko trzymające się tam przy pomocy magnesu. Kiedy je wyjmowałem, aby wstać musiałem przytrzymać się klamki. Przemoczyłem przy tym doszczętnie spodnie na kolanach, ale nie dbałem o to. Powoli odsunąłem wieczko pudełka i wyjąłem kluczyki.

Wnętrze samochodu było zimne, a jego okna pokrywała para. Po kilku nieporadnych próbach trafiłem wreszcie kluczykiem w otwór zapłonu i już zamierzałem go przekręcić, gdy wyczerpany osunąłem się na fotel. Nie miałem siły, aby przejechać przez wiadukt i ruszyć dalej, brak mi było siły nawet, by wyjechać z parkingu czy wręcz uruchomić silnik. Głowa opadła mi na piersi, a oczy same się zamknęły. Stało się, pomyślałem, a słowa te odbiły się nieskoń-

czonym echem w moich myślach, napełniając mnie bolesną świadomością. Stało się; Eliza odeszła. Znalazłem ją, ale znów utraciłem. Stało się; to, o czym czytałem w książkach, było zgodne z prawdą. Stało się; żadnej z nich nie trzeba będzie pisać na nowo. Stało się; to, czego obawiałem się zrobić od samego początku, to, czego poprzysiągłem sobie nigdy nie robić. Stało się; jej serce zostało wyzwolone tylko po to, by zostać złamane.

Stało się!

Otworzyłem oczy i mój wzrok padł na wiszącą przy kamizelce dewizkę. Wyjąłem zegarek z kieszonki i popatrzyłem na niego, a potem wcisnąłem sztyft i zacząłem wpatrywać się w jego tarczę. Światło pobliskiej latarni przesączając się przez zaparowane szyby pozwoliło mi dostrzec, że właśnie minęła czwarta. W ciszy panującej we wnętrzu samochodu, wyraźnie słyszałem dźwięczne, metodyczne tykanie. Przyszła mi wtedy do głowy dziwaczna myśl: to przecież właśnie rzut monetą skierował mnie do San Diego, moneta więc sprowadziła mnie do niej i moneta mnie od niej zabrała. Od mojej ukochanej, jedynej, utraconej miłości.

Mojej Elizy.

Posłowie Roberta Colliera

Ryszard wrócił do domu w poniedziałek rano, 22 listopada 1971 roku. Był blady i spokojny, ale nie chciał nam powiedzieć, gdzie był ani co się z nim działo. Natychmiast po powrocie położył się do łóżka i już nigdy z niego nie wstał.

Jego stan pogarszał się szybko i po miesiącu trzeba było go przenieść do szpitala. Tam również, podobnie jak w domu, leżał całymi dniami w milczeniu wpatrując się w sufit i trzymając w ręku złoty zegarek. Pewnego razu pielęgniarka chciała mu go wyjąć z dłoni i wtedy Ryszard wypowiedział jedyne słowa, jakie ktokolwiek usłyszał od niego w ostatnich miesiącach życia:

— Nie ruszaj.

• • •

Nie ma nic specjalnie dziwnego w tym, że Ryszard łudził się historią o swej podróży w czasie wstecz, na spotkanie z Elizą McKenna.

Zdawał sobie sprawę, że stoi w obliczu nadciągającej śmierci. Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Musiał to być dla niego straszliwy szok. Miał zaledwie trzydzieści sześć lat i z pewnością czuł się oszukany. Nigdy wcześniej nie osiągnął uczuciowego spełnienia, a teraz jego życie miało przedwcześnie zakończyć się. Chciał odnaleźć jakąś drogę ucieczki przed tą zdradą, a czyż istnieje bardziej naturalne schronienie od przeszłości? Zdając sobie z tego sprawę, nie cofnął się we własną przeszłość, wybrał cudzą.

Wybór ten jest od samego początku doskonale widoczny w jego zapiskach. Od chwili, gdy odwiedził „Queen Mary" i chłonął swą świadomością wrażenia, jakie przekazywała mu przeszłość.

Kiedy przypadkowo natrafił na Hotel Coronado, cały ten proces zaczął się krystalizować. Wkrótce w jego wyobraźni przeszłość zaczęła żyć jako realna, umiejscowiona w hotelu siła, a on sam zaczął nabierać przekonania, że zjawiska z przeszłości nadal trwają w jakiś namacalny sposób.

Trudno się dziwić, że całym swym jestestwem skoncentrował się na Elizie McKenna jako na idealnym symbolu swojej potrzeby odnalezienia, zarazem ucieczki przed niemożliwą do zniesienia teraźniejszością, jak i spełnienia w miłości. Mam wciąż tę fotografię, którą kazał oprawić i mogę zaświadczyć, że wszystko to, co o niej pisał, jest prawdą. Była nieprawdopodobnie piękną kobietą. Nie trzeba specjalnej wyobraźni, aby zrozumieć jego przekonanie, że naprawdę do niej dotrze, jeżeli tylko będzie się wystarczająco starać. Łatwo też zrozumieć, dlaczego wgłębianie się w szczegóły jej życia mogło być brane

przez niego za znak, że rzeczywiście już ją osiągnął. To oczywiste, że umysł miał wzburzony, oszołomiony lękiem i niespełnionymi pragnieniami, czy zatem może kogoś dziwić, że w takich okolicznościach uwierzył w to, w co uwierzył?

Dopełnieniem tego obrazu są słowa doktora Crosswella, który wyjawił mi, iż guzy tego rodzaju, jaki miał Ryszard, mogą powodować „stany marzeń sennych" oraz „halucynacje wzrokowe, smakowe i węchowe".

Któż wie, ile elementów składa się na jedną halucynację? Ile szczegółów trzeba spleść w jedną nić, aby utkać z nich żywą tkankę imaginacji? Wiem tylko, że Ryszard rozpaczliwie pragnął wymknąć się swemu przeznaczeniu i że to mu się udało, przynajmniej na półtora dnia. Leżąc w swym pokoju, najprawdopodobniej w stanie autohipnozy, doświadczył pobytu w 1896 roku w najdrobniejszych szczegółach. Szczegóły te, tak dokładnie opisane w rękopisie, zdobył niewątpliwie kosztem starannych poszukiwań, a potem jego podświadomość dostarczała mu faktów, które sam w niej umieścił dzięki swemu „zderzeniu" z przeszłością (dziwnym zbiegiem okoliczności tematem konferencji, jaka się wtedy odbywała w hotelu, były właśnie zderzenia samochodowe). Powoli i systematycznie budował sobie w umyśle iluzyjny obraz. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że po telefonicznej rozmowie ze mną na pewien czas utracił go, na skutek, według jego własnych słów, „czołowego zderzenia z rzeczywistością".

Pobudzając ponownie proces samooszukiwania, do czego po prostu był zmuszony, „odkrył" swoje

nazwisko w rejestrze hotelowym z 1896 roku, i przyspieszył go przez uporczywie powtarzane wmawianie sobie, że nie jest już w 1971, lecz w 1896 roku. Bardzo znaczące, że robił to przy akompaniamencie muzyki, która, jak sam pisał, „przenosiła go do innego świata".

Aby utrzymać czystość swoich złudzeń, wypożyczył ubiór stosowny do epoki, zdobył ówczesne pieniądze, załatwił druk papeterii identycznej z używaną w hotelu w dziewięćdziesiątych latach ubiegłego wieku, a nawet napisał dwa listy, które pozornie wyszły spod ręki Elizy McKenna; w tym wypadku zresztą musiał się niezwykle napracować, aby osiągnąć takie mistrzostwo we władaniu piórem. Zegarek niewątpliwie zakupił u jakiegoś jubilera. Wygląda on wprawdzie na dosyć nowy, jak na zegarki tego typu, ale są one z pewnością do dziś produkowane i można je dostać, jeśli się tylko dobrze szuka. Jak to powiada doktor Cosswell, niewiarygodna cierpliwość i precyzja podświadomości nie ma granic w budowaniu ułudy.

• • •

Kiedy było już oczywiste, że Ryszard jest bliski śmierci, zrobiłem coś, o co nie zadbał szpital ani doktor Crosswell. Sprowadziłem Ryszarda do domu i położyłem do łóżka w jego własnym domku. Na stoliku przy nim ustawiłem oprawioną fotografię Elizy McKenna, włożyłem mu do ręki zegarek i postarałem się, aby płyty z jego symfoniami Mahlera były grane przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wydaje mi się, iż nie przypadkiem umarł podczas

adagia z IX Symfonii, które w jego przekonaniu pomogło mu przenieść się do niej. Byłem przy jego łóżku w tym momencie i mogę zaświadczyć, że dzięki Bogu, jego śmierć przynajmniej pod względem fizycznym była zupełnie łagodna.

Cóż więcej pozostaje mi do powiedzenia? Tak, Eliza McKenna była w Stephens College w 1953 roku. Tak, umarła na atak serca następnej nocy po przyjęciu, a jej ostatnie słowa brzmiały „a miłość najsłodsza". Tak, Ryszard był wtedy w Columbii w stanie Missouri. Tak, spaliła te papiery i odnaleziono tylko ten strzęp wiersza. Tak, zmiana w jej osobowości, jaka nastąpiła po 1896 roku, wciąż pozostaje zagadką.

Po co wymieniam wszelkie szczegóły? Być może, pomimo tego, co napisałem, bardzo chciałbym uwierzyć, przynajmniej ze względu na Ryszarda, że wszystko to zdarzyło się naprawdę. Pragnę uwierzyć w to tak bardzo, że nigdy nie pojadę do tego hotelu i nie poproszę o tamten rejestr z obawy, że mógłbym nie zobaczyć tam jego nazwiska.

Mój żal z powodu śmierci brata stałby się bez porównania lżejszy gdybym zdołał siebie przekonać, że on rzeczywiście dokonał podróży w czasie i spotkał ją. Jakaś cząstka mnie, bardzo chce wierzyć, że to wszystko nie było złudzeniem, że Ryszard i Eliza byli ze sobą razem tak, jak on to utrzymywał.

I że teraz z woli Boga nadal są gdzieś tam razem.

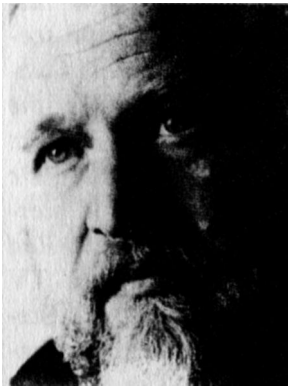

Richard Matheson (ur. 1926), amerykański autor opowiadań, powieści i scenariuszy filmowych SF, fantasy i grozy. Debiutował w 1950 opowiadaniem „Zrodzony z męża i niewiasty" (SF/horror), wysoka ocena czytelników i krytyki sprawiła, że zdecydował się na uprawianie tych gatunków. W 1954 opublikował pierwszy zbiór opowiadań, *Born of Man and Woman* (następne: *The Shores of Space* 1957, *Shock!* 1961, *Shock II* 1964, *Shock III* 1966, *Shock Waves* 1970, *Shock IV* 1980, tom *Collected Stories* 1989 zawiera 86 opowiadań z lat 1950—1971) i pierwszą powieść, dwukrotnie sfilmowaną, *Jestem legendą* (w świecie postatomowym jeden człowiek okazuje się odporny na bakterię wywołującą wampiryzm). Następna, sfilmowana według jego scenariusza, to: *The Shrinking Man* (1956; film pokazywany w polskiej TV nosił tytuł: *O człowieku co malał).* Kolejne: *A Stir of Echoes* (1958), *Hell House* (1971; film w polskiej TV pt.: *Legenda o diabelskim domu,* scenariusz RM, reż. John Hough), *Gdzieś w czasie* (1975, film w Polsce na kasetach pod tym samym tytułem, scenariusz RM, reż. Jeannot Szwarc), *What Dreams May Come* (1978), *Earthbound* (1982) pod pseud. Logan Swanson, pełny tekst jako RM 1989), *Journal of the Gun Years* (1992, western z elementami fantasy).

W 1959 RM rozpoczął pisanie scenariuszy do słynnego serialu TV *Twilight Zone* (ogółem 14; polska TV pokazywała kilka lat temu nową serię tego serialu). W 1960 napisał scenariusz do pierwszego filmu z całej serii adaptacji utworów Edgara Allana Poego, w reż. Rogera Cormana, *Upadek domu Usher ów.* Kolejne scenariusze dla Cormana i innych reżyserów: *Studnia i wahadło* (1961), *Poego opowieści grozy* (1962), *Night of the Eagle* (1962), *Kruk* (1963), *The Comedy of Terrors* (1963), *Fanatic* (1965), *The Devil Rides Out* (1968), *De Sade* (1969). Dla TV napisał kilka scenariuszy od pierwszej serii serialu *Star Trek,* a później do serialu *Rod Serling's Night Gallery.* Z innych scenariuszy dla TV godzi się wymienić: *Pojedynek na szosie* (1971, reż. Steven Spielberg), *The Night Stalker* (1972) plus kontynuacja *Kolchak: The Night Strangler* (1973), *The Stranger Within* (1974), *The Martian Chronicles* (1979).

Dominującym tematem w twórczości RM była i jest paranoja, zarówno w sosie SF jak i grozy, albo w obu jednocześnie, osiągająca szczyt w powieści *Jestem legendą.*

Oprać. MSN

Na 1 stronie okładki: PO III BASKIL z Ciechanowskiej Ziemi, hod. W. Astachow, wł. B. Ryl, fot. E. Kawecki